





WYDANIE JUBILEUSZOWE

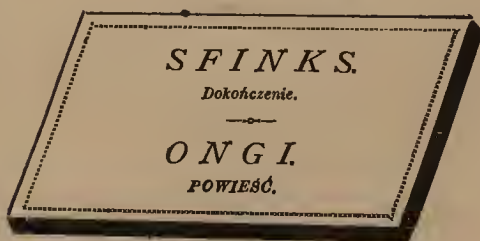
J. I. KRASZEWSKIEGO.

1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM XI.

WYDANIE JUBILEUSZOWE
WARSZAWA 1879

Wydawnictwo na korzyść Jublilat.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

Krasz. - 1462

II nr inv. - 146

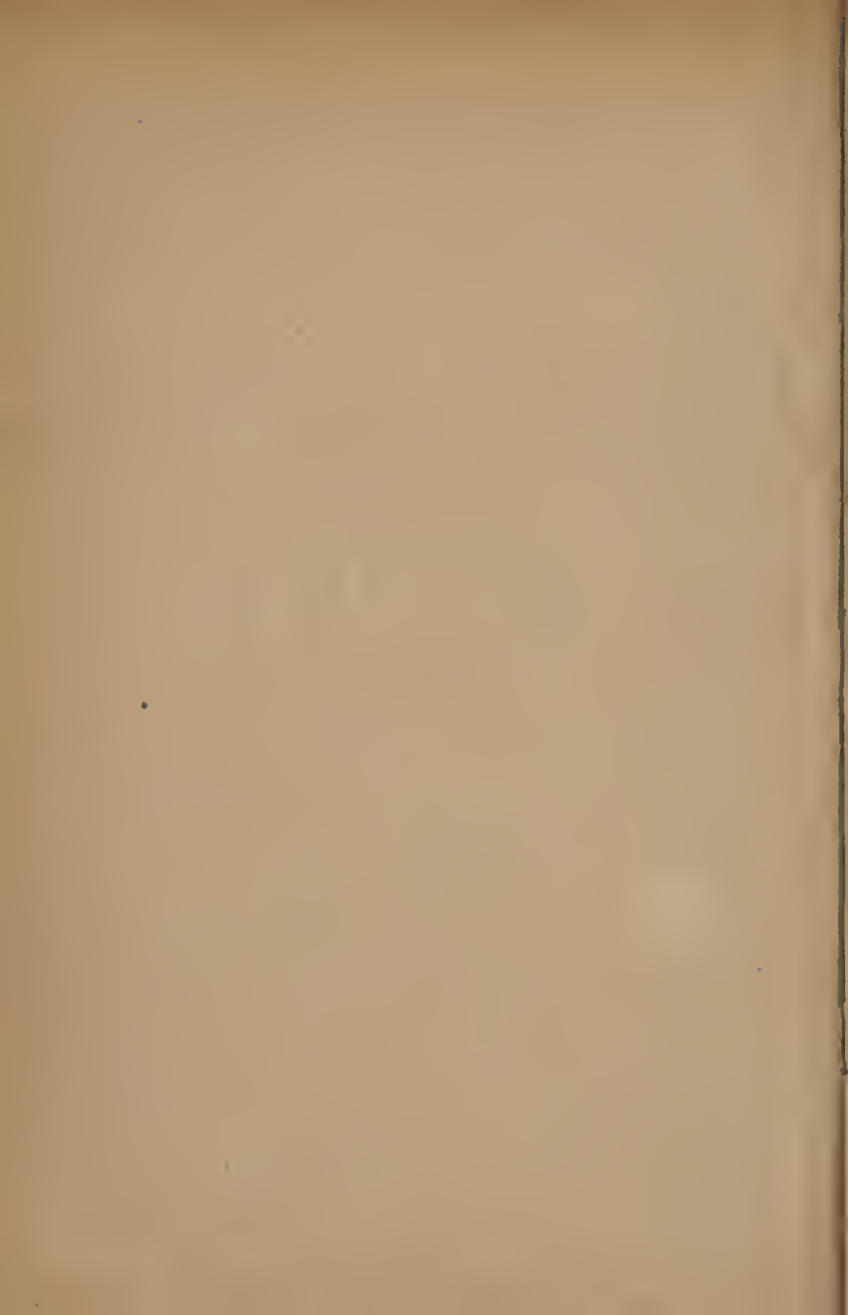
Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Мая 1879 г.



1986 D 26

S F I N K S.

(Dokończenie.)



Chory przechadzał się już po pokoju ogłoconym prawie ze sprzętu i części obrazów, ale wybladły i wyniszczony, gdy kasztelan powracający rychło z sejmu znalazł w domu list z pieniędzmi. Dumny, oziębły, zczudzoziemszczały, nie miał jednak w głębi złego serca, a wady swoje po większej części winien był wychowaniu. Dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie artysty, pośpieszył ku niemu wzruszony do żywego. Wchodząc na wschody, postrzegłszy ubóstwo wszędzie wymownie napiętnowane, zabołał nad stanem biednego a szlachetnego człowieka, który niedoświadczeniu swemu winien był cierpienie, zrządzone przez kobietę próżną i bez serca. Z grzecznością, na którą się zdobywał tylko gdy był żywo poruszony, powitał artystę i spytał go: dla czego odesłał pieniądze?

— Nie mogłem ich przyjąć, rzekł Jan: mam jeszcze obowiązki wdzięczności dla niego.

— Ale zmiłuj się, dość tego! odparł kładnąc na stole podwójną ilość kasztelan: nie przesadzaj swoich obowiązków; proszę cię, abyś to przyjął jako dowód mojej wdzięczności za portret prześlicznej kobiety, z którą się rozstając, miło mi po niej choć tę zachować pamiątkę. Portret ten arcydzieło!

Jan się zarumienił, oparł o stół, bo czuł drżące pod sobą nogi.

— Tak, rozstajemy się, dodał kasztelan z uśmie-

ebem: nasze humory i charaktery nie dość się godzą, nie mamy dzieci, rozwód łatwy. Mieszkamy już nawet osobno, a proces się toczy. Jeślibyś pan kiedy potrzebował jakiej pomocy, rady, udaj się proszę do mnie.

I szybko skłoniwszy się, odszedł, a w chwilę potem karetka potoczyła się po bruku.

Tegoż samego wieczoru Jan wyszedł na pierwszą przechadzkę, którą Mamoniez mu doradził, na którą namówił, odzyskawszy ze zdrowiem Jana zwykłą swoją wesołość.

— Nic głośniejszego — rzekł — niż siedzieć w zamkniętej izbie; to druga choroba. Powietrze zsiadłe daje ci gorączkę. Patrzysz na ściany czarne, jedne zawsze; w głowie ci się zasklepia, zdaje ci się, żeś uwięziony. Chodźmy.

Wieczór był znowu piękny, ale Jan tak zmieniony dziwnie, zestarzały, osłabły; musieli wkrótce nsiąść na kłodzie, wywróconej pod pałacem Słuszków, przypatrując się rzece płynącej, okolicy i zachodowi słońca.

Wtém ktoś przechodzący pozdrowił Mamonicza:

— Witaj Praksyteł!

— Al to wy doktorze!

I ujrzeli za sobą dorodnego wzrostu mężczyznę, za którym szła zakwefiona kobieta. Doktor był już szpakowaty, dość wysoki, silnej budowy, ramion szerokich, żółtej cery, a oczy piwne, błyszczące ogniem niezwykłym, biegały pod arkadą brwi gęstych i nawisłych. Uśmiech skrzywiony, konwulsyjny, nałogowy, wyłamywał mu usta. Ubrany całkiem czarno, ale krojem niewidzianym, bez pasa, z szerokimi rękawy, miał na głowie pielgrzymi o ogromnych skrzydłach kapelusz podobny żydowskiemu, obwiązany taśmą czarną, i kij wysoki w rękę. Ruchy jego były spazmatyczne,

nierówne, rzucane. Zatrzymał się naprzeciw nich i zapytał:

— Co tu robicie?

— Siedzimy i spoczywamy. Wyprowadziłem na przechadzkę chorego przyjaciela, który potrzebował spoczynku.

— Chorego? tak, chorego! rzekł doktor puszczając rękę kobiety, i zbliżając się ku nim. A co mu jest?

I począł patrzeć w oczy Janowi.

Wtém kobieta odrzuciła kwef z twarzy, i oczy jej spotkały się z oczyma Jana.

Ten porwał się z miejsca zdziwiony. Sen czy marzenie? To była Jagusia! nie mylił się, to ona!

Doktor postrzegł to poruszenie tak nagle, poznanie wzajemne, i z flegmą spytał:

— Cóż to? dopieroście się poznali? ha! dopiero teraz?

— Nie rozumiem tego! rzekł Tytus.

— Dopiero, wybąknął Jan niewyraźnie i niezrozumiale. Nie wiesz Tytusie, że dawno temu, ucząc się jeszcze u Batrani'ego tu w Wilnie, miałem przyjemność często widywać pannę Agnieszkę, byliśmy sąsiadami.

— A tak! tak! dziwnie rzucając oczyma zawołał doktor: dawno! dawno! jeszcze naówczas była n babki!

— I byliśmy jeszcze razem, obie z siostrą, dodała kobieta zbliżając się:—teraz ja sama!

Wskazała na oddalony cmentarz.

— Babka tam! siostra tam!

— Tam, smutnie powtórzył doktor: żyją!

— Ale pan byłeś, jesteś chory? czule zapytała Jagusia.

Jan się zniessał na wspomnienie choroby.

— Byłem chory, upadłem, miałem przytém gorączkę długą, ciężką.

— Z przestachu, rzekł Tytus.

— Z zawodu! szepnął doktor.

Jan spojrzał mu w oczy z podziwieniem. Od początku bowiem rozmowy, nieznajomy zdawał się doskonale o wszystkiém, co się do niego ścierało, uwiadomiony; lecz ostatni wyraz tak trafny, dosypał miarki. Na wejrzenie Jana, doktor kiwnął tylko głową znacząco:

— Tak—rzekł—puścileś się pan wysoko, a upadłeś nisko.

— Nie żartuj doktorze z choroby! tyś sam przecię niebardzo zdrów.

— Cha! cha! wy to chorobą nazywacie! Do zobaczenia! Chcecie być u mnie wicczorem? możemy się rozerwać, chorym to nie wadzi. Czekam obu.

Jagusia także słodkiém niebieskiém okiem wezwała Jana, któremu żywo przypomniała się młodość i uderzyło do szczęśliwych czasów serce.

— Al to nie dumna kasztelanowa! rzekł w duchu.

Ale już doktor z Jagusią, machając laską, zniknął jak widmo w oddaleniu.

— Kto to jest? spytał Jan: to jego żona?

— Nie, córka, rzekł Tytus. Wszakże ją znasz? musisz wiedzieć kto on?

— Pierwszy raz go widzę, i nigdy o nim nie słyszał.

— Idźmy powoli, opowiem ci po drodze. Ale zacznę jako od najważniejszego:—Doktor nasz nie jest z professyi doktorem, nikt nie wie kim i czém jest, wszyscy go mają za waryata.

— Jak to? tak przytomny, miałby...

— Waryat, tak jest lub tak się zdaje. Całe miasto

z mowy, z życia, z dziwnego stroju, uznało go nieodwołalnie za szalonego.

— Cóż tak szalonego zrobił?

— Posłuchaj. Stara babka, którą widywałeś z okna, o której mi wspominałeś nawet, tutejsza dawniej kupcowa, miała córkę, naówczas jeszcze śliczną, młodzieuchną Julię. Był to kwiat jój wdowiego życia, było ukochane i wypieszczone dziecko—dziewczynka nieuboga, ale i niebogata, jedynaczka. Wiesz, co są ukochane jedynaki; są to szczęśliwe stworzenia, których młodość często płaci za całe życie; bo nikt potem nie może mieć dla nich serca matki; wszędzie i zawsze źle im być musi po dzieciństwie rajskiem. W czasie, gdy cała młodzież wileńska szalała za piękną Julisją, którą nazywano królową, tak była cudownie i wspańiale piękna—zjawił się w Wilnie człowiek dziwny, o którego pochodzeniu, rodzie, narodowości nawet i stanie majątkowym najosobliwsze chodziły wieści, co zawsze znaczy, że ludzie nie wiedzą. Jak się tylko pokazał, zwrócił oczy wszystkich. To, co zwykle ludzie chowają w sobie, obawiają się pomówienia o dziwactwo, on objawiał bez najmniejszej obłudy, bez zastanowienia, jak sobie to ludzie tłómaczyć będą. Mówił prawdę często ostrą, a czasem tak osobliwszą, że go brano za szalonego. Nazywano go doktor Fantazus, ale wszyscy szeptali, że to była nazwa zmyślona, przybrana na zamydlenie oczu. Choć zwał się doktorem, nie leczył, a zwłaszcza lekarstwami zwykłemi; mówił, że w człowieku nigdy ciało nie choruje z własnej przyczyny, ale od duszy; przepisywał leki osobliwsze, po większej części moralne, czasem zmianę powietrza, wodę jaką, mieszkanie inne, towarzystwo pewne, czytanie, nabożeństwo lub t. p. rzeczy.

Języki, jakie tu znamy, umiał wszystkie doskonale; fizyognomia zdawała się zdradzać obcego, przybysza. Żył skromnie, lecz w potrzebie pieniędzy mu nigdy nie brakło: sypał ubogim, dawał nawet natrętom. Przyjmowany w najlepszych domach, wołał bratać się z ubogimi, niż wycierać progi pańskie. Ze wszystkich jego dziwactw najosobliwszém było opowiadanie i rozmowa pochwytna tak, że często ludzie, co go nawet nie spełna rozumieli, zachwyceni mimowolnie, zaciekawieni, pociągnięci jakimś urokiem jego myśli, zasłuchywali się długie godziny, tracąc rachubę czasu i pamięć na siebie. Rzekłbyś, że słowo jego pętało i wiązało do ust. Najczęściej mawiał o mało nam znanych krajach: o Indyi, Chinach, Afryce, zawsze jak gdyby tam był. Choćbyś zaczepił go o najmniej znajomą stronę świata, wnet każdy ci kątek opisywał najdokładniej... Toż samo z historią: każdy wypadek z przeszłości opowiadał jak gdyby był jego świadkiem, ze szczegółami niepojętej dokładności. Gdy go pytano, zkądby je miał? odpowiadał z uśmiechem: — „Byłem tam...” Zupełnie jak w bajce, — odwracał się i odchodził zamysłony. Młody naówczas i przystojny, a więcéj jeszcze zajmującéj niż miłej twarzy, obaczył Julię, i z wielką rozpaczą matki, począł często u niej bywać, widocznie kochać się i starać. Matka przelekniona, modliła się ze strachu: Julia od pierwszego widzenia, jakby mu się czuła przeznaczoną, przyłgnęła do niego. Przerażenie biednej matki i krewnych opisać się nie da. Matka starała się odepchnąć awanturnika, który jakby tego nie widział, wchodził zawsze, gdy mu drzwi przed nosem zamknąć chciało, i zasiadał przy Julii uparcie. Półśłówka ostre, wymówki, nawet widoczny gniew matki, nic nie pomagały. Grzecznie odpowiadał na nie,

a swoje robił. Usilnie starano się dowiedzieć o nim czegoś? ale prócz tego, że do Wilna przybył wprost z Astrachanu, nie dośledzić nie można było.

Nareszcie jednego wieczoru oświadczył się matce uroczyście; drżała jak listek.

— „Mam już słowo Julii, rzekł: Julia mnie kocha, nie pójdzie za nikogo innego.”

— „Ale któż pan jesteś? na Boga!” spytała matka.

— „Jestem doktor Fantazus, odpowiedział. Daję Julii los niezależny, jestem bogaty. Reszta wiadomości o mnie należy tylko do mnie; to tajemnica, której teraz wyjawiać nie mogę. O szczęście Julii starać się będę, i Boga biorę za świadka, że co jest w sile ludzkiej, uczynię dla niej. Żem nie jest niegodny jej ręki urodzeniem mojem, na to pani daję słowo uczciwe, a jeśli chcesz przysięgam.”

Matka nie wiedząc co począć, płakała; ale córka swemi pieszczoty wymogła słowo, wymogła zgodzenie się, pomimo bojaźni, jaką wzbudzał we wdowie doktor Fantazus.

Po ślubie państwo młodzi wynieśli się do przepysznego mieszkania, a matka błogosławiła w dzień po-brania, zawsze niespokojna i trwożna o jutro.

Ten strach był niedaremny, było to przeczucie. Po-życie szczęśliwe niedługo trwało. Julia bliska słabo-ści, która dała życie dwom siostrzyczkom, zapadła nie-bezpiecznie, ucałowała sieroty i zamknęła oczy. Pęk-nięcie naczynia jakiegoś w piersi, wszelki ratunek czy-niło bezskutecznym. W chwili jej śmierci, doktor znikł z miasta, napróżno go szukano. Matka Julii sprzedawała ruchomości, i zabrała wnuczki do siebie. Corocznie w ciągu lat kilkunastu dochodziła ją pensya i list od zięcia. Krótkie te pisma datowane bywały ze wszyst-

kich świata krańców: to z Hiszpanii, to z Tartaryi, to z Goi, z Bombaju, z Kantonu, z Teheranu, z Otaiti, nareszcie raz z Lidy, i tak najdziwaczniej.

Znaki pocztowe świadczyły, że istotnie ztamtąd pisał. Nie dowiadywał się o dzieci, a zdawał się dokładnie być o nich uwiadomionym; w pewnych przypadkach radził nawet babce co robić miała, jak gdyby najdoskonalej znał położenie jój i dzieci. Pomimo dostateczności funduszków, wdowa wychowywała dzieci skromnie, żyjąc życiem, do jakiego przywykła, a oszczędzając pieniędzy, bo się nie spodziewała powrotu zięcia i chciała coś uzbierać dla wnucząt, co chwila drżąc o przerwanie listów i pieniędzy. Tymczasem staruszka zbliżała się do grobu i w przeszłym roku zapadła ciężko, czuwając u łóżka niebezpiecznie chorą wnuczką. W téj chwili fatalnej zjawił się doktor Fantazus, *Deus ex machina*, staraniem prawdziwie synowskiem dla starą, macierzyńskiem dla córki, osładzając chorobę ich, ale nie mogąc mimo najusilniejszych zabiegów zapobiedz śmierci. Obie umarły, a on pozostał z Jagusią tutaj, i mieszka odtąd w Wilnie. Ludzie, co go znali wprzód, i teraz utrzymują, że widoczniej niż kiedy zdaje się być waryatem.

Opowiadania jego i prawdy, które ogłasza, są tak dziwne, że nie mogłyby wyjść z ust przytomnego człowieka. Gdyby tak w istocie myślał, obawiałby się powiedzieć. Doktor Fantazus ma teraz manię utrzymywania, iż żył od początku świata ciągle; że był na całej kuli ziemskiej, a wprzód na planetach, które dalej od ziemi chodzą koło słońca. Powiada, że nie za długo znajdzie z ziemi, i pocznie żyć na kulach bliższych słońca aż do Merkurego; ostatecznie zaś ma

wniść w samo słońce i tam spoczywać przez resztę wieczności.

Tym podobne prawi brednie.

Niektórzy się z niego w oczy śmieją, inni obawiając się drwią gdy go nie ma, ale słuchają z usty otwartymi gdy się z nim spotkają. Poważny, seryo, w potocznych sprawach ma przytomność wielką, przebiegłość i znajomość ludzi niezrównaną. Spojrzy i wie już coś za człowiek. Niekiedy zda się to cudowném, tak czyta w sercu, tak myśli, sprężyny czynności i całą przeszłość twoją zgaduje. Pytany jak się to dzieje, odpowiada po swojemu:

— „Byłem w nim, lub byłem nim (nie wiem jak).”

Jedni drwią z tego i szydzą, choć często ich niedowiarstwo wstydem okrywa; drudzy uważają go za rodzaj natchnionego proroka i wierzą w niego nie pojmując. To pewna, że czy przeszłość czy przyszłość ci objawia, o ile wiem, nigdy się nie omylił. Ma widać więcej jednym od nas zmysłem, organizację szczególną, niepojętą, która mu dozwala wcielać się w każdego, we wszystko, zresztą nie wiem.

— Malujesz mi go dziwnym i strasznym, zawołał Jan. Jagusia jego córką! Jagusia!!

— To ci, zdaje mi się, bynajmniej nie przeszkadza kochać Jagusi. Ona, jak widzisz, czule pamiętała o tobie. Kto wie, z nią może byłbyś szczęśliwy? Zapomnij tej niegodziwej zalotnicy, zapomnij: Jagusia, to lata szczęśliwe młodości...

Właśnie tych słów domawiał Tytus, gdy powóz ciemny ich mijał. Z niego twarz kasztelanowej wyjrzała, i wzrok znany przeszył na wskroś Jana. Zachwiał się i uderzony zasłonił oczy.

— Co ci jest? spytał Mamonicz.

— To ona!

Ale konie już ją były uniosły.

— Chodźmy do doktora, rzekł Tytus: ta kobieta, to zbójca.

— Chodźmy, powtórzył Jan: i owszem! Potrzebuję rozrywki, dodał z uśmiechem zmuszonym: prowadź mnie gdzie zechcesz, prowadź.

Żywo poszli ulicą na Zarzecze, w stronę gdzie przez dziwactwo może, unikając miasta i wrzawy, wielki dom murowany obrał sobie doktor Fantazus za mieszkanie.

Dom ten ogrodem przytykał do rzeki, a wierzby płaczące pochyłonemi gałęzmi kąpały się w jej wodach. Gęste drzew sploty zewsząd opasywały i zakrywały budowę, która zapewne skutkiem wytrzebienia późniejszego otaczających zarośli tak się zmieniła, że teraz niebyś podobnego do niej nie znalazł. Małe pięterko na wzniesionym suterenie, podnosiło się z kilku oknami, pokryte dość płaskim dachem. Podwórze czyste i piaskiem wysypane zdobiła brama dziwaczного smaku, której chińskie ozdoby jaskrawe, wisiadełka, dzwonki i lby smocze zastanawiały niejednego przechodnia. Bramę tę zbudował na miejscu starój zwyczajnej sam doktor. W ganku domu leżał sfinks kamienny stary, z czarnego bazaltu, który w téj chwili przypominał boleśnie Janowi pamiętne prorocze wyrazy Batrani'ego o symbolu kobiety.

W pustych sieniach zawieszona była lampa grecka na łańcuszkach brązowych, wyobrażająca orla unoszącego Ganimedesa.

Wschody ubrane w niewidziane kwiaty wiodły na górę.

— Tam przyjmuje doktor, na dole mieszka on i córka od strony ogrodu, chodźmy na górę, rzekł Mamonicz.

Wonną tą drogą puścili się na górę, po kolorowych matach jakiegoś cudzoziemskiego pozor, plecionych z nieznanéj rośliny w żółte i czerwone pasy.

W przedpokoju otworzył im drzwi Negr ubrany w turban biały, ponsowe szerokie spodnie, kaftan ponsowy ze złotem, i pas czarny bogaty, na którym błyszczała rękojeść sztyletu. Mały dzieciak, którego bronzowa twarz i czarne oczy zdradzały wschodnie pochodzenie, wyjrzał z za parawanu (z laki chińskiéj) i schował się. We drzwiach napotkał ich doktor, ubrany teraz po wschodniemu, z głową okrytą tylko bogatą czapczką zamiast zawoju.

Salonik, do którego weszli, wystawiał najosobliwszy widok, najdziwniejsze Kafarnaum, wśród którego nagromadzonych widziadeł i osobliwości wszelkiego rodzaju, sprzętów ze wszystkich świata krańców zniesionych—siedziało dziewczę w białéj sukience, Jagusia, wydająca się kwiatkiem łąki rodzinnej włożonym w wytworne naczynie. Uśmiech dziewczęcia błogą przeszłość przypominał Janowi; ale z progu prawie pochwycił go doktor silnie za rękę, zaczął ścisnąć i rzekł:

— Witaj mi, witaj mój drogi mistrzu! Moja Jagna całą drogę o tobie tylko prawila, choć nie potrzebowalem tego, aby cię znać doskonale! O! znamy się! znamy! i pogroził na nosie.—Ale po co było u licha wpadać w sidła kasztelanowój?

Jan pobladł, ale się przymusił do uśmiechu.

— To chorobsko ci odejdzie. Siadajcież starzy znajomi (wskazał Jagusię), i gadajcie swobodnie. Ja

choć wszystkiego mimowoli słucham, ale gdy potrzeba, nie nie słyszę.

To mówiąc, odwrócił się do Mamonicza, i pocałował go w czoło.

— A co mój Benvenuto! (na ten raz tylko tak cię nazywam, boś mi w porę przyszedł, innym razem będziesz mi znowu Praksytelem); jak się tam miewa twój Herkules?

Gdy tak idzie rozmowa między Mamoniczem a doktorem, ktorego oczy zdają się być wszędzie razem, tak szybko przebiegają z miejsca na miejsce, Jan uśmiechając się do Jagusi, mierzy ciekawym wzrokiem salon doktora.

Pokój to niewielki, z oknami na ogród, ubrany był jakby naumyślnie dla wywołania podziwień i wzbudzenia ciekawości. Meble pokrywały materye niekrajowe, ani pospolite u nas, w olbrzymie ptaki, kwiaty i pagody przetykane na tle złocistém. Na stole zwieszona była stara makata z drzewem genealogiczném jakiegoś starego barońskiego domu Germanii i herbami zawieszistemi. Na ścianach obrazki chińskie, sztychy wyborne angielskie, prześliczne holenderskie obrazy olejne niewielkich rozmiarów, ubiory i orężę Indyan i mieszkańców wysp oceanu Południowego, broń tatarska, narzędzia muzyczne różnych ludów tworzyły zręcznie wiązane trofea. Suknie futrzane Samojedów i Ostyaków, koszule z rybich plewek i koszule dróciane, kaftany wschodnie i suknie mandarynów powiązane razem, dziwić się swojemu sąsiedztwu zdawały. Na wysokiej kolumnie, w ślicznym starym helmie żelaznym, posypanym złotemi gwiazdkami, o skrzydłach motyli, ubrana głowa Indyanina cała w rysunkach dziwacznych, zasuszona ze skórą sposobem

nam nieznanym. Muma z bandoletami swemi, podparta naczyniami z ibisem i psem nabalsamowanym, odpowiadała jój w drugim kącie. Śliczny stary brąz grecki, Minerva w pośrodku na konsoli stała sama jedna. U nóg jój kilka książeczek chińskich i owe papierowe zwitki, które Chińczycy palą na ofiarę przed swojemi bóstwy. Ale któż opisze tę rozmaitość dziwną, tę zbieraninę pamiątek błahych, pięknych i poczwarnych?

Na kominie królował bożek indyjski z nagim brzuchem i głupio roztwartą gębą; siedział na skulonych nogach istny brahmański nauk symbol, nauki, co zgłupienie spokojne podaje za zjednoczenie z Wielkim Duchem. Obok téj poczwarki tańczyły pasterki z sewrskiej porcelany i starego saskiego biszkoktu, błyszczące skorupy ogromnych ślimaków, skamieniałości osobliwszych kształtów, konchy nizane na sznury, służące gdzieś Negrom zamiast pieniędzy, obłamy stalaktytów i szyszki z cedrów Libanu.

Ani zliczyć, ani przepatrzyć!

Zwierciadło nad kominem było wklęsłe i cały pokój zmniejszony w niém się odbijał, a co większa, łączył się z nim piękny widok z okien. Pióra ptaków afrykańskich i Ameryki lasów, poukładane w ogromne wachlarze, pozszywane w piękne pstre płaszcze, zdobiły ścianę nad kanapą. Tuż przy niej na drążku biała jak śnieg papuga z czerwonym zakrzywionym nosem, ostrzyła dziób o szpony błyszczące, potrzepując niekiedy skrzydłami.

— To muzeum nie pokój, rzekł Jan, siadając przy Jagusi.

— A! i mnie to z początku dziwném się i śmieszném wydawało, ale teraz oswoiłam się ze wszystkiém. Oj-

ciec mój lubi te zbiory; są to wspomnienia jego podróży po świecie. Ta skóra lwa naprzykład, co leży pod stołem, ten tygrys rozpięty na ścianie, na którym indyjskie noże błyszcza, są to trofea zwycięstw jego nad dzikimi zwierzęty. Gdzież on nie był! i czego nie widział!

— Jakże to wszystko mógł zgromadzić?

— Powoli! z różnych stron świata, pozostawiane u przyjaciół ściągnął tu swoje pamiątki, osiadłszy na Litwie przy mnie i dla mnie. Tylem mu winna! bo to ofiara wielka! On się tak biedny nudzi spokojem i jednostajnością! Codziennie wzdycha wieczorem, i szepcze powtarzając, że biegun północny go wabi. Widzi na nim jakieś ziemie zamieszkane, gdzie próżne jeszcze miejsca są na wszystkich kartach. Chciałby tam popłynąć, mimo brył lodów, co drogę mu tamują. Ale z kąd pieniędzy na tę wyprawę? kto z nim pojedzie? kto uwierzyć zechce w tego Kolumba?

To mówiąc, Jagusia spojrzała na Jana, i spytała go ciszej, spoglądając na ojca ukradkiem:

— A z tobą panie co się działo przez te lata? gdzie byłeś?

— W Warszawie, potem w Rzymie, potem pochowałem biedną matkę, której przybyłem zawrzeć oczy! teraz...

— O! teraz, słyszałam! Chorujesz pan na oczy kasztelanowej, jak ojciec powiada, dodała z uśmiechem. Mój ojciec tak cudownie wie wszystko. Ale on też mówi, że to przejdzie.

— Zkądże wie? spytał Jan pomieszany.

— Zkąd? nie umiem rozwiązać zagadki! Ale wie wszystko! wie wszystko! Dziwny człowiek! gdybym go nie kochała, przejmowałby mnie strachem. Spytaj go

o kogo chcesz, o co chcesz: odwróci się, pomyśli długo, popatrzy w oddalenie, zagłębi się w sobie, i powie ci co wiedzieć chciałeś. Gdybym nie wiedziała, że pobożny, myślałabym, że to czary! A ludzie, co go nie pojmują, zowią szalonym... dodała smutnie.

W téj chwili, chociaż doktor Fantazus zdawał się ich nie słuchać, zwrócił się nagle, i kładąc rękę na kolanach Jana, rzekł:

— Tak, zowią mnie szalonym! Dla czego? Dla tego, że im opowiadam ze szczegółami o śmierci Sokratesa i tłómaczę tajemnice eleuzyńskie; że opisuję im mur chiński Szi-Hoang-Ti, który istotnie jest wielkiem dziełem, a może większem od zeszlonych ogniem ruin Balbeku; że im opowiadam o puszczach i trzęsawiskach Ameryki zaludnionych potworami; że rysuję pagody indyjskie; że... wiem więcej niż oni wiedzą—ot dla czego mówią, że szalony.

Jan nic nie odpowiedział; spojrział mu w oczy, ale błyszczący wzrok doktora, który nie spoczął nigdy, nie dał się pochwycić, i przebiegł jakby uciekając dookoła pokoju z żywością niepojętą.

— Mówią, że szalony, dodał zapalając się trochę: dla tego, że im dowodzę, iż byłem świadkiem zdobycia Meksyku, odkrycia Ameryki i podbicia Chin przez Mongołów, a co większa, współczesnym Aspazyi, Alcibiadesa, Solona, wojownikiem Termopilów, że Leonidasą znałem doskonale i byłem z nim w największej przyjaźni. Co za szkoda, że my go tutaj nie mamy!

— Doktorze, to trochę trudne do uwierzenia, rzekł Jan.

— Dla was! zapewne. Ale bo wy fałszywe macie pojęcie o przeszłości. Myślicie, że co było, było i przeszło; a ja wam powiadam, że co raz było, to jest

i trwa. Można tam pójść, i ujrzeć, i żyć przeszłością, można zawędrować do starych wieków jak się wędruje do Chin, do Ameryki, do Bombaju i Kalkutty. Powiadam ci, można zajść w przeszłość.

— Ale droga?

— A! tu sęk! Droge ja tylko wiem! Niedługa, ale dyable trudna...

Wstał i przeszedł po pokoju.

Mamonicz niebardzo rozmowie się przysłuchujący, bo ta nie była dla niego nowością, przepatrywał album leżące na stole, i zwabił Jana do siebie. Ten z niechęcią wstał od Jagusi i zbliżył się do niego. Ogromna księga wytarta, oprawna w twardy czarny jaszczur, zamknięta na klamry widocznie azyatyckiej roboty, zawierała twarze, ubiory, sceny, widoki z różnych krajów. Na każdej karcie była data. Z podziwieniem zobaczył tu Jan głowę Ponceyusa Piłata.

Tego ostatniego zobaczywszy, doktor zawołał nagle:

— A! Piłat! biedny Piłat, słabość charakteru go zgubiła! Nie był to zupełnie zły człowiek, ale dziwnie powodować się dający; żona go nawet za nos wodziła; przytém dbał zbytecznie o popularność, o opinię ludu! Piłat jest uosobieniem, symbolem tych ludzi, co nie sami przez się nie czynią; w gruncie dobrzy może, przez słabość stają się narzędziem złych.

Data podpisana pod Piłatem była historyczną, o rok poprzedzającą męczeństwo wielkie; dopis: *z natury*, czynił ten rysunek niepojętym. Jan i Tytus spojrzeli po sobie.

— A! a! i wy mnie widzę macie za szalonego! zawołał doktor Fantazus. Cha! cha!

— Juściż nie zaprzeczysz—przerwał Mamonicz,—że trochę dziwne prawisz nam rzeczy.

— Może i dziwne dla was, coście przywykli całe życie patrzeć tylko pod nogi. Wszystko czego nie wiemy, wydaje się nam dziwném raz pierwszy. Gdybyś w życiu swém nie widział nigdy robaka, muchy, nie słyszał o nich, a zobaczył je nagle—nie prawdaż, że mógłbyś w pierwszej chwili zdumienia wziąć je za Awatar Wielkiego Ducha?

Wtém ujrzał Jagusię, i wykrzyknął, opamiętywając się:

— Jagusia tu! a my gadamy Bóg wie o czém! Ot! dalibyśmy pokój, a rozweselili chorego na oczy kasztelanowój. Biedny Jan! Co za bolesna oftalmia!

— Proszę pana, jeśli istotnie litujesz się nademną, nie przypominajże mi tych oczu.

— I owszem, gwałtem wykurować cię potrzeba. Ja znam dawno kasztelanową, dodał doktor Fantazus. Widywałem ją na dworze Kleopatry.

Przyjaciele spojrzeli ukradkiem po sobie.

— I przyznam, mówił dalej Fantazus: że od tego czasu nic się prawie nie zmieniła. Rysowałem wówczas jój portret; zobaczcie go na tysiącznej drugiej stronie, w stroju, jaki naówczas nosiła. *Pszent* na głowie zmienia ją tylko nieznacznie.

Jagusia ciekawie nachyliła się także nad książkę, a Jan nie mógł wstrzymać okrzyku podziwienia, ujrzawszy rysunek w stroju egipskim, ale tak żywo wyobrażający Elwirę, że go odepchnął ze wstrętem i strachem.

— Jeśli chcecie, opowiem wam nawet jój historię. Ojciec jój był kapłanem bóstwa Mandu w Hermontisie, bóstwa jednego z Trójcy egipskiej. Kleopatra ujrzała ją w czasie uroczystości i wzięła na swój dwór. Strzeżała oczyma czarnemi tak trafnie, że nawet Marek An-

toniusz był się w niej trochę pokochał. Ale że miłość starożytnych niewiele była wymagająca, prędko nasycony porzucił ją. Z Rzymu, dokąd się dostała, rozplomieniony jakiś królik sarmacki wywiózł ją na północ. Ani go kochała, ani on ją zajmował; gardząc nawet barbarzyńcą, wyjechała z nim jedynie dla przezwania nudów nieuleczonych widokiem krainy tak wybornie opisanéj przez Herodota. Ale w Sarmacyi Herodot wydał się jéj takim bałamutem i łatwowiernym baśni kopistą, jakimi nam wydają się Beniamin z Tudei i Marko Polo. Wyobraźcie sobie kobietę znudzoną w staréj dzikiéj Sarmacyi! Królik nie mógł sobie dać rady; przejeżdżał z nią z nad brzegów starego Tyrasu do Kolchidy, woził ją nawet w kraj, gdzie jak stary Herodot powiada, ciągle padający puch świat ludziom zasłania;—nic nie pomogło na chroniczne nudy. Aż nareszcie skuteczna znalazła się rozrywka. Słuchajcie. Gdzieś nad jeziorem *Białych koni* stał pałac królika. Tam tłumy wojennych jeńców jęczały w łańcuchach. Codzień podawano jéj po jednym niewolniku, i stawiano przed nią. Ona póty patrzała na nich, patrzała, patrzała, aż zabiła wzrokiem. Trzeba wam wiedzieć, że jest wzrok, co zabija. Średnie wieki tę siłę wejrzenia wyrażały symbolem Bazyliszka. Dodatek podania mówiącego, że Bazyliszek sam tylko odbitym własnym wzrokiem pokonany być może, znaczy, że nieczulość na ten wzrok umarza siłę jego i zwraca ją na zabójcę.

Nie wiem spełna co się stało potem z kasztelanową; jeśli się nie mylę, widziano ją na dworze Franciszka pierwszego; nareszcie znalazła się w Paryżu, gdy wojewodzie kończył tam wychowanie pod przewodnictwem jakiegoś wiercipięty, i poszła za niego... Oczy jéj, oczy Bazyliszka, są jéj manią, mówił doktor dalej z po-

wagą nieporuszoną. Próbuje ich na wszystkich, czy mają tę samą siłę co dawniej. Na mężu już nie skutkują, ale na nowicyuszach! Chcesz zwyciężyć? spytał Jana.

— Zwyciężyć, to jest zapomnieć, rzekł Jan; innego nie wart ten bój zwycięstwa.

— Nie, potrzeba ją poprawić. Dam ci talizman na to.

Wskazał Jagusię, a ta zaczerwieniona i zawstydzona odwróciła się, grożąc ojcu.

Doktor się rubasznie rozśmiał. Podano herbatę w małych chińskich filiżaneczkach, na wielkiej tacy z wytworniej laki. Wszystko tu miało jakąś fantastyczną minę, dziwaczne było, piękne i zupełnie niespodziewane.

Fantazus chodził po saloniku w wybornym humorze.

— Cznję—rzekł—będzie burza. Cieszę się z tego mocno: trochę przynajmniej hałasu narobi i powietrze odżywi; nudna długa pogoda.

— A! burza! burza! zawołała Jagusia, biegnąc do okna. Ja się jój tak boję! całą noc pewnie spać nie będę!

— O! nie dziś jeszcze będzie burza,—za trzy dni o południu.

— Zkądże wiesz o tém?

— Gwiazdy spadające, to jest tó, co wy tém nazywacie imieniem, padają już kilka wieczorów w stronę, gdzie burza się zbiera. Są to posłańcy, którzy po nią idą, i powrócą z piorunami.

Gdy doktor rozprawiał z Mamoniczem, Jan znowu zbliżył się do Jagusi. W jój cichój rozmowie lżej mu i spokojniej było: odzyskiwał lat dawnych swobodę i wesele, zapominał świeżego cierpienia. Serce mu bi-

ło znowu, ale inaczej, inaczej wcale, niż gdy Elwira budziła je do ruchu wzrokiem szatana. Tamto wrażenie było piekielną żądzą: to niebieską błogością i spokojem.

— Pamiętasz gołębia? spytał jęj po cichu.

— O! jakże nie? odpowiedziała. We trzy dni po twojem odejściu, gołąb z rąk moich uleciał na okno twoje, ale tam schwyciła go i zabiła Maryetta. Płakałam po nim długo. Wynieśliśmy się potem z mieszkania. Stary Batrani, często widziałam, do twojej izdebki przychodził, i zamyślony, kryjąc twarz w dłoni, nie wiem czy płakał, czy dumał gorzko. Czasem synek siadał mu na kolana, i pieścili się z sobą, póki ich Maryetta nie wygnała z tego nienawistnego dla niej kąta. Wkrótce, słyszałam to potem od sąsiadów, zmęczony malarz stary przestał najprzód mówić zupełnie. Przez kilka miesięcy nikt słowa z niego dobyć nie mógł, nawet ukochane dzieci; nareszcie umarł. Śmierć jego była straszniejsza może nad życie: konający zrzucony z pościelą na podłogę, widział jak żona wszędzie szukała po nim pieniędzy, jak zbierała rzeczy, i nie poglądając nawet na dogorywającego, przeklętwy i krzykiem dobijała go. Na pogrzebie dzieciom nawet niewolno było być podobno. Synka starszego matka zamknęła na klucz; dziecko wyskoczyło oknem i pobiegło za trumną boso, w jedną koszulce. Całe miasto płakało patrząc na to; matka różgami je osiekla.

— Mówisz o Batrani'm? spytał nagle doktor, miesząc się do rozmowy. Znałem go, znałem: pocziwy to był, ale biedny człowiek. Znałem go kilka razy.

— Jak to? zawołał Jan, zapomniawszy ekscentryczności doktora.

— Tak, młodzieńcem w Grecyi, potem dorosłym

mężem w Rzymie, mężczyzną za czasów Medyceuszów, a starcem już w Wilnie. Nosił różne imiona. Zwał się, niepomnę, Kleantem z Delosu, potem wyzwolencem Licinem, potem... e! mniejsza o nazwisko! Jemu podobni zawsze bywają rabici przez swoich, los wybiera za narzędzie męki dla nich to brata, to żonę, to dzieci. Batrani Grek umarł od syna, Rzymianin od rozpustnicy Greczynki, Włoch od zazdrosnego o talent ojca, nasz od żony,—tak być musiało. Poczciwy Batrani, pokój mu!...

Ale ja widzę, że się wy wybieracie, rzekł dalej Fantazus; w istocie, spóźnia się podobno. Przyjdźcież do mnie jutro, widujemy się częściej; wy mnie a ja wam przydać się mogę. Wy nie nie pamiętacie, że nasza przyjaźń zawiązała się w więzieniu Sokratesa jeszcze, gdyśmy się tam zeszli razem przed picciem cykuty. Ty kochany Janie byłeś Cebesem, nie pamiętasz? ty Mamoniezu Ktezypem z Peanii.

— A ty szanowny doktorze?

— O! ja—odpowiedział poważnie—byłem wówczas Eurypidesem, i chociaż mnie nie mieści Plato między świadkami wielkiego zgonu, mogę zaświadczyć słowem uczciwego człowieka, że kazał Eskulapowi zarznąć koguta na ofiarę, o czém później pisano, zaprzeczając faktowi nawet! Niewdzięczny Plato! ale my z nim wówczas byliśmy nie najlepij; wybaczam mu to z całego serca! Chociaż Bogiem a prawdą, wiele pomogłem do *Theaitetosa*. Wiercie mi, że chronologia Eurypida do tąd fałszywa, ja o tém wiem najlepij. Dobranoc.

To mówiąc, drzwi zamknął, ale Jagusia przez szparę zamykających się pożegnała wzrokiem Jana. Jan odszedł spokojniejszy daleko i ukołysany jój niebieskiem wejrzeniem.

— Co myślisz o doktorze? spytał Mamonicz, gdy z dziedzica wychodzili.

— Nie nie rozumiem, obłąkanie, dziwactwo, rachunek jakiś...

— Wstrzymaj się jeszcze z ostatecznym sądem.

— Doktor widzę bogaty?

— Nikt o tém nie wie. Najsprzeczniejsze chodzą o nim wieści: jedni mu przyznają skarby Krezusa; drudzy mówią, że jest tajemnym naczelnikiem bandy zbójcekiej; inni, że ubogi, że ma nawet długi. On sam stale skarży się na ubóstwo swoje. Żyje skromnie; całe jego bogactwo w tych, coś je widział, rupiecicach.

— A i to przecież coś warto.

— Zapewne, rzekł Tytus—dla kogoś...

— Niezrozumiały człowiek.

Dumając doszli do drzwi Jana, i ściśnieniem ręki dali sobie dobranoc. Jan zastał służącego od kasztelanowej, który prosił, aby się stawił nazajutrz w pałacu Ogińskich, gdzie dotąd mieszkała, dla pilnego interesu.

Nazajutrz rano Mamonicz swoim zwyczajem nadzedł, i zastał Jana wśród najzaciętszego boju z samym sobą, walczącego czy ma pójść do pałacu Ogińskich lub nie. Wiedział, że Tytus powie mu: „Nie idź;” nie więc nie wspominając przed nim o wezwaniu, około południa, ciągle jeszcze walcząc z sobą, ubrał się i wyszedł z domu bez projektu dokąd. Poszedł do pałacu Ogińskich!

Jaki interes mogła mieć kasztelanowa? Po dziwnym wyskoku z ich domu, mógłże tam wejść znowu? miałże być nieposłusznym i odrzucić to, co może było późném serca opamiętaniem? Wstył mu było ludzi, mo-

gących go poczytywać za waryata. Kilka razy zbliżał się ku pałacowi i powracał; nareszcie uzbroiwszy się w odwagę, dumę i obojętność na szyderstwo, jeśliby się z nim spotkał, wpadł na wschody, przeszedł przedpokój, nie śmiejąc spojrzeć na ludzi, i znalazł się w salonie. Ale tu nie było nikogo. Nie widząc nic przed oczyma, udawał, że obojętnie przepatruje obrazy po ścianach rozwieszone i fraszki na gerydonach — gdy szelest jedwabnej sukni wyrwał go z udanego zajęcia.

Odwrócił się w milczeniu. Kasztelanowa stała, nakładając czarne mitenki jedwabne i wzrokiem swym upartym poglądając na malarza.

— Kazałam pana prosić, odezwała się. Portret mój dostał się dawnemu mężowi mojemu... chcę mieć inny.

— Miłoby mi było spełnić jej rozkaz, odpowiedział Jan; ale przekonałem się, że portret pani nie jest ani łatwą dla mnie, ani całkiem bezpieczną pracą.

— Czemuż niebezpieczną? odparła dumnie ustami a czule oczyma Elwira. Będziesz malował, będziesz malował, chcę tego i spodziewam się.

— Nie, pani! zbierając się na odwagę, stanowczo rzekł malarz. Jestem chory jeszcze i zaledwie przychodzę do straconego może na zawsze zdrowia. Nakazano mi wypoczynek. Nie wiedząc, jaki był powód wezwania, stawilem się na rozkaz; ale spełnić życzenia jej, przynajmniej teraz, niepodobna mi.

— Bardzo żałuję, odparła krzywiąc się kobieta. Chciałam koniecznie mieć portret robiony przez niego, bo cenię wielki talent, któremu tu równego nie mamy.

Jan się uklonił.

— Portret jest rzeczą tak pospolitą, tak zużytą, rzekł z cicha, wpadając na myśl dziwną. Gdybyś pani chciała mieć popiersie swoje, znam snycerza, co by je doskonale zrobił.

— Popiersie? biust? Prawda! to daleko mniej pospolita rzecz. Przyszłójże mi pan tego kogoś, co je zrobić potrafi.

Nie spoglądając już na kasztelanową, która uparcie ścigała go oczyma czarnemi, Jan pożegnał ją i odszedł szybko. We drzwiach pożegnała go wejrzeniem jeszcze pani, próbująca sił swoich. Ale wczorajsze spotkanie z Jagusią było istotnie zbroją dla Jana. Czuł, że urok w połowie prysnął. Pobiegł jednak z sercem wzruszoném do Mamonicza, który znowu stał osobno.

Tytus mieszkał naówczas w mizernym domku na Bakszcie, nad szyneczkiem, w dwóch izdebkach, które znakomitym odznaczały się nieładem. Zastał go Jan modelującego na ziemi ogromnego lwa z gliny. Zawsze owa grupa Herkulesa zajmowała go wyłącznie. Zobaczywszy Jana, który rzadko do niego przychodził, narzucił prędko mokre szmaty na poczetą robotę i wstał, pytając oczyma, co go tu przywiodło?

— Szedłeś aż tu szukając mnie; mówże co cię sprowadza?

— Zemsta!

— Zemsta! do mnie! cha! cha! Cożem ci u kaduka zrobił?

— Ty! nic, ale nie wiesz.

— Wiem doskonale, że dziś rano znów byłeś u tego szatana kasztelanowej.

— Chce znowu swego portretu.

— A! rozumiem! A ty zezwoliłeś na to.

— Nie! nie! nie! Powiedziałem owszem, że do pracy za słaby jestem jeszcze; namówilem ją na popiersie.

— Tak! a mnie chcesz na ogień jój oczu wystawić?

— Przestrzeżony, pomścisz się za mnie.

— Któż wie, czy siłę mieć będę!

— Tytusie mój! dla mnie! uczyni to dla mnie! Zewzól, idź, a gdy cię ta syrena wzrokiem ścigać będzie, oddaj jój za wejrzenie wejrzeniem, ale zimnym i zdziwionym. Niech się wściecze bezsilna. O! jeszcze mnie bolą rany.

— Tak! kochasz ją jeszcze.

— Nie, ale pragnę się pomścić.

— To zawsze miłość po trosze.

— Uczyniszże dla mnie, o co błagam?

— Nie wiem; nie widzę potrzeby iść naprzeciw niebezpieczeństwu, gdy nie do tego nie zmusza.

— Dla mnie, Tytusie!

— Ona mnie pewnie wzrokiem ścisnąć nie będzie, a darmo pracować...

— Darmo! darmo! któż ci to mówi! Pewien jestem, że wynagrodzą wspaniale.

— O! nie o to mi chodzi.

Po długich rozprawach, Tytus dał się wreszcie namówić. Ubrany skromnie, ale starannie, w parę godzin stawił się do pałacu z miną zimną, odważną i pewną siebie. Kasztelanowa przyjęła go, wdzięcząc się, uśmiechając, rozpytując, ale nie potrafiła rozmarszczyć stoika. Po półgodzinnej rozmowie, Mamonicz odszedł ją prawie gniewną.

W godzinę potem przyniesiono glinę i to niewdzięczne rusztowańko, które się używa do modelowania małych statuetek i popiersi.

Z zimną krwią, z brwią namarszczoną, począł snycerz lepić głowę, oznaczać szyję i piersi wielkimi massami. Kasztelanowa wyteżała wzrok na niego.

Kilka razy spotkawszy go, Mamonicz rzekł obojętnie i poważnie:

— JW. pani nie wie zapewne lub zapomina, że popiersie nie potrzebuje oczu i prawie ich nie ma. To tak piękne dla malarza spojrzenie, stracone jest dla mnie, i wprawia tylko w rozpacz, bo go wykuć ani ulepić nie potrafię. Żałuję, że nie jestem malarzem.

Zacięła usta kobieta, ale odwróciwszy się na chwilę, powróciła znowu do swój próby zwyczajnej. Spotkała wzrok surowy i chmurny Mamonicza, tak, że musiała prawie gniewna odwrócić oczy. Mamonicz udawał potężnie zajętego robotą i namarszczonego namysłem. Jeszcze raz, nie dając się pokonać niczém, z czułym wejrzeniem obróciła się ku Tytusowi. Ten się uśmiechnął.

— Czego się pan śmiejesz?

— Przebaczy mi pani, gdy jój powiem?

— O! cóżby mnie to obchodzić tak miało?

— Więc powiem szczerze. Dziwię się sile i piękności wzroku, którego żal mi, że w popiersiu wydać nie potrafię. Rzadko spotyka się oczy podobne. Ale na nieszczęście, wszystkie biusta mają jedno prawie spojrzenie. Zgięciem tylko brwi i kształtami powiek możemy nieco oznaczyć charakter oczu. Ale jw. pani nadto przywykła, siedząc do portretu, kierować w ten sposób wejrzeniem, które tyle kosztowało mego przyjaciela Jana.

— Malarza? spytała od niechcenia.

— Tak! ten biedny człowiek usiłował jój wejrzenie pochwycić koniecznie do obrazu, który maluje. Dziw-

ny zaprawdę artysta: ognisty gdy chodzi o sztukę, lodowaty i szyderski dla ludzi. Nigdy nie zapomnę, jak, gdy mu się zdało nareszcie, że pochwycił tajemnicę tych oczu, skoczył gdyby szalony oknem i biegł malować do domu.

— Malować! do obrazu! powtórzyła rumieniać się pani kasztelanowa.

— Nie mógł żadnym sposobem pochwycić wzroku tego, zapominał go skoro wyszedł, i nad tém rozpaczał. Niekiedy zrażony śmiał się z siebie i swojej dziwnej pretensyi.

— Więc badał mój wzrok, aby z niego taką korzyść wyciągnąć! O! to niegodnie.

— Wybaezone malarzowi: ehwyta jak i gdzie może kształty i ekspresyę. Tyleśmy się też uśmieli z niego i on sam wreszcie z siebie! Bo pomimo pozorów czułości, które wybornie odegrywa gdy ehee, jest to niezrównany szyderea.

— On! szyderea!

— Al! pani, nie znam nikogo niełitościwszego, zwłaszcza dla kobiet.

— I jakiż to obraz malował?

— Wieczór u Aspazyi.

Na te słowa kasztelanowa obrażona, wzdrygnęła się na kanapie.

— Spodziewam się — rzekła — że mój wzrok...

— Cheiał go koniecznie dać Aspazyi, patrząc na zimnego jakiegoś filozofa, bryłę niedającą się rozgrzać i poruszyć.

Kasztelanowa porwała się z siedzenia.

— Dość tego na dziś! rzekła z gniewem, który pokryć usiłowała, głosem nagle zmienionym, z wej-

rzeniem palającym. Jutro wypada mi odjechać, a więc...

— Każę zabrać tę głowę, aby tu nie zaschła, rzekł Mamonicz.

Odchodził już, gdy w progu spotkał się ze wzrokiem czulszym, namiętnym a razem rozpaczliwym prawie. Lecz ruszył tylko ramionami i odszedł.

Po tém posiedzeniu, które dość długo trwało, powrócił do domu zmęczony, złamany i musiał się położyć. Silny ten człowiek, czuł się przecie poruszony także, i pojmował teraz całą historję Jana.

— A co? spytał go malarz.

— Co? czuję, że dłużej tam chodząc, oszalałbym także od wzroku, którego i na mnie biednym próbuje. Ale miałem dość siły na dzisiaj, odegrałem komedję i pomściłem się za ciebie.

— Jak?

— Wytlómaczyłem kasztelanowój, żeś ty jój wzrok studyował do obrazu Aspazyi; wścieka się teraz na ciebie. Odmalowałem cię szydercą nielitościwym, skrytym i zimnym. Nienawidzić cię musi. Więcej tam nie pójdę. Zdaje mi się, że ona dała także mi urlop nieograniczony jako niedźwiedziowi nieokrzesanemu. Życie spędziłem, nie znając ile uroku daje kobiecie strój piękny, ułożenie wdzięczne i atmosfera bogactwa a zbytku otaczająca ją dokoła. Znałem kobiety jak je stworzył Bóg, nie jakimi je uczynił świat, ludzie i towarzystwo cywilizowane. Czuję, że u nóg tej nowój dla mnie i nieznanój kobiety mógłbym poledz. Gdybym zaś kochał, to raz na zawsze, na wieki. Nie chcę próżno narażać się na niebezpieczeństwo, gdy o niem nie wiem. Dla ciebie nawet nie uczynię tego, nie pójdę!... Nie wiem czy znasz — dodał zamyślony

po chwilce milczenia — legendę o świętym Martynianie. Jako malarz nie powinienbyś wypuszczać z rąk Żywotów Świętych i Martyrologii; nigdzie bowiem chrześcijański artysta nie znajdzie tyle co tu przedmiotów do obrazów. One natchnęły największych malarzy najwspanialszemi utwory: Rafaela, Ribeirę, Fra Angelica, Guidów, Caraccich, nieraz Tycyana, Palmów i Bellinich, nieraz naiwnych Hollendrów nawet i metodycznych Niemców. Na każdej karcie znajdziesz tu przedmiot pełny *wyrazu*; a wyraz jest celem nowym odrodzonej sztuki. Grecka sztuka szukała linii tylko pięknej do wydania swój myśli; idealizowała ciało i jego kształty, nie więcéj. Nowa, nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt powierzchowny i wyprowadza na wierzch duszę, myśl, jedném słowem: *wyraz*. *Wyraz* oznacza, że nowa sztuka przemówiła, że otworzyła usta; stara była piękna, ale niema. Lecz wróćmy do legendy. Czytałem ją raz roztargniony w rozwartéj księdze, którą dnia 13 lutego znalazłem w jakimś refektarzu klasztornym, i odtąd nieustannie na myśl mi przychodzi, a dziś więcéj niż kiedy. *Si non e vero, e ben trovato*. Jest wielka w niej nauka, a mnie i tobie w obec téj kobiety jakże przydatna! Posłuchaj:

„Martynian urodził się podobno w połowie czwartego wieku, w Cezarei Palestyńskiej. Były to czasy gorącej wiary, i nie dziw, że w ośmnastym roku życia, poruszony przykładem tylu Świętych, udał się młodzieniec nasz na blizką pustynię. Sława dziwnéj pobożności tak młodego anachorety rozeszła się wkrótce po kraju, i lud z podziwem patrząc na ostre jego życie, na świątobliwość nieczmazaną żadną zdaje się myślał światową, żadném nawet wspomnieniem przeszłości

(bo téj nie miał), tłumem chodził na pustynię, prosząc go o błogosławieństwo.

„W Cezarei żyła podówczas nierządnicą, Zoe imieniem, bogata jak Lais darami kochanków, młoda jeszcze, piękna gdyby grecki posąg, a tak nawykła do zwycięstw, że o nich nawet wątpić nie umiała. Każdy jój wzrokiem, jój głosem, jój pieszczot obietnicami znecony, upadał przed czarodziejką.

„Jednego z tych wesołych wieczorów, w których tysiące rzeczy niespodzianych na myśl i usta przylata, Zoe, śmiejąc się, mówiła, jak niegdyś sławna dworka Grecyi, że nie ma kogoby nie pokonała, kogoby nie spokusiła, gdyby nawet był Świętym. Poczęto śmiać się z niej i zaprzeczać, a że najbliżej w pamięci był pustelnik Martynian, wystawiono go Zoi jako niezwykłego. Zoe, która go widywała, a może tajemną czuła namiętność ku niemu, żywo i stanowczo zawołała, że obali jego cnotę i mieć będzie kochankiem.

— „To słoma! uśmiechając się rzekła: przytknąwszy ogień ku niej, zapali się łatwo.

„I w téj chwili zabiera klejnoty swoje, bogate stroje, pasy, opony, wieńce, a wdziawszy na się odzienie żebracze, osłoniwszy twarzyczkę, w słotę i burzę, niepomahowana leci na blizką pustynię Martyniana.

„Przychodzi do chaty pustelnika, i prosi go płaczącym głosem o przytułek; ten nic spodziewając się zdrady, otwiera jój, przyjmuje, karmi, i dla osuszenia szat ogień rozkłada. Tymczasem Zoe zrzuca zmokłe łąchmany, wkłada ukradkiem stroje przyniesione, i w całej potędze wdzięków nachodzi na człowieka, który w ośmnastym roku począwszy pokutę bez grzechu, wszystek jeszcze płomień namiętności miał

w sobie, walczył z nim jak z wrogiem, a pokonać nie mógł.

„Martynian przelekły, wzruszony, nareszcie pochwycony wzrokiem nierządnicy, która zwykła była oziębłych rozgrzewać i obojętnych kusić, upadł.

„Zoe pozostała przy nim, i nie myślała już zwyciężko powracać do Cezarei; puszcza stała się jej miłą.

„Ale w chwili upadku prawie, zgryzoty przyszły na pustelnika. Martynian dręczył się swoją słabością i płakał nad nią, zwyciężyć nie mogąc. Jednego wieczoru przyszli do niego jak zwykle ludzie po błogosławieństwo; czuł się niegodnym dać je, zamknął się w celi, płacząc, i rozpaliwszy ogień wielki, sam karząc się, włożył weń nogi obie.

„Zoe nadeszła.

— „Co to jest? pyta strwożona.

— „Próbuję — odpowiedział pustelnik — czy potrafię znieść piekielny płomień, bo mnie ten pominąć nie może.

„Nierządnicą wzruszona, upada przed nim na kolana; ta wielka dobrowolna męczarnia, ta myśl upadku żyjąca wśród grzechu, w jednej chwili ją oświeca. Zoe zostaje z nierządnicą poganki chrześcianką gorliwą.”

Co za obraz Janie! nie prawdaż?.. Ale to dopiero połowa legendy, a druga wymowniejsza jeszcze.

„Martynian odprowadził Zoe do klasztoru Pauli w Betleemie; sam zaś widząc, jak pokusy unikać należy, gdyśmy wszyscy do walki bezsilni, a nigdy sobie do wierzać nie możemy, — udał się na bezludną skałę wśród morza, gdzie rybaicy codzień dowozili mu ryby,

chleba na pokarm i liści palmowych na maty, posłanie i ręczne roboty.

„Długo, długo żył tak pustelnik. Wtém raz burza się zrywa; okręt niedaleko ku brzegom zmierzający gruchocze się o skały w ciemnościach. Jedna żywa stota ocalona z rozbicia wyciąga ręce ku Martynianowi, nie mogąc sama wdrapać się na skałę i zachować życia. Młode to i śliczne dziewczę.

„Pustelnik je ratuje, oddaje swoją pieczę, maty i wszystko co miał, ale nie śmie razem pozostać. Samotność z kobietą nigdy nie jest bezpieczna. Wspomnienie pierwszego upadku daje mu naukę. Uratowaną dziewczynę zostawia, a sam rzuca się ze skały w morze, nie wiedząc czy w niém śmierć, czy nowe tylko znajdzie życie. Brzeg był blizki, i Martynian przyplłynął do niego. Długo jeszcze żył później i umarł podobno w Atenach w pięćdziesiątym roku życia.”

Ta legenda nie jest-li wielką nauką, że często ucieczka jedyném zwycięstwem? Tak, mój Janie! W pierwszej chwili uciekać potrzeba, bo później, kto wie! będą-li siły? Kto wie! czy Martynian, gdyby był dłużej pozostał z uratowaną, nie upadłby raz drugi? Ta prześliczna legenda przyszła mi dziś na myśl znowu, gdym poczuł płomień rozpalający się w piersi pod wejrzeniem téj kobiety. Uciekam, wołałbym utopić się raczej, niż pozostać z nią, wystawiony na pociski tych oczu.

Jan uśmiechnął się i spytał:

— Odkąd tak stałeś się nabożnym?

— Nabożnym? Takim jestem zawsze, w głębi duszy, ale się tém nie chlubię. Tu zaś nie idzie wcale o nabożeństwo. Dla siebie wołałbym szczere dziewczę uliczne, które spojrzy gdy czuć będzie i zechce myśl wzrokiem wyrazić, i dziś mnie pokocha, a jutro po-

rzuci, niż ten ideał fałszu, kobiety bez serca, rodzaj ożywionego posagu, któremu nie potrafię być Pigmalionem, a cierpiećbym dla niego musiał!

To powiedziawszy, Tytus podniósł twarz, na której malowało się wzruszenie głębokie.

— Przepraszam cię, Janie!

— To ja ciebie raczyjbym powinien.

— Niech kasztelanowa szuka celu dla swych pocisków gdzie chce, my usuńmy się obadwaj. To kobieta bez serca, powtarzam. Strzela na ptaszki, próbując czy broń jej dobrze bije; a padnie kto pod ciosem, cóż jej to?... Chodźmy do Jagusi, to nas uspokoi.

Na drodze ku mieszkaniu doktora, spotkali go w zwykłej sukni czarnej i ogromnym kapeluszu. Powitał ich z miną wesołą. Tytus śpieszył mu opowiedzieć o poczętém piersiu.

— Tak! tak! poważnie odezwał się doktor Fantazus. Taż sama, słowo w słowo, którą znałem na dworze nieboszczki Kleopatry, taż sama. Ale jest na nią sposób.

— Jaki?

— Mówilem wczoraj: wzgarda i szyderstwo. Jedyny otwór do jej serca tą drogą prowadzi, ktoby tego serca zażądał.

— Maż ona serce?

— Ma! ale widzicie, serce sercu nierówne. Robiliśmy z Galenem doświadczenia nad sercami ludzkimi. Nie uwierzycie, jaka w nich różnaitość! Nie tak różne są nosy, usta i twarze. Są serca wielkie, serca małe, ciasne, wysokie a wąskie, szerokie a niskie, okrągłe, kwadratowe, trójkątne, gwiaździste, twarde i miękkie, gąbczaste i t. d., i t. d. Zdarzało mi się

wszakże rozbierać ludzi, którzy serca nie mieli całkiem, i na jego miejscu była maleńka tylko odrobina skoncentrowanego mózgu, który funkcjonował wybornie, wyrabiając krew i myśl razem. Ci ludzie byli bez uczucia, ale ich zimne myśli wszystkie miały za to barwę krwistą uczuciową: kłamali serca doskonale. Znałem kobietę jedną, co życie całe uchodziła za najczulszą istotę: wzdychała, jęczała, zawracała oczy, zdawała się cierpieć za wszystkich, dla wszystkich. Wszakże w życiu swém nigdy nie dla nikogo nie uczyniła inaczej niż językiem, ale egoizm w niej pokrywał się doskonale czułością, łzami i t. p. Umarła ze sławą najczulszej na ziemi istoty; po śmierci dopiero przekonaliśmy się, że nie miała serca. Do jednych piersi prowadzi nczucie, drugie zdobywasz myślą, inne gniewem. Są kobiety, które łajane, dopiero kochać poczynają; upartsze bić czasem potrzeba. Do kobiet dających się tylko zwyciężyć wyższością zimnego szyderstwa, należy kasztelanowa; ale wiercie mi, że to niebardzo ciekawy egzemplarz kobiety. Oczywiście tylko mogłyby się przydać do kolekcji.

— I linia profilu! rzekł Tytus.

— O! linie to nie są wcale nowe. Po greckich medalach jeszcze coś w tym rodzaju nowego a pięknego do odkrycia? Wątpię, a zwłaszcza o profilu.

— Czoła — odpowiedział Tytus — czoła piękne i wzniosłe, których starożytność nie znała. Duszy i czoła brakło pogańskiemu światu w ogólności; lecz w kobietach Grecyi i Rzymu brak czoła najdobitniej maluje, że je owa cywilizacya z duszy i woli, z myśli wydziedziczała. Piękności dawne prawie są pozbawione czoła; trochę też były zwierzęce. Są, co utrzymują, że od 1800 lat dopiero datują piękne czoła na-

sze; wyrobiła je nowa era, nowe myśli, które wydeły i rozsadzily czaszkę.

— Być może, zadumyiwając się, odpowiedział doktor Fantazus. Ale Sokrates i Plato, Dyogenes nawet, o ile go sobie przypominam, mieli piękne i wzniosłe czoła.

— Łyse; ale u kobiet w starożytności czoło nie egzystuje.

— Po części jest to prawda, tak pojrnowali kobiecą piękność bez myśli. Ale nie sądz przecię, aby medale, mozaiki, posągi i t. p. pomniki, w konwen-cjonalnych zamykające się typach, były całą prawdą o starożytności. Ja, *com tam był*, widziałem piękne czoła żywe, których żadne nie unieśmiertniło dłóto. Takiem było (darujcie! ale cöz poradzić przeciwko faktom?) czoło matki Nerona, choć na medalach niczém się ono nie odznacza, czoło bohaterki Lukrecyi (co za sprzeczności!) i matki Gracchów.

— Doktorze, doktorze! zawolał Tytus: wytłómacz-że nam kiedy, proszę, co znaczy to twoje życie w przeszłości? Co znaczy często powtarzane: „Jam tam był”?

— Co? że tam byłem w istocie! odparł stukając laską o ziemię i strzelając oczyma stary.

— Ale jak?

— Poszedłem duszą i byłem.

— A! duszą przecię tylko! Myśmy tam w ten sposób wszyscy byli po trosze.

— O! *nie tak!* przerwał z uśmiejchem Fantazus. Jam był inaczej... Wiem — dodał, zastanowiwszy się — że ludzie mnie mają za szalonego; niech sobie gadają zdrowi. Ale powtarzam wam, wiem co mówię: świat przeszły jest jako był, żyje! Ja to wiem. Każdy kto do niego znalazł drogę, może tam pójść i zajrzeć.

Żadna chwilka nie zapadła w nicość. Co żyło, żyje może trwałej, pewniej, niż to, co się jeszcze dziś przerabia, i co zowiemy *dzisiaj, życiem*. Prorok zagląda w przyszłość, prorok może być i w przeszłości; albowiem wszystko co było, co jest i co będzie, jedném tylko *jest* opisać można. W środku tego nieruchomego koła przebiega czas, który z wysoka nieporuszonym się wydaje, z blizka szybko pędzi. Tak rwące koło młyńskie obraca się, dochodząc żywością obrotu do nieruchomości prawie. Ale wy mnie nie zrozumiecie! dajmy pokój temu! dajmy pokój!

Założył łaskę za plecy, spuścił głowę i szli powolnie ku jego domowi. Zbliżyli się do bazaltowego sfinksa, a doktor wskazał nań Janowi z uśmiechem:

— Tacy ludzie jak Batrani — rzekł — a raczej Batrani musiał w sfinksie widzieć symbol kobiety, nie prawdaż?

— Zkąd to wiesz? zapytał Jan zdumiony, prawie z przestachem.

— Zkąd? Ja wiem wszystko, odparł doktor: lub niewiele mi do tego braknie. A sfinks nie jest symbolem kobiety. Jest to symbol całej ery pogańskiej. Twarz prześliczna znaczy pojęcie piękności, uczucie wdzięku materialnego, cześć kształtów i formy; skrzydła znaczą poetyczną tej epoki wzniosłość, filozoficzne jej marzenia; ciało zwierzęce znaczy brak ducha. Sama postać, samo monstrualne połączenie dwóch natur: ludzkiej i zwierzęcej, mówi ci wyraźnie, że starożytność czyniła po trosze z człowieka bydlę. Od chrześcijaństwa też dopiero poczyną się człowiek-duch. Bogi, symbole starożytności, ubierały się w skóry zwierzęce, aby w stosownym stroju do wieku się okazać. Ta forma pół-człeczka, pół-zwierzęca znaczy także silny

związek epok pierwotnych z naturą całą. Instynkt ten dar stracony rozwinięciem rozumu, wiązał jeszcze człowieka do piersi matki natury, której płodnego sysaka nie wypuścił z ust jeszcze. Teraz mamy rozum, ale nie mamy już instynktu. Nie prawdaż?

Jan westchnął poglądając na sfinksa.

— Usiądźmy w ganku, rzekł Fantazus: a jeśliście ciekawi, powiem wam historię sfinksa. Ten, którego widzicie przed sobą, jest wizerunkiem najślawniejszego sfinksa tebańskiego, którego Hezyod mieni być dziecięciem potworów Echidny i Tyfona. Egipcki sfinks wcale nie jest inny. Tebańskiego cechy: głowa i piersi dziewczęcia, lwie pazury, ciało psa, ogon smoka, a skrzydła ptasie. Nie jest-li to wizerunek natury, której głową człowiek? nie wiem. Juno zsyła go na Teby gniewna: na górze Ficejskiej zjawia się niszczący wszystko sfinks; czatuje na przechodniów i zadaje im zagadki. Nie tak-li natura ze swemi zagadkami odwiecznemi czatuje na nas i zabija, jak sfinks tych, którzy go nie odgadli? Nie tak-li w ostatnim dniu, gdy człowiek zgadł naturę? Urok jej potworny i tajemniczy znikł z jego oczu, jak znikł sfinks, gdy Edyp wyrzekł mu słowo zadania... Słowem zagadki sfinksa był *człowiek*. Tak w człowieku rozwiązuje się cel stworzenia, natura cała. Sfinks pytał, mówiąc, przechodniów: „Co za zwierzę chodzi we czworaki rano, na dwóch nogach w południe, a na trzech wieczorem?” Edyp odpowiedział: „Zwierzęciem tém jest człowiek, czołgający się w dzieciństwie, poranku, idący o swą siłę w południe życia, podpierający się na kijach na starość.” A człowiek Edypa zawierał historię trzech epok nieustannie powtarzających się w dziejach ludzkości. Nazwisko sfinksa pochodzi od kłopotu,

σφιγγειν, zakłopotać czém, zatrudnić; miała też z odgadnieniem tego potwora symbolicznego niemały kłopot starożytność i nowsza nauka. Pauzaniasz przerobił symbol w córkę Lajusa, uzbrojoną w tajemnicę wyroczni delfickiej; inni ze sfinksa uczynili naczelnicę łotrowskiej bandy niszczącej tebańskie ziemie! Poczciwy Dyodor, ojciec tych, co wszystko z ciała wyprowadzić usiłują, zaklął się, że sfinksy w kraju Troglodytów znajdowano żywe, trochę tylko kosmat-sze od malowanych, ale za to bardzo łagodne i charakteru wielce towarzyskiego. Grecy upodobali sobie tebańskiego zagadkarza, i ryli go nieraz na medalach Antyocha, na wagach ołowianych wyspy Chio i t.d. Ale go przerobili po swojemu i dalecy byli od rozwiązania zagadki, jaką ten potwór sobą im przedstawiał. U Greków Sfinks powstał na nogi i nie leżał spokojnie jak w Egipcie. Zresztą w starożytniejszych nawet czasach, jakby na obalamucenie nas, najdziwniej rozmaicie przedstawiano to stworzenie. Jeszcze jedna zagadka! Sfinks herodotowy *Androsfinges*, jest niewiastą z piersi, samcem z reszty ciała! Znowu natura, którą wystawiają, widoczna w tym pomyśle. Są *Androsfingi* brodate, są z rękami ludzkimi, ale zbrojnemi w pazury ostre i zakrzywione. Jakiś mądry archeolog poczytał je za obraz bóstwa! Inny miał go za hieroglif oznajmujący czas wylania Nilu i mówiący znakami do ludu: „Pod takim znakiem, w takim czasie wyleje rzeka i przyniesie żywność dla pól waszych.” Ale czegoż nie wymyślą archeologowie i mądrzy ludzie, co każdą rzecz swoją miarą chcą wytłómaczyć! Dyodor, dla tłumaczenia także, powiedział, iż są żywe sfinksy. A co się tycze pozostałych nam w spuściźnie po starożytności, wszakże obaj byliście w Rzymie i wi-

dzieć musieliście bazaltowego sfinksa w willi Borghese, i czerwonego granitowego w Watykanie, takiegoż w willi Giulia. Sławny sfinks ogromny naprzeciw drugiej piramidy w Gizeh, jest ledwie odbitą bryłą skały. W jego grzbiecie dwie studnie wykute wiodą do podziemi. Często zdarza się widzieć na kornalinach i szklach starych sfinksa trzymającego łapę wspartą na trupięj głowie.

— Takiego widziałem we Florencyi u margrabiego Ricardi'ego, rzekł Jan. Myśl ta podobiała mi się. Dwie wielkie zagadki: natura i śmierć, życie i zgon.

— Tak, tak! zawołał Fantazus: życie opiera się na śmierci.

W téj chwili Jan oparł rękę na bazaltowym sfinksie leżącym przed gankiem, i spytał żywo:

— Ale jeszcze to bazalt? Coś mi się nie zdaje?? Nie jest to robota starożytna; wyborne chyba naśladowanie.

— Chodźmy, chodźmy! podchwycił doktor, odciągając go, i chmurne rzucił wejrzenie na Jana, który nie mógł już dłużej badać. Odkryty fałsz jeden w sfinksie oczy mu otworzył: zaczynał postrzegać, że także posażki, stroje, bronie doktora, po większej części przynajmniej, były tylko naśladowaniami. Nie śmiał jednak tego powiedzieć. Murzyn nawet zdawał się mieć twarz farbowaną, a z pod turbanu jego kosmyk gładkich wymykał się włosów.

Jagusia, która widziała ich wprzód rozmawiających długo w ganku, przyjęła w sieni, i jak starego znajomego powitała Jana, pociągając go za sobą do pokoju na dole, do swojego mieszkania. Doktor i Tytus także poszli za nią.

Pokoiki Jagusi, po dziwacznym salonie Fantazusa, uderzały swą ubogą prostotą. Nie tu nadzwyczajnego nie znalazłeś: krosienka pod oknem, wazoniki na półkach, ale z kwiatami pospolitemi, łóżeczko białe z krzyżem w głowach, poczęte robotki kobiece. Ogromna klatka z gniazdem gołębi, otwarta, zajmowała cały kąt jeden. Nie więcéj.

Powietrze świeże, wonne, wpadało przez okno otwarte od ogrodu; cicho tu było i spokojnie, a wzrok spotykając znajome i miłe przedmioty, przenosił do duszy wrażenie cichéj swobody i niepokalanego dzieciństwa. Doktor był tu jakby nie na swojém miejscu: kręcił się i wywijał, zdawał się zmieszany i znudzony. Jego postać tak dobrze harmonizująca z dziwnym sprzętem salonu, tu zupełnie obca, uderzała jak coś fałszywego. Po chwili widząc, że Jan zagadał się wsparty na oknie z Jagusią, Fantazus wziął pod rękę Tytusa i rzekł:

— Chodźmy do mnie, porzućmy ich samych; ja tu jestem jak okradziony.

Pierwszy raz Mamonicz wchodził na próg mieszkania doktora, równie dziwnie przybranego jak salonik na górze. Drugi pokój za nim będący, drągiem żelaznym stał zaparty, zamknięty ogromną kłódką.

W tym, do którego wchodził, ogromne biuro tylko, wypchany aligator (jak na starych rycinach), ząb przedpotopowego jakiegoś olbrzyma, wisiały od stropu. Szafy ze słojami, słoikami i całą apteką okrywały ściany; na nich w wielkich naczyniach szklanych potworne mokły zwierzęta i dziwne płody. Krzesło wysokie stało przed biurem, dwa pomniejsze obok.

— Siadajmy, rzekł doktor: to moja pracownia;

córki tu nigdy nie wprowadzam. Na co jój brudne tajemnice życia! Biedny, kto w nich się zakopać musi! w cudze kiszki zagląda, a swojemi trawić nie może. Przyrodzenie straszne jest, poczwarne często naszym oczom a piękne; lecz piękności w poczwarach i nieudanych jego płodach dojrzy tylko oko mędrca. Młodości dość jest widzieć wszystko po wierzchu i wierzyć w powszechną harmonię, w cudną przyrodzenia wspaniałość; na co jój zazierać do środka? Biedziłaby się z odgadnieniem wdzięku w ludziach, tworach, wypadkach dla niej niepojętych, bo strasznych i olbrzymich. Jest to wiek, którego się nie godzi surowszą myślą zatruwać... bo i tak się budzimy z niego zawcześniej!

Tych słów z niejakim smutkiem domawiał doktor Fantazus, gdy z hukiem powóz się zastanowił przed gankiem i sługa w pańskiej liberyi zawołał u drzwi:

— Tu doktor?

— Ja jestem! Od kogo?

— Od kasztelanowej...

— Ha! cóż jój? chora?

— Nie wiem! chora! przysłano mnie po niego.

— Leży?

— Nie, chodzi, ale z gorączką, jakieś niezrozumiałe żywo powtarzając słowa.

Doktor wziął kapelusz, laskę, flaszkę, i wyjechał, mówiąc do Tytusa:

— Czekajcie na mnie.

Tytus przeszedł do pokoju Jagusi, gdzie zastał ich jeszcze oboje w oknie bawiących się z gołębiem, co im pierwsze przypominał poznanie. Nie ruszyli się z miejsca, widząc go wchodzącego.

Nie przerywając też im rozmowy, usiadł przy stole

i począł przewracać książki z rycinami, których tam było pełno. Przepyszne stare sztychy, dane przez doktora Jagusi dla zabawy i nauki razem, dla Mamonicza dostateczną były rozrywką.

— Co się stało z doktorem? spytał go Jan po nieprędkiej chwili.

— Pojechał do chorego.

— Jest to rzecz osobliwsza, szepnęła Jagusia uśmiechając się: mojego biednego ojca wszyscy mają za obłąkanego; przecież gdy źle, każdy go zrozpaczony wzywa do siebie.

Kareta wioząca Fantazusa, zatrzymała się przed pałacem Ogińskich. Poważnie, powolnym krokiem wszedł dziwny doktor do salonu. Jedna lampa paliła się w alabastrowém naczyniu, blade rozlewając światło. Elwira chodziła żywo z rękoma założonemi, włosy miała rozrzucone, wzrok ognisty, na policzkach dwie plamy czerwone wypieczone; biała suknia pomięta okrywała ją, niedbale narzucona.

Doktor wstrzymał się w progu i spytał po francuzku:

— Byłem tu wezwany?

Usłyszawszy głos, kasztelanowa wzdrygnęła się, podbiegła, zaczęła przypatrywać się pilnie, potrząsała głową, zdawała się rozpoznawać kogoś dawno niewidzianego i powątpiewać czy się nie myli.

— Kto pan jesteś? spytała z kolei.

— Doktor Fantazus!

— Doktor! ze śmiechem szyderskim podstępując ku niemu i wpatrując się w niego znowu, zawołała kobieta. Uleczże mnie z mojej słabości... Nudzę się, nudzę się, umieram, świat mi obrzydł... życie się wlecze! wszystko znajome, wszystko zużyte, bez wdzięku... a tu — wskazała na serce — cześć, tęsknica... rozpacz!...

I — dodała nagle — mówią, że podobna do Aspazyi!

— To fałsz — odparł poważnie Fantazus, niby się jej przypatrując: — Aspazyja była daleko piękniejsza i nie nudziła się życiem, co dowodzi większego także rozsądku.

— Doktorze! co to jest?

— Najczystsza prawda! Znałem osobiście Aspazję: między nią a panią nie ma najmniejszego podobieństwa.

— Jestem chora, jestem chora! ratuj mnie! radź mi!

— Pani nie jesteś chora ciałem, choroba twoja w duszy — i w oczach... dodał ciszej.

— W oczach!

— Tak, całe twoje życie przeszło we wzrok, a darmo — o choroba. Nie wypatrzyłaś tej wielkości, tego tronu, tej czci, które ci się śniły, gdy...

— Doktorze! co to jest? z kądem mnie znasz?

— Ja? my się nie znamy...

Kasztelanowa patrzyła na niego z przestachem; on dalej mówił:

— Przytęm pani nie masz serca.

— Ja nie mam serca! ja go mam nadto! ja cierpię tyle!

— Serce masz tylko dla siebie! tylko na swoje cierpienie. Głowę cierpisz więcej niż sercem: czém grzeszymy, tęp cierpimy.

— Doktorze! zawołała kobieta z gniewem: wezwalam cię dla rady, nie po to.

— Daję rady.

— Lekarstwo! daj mi lekarstwo!

— I to przyjdzie, proszę o puls.

Potrzymał za rękę trochę:

— Zły puls; pani się gniewasz na oczy swoje, na los swój i na Aspazję trochę.

— Pan to wiesz od tego niegodnego rzemieślnika, który mnie tak rozgniewał.

— Ja to wiem—z pulsu. Lecz mówmy o lekarstwie. Pani potrzeba kochać, a wszystko to przejdzie. Serce może się utworzyć i będziesz ocalona; staraj się o nie. Ale najprzód pozbadź się wezbranego egoizmu, jeśli można. Wszystkie potężne organizacje, prawem powszechném, im silniejsze, tém więcej egoizmowi podlegają. Egoizm jest instynktem życia i bytu; im większy, silniejszy byt, tém większy w nim egoizm. Ale z nim walczyć potrzeba i przerabiać go na miłość ludzi; roztoczyć to uczucie i rozlać na ludzkość. Zbądźmy się egoizmu, a będziemy zdrowi. Pani potrzeba kochać—powtarzam.

— Nie rozumiem pana.

— Pani mnie nie rozumiesz! — Uśmiechnął się.— A więc stanę się zrozumialszym. Pani masz matkę.

Kasztelanowa na te słowa pobladła i zakryła oczy rękoma.

— Pani masz sióstrę, dodał doktor; pani masz ojca.

— Doktorze, kto ci to mówił? kto ty jesteś?

— Doktor. Pani masz męża!

— O! męża! ruszyła ramionami kobieta: taki mąż!

— Zbyt tylko dobry.

— Ale któż ty jesteś? zawołała znów kasztelanowa—szatan?

— Nie, doktor tylko. Skarżysz się na chorobę nudy, na nieznośne życie, na cierpienie wewnętrzne. Czemuż tego oka nie zwrócisz ku matce biednej, ubogiej, zapomnianej przez ciebie, opuszczonej, odepchniętej? ku siostrze w nędzy prawie? ku siwemu ojcu, co za tobą

rękę w obcy kraj, niewdzięczne błogosławiąc dziecko, wyciąga?

— Doktorze! krzyknęła przerażona kasztelanowa, wpatrując się w niego coraz uważniej. Ja cię znam, ja cię widziałam: ty jesteś...

— Doktor tutejszy, i jako żywo nie znamy się wcale.

— O! to oszaleć potrzeba! biorąc się za głowę zawołała kobieta. Niepojęte! niezbadane!

— Kochaj! powtórzył Fantazus—ojca matkę, siostrę, męża, kogokolwiek, ale kochaj kogoś prócz siebie. Nie miej się za lepszą od innych dla tego, że ci Bóg dał piękne czarne oczy i czarną jak one duszę.

— To szalenieć jakiś! przerwała obrażona, ale niespokojna Elwira.

— Tak, wszyscy mi to mówią, spokojnie rzekł Fantazus.

— Kto przywiózł tego pana? kto go tu wezwał?

Kasztelanowa chwyciła za dzwonek.

— Wskazali go ludzie jako najlepszego lekarza; myślałem...

— Odwieźć go nazad! zawołała dumnie kobieta.

Doktor w milczeniu się uklonił; kasztelanowa rzuciła mu trzy dukaty, poglądając nieśmiało w oczy.

— Moja rada warta najmniej trzydzieści lub—nie! rzekł Fantazus, i zabierał się odchodzić.

Szybko pochwyciła woreczek, i wciskając go w dłoń starego, sama się cofnęła.

— Bądź pan zdrow.

— Bodajbyś była zdrowa! odpowiedział doktor.

Kareta potoczyła się, i Fantazus odjechał, z uśmiechem poglądając na woreczek i dukaty.

Gdy wszedł do pokoju Jagusi, zastał jeszcze Ty-

tusa u komina wspartego i zamyślnego, a Jana z córką w oknie stojących, pochylonych ku sobie, szepeczących w ucho słodkie słówka młodości.

— Dzięki Bogu dwoje zdrowych, rzekł wchodząc. Jan ocalony.

— I kasztelanowa także, dodał Mamoniczowi na ucho.

— Cóż to jój jest?

— O! nic. Puchlina egoizmu padła na miejsce, gdzie miało być serce; kongestia myśli i uczuć do głowy; gorączka zwykle napastująca trzydziestoletnie panie. Zwiemy ją technicznie *Febris climacterica*, bo zwykle od 28 do 30 lat panie napastuje.

Na tém skończyła się rozmowa, i doktor poprowadził ich wszystkich w ogród nad rzekę. Tam gwiaździste ukazując niebo, z największą powagą zaczął opowiadać podróże swoje po planetach i głębinach eteru.

— Wystawcie sobie—dodał w końcu—że raz (każdy ma swoje dziwactwa) zachciało mi się koniecznie polecieć wyżej niż myśl ludzka sięga, w granice nicości, po za światy, za światło, w noc wieczną. A! nie opiszę com tam widział! W téj ciemnocie, w głuchém odwieczném milezeniu, w absolutnej nicości, śmierć ogarnęła mnie całego, myślałem że zginę, owiany tą atmosferą chłodną i pustą, niszczącą wszystko, co się w nią dostanie. Szczęściem byłem jeszcze jedną nogą w świecie życia i miałem się czas cofnąć z nicości nazad! Głowę tylko w nią zanurzyłem; jeszcze mnie od tego boli! A! a! to straszniejsze od piekła. Wystawcie sobie milezenie, ciemności i próżnię, nic, a nic! a wśród téj nicości istotkę jak ja żywą i czującą, że nikt jój nie widzi, nikt nie słyszy, że jest sama, zgubiona na wie-

ki. Tak, ta głupia ciekawość o mało mnie nie zgubiła, ale cofnąłem się w porę.

Jan i Jagusia słuchając zadrżeli.

— Ale jakże mi było wesoło, gdy wyrwawszy się z objęcia nicości, ujrzał pierwszą kulę lecącą pośpiesznie w światłych już dla mnie eteru przestrzeniach! Spadłem na nią jak wystrzał, i nieprędko się na nią rozgrzałem, nieprędko ochłonałem ze strachu. Sto lat kąpałem się w życiu gorącym na rozpalonej komecie, w czasie jej podróży od słońca do słońca (gdyż wiecie zapewne, że komety dwa słońca wiążą eliptyczną swą drogą). Nareszcie wytrzeźwiłem się, ale gdy wspomnę, jeszcze mrowie chodzi po mnie.

— Mój doktorze, śliczne nam prawisz bajki, przerwał Tytus; a nie byłżeś kiedy na jednej z tych gwiazd obłoczkowych, co to są dotąd zagadką?

— Jaką zagadką? rzekł Fantazus. Są to biedne niedokończone twory syderalnego świata! żadnej w tém nie ma tajemnicy. Niektóre z nich jak polipy kilka ganglionów, mają kilka ognisk w sobie, kilka węzłów, dopóki się z nich nie wyrobi jeden, a naówczas staną się istotą skończoną, pełną, o jednym mózgu, głowie, o jednym sercu. Światy są jak twory naszej ziemi; różnych stopni organizacyi. Księżycy chodzą ze swemi planetami nieoderwane od nich, nieoddzielne jak rośliny tutejsze. Są to kwiaty niebieskie... biedne niewolnicze twory. Gdy dojrzeją i zwiedną, kto wie? mogą spaść na ziemię.

W przedhistorycznych czasach jeden taki rozłupany księżyc upadł na naszą ziemię i zostały ślady tego wypadku w wielkich skalistych gór pasmach. Patrzałem na to. Nasz poczciwy teraźniejszy księżyc, jedna z najspokojniejszych istot, jakie znam na niebie (choruje

tylko na przyszłość, to jest wulkany, co mu skórę psują), także trochę przez pół pękły, kto wie jak się długo trzymać będzie? Heweliusz pierwszy dziurę tę w nim zobaczył, ale mu nikt nie wierzył, wszyscy się z niego śmieli. A tymczasem, istna prawda, ja z kilku towarzyszami przechodziłem nią na wylot, możnaby przez nią sznur przeciągnąć, nawieszać ich kilka jak na różaniec i... ziemia miałaby widok nieszpety nocą.

To mówiąc doktor uklonił się wielkiej kuli ognistej zielonawego koloru, która się ukazała na południu.

— Znajoma! rzekł.

Wszyscy się mimowolnie rozśmieli.

— Czego się śmiejecie? spytał. A! a! i dzieci się śmieją, gdy czego nie rozumieją. Tak to zawsze! Ale nie uważajcie na mnie, śmiecie się jeśli wam to potrzebne. Widzieliście ognistą kulę, której się pokłoniłem? Dwa razy w rok tych gwiazd spadających i meteorów ognistych mnóstwo stacza się w atmosferę ziemi i rozplywa w niej: dzieje się to pierwszych dni kwietnia i listopada. Ale wiecież czemu? Oto za ziemią chodzi niewidzialna przezroczysta bryła wyziewów, która się kocha w naszej planecie; ale skazana na niewidzialność, na ciągle próżne krążenie, dwa razy tylko zbliża się do nas i spalonymi usty jak Tantal ziemi dotyka. Wówczas to, ogniste owe rzuca jęj pocałunki. Kwiecień i listopad są świadkami wielkiego niewidzialnego połączenia dwojga kochanków, którzy zaledwie się zetknąwszy, rozłączają znowu.

To powiedziawszy, zamyślił się doktor głęboko.

— Dość—rzekł Tytus—prawieś nam o niebie. Wiem jak opowiadać lubisz; powiedz nam teraz co o ziemi. Ty na niej widzisz pełno dziwów, gdzie my tylko pospolite wypadki; nie zabraknie ci przedmiotów.

— Przedmiotu? he? zapewne! odparł Fantazus, rzucając oczyma. Widzieliście romans bardzo osobliwy na niebie, między ziemią a niewidzialnym jej towarzyszem; powiem wam drugą podobną bajeczkę. Bo wy—dodał—macie to wszystko za bajki. Was trochę dziwi co ja mówię, a trochę śmieszy, przyznajcie? Grzeczność tylko nie pozwala wam powiedzieć szczerze, że mnie macie za szalonego. Cóżbyście rzekli, gdybym wam wypowiedział cudne historye, które się przed oczyma mojemu przesnuły, historye, jakich nikt nigdy nie słyszał, nikt nie pojął—ciągnące się lat tysiące, rozpoczęte nad błotnistym brzegiem u palm Nilu, a rozwiązane u Gangesu lub nad Orenokiem, w seciny lat później?

O! o!—mówił dalej doktor Fantazus—mam ciekawe i osobliwsze historye w głowie.

Wy się nieraz dziwicie, widząc kogoś raz pierwszy, że go ezujecie jakby doskonale znajomym, jakby dawno kędyś widzianym. Dla mnie to rzecz jasna.

Piekło nie jest ani w ognistym środku ziemi, ani po za nią, ale na niej saméj. Kogo Bóg chce ukarać, szle go, nie jak chciały ludy pierwotne w ciało zwierzęcia, bo dusza ludzka nie może być tak dalece poniżoną, ale w ciało nowego człowieka. Biedny żyje więc powtórę, potrzebie, podziesiąte. Jedna młoda dziewczyna, pomnę, pokochana została, w dawnych to wiekach jeszcze, gdy cywilizacya świeża, w starym Egipcie. Nie znacie Egiptu! Teraz to pustynia i piekło biednych fellahów; dawniej zaś było to tak (jak wy zowiecie) cywilizowane państwo, że gdybyście je znali, mniej dumni bylibyście sobą. Ale wszystko mrze i odradza się, tak i ta cywilizacya wasza! Tu zmarła, tam świeża młoda i potężna.

Ale o czémże mówilem? a! o młodej dziewczynie z nad brzegów Nilu. Ujrzała biedna młodzieńca i pokochała go całą duszą. Młodzicniecko obojętnie na nią spojrzal i poszedł. Ona myślała o nim długo, żyła, kochała i umarła. To się dawniej trafiało, że umierano z kochania, wiercie mi; dziś to wygląda na bajkę.

W lat seciny (daruję wam chronologię powieści) spotykają się znowu. Trzeba wiedzieć, że takie drugie spotkanie, powtórna miłość, podwaja siły uczucia. Otoż kochają się już wzajemnie, od pierwszego wejrzenia, nie pojmując co ich wiedzie ku sobie, co ich pociąga; czując, że się gdzieś znali wprzód. A było to już w Grecyi. Dziewczę biedne, była to Lais; młodzieniec surowo wychowany i ostrych obyczajów człowiek. Jak się zbliżyć, gdy ona jest dla niego skalaną nierządnicą, gdy on dla niej nieprzystępnym młodzieńcem? Znowu Lais schnie i umiera zawczasie, a on siwobrodym, złamanym dokonywa życia spokojny, zapomniawszy o chwilowej miłostce.

Znowu czas płynie, płynie, spotykają się raz jeszcze w Rzymie, ale w Rzymie upadającym już i półtrupie. Ona żoną Cezara Augusta, on prostym wyrobnikiem, zaprzędanym w niewolę. Miłość znowu zapala się potężna, i białą dłonią dźwigniony, wykupiony, uwolniony, wywyższony, *civis romanus*, staje się kochankiem żony Cezara, zbliża się do tronu.

Siepacze napadają ich wśród nocy, wyciągają go z łoża, i poczynająca się swobodnie miłość, śmiercią rozrywa się znowu. Żona Cezara żyje i zapomina go; nie ukarano ję, bo to był czas, gdy wyzwoleńców i konie faworytalne zaślubiali władcy Rzymu; wierność kobiety nie stanowiła ję wartości. Mści się żona Cezara i znika.

Płyną wieki. Po raz czwarty ci ludzie schodzą się jeszcze po dziwnych wędrówkach: to Abelard i He-loiza! któż nie wie ich historyi?

Blżej nas jeszcze; ale... przerwał doktor—historya to dziwaczna i dość jej zapewne. Znam inną, historyę nienawiści i zemsty trwającą lat tysiące. Dwóch ludzi spotyka się i zagryzają się na śmierć, odradzają i gryzą znowu, lat tysiące. Miłość i nienawiść równo wiodą do piekieł, to wiecie... tak! we wszystkiém miara.

Umilkł, pocierając czoło dłonią.

— Ileż razy—dorzucił—widziałem uśmiech, słyszałem pytanie, na które uśmiech i odpowiedź przechodziły w lat tysiące! Ileż razy ludzie, co się kochali raz dawniej spotkawszy się w równym wieku, schodzili się później, on zgrzybiały, ona dziewczynką niedoroslą! Mój klucz—rzekł jeszcze—tłómaczy wszystkie dziwne sympatyje, antypatyje, pociągi i wstręty, ową anamnezis Platona, przypomnienia niepojęte, wszystko. Gdyby wszystko wytłómaczyć się kiedy dało!

Jan i Tytus widząc, że Fantazus głęboko się zamyslił znowu, pożegnali w milczeniu Jagusię, która szanując zadumanie ojca, odprowadziła ich po cichu w konie uliczki.

— Jutro zobaczymy się znowu? wszak prawda? spytała Jana.

— Jutro i—codzień, i zawsze! odpowiedział malarz.

Nazajutrz nie było doktora w domu, gdy Jan sam już nadszedł wedle obietnicy. Jagusia siedziała w swoim pokoiku nad robotą, oczy miała czerwone.

— Płakałaś? spytał jej czule.

— Nie, nie! odpowiedziała, rzucając nań wejrzenie łagodne.

— Dla czegoś tać przedemną? Poznam, przeczuję. Plakałaś, droga?

— Trochę.

— Powiesz mi łez przyczynę?

— A! śmiałyś się.

— Naprzykład? zobaczysz, że się śmiać nie będę.

— Myślałam o przyszłości.

— Jestże w niej co strasznego?

— Dla mnie? tysiąc rzeczy. Moj ojciec męczy się tutaj. Chciałby znów rozpocząć swoje wędrówki; ja mu zawadzam. Poszłabym do klasztoru; ale boję się mu to powiedzieć... nie pozwoli.

— Dla czegoś do klasztoru?

— Gdzież się schronię?

— Jagusiu! potrzebaż mówić, że cię kocham, żem twój?

— Wiem o tém, mówiłeś mi to wczoraj. Ale Janie, tyś się nie powinien żenić, powiada ojciec. Żona zabija artystę, on cały winien siebie sztuce.

— O, lepiej sztuki się zaprzeć, niż szczęścia!

— Ja i tobie jak ojcu będę zawadą w życiu, ciężarem. Takie biedne przeznaczenie kobiety. U dzikich pół-zwierząt, pół-ludzi, ona dźwiga ciężar domu i całej pracy; mąż żyje właściwie, ona tylko jest narzędziem do jego życia. U nas kobieta jest niby sobą, chce być oddzielną istotą, wymagacie tego po niej, a nie dozwalacie. Ztąd tysiące zawodów dla obojga. O! życie! życie! prawda! wielka i straszna zagadka.

— Którą rozwiązuje chwila szczęścia! rzekł Jan.

— I długie lata wspomnień, i długie lata nadziei.

— Zawsze to ta sama chwila szczęścia widziana wprzód z daleka, widziana potem w oddaleniu. Całe

w niej życie. Jagusiu, po cóż płakać. Będziemy szczęśliwi.

— Chwilkę! odpowiedziała.

— Czyż możemy zmienić życie i jego warunki nieśmiertelne? Chcesz, pozwolisz, będę o ciebie prosił ojca.

Ona się zarumieniła, westchnęła i podała mu rękę.

— Słuchaj, rzekła: namyśl się jeszcze; nie chcę mojego szczęścia kosztem twojej swobody. Artysta nie ma u nas zapewnionego nawet chleba. Jam uboga; nie myśl, żeby mój ojciec był bogaty. Ja najlepiej wiem o tém. Nie wiele, lub nic mieć nie będę.

— Ja nic nie chcę.

— Wyżyjemyż z twojej pracy? Ty dla mnie zabijać się będziesz.

— Droga; będziemy żyli skromnie, ubogo, na co nam wiele? miłość złoci ubóstwo.

Jagusia zamyśliła się...

— A! odezwała się potem: nie pokazuj mi szczęścia; płakać potem będę jak pierwsi rodzice wypędzeni z raj.

— Kiedy raj dla nas otwarty.

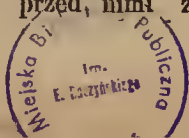
— Chwila raj, a potem, kto wie?

— Dla czegoż chwila?

— Wszystko jest chwilą tylko, mówi mój ojciec; i wieczność chwilą jest także, ale bez początku i końca.

Zamyślili się, głowy ich nakłoniły się ku sobie mimowolnie, Jan uczył złoty, miękki włos Jagusi głaszczący mu twarz, dotknięcie jej świeżego jak dziecinne ciało policzka; pochwycił ją wpół i pocałował.

Jagusia porwała się zarumieniona, zmieszana, bo doktor Fantazus stał przed nimi z namarszczoną brwią.



— Co to jest? rzekł; złodzieja mam w domu?

— Nie, zawołał Jan—ale syna, jeśli się na to zgodzisz.

— Jeśliż się zgodzę! Właśnież to pytanie. *That is the question*—jeśli pozwolę. Nie bardzo mnie o pozwolenie prosiliście. No—a jeśli pozwolę? spytał z uśmiechem.

— A! dasz mi szczęście! rzekł Jan chwytając go za rękę.

— A ty daszże go Jagusi mojej? dasz go na długo? na życie całe?

— Przysięgnę na to.

— Ale dotrzymaszże?

— Wątpisz?

— Ojeż! możeszże wątpić? przerwała dziewczyna, rzucając się mu na szyję. Ty wiesz, że ja go kocham.

— No, no, bądźże jego; zgoda. Ale pamiętaj Janie, żebym cię o rachunek nie spytał ze skarbu, który ei oddaję.

Jan z zapalem całował rękę doktora, który zdawał się poruszony.

— A teraz—rzekł Fantazus—myśleieź o weselu. Po weselu, ja w drogę; zostawiam was samych, jadę, jadę, muszę.

— Ojeż! czyż znowu! dokąd? na długo? spytała z wyrzutem Jagusia.

— Ani dokąd? ani na jak długo? nie wiem. Mam komu powierzyć Jagusię, a więc jadę, jadę!

I określił się na nodze wesoło, z dziką radością.

— Ale pamiętajcie mi być szczęśliwi, dodał; bo ła Jagusi zwabi mnie chociażby z drugiej planety.

I wyszedł porywezo z pokoju.

Nie będziemy opisywali szczęścia; byłoby to cheieć

w dłoni utrzymać bańkę mydlaną—zostałoby z niej może trochę brudnej wody—nie więcéj. A tęczowe kolory, a połyski owe, poszłyby zkaąd przyszły, w niepojęty świat ducha i światła, w nieznany kraj niepochwyconych tajemnic.

Doktor Fantazus poczał się krzątać bardzo pilnie około wesela córki, a razem wszystkie swoje sprzęty pakować i dom ogalacać. Nawet bazaltowy sfinks z ganku znikł także. Pozostały tylko rzeczy Jagusi i jéj uboga dosyć wyprawa; a w pokoju doktora półki próżne i zrzynki papierów.

Jednego wieczoru wszedł doktor do pokoju narzeczonych.

— Jest zwyczajem—rzekł porywczo wedle swego trybu—że się coś daje zwykle w dodatku do żony. Dość to głupi zwyczaj; bo to niejako dowód, że kobieta może być nieużyteczną i stać się ciężarem. Płacimy, aby ją sobie wzięto. Ludy wschodnie, ludy pierwiastkowe całkiem to inaczej rozumiały; a choć im zarzucają barbarzyńskie poniżenie kobiety, więcéj jest uznania jéj godności w téj sprzedaży dziewczęcia, niż w naszym, co za nią dajemy, posagu. Wiem, że posag nasz wypłynął zapewne z myśli podziału niby ojcowizny i macierzyzny; ba! ale niemniéj upokarza kobietę, bo nie ona bierze co na nią przypada, nie ona tém rozporządza, ale mąż—a mąż bierze najczęściej kobietę dla tego, co ona ma, a w dodatku ją. Wiem, że Jan o tém nie myślał, co Jagusia mieć może; ale muszę mu powiedzieć, że uboga.

— Tém lepiéj, rzekł Jan; oboje ubodzy jesteśmy.

— Po matce miała dom, alem go sprzedał i przewędrował.

— Nie pytam się o to.

— A ja mówię, abys nie myślał, że się wstydzę lub taję z tém, co uczynilem. Co za ten dom wzięłem nie wiem; daję przecież mojej Jagnie wyprawę, na jaką mnie stało, i parę tysięcy złotych. Więcej nie mogę. Mam pieniądze, ale ich potrzebuję na podróż, która tajemnicę wielką dla mnie i dla całego świata rozwiązać może. Czy powrócę z téj podróży, nie wiem. Chodzi mi o to, żebym był na biegunie północnym i przypatrzył się zadziwieniu igły magnesowej, gdy z nią tam przyjdę i położę na miejscu. A! a! będzie to wielki piąty akt dramatu dla was niepojętego, ale życia pełnego dla mnie. Wiesz zapewne Janie, że dwa są ściśle biorąc bieguny północne: magnesowy i ziemski, różne od siebie; nieruchomy jeden, drugi obracający się w koło niego. Wielka zagadka, jaką tam mi scenę odegra igła. Muszę jechać. Może zginę, ale niemniej pojedę.

— Jak to? wszak żyjesz doktorze bez końca i zginąć nie możesz?

— A! chciałbyś mnie złapać? Zginę! zginę w jednej pochewce, aby się w drugiej znaleźć i przebudzić. Zginę dla was, ale nie dla siebie...

Jeżeli nie wrócę moje dzieci — rzekł siadając, nie bez wzruszenia—wspomnijcie też czasem o mnie! Po śmierci, to jeszcze dalszy ciąg życia na ziemi—wspomnienie. Wspomnijcie! Ludzie różnie o mnie plotą: mówią, żeś szalony, żeś głupi!! Może! może! nikt nie powie przecie, żebym był niepoczywym i złym! Głupi? każdy kto nie myśli jak my, dla nas jest głupi;—zwierzę głupie dla nas, my głupiśmy dla niego, dla anioła, a anioł czém przed Bogiem? Kocham więc naukę i moją nienasyconą żądzę wiedzy, niż wszystko na świecie, niż was nawet (nie taję)—oto grzech me-

go żywota! lecz i kara za grzechem idzie. Każdy ginie przez swój grzech, i ja zgine przezeń. Wspomnijcież o mnie, dzieci.

Wyszedł szybko, Jagusia rzewnie płakała, Jan się głęboko zadumał.

— Kochana Jagusiu, rzekł po chwili, czy jęj wi-dząc: ojciec straszy nas tylko. Nie myśl o tém, mówmy i myślmv teraz o sobie trochę, to nasz kwiat życia tych chwil kilka. Słyszalaś, że nie jesteśmy bogaci; nie obawiasz się tego?

— Boję się—dla ciebie.

— Jam dumny i szczęśliwy z tego; ale wybacz droga, że ci przepychu ani nawet zupełnej nie dam swobody. Musimy pracować oboje, musimy żyć skromnie. Kto wie, jakie nowe obowiązki czekać nas mogą! Nie dajmy się unieść tej chwili, i ułóżmy nasze życie, aby bez zmiany trwać mogło. Pościelmy gniazdko szczęściu tak nízko, aby go burza nie zniosła.

— I aby go zwierz zły nie zdeptał.

— Tak, aniele drogi, na gałązce krzewiny, między niebem a ziemią. Jutro wesele nasze, a po ślubie, na którym tylko doktor i Tytus będą (na co nam wrzawa i świadkowie?), przejdziemy do siebie. Rano każesz przenieść co masz tutaj, a ja cię w nowém mieszkaniu panią powitam.

— O, gdyby ojciec mój mógł pozostać z nami!

— Słyszalaś, wiesz, że to być nie może; nie uprosimy go. Czekał tylko zdaje się chwili, aby cię powierzyć komu; uleci znowu gdzieś daleko. Kto wie? nie jest-li to mędrzec, co się zasłania ludzkiemu podziwieniu swoim udanym szalem, aby pod tą zasłoną pracował spokojny.

— Ja tak go znam mało! Wiem, że serce ma dob-

re i prawdziwie ojcowskie, ale umysł unosi serce, a nauka całego zajmuje. Boję się téj wyprawy na straszną daleką północ.

— Przekona się o jój niepodobieństwie i powróci nam. Wiek powoli ten zapal do podróży i odkryć ostudzić musi.

Tak rozmawiając o ojcu, o sobie, przesiedzieli do wieczoru, a pożegnawszy Jagusię do jutra tylko, Jan powracał do domu w stanie oczekiwania, błogości, nadziei, który bez ochyby jest duszy stanem najszcześliwszym. Nigdy otrzymane nie zrówna oczekiwanemu.

Zabłąkał się umyślnie w ulicach przez księżyc oświeconych, i nie wiedzieć jak, zaszedł przed dom Ogińskich, którego okna były moeno oświetlone. Spojrzał w nie, i serce mu się ścisnęło: myśl wzgardy doświadczonej, czarne oczy kasztelanowej, oczy tak ogniste, tak wiele mówiące stanęły mu przed duszą. Odepechnął niegodziwe wspomnienie. Lecz odwracając się ku domowi, dostrzegł kilka osób, które równie jak on wzdychały i zdawały się poglądać do góry, ku oknom, jakby tam siła niepokonanego uroku ich ciągnęła. W najbliższym poznał Jan obojętnego kasztelana, który zadumany stał przed oknami dawniej żony. Musiał płakać po niej: jój oczy wtedy nawet, gdy żyli razem, nie raezyły padać na niego. Drugim był doktor Fantazus, także błądzący około domu jak wilk około przynęty. Postrzegłszy, że został poznany, uciekł. W ostatnim schwytał Jan Tytusa, i najmocniej zdziwiony, pochwycił go za rękę.

— Co ty tu robisz? spytał.

— Co? a ty?

— Ja przechodzę do domu.

— Prosta droga! I ja idę.

— Stałeś?

— Odpoczywałem.

— Chodźmy razem dalej. A więc i ty Tytusie oczarowany zostałeś jak wszysey, eo się do niej choé na chwilę zbliżyli? To niepojęta! Cóż jest w tych oczach?

— Co w nich jest? eo w nich jest? powtórzył sny-cerz z zapalem. O! obietnice, których nikt dotrzymać nie może na ziemi, wielkie niepojęte słowa, jak muzyka, którą czujesz wytłomaczyć, nie mogąc. Coś, jakiś język hieroglificzny, tajemny, wielki, uroczy, ezarnoksieżki. O, te oczy, te oczy!

— Te oczy, weale nie mówią co im przypisnjesz, odparł Jan. Ja je znam, bom przecię mało nie umarł od nich.

— A ja małom żyć od nich nie zaczął, zawołał Tytus. Ale wezas wstrzymałem się w pędzie. A jednak, patrz, jak piętnastoletni chłopiec, ja—maż—ty—doktor Fantazus, wlecemy się pod jej okna, gdy ona na kimś nowym może próbuje siły swego wzroku, niepojętą siłą.

— Magnes nie jest absolutniejszy, rzekł Jan; ale nieiekajmy od nich, nieiekajmy! Ja teraz mówię jak ty dawniej. Jutro Tytusie wesele, jutro wesele! Rano urządzam mieszkanie, wieczorem jedziemy na Antokol, ty, ja, ona, doktor, nikt więcej. Potem spędzimy kilka godzin na rozmowie u mnie. Będziemy sami. O, eo za wielka uroczystość! Biada temu szczęściu, eo się potrzebuje chwalić przed ludźmi, aby się szczęściem poczuło. Z rana przyjdiesz mi pomódz w urządzaniu mieszkania, nie prawdaż?

— Dobrze, dobraneo.

— Nie wracaj tylko pod okna kasztelanowej.

Rozstali się, śmiejąc z własnych szalów. Tytus poszedł uliczką ku Bakszcie, ale gdy go Jan zobaczyć już nie mógł, zawrócił się szybko i pobiegł ku pałacowi Ogińskich. Doktor, mąż i jeszcze ktoś trzeci krążyli znowu dokoła, choć już światła w oknach pogasły.

Dziwne to były te oczy, te dwa ogniska duszy, co tyle zapalały pożarów, tyle wzniecały myśli. Oczy? cóż w nich zdaje się tak uroczego być może? Dwie czarne żrenice, zmrużone powieki, łzawy wzrok, nic więcej. A było w nich nieskończenie więcej i nieopisanego: zdawały się ciskać promienie, narzucać łańcuchy, uderzały cię do głębi, do dna istoty twojej. Gdy raz tam padły jak harpon na wieloryba, jużś był ranny na wieki. Kobieta przecie, co niemi rzucała, nie miała uczucia ani serca, nie kochała nigdy w życiu, nudziła się życiem, otaczającymi, całym światem. Zagadka dla Edypa.

Wielki dzień dla Jana zaświtał nareszcie; miał być szczęśliwy, pozyskać rodzinę, towarzysza, cel życia; nie sam już jeden, podwojony miał iść dalej. Od rana krzątano się w pokoikach na Zamkowej ulicy. Obszer-na malarnia z oknem na północ obróconém, oczyszczona, ubrana świeżo, cała zawieszona obrazami, szkicami, podmalówkami, kopiami areydziel, wystawiała miły widok. Ściany jój żyły istotami przez pendzel stworzonymi. I jak na świecie, śmierć tu była obok życia, smutek obok radości; Adonisa zgon i lzy Magdaleny obok Bachanalii Albana, obok Kermessu Teniers'a. W ciemnym kątku kasztelanowa Sybilla patrzyła z obrazu swemi niebezpiecznemi, zbójceckimi oczyma; ale na widném, na najlepszym miejscu Jagusia z gołąbkim w ręku, w białej sukience, na tle zie-

lonych drzew, uśmiechała się artyście. Była to jakby robota Greuza, co umiał tyle uczucia wlewać w głowy swoje.

Z malarni prowadziły drzwi do przechodniego pokoju i sypialni Jagusi; drugie z niego do bawialnego, niewielkiego, skromnego saloniku. Korytarz łączył tę część domu z kuchenką i gospodarskimi kryjówkami.

Wielka klatka gołębi umieszczona u okna, aby łatwiej ulatywać mogły, już tu wniesiona została, a biedne stworzeńka trzepotały się w niej ze strachu, nie widząc w kóło nikogo znajomego. U łóżeczka Jagusi był krzyżyk, palma i obrazek Świętej Agnieszki, umyślnie zrobiony przez Jana, w ramach snycerską robotą Tytusa.

W saloniku wszystko proste, czyste tylko i wdzięczne. Dwa obrazy, kopie starych, na dwóch ścianach, niewielki fortepianik przez ojca darowany, kanapka, krzesel kilka, zwierciadło. Mały brązowy sfinks, upodobany Janowi, darowany przez doktora także, leżał na komodzie dawniej roboty, wysadzanój drzewem różnokolorowém. Na niej stała także przez ojca dana Jagusi szafeczka hebanowa, bursztynem, kością, miedzią i srebrem misternie wysadzana. Klejnot drogi, tak była wypracowana starannie; drobne jój szufladeczki miały służyć Jagusi na schowanie robotek i listów. Z wierzchu leżał z kości słoniowej zrobiony, zamyślony Amor, oparty na łuku, dumający zda się, co miał począć z sobą. Więcej żadnych ozdób i świecideł: kilka wazonów ze starój porcelany, firanki z białego grubego muslinu, pajak ze szkła i porcelany, kupiony przypadkiem, bo ich już wówczas nie używano, — oto i wszystko.

Jan i Tytus ustawiali drobne sprzęty i rozmawiali wesoło.

Tak przeszedł dzień do wieczoru, słońce zachodziło, gdy upakowany powóz, stary i zużyty, zatoczył się przed bramę.

— A to oni! chodźmy! chodźmy! zawołał Jan.

Zbiegli szybko ze wschodów; tam już na nich czekano, robiąc im miejsce w powozie.

— Dla czegoż upakowano? spytał Jan.

— Nie pytaj, odpowiedział doktor Fantazus: nie pytaj!

Mileżąc prawie dojechali do kościoła. Jagusia puściła rękę Janowi, który ją całował, siedząc blada i zadumana. Ślub odbył się poważnie, w milczeniu, a starzec ksiądz przełożył nowo pobranym ich obowiązki wzajemne. Doktor stał w oddaleniu. Córka jego długo się jeszcze modliła; a potem wychodząc, prosiła, aby mogła pojechać po błogosławieństwo na groby babki, matki, siostry, na blizkich pochowanych mogiłach.

Fantazus zgodził się na to milczący, i smutne odwiedziny ementalne odbyły się szybko. Wszyscy pomimowolnie chcieli widzieć złą jakąś przepowiednię w zboczeniu do grobów.

Mieli wsiadać do powozu, gdy doktor odezwał się wzruszony:

— Moja Jagusi! ja cię błogosławię i żegnam! Wróćcie sami do niasta drugim powozem, który na was czeka pod kościołem; ja jadę.

— Ojcz! ojezel! zawołała córka z wymówką: opuszczasz nas tak prędko? dziś jeszcze? zaraz? go-dziż się to?... Chceszże nam zatruć najpiękniejszy dzień w życiu?

— Nie mogę, nie mogę zostać! Przypatrzywszy się waszemu szczęściu, możebym nie potrafił opuścić was; a muszę, powinienem. Jadę, jadę natychmiast; nie bróńcie mi. Janie, dodał: oto żona twoja; na świecie nie ma ona nikogo prócz ciebie, tyś jój opiekun, obrońca, wszystko i wszyscy. Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! Bądź zdrow Tytusie! Tobie nie potrzebuję życzyć szczęścia: dumaj tylko o swoim Herkulesie, a nie chodź pod okna kasztelanowej—będziesz szczęśliwy.

Jeszcze raz ich uściskał.

— Mój ojczy, dziś tylko, tylko dziś jeszcze do wieczoru się zatrzymaj. Pojedziesz jutro, pojedziesz w noc, prosiła Jagusia.

— Dziecię moje! ty wiesz, ja słowu mojemu nie kłamię nigdy; nie mogę zostać, nie prosz mnie o chwilę nawet. Bądźcie zdrowi! daj Boże nie na zawsze!

Pocałował w czoło Jagusię zalaną łzami, ścisnął za rękę Jana i Tytusa, i szybko rzucił się w powóz. Jeszcze nie przyszli do siebie z osłupienia przytomni, gdy jego już nie było. Jagusia upadła na ręce męża, i płakała powtarzając boleśnie:

— On mnie nie kochał!

Ten odjazd ojca zasmucił cały wieczór państwu młodym. Powrócili do domu; a przerażona i osamotniona nagle Jagusia ciągle płakała. Tytus, widząc się tu zbytecznym, odszedł rychło i zostawił ich samych; a Jan ukląkł przed nią i starał się pocieszyć jak umiał. Ale napróżno. Jak te gołębice Jagusi, tak ona przesadzona w obce miejsce, spłoszona była położeniem swém nowém, a nieznaném jeszcze życiem, które rozpoczynała. Zniknięcie ojca odjęło jój wszelką radość, ścisnęło serce, odebrało nadzieję.

— Mój aniele, mówił jój Jan klęcząc i całując opuszczone ręczki: zatruwasz swoim smutkiem dzień tak piękny i pamiętny. Ojciec twój wielką lub dziwną myślą odleciał ku ulubionym badaniom; myśmy sami, tak jak zawsze będziemy z sobą. Kilka dni spoczynku, a potem wezmę się do pracy, abyśmy byli bogaci, aby ci nie brakło. Boję się dla ciebie ubóstwa naszego; pókim był sam, ono mi było obojętne, ale teraz!...

I począwszy roić, układać, marzyć o przyszłości, wwiódł Jagusię w ten kraj uroczy za sobą. Oboje uśmiechać się zaczęli, opowiadając sobie jak chcieli mieć tę przyszłość swoją. Stary zegar wybił dwunastą, a oni jeszcze rozmawiali; aż Jan uściskiem przerywając ostatnie wyrazy, powiódł ją zarumienioną do jój sypialnego pokoiku.

Jagusia rozplakała się i padła na kolana.

Taki był pierwszy wieczór szczęśliwój pary nowożeńców, i po nim wiele dni upłynęło równie jasnych, równie szczęśliwych. Lecz nie koniec powieści na tém. Cóż się kończy na szczęściu? chyba stary jaki romans zamknięty weselem jak obiad desserem, ale nie powieść z prawdziwego życia.

Słodycze téj uczty ostatecznej są fałszem nawet w książkach; życie kończy się gorzko, to jego niezmiennie prawo, skoro się w sobie zamyka i ziemią ogranicza. Ze wszystkiego słodkiego tutaj, najśłodsza i największa śmierć z wejrzeniem w niebo; bo ta łączy nas z drugim światem.

Idźmy więc dalej a dalej!

Jan w przeciagu tego czasu, który minął od jego przybycia do Wilna do opisanych tu zdarzeń, kroku jeszcze nie uczynił był prawie do sławy i z bogacenia, do ustalenia losu swojego. Zazdrość tylko obudziła się silniejsza, zawziętsza, gdy głucha poszła pogłoska o wziętości jego u kasztelaństwa, o pochwałach acz skromnie udzielonych Żarskiego, o ożenieniu, które za bardzo szczęśliwe i bogate uważano.

Kilku malarzy, jak on pragnących zajęcia a nieznanym i niewziętym, sypało na niego najczarniejsze baśnie i potwarze. Wedle nich Jan był człowiekiem zepsutym, dumnym, chytrym, złego serca, przebiegłości wielkiej a małego bardzo talentu. Obrazy uchodzące za jego utwory miały być obcej ręki, on sam niezdolny nie tworzyć, portrecista nawet lichy; cała sława pozyskana nie wiedzieć jak i cudzą pracą.

Tak mówiono gdy Jan pracował i pokazywał się częściej, po słabości zaś jego i dobrowolnym odosobnieniu, które poprzedziło ożenienie, przestano się nim zajmować i zapomniano zupełnie. To zapomnienie gorsze jest może od potwarzy dla człowieka, co musi budować na wziętości i sławie swą przyszłość. Zapomnienie, milczenie, brzemienne jest lekceważeniem i wzgardą.

Gdy Jan po ożenieniu zażądał pracować; wprędce przekonał się, że najtrudniej będzie znaleźć zajęcie. Obrazy przywiezione z Rzymu, dla wysokości dość cenne, którą za nie naznaczał, sprzedane być nie mogły. Wziął się Jan do kompozycji, ale bez nadziei, aby na prace jego znaleźć się mogli amatorowie.

Portrety, któremi żyje u nas biednie większa część malarzy, nie jego były rzeczą; pojmował portret tylko w sposobie Rafaela, Tycyana, Van-Dyck'a, portret mo-

numentalny, idealizujący wyraz znakomitego indywiduum, wydanie typu uderzającego, poemat z twarzy ludzkiej. Ale taki portret był obrazem; nie każdy mógł za wzór mu służyć, a kosztował tyle pracy, że go za sto złotych (wyżej mało ktoby chciał zapłacić) oddać nie było podobna.

Dwie czy trzy niewielkie znalazły się roboty, ale tych nagroda zaledwie wystarczyła na codzienne potrzeby; w końcu kilku miesięcy mnsiano zajrzeć do woreczka Jagusi, z którego na długo starczyć nie mogło.

Jan oceniwszy swoje położenie, nie o niem nie mówiąc żonie, począł stanowczo myśleć jak mu zaradzić? i przy pierwszej zrzeczności postanowił o tém pomówić z Tytusem.

Zeszli się z nim cicho w malarni, i na pierwsze słowo malarza, Mamonicz mu odpowiedział:

— Wiedziałem, że tak będzie. Kochałeś, nicem ci mówić nie mógł o przyszłości; sądziłem, że ją przewidyjesz za dwoje: teraz seryo myśleć i radzić nam potrzeba. Portrety wyżywić cię nawet nie mogą; nie wielką ich liczbę potrzebną bazgrzą z zadowoleniem publiczném wyrobnicy, z którymi nie wytrzymasz współzawodnictwa. Nowych kościołów, w wieku niewiary i obojętności, nikt już nie stawia; freski są u nas rzeczą nieznaną. Duchowieństwo zajęło się polityką, literaturą, wychowaniem; sztuka po większej części rzecz dla niego obca; wreszcie kościoły i klasztory pełne są obrazów i posągów; rzadko gdzie pracować się trafi. Między krajowcem zaś a obcym, wybiorą pewnie obcego choćby tylko nazwiskiem. Książek wychodzi u nas niewiele, na rysunki do nich spuścić się nie można; tłómaczenia ilustrują się nędznemi blachami tanio nabytemi za granicą. Prawdziwie, w głowę zacho-

dzę co poczniesz z sobą. Myśl, myśl, myślmy, chociaż nie przewiduję jak radzić.

— Co począć?

— Gdybyś nie był sumiennym i szlachetnym, radyby się znalazły.

— O! takich ani ja przyjąć, ani ty podać nie możesz. Drogi Tytusie, myśl jaką mi daj, naprowadź, co robić?

— Ledwiebym nie powiedział, żeby porzucić sztukę u nas niewdzięczną, a wziąć się do czego innego; ale ty na to także zgodzić się nie zechcesz.

— Niepodobna! powiedz mi, na co się przydam? Ja nie nie umiem, pomyśleć nawet o porzuceniu pendzla nie potrafię.

Tytus spojrzał na Jana, który był blady, i skutkiem przejrzenia się w położeniu swém, prawie rozpaczający.

— Jestżeś już w tak krytyczném położeniu? spytał.

— Nie, nie; ale mogę być jutro, za miesiąc, trzeba więc zapobiedz wcześniej. Tyś jeden komu się z tém zwierzam: ratuj i mów co począć?

— Najprzód, rzekł Mamoniecz po namyśle: potrzeba, jak to mówią, zrzucić zupełnie pychę z serca. Największą zaprowadzić w domu oszczędność, drobnostkową, bo drobnostkami giniemy. To pierwsza: wszystkiego co lechce tylko dumę się wyrzec, co się kupuje dla oczu i dla przyzwoitości zaniechać. Powtóre, zapomnieć, że się jest wielkim artystą, szukać jakiej Bóg da roboty, i póddać się wymaganiom choć głupszych od nas amatorów. Potrzecie, trzeba się zaznajomić i porobić stosunki w mieście, odwiedzić kolegów malarzy, chociażby to byli tylko bazgracze i niepoczeiwi szczekacze, co drą twą sławę za oczyma; trochę im

podkadzić; pójść z uszanowaniem do panów, do wyższych, mogących ci dopomódz, pokłonić się duchownym, urzędnikom i t. d., i t. d. Sztuka mój miły Janie, jak skoro się chce mieszać z praktyczném życiem i ma mu służyć za podstawę, musi się uniżać i sprofanować, musi się przedzierzgnąć w służebnicę.

— O! ty mnie znasz! mogeż ja to uczynić?

— Spytaj się sam siebie. Pókiś był sam, sam jeden, nigdy ci tego nie radził, bo jednemu ubóstwo ze sztuką lekkie i wesołe; ale teraz masz obowiązki, a nie maszże siły do poświęceń?

Jan spuścił głowę.

— Nie odkładaj, od jutra zaczęjmy ruszać się. Proś kasztelana, aby cię zalecał możnym krewnym swoim, słowo powiedział za tobą w swoim towarzystwie. Ja w dość wielu domach jestem znajomy nie jako artysta, ale jako wesoły gawędziarz, często jako potrzebny kołek do zajęcia dziury u stolika do małego bostona lub ćwika. Będę mówił o tobie, wprowadzę cię gdzie mogę. Ale mój Janie! uzbrój się w uśmiech na wszystko odpowiadać mający, nawet na słodkie niegrzeczności; uzbrój się wcześniej w anielską cierpliwość.

— Miłość mi jój doda... o! życie! życie! zawołał.

— Oswoisz się z tém. Tamto będzie tylko kuchnią życia, prawdziwe życie w domu.

— Lecż nawzajem przyjmować będę musiał u siebie, czas mój zabrany zostanie.

— Rozważysz czy skutek wart będzie ofiary; teraz zaś trzeba czegoś próbować, jesteśmy zmuszeni, *vogue la galère!*

Na te słowa wbiegła Jagusia, wesoła, różowa, i po dała przyjacielsko rękę Mamoniczowi, który ucałował

ją milczący, ale wzruszony. Wesolość pusta, dziecinna tej kobiety, tak dziwnie odbijała od smutku i niepokoju, który ukrywali dwaj przyjaciele.

— Co wam jest, żeście mi tak chmurni? Chodźcie do mnie, wszak to już mrok pada, a Jan malować nie może, jam sama, pogadamy, pośmiejemy się. Uciekam od Jasia, żeby mu nie przeszkadzać w czasie roboty, ale niechże mam wieczory przynajmniej. No, chodźcie!

Na rozkaz gosposi ruszyli obaj do pokoju, gdzie już ich czekał podwieczorek. Jagusia nie pojmując nawet co się w koło niej działo, a mając w ręku własny fundusz niewielki, którym dysponowała, nic nie wiedząc, że Jan straciwszy na ożenienie, tyle tylko prawie miał ile było w jój woreczku,—z nieopatrnością, szczęśliwego dziecięcia, traciła na stroje, aby mu się podobać, na śniadania, obiady, podwieczorki, aby się za swój dom nie powstydził.

Przyjęcie Mamonicza i kilku znajomych daleko było nad skalę ich możliwości posunięte; ale Jan powiedzieć jój o tém nie śmiał. Boleśnie mu było rozbić jój szczęśliwą wiadomość. Z drugiej strony, Jagusia, jak wszystkie młode panienki, co z blizka nie dotknęły się nigdy szczegółów gospodarstwa domowego, dała się dobrowolnie oszukiwać słudze. Prędzej więc niż spodziewać się było można, nastąpić mogło zupełne wyczerpanie zapasów.

Jan drżał na myśl samą, ale nie wiedział jeszcze jak to było blizkie. Tytus przewidywał, że się potrzeby okażą prędzej niżeli się Jan spodziewa: oko przyjaciela jasno patrzyło we wszystko, a serce jego bolało za wczasu.

Wieczór przeszedł im dość wesoło, Jagusia była

w złotym humorze, i nie pojmując co za chmurka wisiała nad czołem Jana, rozpędzić się ją starała.

— Niewdzięczny! mówiła żartując: ja go tak kocham, a on nie wiem czy swoją się tam robotą jakąś trapi, i przychodzi do mnie znużony a smutny. Pamiętaj Jasiu! że dałeś ojcu słowo, iż muszę być szczęśliwą; a jak być szczęśliwą, kiedyś ty mi smutny?

Jan pocałował ją za całą odpowiedź. Dwie łzy mu się potoczyły ukradkiem, otarł je z udanym uśmiechem.

— Al! rzekł w duchu: wszystko uczynię, byleby się nie domyśliła niedostatku, byleby go nie uczuła nigdy.

Żegnając Mamonicza, szepnął mu:

— Pamiętaj! jutro!

— Cóż to, jutro? spytała ciekawie żona.

— Jutro—odpowiedział Mamonicz—mamy konieczne wizyty, może ich nam stać na cały dzień.

— O! znów Jan mi uciecze!

— Potrzeba kochana pani, a przed potrzebą schylamy głowę. Wolelibyśmy tego uniknąć, ale coś począć? potrzeba!

— Cóż to za potrzeba tak pilna? spytała Jagusia, gdy zostali sami.

— Mam nieprzyjaciół, rzekł Jan: mówią, żem dumny, brak mi stosunków, muszę się z ludźmi poznać więcéj. Inaczéj nie będę miał nigdy ani wziętości, ani przyjaciół, ani chleba.

Ostatnie wymówił cicho.

— Nieprzyjaciółmi wzgardź!

— Gardzę nimi, ale mi szkodzą.

Na tém przestali.

Okolo dziesiątej Mamonicz się stawiał wedle obiet-

nicy. Poczciwy ten artysta, cały żyjąc przyjaźnią, poświęcał się ochoczo, i nigdy dla siebie nie opuścił przyjaciela. Zaparcie się, poświęcenie, tak mu się zdawało naturalnem, że nie czuł nawet gdy robił ofiarę.

— Idziemy—rzekł wesoło—najprzód do malarzy. Jest ich tu dwóch znaczniejszych; oba (nie tajmy) dość nieprzyjaźni tobie. Portrecista Mruczkiewicz, i kościelnych obrazów malarz, co się nigdzie nie uczył, ale ma trochę wrodzonego talentu, Perli. Choć nazwisko obce ale postać krajowa, zobaczysz. Mruczkiewicz bliżej najprzód wstąpimy do niego.

Na Dominikańskiej ulicy, w starém domowstwie, którego dwa okna patrzyły w ciasne i ciemne tutaj przejście, po brudnych wschodach weszli nasi wędrowcy do wielkiej dość malarni, której ściany obwieszane były staremi, nowemi, różnych rozmiarów, kształtów i kolorytu portretami. Nieład wielki panował w tym tak zwanym przybytku sztuki.

W pośrodku, z krótką fajeczką w zębach, z malsztkiem w rękę, maleńki człowieczek w krymce czerwonej, brudnej, w chałacie wytartym, podpasanym, z polami zagarnionemi do góry, w pantoflach na boscie nogi włożonych, odskakując i zbliżając się z miną wesołą, szczotkował draperye jakiegoś portretu. Mógł mieć około lat czterdziestu; rumiany, pospolitych bardzo rysów twarzy, ospowaty srodze, brzydki dosyć, z włosami klejkiemi i w pierzu zawałanemi, z oczkami szaremi, ale pełnemi przebiegłości złośliwej, usty odwalónemi szeroko, Mruczkiewicz nie zwróciłby na siebie oka gdzieindziej. Była to jedna z tych bardzo często widywanych twarzy, co pod pozorem dobroduszości, kryją niepospolitą chytrą i zrzędną. Z ukośsa spozrzał na wchodzących, wyjął fajeczkę z ust

i postępując ku Mamoniczowi, a patrząc w Jana jak w tęczę zawołał:

— A! a! dzień dobry kolego, cóż to cię do mnie prowadzi?

Wzrok jego tymczasem ciągle rozmierzał Jana, Nastroił się już do uśmiechu, bo uśmiechem wszystko pokrywał.

— Ot! widzisz, przyprowadzam ci, rzekł udając też otwartą rubasznosc Mamonicz, co go tu nie ma! kosztowało,—przyprowadzam ci kolegę, który pragnie się z tobą poznać i poprzyjaźnić! Poznajcie się, dobry człowiek, skromny jak dziewczyna, a serdeczny jak... jak ja.

Uśmiech szyderstwa razem i zwycięstwa, ale wnet z twarzy zmazany, zaświtał na ustach Mruczkiewicza. Błyskawicą tylko skrzywił się jakby do siebie mówił: „Coś tam kiepsko święcić się musi, kiedy jegomość aż do mnie przywędrował!”

— A! zawołał zaraz głośno zdejmując czerwoną krymkę—prawdziwe dla mnie szczęście. Anim się tego spodziewać mógł! Do mnie biednego bazgrały, pan! pan! pan, co malujesz tylko wielkie obrazy i wielkich panów! Mnie to wprzód należało mu się pokłonić; ale anim się spodziewał, żebyś chciał ze mną znajomości.

Jan z przymusem wybażnął komplement.

— Tylko nie patrz dobrodzieju na roboty moje, rzekł zaslaniając malarz: byleś we Włoszech, a ja sobie domorosły partola. I same portrety tylko robię.

— Widziałem twoje roboty, szanowny panie, odezwał się Jan,—i znalazłem je pełnemi, pełnemi... zakrzuszył się artysta nasz, ale dokończył przecię:—pełnemi talentu i łatwości.

— Tak, to sobie szturchanina! rzekł niby skromnie Mruczkiewicz. At! to dobre dla tych, których ja maluję; ale to portrety po pięć, po dziesięć dukatów, a waścine po sto, gadają.

— Ja nie maluję portretów.

— O! o! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi; a kasztelanów?

— Jeden i to nakazany, uproszony, rzekł Tytus.

— Ale wart moich dziesięciu!

— Nie widziałeś go pan.

— Ja to mówię o *żywcu*, o groszu.

— I to nie, przerwał Tytus: ludzie przesadzają. Sprzedane były dwa inne obrazy...

— Ale malujcie sobie, i owszem! i owszem! zawołał porywczo Mruczkiewicz. Nie odmawiam, nie przeszkadzam, nie zazdroszczę. Ja się z panami wielkimi nie *zadaję*. Wysokie progi na moje nogi... zwłaszcza, że tam czasem i nie *drzwiami* wynosić się potrzeba, gdy kto przyprze.

Była to bolesna przymówka do fałszywie wytłomaczonej przygody Jana; mówiono bowiem powszechnie, że kasztelan zastawszy malarza z żoną, zmusił go do wyskoczenia przez okno. Tytus, któremu bardzo chodziło o to, aby od razu nie zraził się Jan, przerwał udając wesoły uśmiech:

— Cha! cha! na co te przymówki!

Jan zachmurzył się, milczał.

— Między kolegami to bez *ceremonii*, rzekł Mruczkiewicz. Ale czy to prawda?

— Cena portretu? podchwycił Tytus—o! przesadzona, przesadzona. A co się tycze innych okoliczności, tych wcale nie wiecie—domysły! domysły!

— I dzikie plotki, w których za grosz nie ma sensu, dorzucił Jan. Nie uciekałbym przed nikim w świecie.

— Cha! cha! a to się domyślam, coś innego pilnego musiało przynaglić! I począł chychotać Mruczkiewicz, poglądając zjadliwie na Jana szaremi oczkami.

— Nie, to był po prostu przypadek, zamknął Tytus zniecierpliwiony.

— El to bo tysiąc fałszów, tysiąc głupich rozpowiadają plotek, odezwał się Mruczkiewicz niby dobrodusznie: ktoby zaś temu wierzył! Mało co bredzą! Ot i to na przykład, że kolega jesteś synem wprost jakiegoś chłopca ze Żmudzi.

— To taka prawda—szybko zawołał Mamonicz, nie dając odpowiedzi Janowi—jak to o was gadają, wiecie? żeście synem przechrzty. No! ale któżby temu wierzył?

Mruczkiewicz zaperzył się, ale opamiętał zaraz:

— Tfu! plunąć na te androny. Bądźmy—rzekł—przyjaciółmi! i podał rękę Janowi. A w razie, to i opiece pańskiej się polecam, dodał chytrze. Możesz pan mieć dużo roboty, potrzebować pomocy, może mu co z nosa spadnie, niech to będzie dla mnie. Bardzo proszę, ja jaką Bóg tam da, nie gardzę robotą. Aby żyć.

Był to przycinek znowu, z którego poznał Mamonicz, że wiadano już, iż Jan potrzebuje a nie ma zajęcia.

Odurzony, zbolący Jan chciał odchodzić, ale Mamonicz odparł ze śmiechem, choć kłamstwem:

— Coś podobnego nawet nas tu sprowadza. Mamy wielką jedną robotę przyrzeczoną, i właśnie pomyśleliśmy o kolledze. Ale o tém jeszcze, cicho! bośmy się nie umówili całkowicie.

Powiedział to niby tając się, głos zniżając, a z takim przekonaniem, że Mruczkiewicz z kolei wpatrując się w obu, prawie uwierzył, i zmieszał się tém trochę, pomiarkowawszy, że nie dość był grzeczny.

— Tom ja tobie winien pocziwy Mamoniczu! kochany Mamoniczu! Niechże ci podziękuję! A nu? do prawdy? Jest jaka robota? cóż to tam?

— Dzisiaj się nie nie dowiesz.

— Tylko żebyście się z Perlim nie zgodzili!

Perli i Mruczkiewicz żyli z sobą w przyjaźni pozorze, ale się serdecznie nienawidzili.

— Masz co przeciw Perlemu? spytał Tytus.

— Ja? o nie! uchowaj Boże! uchowaj Boże! to mój przyjaciel nawet... ja go szanuję. Ale co chcecie? człowiek ma żonę, dzieciśka, bliższa koszula ciała niż kaftan.

Właśnie w téj chwili jakby na potwierdzenie ukazała się rozczochrana głowa staréj, trędowatéj baby, z którą Mruczkiewicz ożenił się dla chleba (bo miała nieco grosza), i pod jéj żył rządami, ulegając ze drżeniem.

Za suknię jejmości trzymał się baćhur umalowany masłem, kończąc oblizywać kawał nasmarowanego niém chleba. Jejmość znacznie od męża starsza, mogła wyśmienicie służyć za wzór czarownicy do Makbeta. Czerwone jéj ślepie i gęba otwarta, w której żółte zębów trzonki wyglądały, zwrócone były ku przybyłym, na których ciekawie się wytrzeszczała. Rozmowa szła tymczasem daléj.

— Perli ma się dobrze, a ja będę klepię, mówił Mruczkiewicz. Ja go szacuję, ale między nami mówiąc, on sobie rękę popsuł na tuzinkowych ogromnych

robotach do eerkwi i kościołów. Ja zawsze *delikatniejszą* pracą się zajmuję.

Jan nie mógł się wstrzymać od uśmiechu; szczęściem Mruczkiewicz go nie postrzegł, bo był w tej chwili cały zajęty sobą.

— O! jeśli łaska, zobaczcie moje roboty, zawołają co powiecie?

I poprowadził ich ku płótnom, które były zbiorem najosobliwszych fizyognomij. Każdy z licznych *fabryki* pana Mruczkiewicza wyrobów był tylko bladém i bezmyślném odbiciem typów w ogólności, nieszlachetnych i prozaicznych.

Jedna czy dwie twarze piękniejsze, niedbale narysowane, gorzej wykonane jeszcze, popsute były boleśnie. Dna, akcesorya, traktowane niby śmiało, ale z największym pośpiechem i nieznanomością rzeczy, bez studyów, z praktyki, przedstawiały mieszaninę światła i cieni okrutną. Nie natury, nie myśli, nie pracy widać tu nie było. Ostre cienie gęste, półcienie brudne i poprawkami rozklapane, światła wylizane i chude, słowem, były to roboty bez żadnej wartości, prawdziwie tuzinkowe. Trzeba było gwałtem chwalić: szczęściem jedna głowa znalazła się mniej poczwarnie wykonana, i przy niej zdobył się Jan na skąpą pochwałę, którą Mamoniecz potrafił rozwałkować. Malarz błyskał oczkami z ukontentowania.

Po obejrzeniu obrazów musieli się zaprezentować szanownej pani Mruczkiewiczowej w jej pandemonium (bo nie wiem jak tę izbę mam nazwać?). Trafili właśnie na chwilę rozbierania brudnej bielizny, i wejść musieli w stos koszul i prześcieradeł leżących u drzwi samych. Inne części stroju leżały w przyjemnym nieładzie na

dalszych planach obrazu. Jejmość przyjęła ich zapychając za siebie w pół gołe dzieci, i ocierając dłonią nos, który przy pracy utrzcę zapewne zaponmiała, a teraz się jēj dotkliwie przypomniał. Duma właściwa kobietom, co przywykły panować w domu a mało na świat wychodzą, co czując się bogatsze i więcéj znaczące od mężów swoich, obdzielają resztę ludzi powagą i tonem nabranym w codzienném pożyciu, malowała się na jēj twarzy czerwonej. Dość zimno przywitała gości, których jēj malarz przedstawił, zobaczywszy, że się nie śpieszyli ucałować łapki i nie bardzo nisko pokłonili, choć była z domu Dubińska!

— Kochaneczko! pan Jan Rugpiutis składa ci swoje uszanowanie! rzekł Mruczkiewicz.

— Kłaniam się!... kiwnęła głową.

Szczęściem dla gości, zajęcie gospodarskie pani Mruczkiewiczowej z domu Dubińskiej, było pretekstem do rychłego cofnięcia się za drzwi.

— Janie! nie gadaj ani słowa, nie rób min, bo pewien jestem, że na nas patrzą, rzekł szybko Mamoniecz. Dalej odszedłszy dopiero, powiesz mi co myślisz.

Poszli więc w milczeniu; aż na Niemieckiej ulicy Jan się dopiero odezwał:

— Po coś mnie tam wprowadził? Jeśli dla ciekawości, przyznam ci się, że nie ciekawel a na cóż mi się przydać może znajomość bazgracza jak Mruczkiewicz, który pojęcia nie ma o sztuce?

— Słuchaj-no Janie, tu nie o sztukę chodzi. Mruczkiewicz nie maluje nigdy obrazów, bo ręki nawet narysować nie potrafi. Jeśli z nim bliżej się poznasz, może ci nastreczyć robotę, którą dotąd (choć nienawidzi Perlego) daje jemu. Ma się rozumieć, nigdy darmo. Mruczkiewicz przebiegły, zły i chytry jak wąż, wszę-

dzie się wkreśli, i wszystko wie. Gdyby się nawet na nic więcej nie przydał, należy go zawsze usunąć z liczby nieprzyjaciół, już i to wiele. Znajomość ta nie bez korzyści być może dla ciebie. Ale pilnuj się! bo lis chytrzejszym być nie może, ani złośliwszym nad Mruczkiewicza przy jego głupocie. Trzeba go ugłaskać i uspić.

Jan westchnął.

— Do czegoż to się zniżamy! rzekł.

— Świat! życie—odparł Mamonicz—często nas zmusza do gorszego! cóż na to poradzić?

Gdy nasi dwaj przyjaciele idą dalej, w Mruczkiewicza pracowni wszystko do góry nogami. Mąż i żona stoją przeciwko sobie i rozprawiają. Ona trzyma w ręku część stroju, której się nie opisuje, on małsztok i pendzel.

— Da, co ich tu przyгнаło? pyta z domu Dubińska. Juścić nie prosta ciekawość, ani twoja robota serdenko, bo Bogiem a prawdą bangrzesz szkaradnie.

— Kochaneczko!

— Powszechnie gadają, da i ja mam oczy.

— Ale gadają przez zajązdrość.

— Ja bo i sama widzę, co do niczego niepodobne.

— Ale bo ty się kochaneczko nie znasz!

— Patrzaj-no go! Ja się nie znam? he? spytała groźnie z domu Dubińska.

Jegomość przytulił uszy i szybko zaczął palić fajkę.

— A uważałeś asan (asan mówiło się w chwilach nieukontentowania), jaką to pańską ma minę ten chamski syn?

— Chyba hajducką.

— Albo Mamonicz! kuta bestya!

• — O! znamy się, i nie damy się.

— Przez zęby cedził dyable pochwały.

— To *zajzdrość* moja kochaneczko!

— Potrzeba, żebyś mu taki oddał wizytę.

— A jużcić, i przez samą ciekawość, zaraz jutro pójde.

— Da! da! głupi! zaraz jutro! po kiego kaduka będziesz się śpieszył? będą myśleli, że my ich mamy za coś ekstra! A to go! a to nie wiedzieć zkad? sroce z pod ogona! ostatkami gonia, roboty nie mają. Ani chybi przyszli po twoją pomoc, bo Mamonicz wie, co ty Perlemu stręczysz.

— Bo to i Perli skąpiec; gdyby się co trafiło, a Rugpiutis lepiej mi posmarował grzanke.

— Daj-no pokój asan! nie wdawaj się! Starzy znajomi to starzy znajomi, a nowe sitko, to lichu go wie jakie jeszcze, dodała z domu Dubińska. Potrzeba *chytro, mudro*. Jeszcze to dumne: nie mogli w rękę pocałować! Daj im pokój.

— Zapewne, kochaneczko! zobaczymy. Ty wiesz, że ja twojej rady słucham.

— Da! da! bo się boisz!

— Kochaneczko, co nie, to nie, ale cię szacuję i kocham.

— Da! porzuć! *szacuję! szacuję!* albo kocham! znam się na tém.

Pokwiwała głową.

Mruczkiwicz usiłując odwrócić rozmowę, rzekł:

— A taki portret Fafuły bardzo chwalił.

— Ta! przecedziła jejmość przez zęby.

— I mówił, że mam siłę! a siła to piękna rzecz. Taki musiał wyznać, że mam siłę. Przysięgnę, że jemu jój braknie!

— Oj! prawda, masz siłę cherlaku! mruknęła jejmość, ruszając ramionami. Gadali, aby gadać.

— A co ja mu naprzycinał kochaneczko! to tak! że bladł a czerwieniał gdyby dziewczyna.

— A to bez *daj-racyi*, i bez potrzeby.

— No! no! Już i tę mam *ansę*, że późno się opatrzył poznać ze mną.

— Zachciałeś! Jaby wołała *gdyby* całkiem nie był. Jeszcze mnie tu pewnie swoją damuzelę przyprowadzi.

— Ni chybi! czy to on nie wie, kto ty z domu kochaneczko? Dla jego żony wielki honor, jeśli u niej będziesz!

— Tylko nie pierwsza. Taki przecię co Dubińska to nie jakaś tam kupcowny wnuczka! Dubińscy burmistrzami bywali i w radzie zasiadali, z Mieleskiej się rodzę. A to szerepetki z Imbarów od złego końca po matce, a dyabeł wie z kogo po ojcu. Rozmyśliwszy się, mogę i nie być u nich.

— Jużciż.

— A jeśli to prawda, że on chłop?

— E! jejmościuniu! staroświeckie przesady.

— Wasan głupi jesteś jak bóg! Co to u wasana i Dubińscy przesady? he? zkąd to ty wyniósł? he? To tak jak wczoraj, coś mi chciał dowodzić, że w piątek pościć przesady. Asanu coś świta w głowie; nie wadziłoby na rekolekcyę posadzić. Tylko mi się z tém odzywaj, farmazonie jakiś! Jak mi Pan Bóg miły, ki-jem myśli te przepędzę.

Mruczkiewicz ruszył ramionami i poszedł malować.

Perli mieszkał na Niemieckiej ulicy, lecz nim do niego zajdziemy z dwoma przyjaciółmi, którzy się wcale nie śpieszą, powiedzmy słówko o nim i jego pochodzeniu. Syn Włocha, mizernego malarza pokojów, którego jakiś pan wywiózł z za granicy umyślnie, ożenionego i osiadłego w Wilnie, Perli nazwisko tylko

miął obce. Ojciec jego nic nie zebrawszy, wreszcie rozpił się z rozpaczą, tęskniąc po cieplejszej ojczyźnie. Stanisław Perli syn, sam usposobił się na malarza. Troje ich było rodzeństwa: dwóch braci i siostra. Drugi brat, do którego nie bardzo chętnie przyznawał się malarz, był w Wilnie fabrykantem powozów; siostra poszła za bogatego kowala. Perli, jak wielu dorobników, którym się zdaje, że się wynieśli wyżej nad familię, wstydził się jęj. Ale w istocie często potrzebował; nie zrywał więc z krewnymi, bywał ukradkiem, zagnany pożyczal u nich pieniędzy, jednakże nigdy o nich nie wspominał, a słysząc wspomnianych, udawał, że ich nie zna. Mruczkiewicz i inni, wiedząc, że tém go najboleśniej zrania, często mu napomykali o bracie i siostrze niby przypadkowo:

— Pani Federowa, kowalowa, jak dziś wystrojona była na summiel! Powiedźże-no, prawda, że to twoja rodzinna siostra?

— Perli kareciarz, śliczny wysztyftował powóz dla wojewody. Czy to nie waszój familii ten Perli?

Lub:—Co to za Perli, co robi powozy?—Lub:—Feder kowal wszędzie gada, że ma za sobą twoją siostrę.

Perli zagadywał to jak mógł, ale głupi pocił się i czerwienił, jakby w tém, że ktoś pracuje inaczej od drugiego, w stanie jakim bodaj najbardziej poziomym, mógł być wstyd i hańba! Gdyby miał rozsądną odwagę powiedzieć od razu: „To mój brat, to moja siostra!” wszystkie szyderstwa ustaćby były musiały. Ale Perli wyuczywszy się własnym *sprytem* trochę malarstwa, miał się za bardzo wielkiego człowieka. Że sam wszystko był winien sobie, mógł się i słusznie pochlubić. Gdy ojciec się zapijał, a matka mu dopomagała, mło-

dém chłopięciem chodził do Batrani'ego trzeć farby, i poduczył się u niego, to u innych potém po trosze. Schwyciwszy główne wiadomości, dowiedziawszy się, *jak się uczy rysować, jak maluje*, począł macać, próbować, szukać, bazgrać, psuć płótna, malować szyldy, i w skutek pracy a sprytu doszedł do trochy mechanizmu, do słabego, ale pełnego maniery i pretensyi rysunku. Głośno się z tém chlubił, że był uczniem Batrani'ego i cytował także innych mniemanych nauczycieli z wielką pewnością, obawiając się jak ognia przydomka *samouka*, który mu po cichu dawano. Perli całą umiejętność zasadzał na materialnych warunkach sztuki, a i tych z pełna nie pojmował. Dla niego myśl jakby nie była w obrazie, o nią się nie troszczył wcale; obraz to figury, trochę płótna, farby, oleju i pracy ręcznej. Nic więcéj nie widział w nim. „Tak się malują ludzie, głowy, tak się maluje niebo, tak się drałuje, tak podmalowywa, tak układa i t. p.,” mówił w duchu i na tém kończył.

Wyższe sfery sztuki, pojęcie jój w sobie, pojęcie malarstwa jako języka do wyrażenia myśli, były mu niedostępne.

Perli był *sprytny*; to stanowiło jego zasługę i definicyę najlepszą talentu; ale spryt nie zawsze wystarcza.

Sprytem tym kłamał on przecię wszystko, na czém mu zbywało. Nikt nad niego emfatyczniéj nie mówił o sztuce, ani jój wyżéj nie podnosił, choć w duchu sam temu co mówił nie wierzył, myśląc, że nie wiedzieć dla czego tak ceniono sztukę, gdy to było proste tylko rzemiosło. To pytanie, które sobie po cichu nieraz zadawał, oznaczało dokładnie, czém on sam był: rzemieślnikiem, nie więcéj. W skutek pracy i sprytu, Perli wyrobił sobie swój właściwy koloryt, jakiś ceglasty,

nieprawdziwy nawet konwencyonalnie, bo w cieniach schodził na zimną czarność, pewny rysunek nienaturalny, pozornie styl imitujący, i udawał z tém malarza doskonale. Wzgardziwszy portretami, w których naturalności potrzeba, a nabyć jój nie mógł, wziął się do malowania obrazów ołtarzowych i wotałnych, które w początkach były szkaradne, ale powoli sam się doskonalać, doszedł do terminu, jakiego dosięga zwykle mierność, przestąpić go już nie mogąc nigdy. Malował znośnie dla tłumu. W jego obrazach nie było wprowadzie ducha, ale nie uderzały pozornie szpetotą widoczną, ani wadami krzyczącymi. Było to coś nieporównajęcego oczu, koloryt ciemny, czarny, brudny z czerwonym; rysunek jak może być najpospolitszy.

Tyle był *sprytny*, że nie kradł ze sztychów całych postaci i grup; kradł po cichu kawałeczkami, tam nogę, tu rękę, indziej głowę, lub całą figurę, ale przebraną już do niepoznania. Tak tworzył swoje obrazy; natura była mu obcą, a radzić się jój nigdy mu nawet na myśl nie przychodziło. W rozmowie z malarzami tak był zręczny, że zawsze czegoś się od nich dowiedział, udając umiejętnego. Z tak chwytyanych wiadomości korzystał cichaczem, a nikt się nie domyślał nawet, że był okradziony.

Perli robił dużo, łatwo i tanio. W swoich utworach co umiał najlepiej, to unikać trudności. Zakryć część trudną akcesoryami, schować rękę, pokazać co umiał najlepiej wymalować, potrafił niezmiernie zręcznie. Malowanie jego w światłach było miękkie, rozlane, utopione kontury, szary pozór; w cieniach twarde i czarne. Pomimo to panowała w nich jakaś harmonia pozorna, nieczyniąca ich rażącymi na pierwszy rzut oka.

Rozbierając dopiero przekonywało się o wadach i odkrywało, że pod tą łupiną nie było nic myśli, wyrazu, pojęcia. Kilka konwencyonalnych typów wyuczonych, kilka wyrazów fizyognomii, służyły mu do wszystkiego. Z nieudanej Matki Bolesnej, robił z największą łatwością Świętą Magdalene, ze Świętego Piotra Świętego Stanisława, nie rozumiejąc jak ogromne różnice zachodzą między właściwymi im typami. Dla niego wszystko było w oczach spuszczonech lub zawróconych, ustach otwartych i dwóch łzach, które umiał rzucić na policzki, (choć te zwykle spadały wypukłościami nie wklęsłościami twarzy, czego nie uważał wcale Perli, byle łyzy zrobił).

Perli miał dosyć wziętości i roboty. Spryt mu i tu dobrze służył: pochlebny grzeczny a zimny, nikogo nieumiejący pokochać, nieprzywiązujący się do nikogo, wkręcił się wszędzie, i zyskiwał robotę natarczywością bezwstydną lub *sprytem*. W wypłatach pilnował się surowo, a gdy zaszły trudności, nie wahał się męczyć, dokuczać, prześladować, aż swoje odebrał. Powierzchnowość Perlego odpowiadała jego charakterowi: chudy, blady, giętki, z małą główką, osadzoną na żyłastej szyi, z oczyma blademi i ukośnym wejrzeniem, prawie bez brody, bo nie zarastał niemal na twarzy, usta miał wąskie, sine i nieznaczące. Wielkie białe uszy niezgrabnie szpeciły jeszcze tę głowę. Mruczkiewicz nazywał go często pociechu: *Długouchym samoucziem*; ale spotkawszy się, ściskali serdecznie bardzo. Perli był dosyć gadający, a mówiąc dobierał wyrazów jak Szyrko najdziwniejszych, potężnych dźwiękiem, brzmiących głośno, które tak rozmierzał stosownie do osób, że zawsze niemi zadurzył i wielkie dał o sobie wyobrażenie. Używał umyślnie najniezro-

zumialszych dla tych, z którymi mówił, i dobierał bardzo zręcznie; im niżej kto był umysłowo, tém więcej go zasypywał wyszukanemi słowami, zagłuszał, oślepił, przygnębiał. Z ludźmi z professyi swojej, zmagał się na wyrażenia dziwnie brzmiące, na najwyszukańsze sposoby mówienia, i techniczne stare lachmany wywlekał, ale już z innój szufladki. Słowem, był to aktor niepospolity.

Perli ożenił się na swoją biedę, tu wcale mu spryt nie posłużył. Młode dziewczę, żywe, prześliczne, swawolne a zepsute jak owa Maryetta Batrani'ego, i bardzo do niej podobne, tak mu zawróciło głowę, a raczej przemówiło do zmysłów, że się z niem ożenił. Rozalia przezwana Rozyką, wodziła go nawet za nos w początku. Była to ładna jeszcze dotąd kobiecina, mimo że trochę chuda i pści ciemnej, ale zręczna i wdzięczna niewymownie. Szatan zresztą w ludzkim ciele, dowcipna, lubieżna, egoistka jakich mało, a z sercem łatwo poruszającym się przecie, walczyła już teraz na dobre z mężem, usiłując wywalczyć chwilę swobody, szalu i śmiechu. Rozyka lubiła się bawić i zawsze bawić. Zabawy jój, wedle miejskich powieści, nie zawsze niewinnym kończyły się pocałunkiem. Bywało różnie. Malarz się tego dopatrzył, powstał niepokój w domu i wojny domowe straszne, bo często na wzajemnych kończące się razach. Niekiedy przychodziło do podrapania; dodajmy, że rzadko.

Naówczas Rozyka płakała, roznosząc po mieście swoje nieszczęście i ucisk... i korzystała z chwili osłupienia męża, który już jój nie posądzał, na odwiedzanie swoich ulubieńców. Miała ich bowiem, jak powiadało, liczbę niemałą.

W domu, skutkiem starcia się tych dwóch charak-

terów, z których żaden jeszcze stałego sobie nie wywalczył zwycięstwa i wyższości, panował nierząd i nieład. Były dwie głowy, więc jakby żadnej nie było. Często sprzeczki kończyły się na tém, że Perli robił swoje, a żona swoje, on niepokonany, ona niezwyciężona. W wielkich razach robiono sobie na złość. Rozynka obita, mściła się, podburzając swoich krewnych na malarza. Perli bał się ich niewymownie, w nich była cała obrona kobiety, cała jej na teraz potęga, bo wdzięki już nie skutkowały na malarza.

W chwili owego miłosnego szału, który go prawdziwie jak Włocha opanował, Perli się nie zastanawiał, że brał Rozynę z tej klasy, z której sam wynijść usiłował. Matka jej była komornicą biedną; z dwóch jej synów, jeden był furmanem w mieście, opojusem i sławnym hałaburdą, drugi miał sklepik na Łokciu, gdzie z żoną sprzedawał różne wiktuały, kuchenne potrzeby i przysmaczki dla pospólstwa, nie wyuczywszy się przy swoim zajęciu łagodności i powolności. Trzeci brat stryjeczny, najbogatszy, trzymał arendę, dom zajazdny na Końskim targu, gdzie z największym upodobaniem zapijali się ludziska w czasie tygodniowych targów. Ci trzej bracia Rozyny kochali siostrę, dumni z niej będąc i głośno się chlubiąc pokrewieństwem z panią *malarzową*. Nieraz Perli ciężkie miał z nimi przeprawy, gdy obita żona poszła do braci na skargę; nieraz chować się przed nimi musiał, bo go nawet poszturchać byli gotowi. Barczyste owe chłopcy: Szymon, Tadeusz i Bartłomiej, opiekowali się czynnie Rozyną; ona nimi w potrzebie zasłaniała się jak tarczą.

W domu, jakeśmy powiedzieli, nie było *rzędu*, wrzała ciągle głucha wojna. Chwilami następował rozejm czasowy, ale zaraz po nim najzaciętsze walki. Żona

malarza nie mogła się ustatkować; mąż ją zaniedbywał, a ona tak lubiła się bawić, swawolić i ząbki wyszczerzać, że gotowa była na wszystko się narażać, byle pochychotać i swobodnie ucieszyć. Szczęściem czy nieszczęściem nie mieli dotąd dzieci, bo co roku ronila biedna kobieta, i co rok oplakując to ukochane niedonoszone dziecko (gdyż bardzo pragnęła synka), znowu przez nieostrożność narażała się na drugą stratę podobną.

Perli mieszkał na Niemieckiej ulicy. Zastali go przyjaciele nasi właśnie wśród zaciętej z żoną walki, której wyrazy głośne, rzucane jak wystrzały, doszły ich uszu na wschodach.

— Byłam u brata Szymona! wołała Rozynka.

— U brata Szymona! i u brata Judy może? Ileż to razy zakazywałam ci tych trutniów braciszków odwiedzać? he? To są zbóje!

— Wolno tobie, wolno i mnie. Ty sobie chodzisz do Federów; a co to gorszego mój brat Szymon, Tadeusz, a choćby i pocziwy Bartłomiej?

— Ja ciebie nauczę! ja ciebie nauczę!

— Bij, bij! to ci Szymon odda we dwoje!

— Waćpani kłamiesz! jako żywo nie byłeś u Szymona. Ja wczoraj umyślnie chodziłem do niego, nie było go w domu, jeździł coś kupować.

— Co to ty będziesz mnie przespiegowywał! Więc się nie dowiesz. Mam ja przecie swoją wolę. A czego mi dowiedziesz? Tobie się roi w głowie licho wie co, i rogi ci rosną.

— Otoż to, że rogi! ale ja tobie innych rogów nabiję.

— Niedoczekanie twoje!

Trzaśnięcie drzwiami, które oknami zatrzęsło, za-

mknęło rozmowę, właśnie gdy Jan i Tytus wchodzili. Perli jeszcze był blady od gniewu, i stojąc przed trójnogiem, mieszał gwałtownie farbę na palecie, maczając pendzel bez potrzeby to w olój, to w terpentynę, to w pokost. Z palety ciekła rozebrana farba na podłogę.

• Postrzegłszy we drzwiach Tytusa i kogoś obcego, pomiarkował się w gniewie, nagle uśmiechnął się, jakby nie miał ciężkiego na myśli, i podszedł ku nim.

— Malarz przychodzi poznać malarza! zawołał Tytus: pan Jan Rugpiutis.

— A! bardzom szczęśliwy, rzekł chwytając za rękę Perli i podając krzeselka. Dawno pragnąłem mieć to szczęście poznania tak znakomitego artysty, który tyle swój nacyi robi zaszczytu, jako też... Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności, jako też...

Zmierzył go okiem.

— Pan zwiedzałeś czarowne Włochy naszeli rzekł. Ojczyzna moja, ale nie znam jój, i nie mając okazji studyowania tam, noszę ją tylko w sercu przepelnioném, jako najdroższej matki wspomnieniem! Jestem dyscypułem Batrani'ego.

— A ja także, rzekł Jan.

Perli się zmieszał.

— Byłem u niego dość długo. O! był to człowiek i prawdziwy artysta, głową i sercem.

— Za jego współdziałaniem dopiąłem tego, czém jestem dziś, jako też, w téj chwili! dodał Perli— chociaż nie wojażowałem nigdzie, pracą i oddaniem się mojemu fachowi tajemnie dochodzę, jako też...

Zawsze *jako też*, urywało mu mowę i zastępowało w niej próżnie niezapełnione myślą lub wyrazem.

Naturalnie wypadało obejrzeć obrazy, i tu Perli chciwie począł wybadywać Jana, spodziewając się czego nauczyć. Jan chodził, bo musiał, od płótna do płótna, a Perli dumniał widocznie pochwałami. Wtém drzwi otwały się popędliwie: Rozyna nic nie wiedząc o przybyciu obcych, wpadła niemi, nie ze wszystkiém ubrana. Biegła do męża, zatrzymała się, spojrzała na Jana, który jój zaraz wpadł w oko, poprawiła suknię roztwartą na pięknych jeszcze piersiach, i cofnęła się zarumieniona.

— Moja żona! wybąknął Perli, dławiąc się: moja żona... jako też...

Rozyna w płomieniach i zawstydzona, ukloniła się z uśmiechem szatańskim Janowi, uciekając z zalotną zręcznością i ciskając ukośnemi wejrzeniami ognistych swych oczek.

— Ten wielki obraz — mówił Perli, którego bezwstydne zerkania Rozynki niecierpliwiły — maluję do świątyni jednej krajowej (vulgo do kościoła parafialnego): Uwolnienie Świętego Piotra.

— Światła są bardzo umiejętnie rozłożone.

— W samój istocie, nie szukając z tego nienależnej chluby, w światłach, powszechną opinią, celuję — rzekł malarz. Rzuty onych. (jako też) mam szczęśliwe. Racście wejrzeć na to oświecenie oblicza apostołskiego.

— Bardzo dobrze, mruknął Jan: obraz tak wielki... Ta głowa musi być zapewne z natury? spytał.

Perli, który głucho o tém tylko słyszał, że się głowy i ciała malują z natury, podchwycił zręcznie:

— Pragnąłem usilnie, aby mogła być wydarta naturze, lecz (dodał) u nas wzory żywe niedostępne. Przesady, nałogi, ciemnota! (jako też) nędza, niepo-

dobna mi żywych dostać wzorów. Malowałem dawniej z natury, teraz już tylko z głowy własnej, (jako też)...

— Tém większa sztuka, tém piękniejszą wydaje nam się ta głowa! rzekł Mamonicz.

A głowa, o której mowa, przerysowana była ze studyów wydanych w Rzymie z fresków Rafaela, i tak widocznie należała do jednego z doktorów w Dyspucie o Przenajświętszym Sakramencie, że omylić się nie było podobna. Perli wiernie ją przekalkował, ale popsuł kolorytem niewłaściwym i światłami nie na miejscu.

Zaczęła się rozmowa o malarstwie i tu dopiero, pomimo całej swój zręczności, pokazał się Perli nieukiem, nastając ciągle, to na tajemnice, które posiadał w przygotowywaniu den, farb, to na gласowania jakieś osobliwsze i t. p. Z téj gawędy na inne pole wyprowadzić go nie było można. U niego sztuką nazywała się sama mechaniczna tylko robota. Jan cierpliwie przetrwawszy rozmowę, gdy Mamonicz podprowadzał Perlego i wyciągał z niego coraz bardziej olbrzymie głupstwa jakby naumyślnie, czuł się znużonym i zmęczonym niewypowiedzianie. Perli w dobrej wierze paplał coraz górnijszym stylem i gęściój wstawując ulubione: *jako też*.

Podziwienie Jana rosło coraz bardziej, wytrzeszczał oczy, zaledwie mógł obronić się ziewaniu z jednej, śmiechowi z drugiej strony, a ramiona trzymał całą siłą, aby niemi nie rzucać co chwila.

Ten człowiek zwał się dla ludzi artystą! Z niego brano miarę o sztuce!

— A! zawołał Perli na pożegnaniu, wynosząc swoje dzieła, których piękności uprzejmie wskazywał. Głowa piękna! ręka tylko zaledwo być naganiona mo-

że. Ale pan wie (mrugnął z uśmiechem na Jana), że i sławny Rabrant źle ręce malował, a co do rysunku to był zupełnie lichy.

— Jednakże — rzekł Jan, nie mogąc wytrzymać — widziałem portrety jego we Florencyi, których ręce są arcydziełami.

— Ale czy to tylko z pewnością Rabranta? spytał uśmiechając się Perli: bo on, o ile wiem, same *ogień i nocne światła* jako też *cienistości* malował!

Jan nic nie odpowiedział. Perli mógł nawet myśleć, że go pokonał, gdy ten nie widział potrzeby tłómaczenia i oświecenia zarozumiałca.

Wyszli i długo powolnie przechodzili ulice, a Jan ze spuszczoną głową ani się odezwał do Mamonicza.

— Powiedz mi — rzekł nareszcie do niego — na co mi się przydać może znajomość z takimi ludźmi? To są bazgracze!

— Niestety! rzekł!

— Więc po cóż mi oni?

— Mówilem ci już i powtórzę. Są to bardziej jeszcze intryganci niż bazgracze, odpowiedział Mamonicz. Może ci mniej szkodzić przynajmniej będą, jeśli twa znajomość próżność ich polechce, jeśli ich rozbroi, o czém dotąd wątpię. W razie gdybym się mylił, zawsze to ciekawe studia. I taką hałastrę znać potrzeba... Wiesz co? mówił dalej wahając się Mamonicz: pokazałbym ci coś daleko godniejszego uwagi twojej jako człowieka i jako artysty, rzecz osobliwą, wyjątkową, ale... ale...

— Cóż ci przeszkadza?

— Co? tysiąc rzeczy, tysiąc uwag.

— Nie rozumiem, czybaby nas tam nie dopuszczono?

— O! i owszem przyjmą z wdzięcznością.

— Więc nie pojmuję dla czegobyśmy nie poszli tam, gdyśmy byli u Mruczkiewicza i Perlego?

— Bo te ostatnie odwiedziny chyba dla przyjemności być mogą; użytku z nich żadnego, owszem, kto wie, czy nie szkodliwe?

— Powiedźże mi proszę wyraźniej i nie męcz mnie dłużej.

— O! znowu bo powieść czy historia cała! i historia Żyda malarza! Jeżeli chcesz zobaczyć Jonasza Palmera, opowiem ci wprzód kto jest. Proszę tylko o cierpliwość.

— Żyd malarz! rzekł Jan z podziwieniem. Coś dziwnego w istocie!

— Zaprawdę, niepospolite zjawisko. Wiesz i pojmujesz, co u nas znaczy Żyd. Żyd jest jeszcze istotą napiętnowana, wyklętą jak w średnich wiekach, wzgardzoną i niższą od wszystkich. Gdybyśmy po panu Mruczkiewicz, którego żona z domu Dubińska, i po Perlim, odwiedzili prostego Żyda, pierwsi dwaj dowiedziawszy się, możeby się śmiertelnie gniewali. Ale myślę, że się nie dowiedzą, bo go podobno nawet nie znają. Jonasz tysiącokroć więcej wart od nich, ale Żyd. To dosyć. Co do mnie, ja tego biednego paryi nigdy bez uwielbienia widzieć nie mogę. Wielce wyższy ukształceniem od swój tutejszej braci, nie zaparł się przecie ani fałszywie przez niektórych wzgardzonego narodu, ani nienawistnej wszystkim wiary. Pojął on, że oddzielić się od zwycięzców dozwolono; ale opuścić braci w niedoli jest podle. Jonasz, który zwiedził Palestynę, nieraz mi opowiadał o stanie Izraelitów tamtejszych, o upadku światła między wybranym ludem bożym. Nigdy nie zapomnę wyrazów jego,

gdy mi malował cierpienia narodu, co wyprzedził inne poznaniem jedyne go Boga, co przez chwilę przewodni-
czył ludzkości jak gwiazda, dziś zmuszonego żyć
w poezwarném zrośnieniu z mahometanami, ludem od
siebie niższym cywilizacyą, zmuszonego ulegać sile
zwierzęcej, sile bezrozumnej, a potężniejszej jednak
nad wszystko, nawet nad opiekę Jehowy! Z jakąż
rozpaczą wymowną maluje on cofanie się powolne
i zaślepianie Izraelitów, a nareszcie ich upadek, upa-
dek myśli, ubóstwo duszy! Niekiedy mówiąc o tém,
staje się Jonasz poetycznym jak księgi prorocze,
wzniosłym jak pieśń biblijna. Lecz za chwilę poznasz
go, idźmy, on ci sam to powtórzy, bo to zwykle pierw-
sze słowa, co się z wezbranój jego wylewają duszy,
i ostatnie. Żyd i malarz razem, u nas w Wilnie! za-
dziwi cię Jonasz Palmer. Lecz kilka słów jeszcze
o nim, a wytłómaczy ci się to zjawisko. Jonasz był
sierotą, a miał w Hamburgu i Frankfurcie po matce
i po ojeu krewnych bogatych. Ci, dowiedziawszy się
o sierocie, wzięli go do siebie. Małém jeszcze dziecię-
ciem przebył kraje dzielące go od tych, co mieli za
obowiązek zaopiekować się dalekim powinowatym.
Żydzi bowiem, powiada Jonasz, jak wiele ludów bied-
nych, stali się prawie wszyscy jedną wielką rodziną,
jedną rodziną Izraela; a póty Żydów, póki ta jedność
ducha ich skupia i ożywia. I ma słuszość. Jonasz
Palmer, wzięty przez Palmerów frankfurekich, wycho-
wał się u nich, na jednej z tych ulic ciemnych i brud-
nych, gdzie wymieciono Żydów jakby na wielkie
śmietnisko. Znasz może sławną frankfureką *Juden-
gasse*, ciemną ulicę wygnania, jak Ghetto w Rzymie,
gdzie Żydzi odłączeni od chrześcian gdyby plugawy
zwierz żyją. Tam w ciasnej kamienicze gotyckiej,

którą żywo opisuje Jonasz, zeszło mu dzieciństwo smutnie, ale spokojnie. W ostatnich czasach już przecię na noc przynajmniej, jak zwierza w klatce, nie zaciągano ich łańcuchami. Tam, w tych ubogich na pozór sklepach, w przysłonionych oknach, błysły malarzowi młodemu pierwsze wzory głów starców i czarno-okich niewiast; tam na poddaszu dumał, czytał i rysował. Krewni dali mu (jak im się zdało) chleb i sławę, dozwalając (choć dosyć niechętnie), aby został malarzem, wedle powołania. Nie wiem, kto był nauczycielem Palmera, ale słyszałem, że ucząc się u chrześcian, co krok doznawał przykrego prześladowania. Nigdy nie chciał zaprzeczyć się, że jest Żydem; a skoro się o tém dowiedziano, wyganiano go ze szkoły, gdyż nikt z nim razem uczyć się nie chciał, ani siąść obok na jednej ławce. Uczył się najwięcej z książek, ze sztychów i mnóstwa arcydzieł rozspanych we Frankfurcie i innych miastach niemieckich. Nie mógł być dotąd we Włoszech, ale je zna dobrze i przeczuwa. Kolorysta, człowiek żywego uczucia, ma coś w sobie z naiwności dawnych mistrzów niemieckich, na których się z uwielbieniem napatrzył... Ale otożemy blisko, chodź. Palmer jest tylko do czasu w Wilnie, powraca nazad do Frankfurtu. Tutaj sprowadziło go tylko niespodzianie spadłe nań dziedzictwo po babce, która schowała się i żyła ubogą, sprzedając zgniłe jabłka i kwaśne wisienki, chodząc w zabłoconych, słomą wypchanych butach, po najbrudniejszych miasta zakątkach; przecięż znaleziono po niej zaszyte w lachmanach więcej tysiąca dukatów uciulanych po jednemu dla wnuka. Przed śmiercią zawołała rabina i oddała mu rupiecie swoje, aby doszły w całości Jonasz. Palmer przez wdzięczność dla niej, przez ciekawość

poznania kraju, w którym się urodził, przybył tutaj na czas. Życie wszakże nie może, codzień oburza się na nieszczęsny stan swych biednych współbraci, i powiada, że choć podle zrobi, uciecze jednak z placu, bo mu serce pęka na widok ich skalania i moralnej nędzy.

Byli już u drzwi mizernego piętrowego domu żydowskiego, tak brudnego, tak straszliwie niedostępnego, że przez rynsztoki skakać na podwórze, a po kupach błota nalepłych na wschodach, wspinać się było potrzeba na górę.

Ledwie omackiem, choć we dnie, dobili się do drzwi pół szklanych, które im odarty Żydek otworzył; potem przechodzili szybko okropnie zatęchłe izby, gdzie całe familie spychały się na kilku łokciach kwadratowych, ucząc się, swarząc, licząc, handlując, kochając i gospodarując w ciasnocie i zaduchu nieznośnym. Przez niecki z łókszynem, przez cebry pomyi, ocierając się o kotary odarte i mnóstwo stojących i wiszących kołysek, przecisnęli się nareszcie do wnijścia zamkniętego szczelnie pokoiku, który im otwarty został przez samego gospodarza.

Był to młody człowiek małego wzrostu, delikatny, chudy, i jak prawie wszyscy potomkowie umarłych ludów, co dożywają wiekuistego bytu na pielgrzymce w obcej ziemi, biały jak kobieta, z płcią przezroczystą tak, że przez nią sine się żyłki przeświecały. Typ jego twarzy był wschodni. Ogromne ożywione oczy czarne, głęboko oprawne, otaczały brwi ślicznego rysu; usta miał smutne, ale rumiane, małą bródkę i wąsy ciemne, włos kruczy w siny wpadający prawie, a czoło wyniosłe i gładkie.

Twarz była blada i zmęczona, sine znaki pod oczyma, łzy czy cierpienie chorobliwe wyjadło.

Zarumienił się z lekka, widząc wchodzących, i powitał uśmiechem a wejrzeniem jakby ich pytał: czy mu pociechę, czy obelgę i upokarzającą wzgardliwą litość przynoszą?

Po przywitaniu, które ze strony Jana było tém serdeczniejsze, iż na pierwszy rzut oka uczuł w Jonaszu jednego z tych ludzi, do których się łatwo przywiązać sympatycznie, Żydek pochwycił za rękę Jana i zawołał:

— A! jakżem szczęśliwy! Co za radość! Wy nie gardzicie biednym paryą! wy mnie odwiedzacie, mnie, Żyda! Niech Bóg wam to nagrodzi.

Jan mu odpowiedział żywo:

— Pozwól kolego powiedzieć sobie, że dziś słusznie przesądem barbarzyńskim ochrzczono wzgardy owe stare, całych narodów dotykające niewinnie.

— A! to są słowa, rzekł Żyd: myśmy jednak zawsze tym waszym Ahaswerusem, któremu Bóg wasz rzekł: „Idź, wygnanym, błędnym, i pożywaj chleb pięciu denarów twoich we łzach i pogardzie.” Dla was myśmy potomkami zabójców Boga.

— Potomkami wybranego ludu.

— Tak, wybranego i strąconego. Ale—dodał z pewną dumą—ludy jak ludzie umierać muszą; trzeba się umieć pogodzić z losem i bozkie wyroki szanować. Są wielkie konieczności, przeciw którym któż co może? Kto jak Bóg? Boża prawica nad nami. Nie godzi się wyrzekać!...

Byliśmy—dodał z rosnącym zapalem — narodem wybranym, co reszcie ziemi, co całej ludzkości dał Boga swojego, Boga jedyne; dziś myśmy ostatni

z ostatnich. Życie nasze zeschło jak trawa i minęło jako cień. Kto wie? co wyrażał ów bałwan Egiptu, bałwan Tebański, zwany sfinksem, owa wielka starożytności zagadka? Może los wszelkiego narodu podbitego, co sile pięści ulega, i zrasta się ze zwierzęciem i mając skrzydła, ale kamienne, ruszyć się nie może ani podlecieć głową ludzką z ciałem zwierzęcym. Ten sfinks zawsze mi naszą dolę w Palestynie maluje. Żydzi, co dali Biblię światu, a są sługami miecza mosleminów, nie jest-li to głowa człowieka ulegająca ciału bestyi? A żale nasze bezsilne, rozlegające się po pustyni, nie sąż to skrzydła kamienne tajemniczego zwierzęcia, któremi z ciężkiej rzeczywistości ulecieć nie można?

To mówiąc, zakrył twarz ręką i jakby odpędzał myśli natrętne, uśmiechnął się łagodnie, wesoło prawie, ale z przymusem.

— Żydowi, rzekł, nawet artystą być trudno. Przystęp do areydział sztuki ciężki dla niego; do świątyń waszych podchodzi ze strachem; Rzym dla niego miastem zapartym, gdzie mu na ruinach starych zwycięzców swoich upadłych, zapłakać nawet nie wolno. Cierpieć, rzekł, modlić się i milczeć to los nasz.

Odwrócił się do Jana:

— Widziałem roboty pańskie, odezwał się, zachwycałem się nimi, a obawiałem przystąpić do ich twórcy. Wówczas kiedy ogłosiłeś, że wolno je oglądać wszystkim, i ja tam wśliznąłem się ukradkiem, ale ścisnąć ci dłoni, jakem chciał, nie śmiałem, nie mogłem. Czyżem się spodziewał, że ty pierwszy przyjdiesz ku mnie? Czémże ci to odplacę? chyba wieczną w sercu wdzięcznością, bo w naszym biednym położeniu wdzięczność bywa wieczna; rzadko też kto na nią zasłużył!

Na trójnogu w pośrodku izby stał mały jeden obrazek. Misternie obwieszona zielona zasłona okrywała go raczej od oczu może niż od pyłu i spadającej ze sklepień obłamującej się pobiałej. Jan prosił o pokazanie roboty.

— Twoje prace — rzekł Jonasz — są pracami prawdziwego artysty; moje to próbki i bawidełka tylko. Drobne, małe, bo nie porywam się na wielkie, wiedząc, ile do nich potrzeba umiejętności. Pracuję sumiennie, każdą figurkę obrazka staram się robić z natury, ze wzoru lub w ostateku z makietki, która mi rzuty cieniów daje. Maluję najwięcej wnętrza i obrazki perspektywy, których kilka pokażę. Ten, na który patrzycie, jest wyjątkiem. Natchnęło go Pismo, ostatni zabytek Izraela, którego nie zbezczeszczono, który u ludów znalazł przyjęcie. Twoje obrazy, panie, pełne są ognia, łatwości i śmiałości; moje z serca idą, ale powolnie, ciężko i mozolnie się rodzą. Ja tworzę jak rodzi matka z boleścią i krzykiem.

— Któż inaczej? spytał Jan poruszony.

— Któż z was nie czytał ksiąg Hioba, tego arcydzieła poezyi wielkiej, natchnionej, świętej? Tam jeden ustęp wedle mnie doskonałym jest obrazem tworzenia umysłowego, tworzenia jak ja je pojmuję, tego porodu myśli, która staje przed nami, oddzielając się od nas, i często upokarza lub zadziwia tego, co ją z siebie wydal na świat.

Pochwycił Biblię ze stolika, i wpatrując się w nią wyrzekł, tłómacząc, drżącym od wzruszenia głosem:

— „Iż ty wiesz czas porodzenia dzikich kóz na skałach, albo dojrzałeś kiedy jako łanie rodzą? Rozliczałeś miesiące poczęcia ich, a zwiedzałeś czas ro-

dzenia ich? Schylają się do płodu i rodzą, i ryk niemal wypuszczają. Oddziela się od nich płód ich, a odchodzi. Odchodzą a nie wracają się do nich.”*) Tak z rykiem boleści tworzy prawdziwy sztukmistrz, i myśl od niego odlacza się a nie wraca. Idzie w świat na pastwę, na ciosy, na to, by niepoznana lub zabita została, jako dziecię łani i dzikie koźle...

Spuścił głowę młody Izraelita.

Jan odsłonił obrazek stojący, choć malarz zlekka się temu zdawał opierać jeszcze.

— A! zawołał: i to z ksiąg Hioba, chwila, gdy mu się urąga żona, a trzej przyjaciele siedzą z nim milcząc na ziemi.

— Tak! rzekł Jonasz. A Hiob to naród nasz! i z nim powinien powiedzieć na próbie: „Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki bożej, złego czemuśmy przyjmować nie mieli?”**) I znalazł Izrael w obcej ziemi niejedną niewiastę, co mu urąga, ale nie ma trzech przyjaciół, coby w głuchém milczeniu boleści siedm dni około zranionego przesiedzieli!

Spojrzeli na małe płótno, które było prześliczne. Typy Wschodu, stroje wschodnie, koloryt prawdziwie wschodni.

Jaka boleść spokojna a głęboka w głowie nagiego starca, jakie nikczemne urąganie w kobiecie! Trzej przyjaciele: Elifas Themanitezyk, Baldat Suhitezyk i Sofar Naametezyk, każdy inaczej wyrażali bolesne współczucie i litość serdeczną. Trzy te głowy zachwycające były boleści powagą. Skalisty pejzaż, jak gdy-

*) Biblia Scharffenbergera. 1561.

**) Rozdz. 11 w. 10.

by z natury wzięty, służył za tło téj scenie. Postaci wszystkie, choć nie miały nad kilka cali, choć pieszczone, wykończone, miękko jednak i szerokim pendzlem zrobione były. Tors Hioba i chorobliwe plamy jego ciała, z dziwną doskonałością wyrażały boleść sromotną, a nie były przecię obrzydliwe lub ohydne.

Jonasz przyjmował pochwały bez próżności, ale z widoczném pomieszaniem, w którem przebijała się radość.

Wysunął potem szufladę, i pokazał Janowi kilka wyborynych wnętrzy, ozdobionych scenami życia potocznego, w rodzaju flamandzkich i holenderskich obrazków. Były to roboty tak misternie skończone, tak umiejętnie idealizujące powszednie życie, prozę najprozaicniejszą żywota, że Jan zachwycił się nimi i cieszył. Wykonanie wszędzie było pracowite, dokładne, równe; a obok troskliwości największej, wykończenie miękkie i harmonijne. Stopniowanie tonów zastanawiało, światła zdawały się świecić istotnie, tak doskonale podniesione były otaczającemi je półtonami.

Jonasz schował roboty powolnie.

— Tu — rzekł — u was ani znawców, ani kupców na nie nie znajduję. O! i cieszę się z tego! Gdybym mógł nigdy nie rozdzielać się z nimi! Kocham je jak dzieci, choć nie ślepo. Widzę wady i kocham z nimi. Długo robiąc, przywiązuję się do robot moich nad miarę, a gdy się przyjdzie rozstać, wstyd mi powiedzieć, żałuję ich, ledwie nie płaczę. A! któż z nas nie uczuł, oddając myśl swą ożywioną, narodzoną z siebie, jakie ją losy na świecie czekają? Nie jest-li to koźle Hioba? W jakie się ręce dostanie? co ją za przeznaczenie spotka? Nie jest-li to owo jaje

strusiowe téjże księgi *), które „noga podeptać może, albo zwierz polny zetrzeć?” Znajdzie się-li kto, co wyczyta wszystko, co artysta w dziele swojém zapisał? całą myśl jego aż do najdrobniejszych jój latorośli?...

Długo rozmawiali tak jeszcze, a Jan, żegnając Jonaśza, prawdziwie był poruszony, tyle szczerego zapalu znalazł w wyrazach jego, tyle ognia i natchnienia. Mimowolnie on i Tytus nastroili się do téj jednostajnej pieśni Izraelity, śpiewającego zawsze jak nad rzekami Babilonu tęskną skargę wygnańców po utraconej wielkości.

— Wierz mi, rzekł Żyd w ostatku, żegnając Jana: do śmierci tych odwiedzin nie zapomnę. Świat zwyciężonych, upadłych częstuje wzgardą. Winni są przed nim, bo upadli, a któryż upadek nie kala? Winni, gdy rozpaczliwie chcą wznieść się ze swego kału i błota; winni, jeśli się skarżą; winni, gdy milczą — zawsze winni. A gdy z tłumu tych, co wołają: „Winni!” wyrwie się głos serdeczny, głos współczucia i litości, jakaż to wdzięczność! Wy nie dożyjecie pewnie — lecz kto wie! synowie może wasi lub wnuki... nietrudno być prorokiem! — chwili, gdy i dla was, jak dziś dla mnie, słowo pociechy, dłoń wyciągnięta, współczucie serdeczne będą drogim darem. Nie daj Boże! ale narody giną i upadają jako ludzie, a przeciwko śmierci nie ma ratunku! Miecz to anioła bożego!

Następujący dzień spędzili Tytus i Jan na odwiedzinach u znaczniejszych w mieście osób, których opieka mogła się przydać Janowi: u biskupa, przełożonych

*) Rozdz. 39, w. 13, 14, 15.

klasztorów, celniejszych urzędników zamieszkujących Wilno. Kasztelan, gdzie mógł, podjął się zalecić Jana, któremu sprzyjał prawdziwie. Ale te odwiedziny, znajomości nowe, które tyle kosztowały Jana, te pokłony i uśmiechy wymuszone, niewiele skutku obiecywały. I duchowni, i świeccy bardzo grzecznie przyjmowali malarza, rozpytywali go o Włochy, o niego samego, o lata, o zdrowie, o powietrzu mówili i pogodzie, o czém tylko się mówi w takich razach; odprowadzili z obietnicami pomocy, lecz ani chwili nie pomyśleli szczerze, by co zrobić dla niego. W owym czasie nie wiele też było można. Umysły zajęte były wypadkami politycznemi, po sobie następującemi szybko a niespodzianie. Bóg jeden mógł tę niemoc konieczną uleczyć, ale Bóg często zsyla śmierć, gdy wie, że lepsza będzie nad życie, gdy naród spełnił, co mu się należało, co mu było wydzielono, gdy skończył jak robotnik w winnicy. A śmierć z ręki bożej, to tylko pieluchy do nowego odrodzenia moralnego.

Owiedziny u malarzy, na które Mamonicz rachował jako na lekarstwo, ledwie nie przeciwny spodziewanemu skutek sprawdziły. Perli i Mruczkiewicz wzajemnie się sobie niemi pochwalili zaraz; a dowiedziawszy się, że Jan był u obu, obaj nie byli temu radzi, że stali na równi.

Mruczkiewicz pomyślał: „Był u tego samouka!”

Perli: „Był u tego bazgracza portretów!”

Mruczkiewicz pocieszał się także myślą, że u niego był wprzód (nie wiedząc, że mieszkaniu to był wieniec), a Perli gniewał się, że u niego kwadransiem później się się stawiał.

— Będziesz ty u tego jaśnie wielmożnego? spytał portrecista.

— Nie wiem! odparł Perli, a w duchu pomyślał: „Jużcić będę.” A ty?

— Należałoby być. Powiem ci, jestem ciekawy, dorzucił Mruczkiewicz. Jego wielkie obrazy radbym zobaczył, ludzie chwałą. I tobie nie zawadzi, zawsze coś tam liźniesz! Bo to wy koledzy w jednym rodzaju pracujecie! mówił z intencją szyderską.

— Maluje też on i portrety, i bierze za nie po sto dukatów, rzekł Perli niby nieumyślnie. No, a kiedyż tam być myślisz?

— O! nie mam się tak czego śpieszyć.

— Ani ja!

— Jakże ciebie zastał?

— Jak? malującego, rzekł Perli.

— A żonę?

— A! (tegoś to chciał się dowiedzieć! pomyślał) Żona tylko się na chwilę pokazała.

— (Wiem już jak weszła, mówił do siebie Mruczkiewicz: pewnie z piętami do góry i piorunami w gębie). Głośno dodał: I cóż?

— I nie! poznał ją. A twoja?

— A! do mojej chodził aż do jój pokoju!

— Hm! a jakże ją zastał? spytał złośliwie Perli, udając życzliwą tylko ciekawość, ale w istocie chcąc się odciąć i odplacić, wiedział bowiem, że z domu Dubińska bywała niekiedy pijana do nieprzytomności.

— A! zwyczajnie nad dziećmi i gospodarstwem.

Gdy się już mieli rozstawać, Mruczkiewicz cicho szepnął Perlemu:

— Wiem o robocie! coś dobrego!

— Gdzie?

— Dyabła ci powiem! Co mi dasz?

— Jakaż to robota?

— Mówię, coś dobrego! co się nazywa! Cały kościół do malowania. Trzy obrazy oltarzowe.

— Gdzie? gdzie? zawolał niespokojnie Perli, ściskając go za rękę: już nie w mieście?

— Nie! na prowincyi.

— (Dowiem się sam! powiedział sobie Włoch.)

— Co mi dasz? to ci tę robotę nastęcę, a nie, to ją przybylec porwie, bo kolo niéj już sznurkują i chodzili bodaj czy nie zatém do gwardyana bernardyńskiego.

— Cha! cha! wydałeś się! nie ci nie dam! krzyknął w uniesieniu Perli. *Stante pede* lecę do Bernardynów. Dla mnie dość... stopki całuję!

— Słuchaj! czerwieniąc się z gniewu na siebie za swe głupstwo, zatrzymał go Mruczkiewicz: jeśli się ze mną nie umówisz, ja przybylca podstawię, a jak przyjdzie wasze roboty porównać, stopki całuję!

— Ja pomaluję za pół ceny!

— Tak, tak! ale kiepsko! rzekł portrecista: za takie pieniądze psy mięso jedzą, to wie nawet i gwardyan bernardyński. Fundator spalonego niedawno kapucyńskiego kościoła, dla którego malarza Bernardyni szukają, nie będzie żałował grosza. Dla niego to nie rzecz żeby tanio, ale żeby się nie wstydził. No, co mi dasz? powtórzył, chwytając go za rękę.

— Ale to — rzekł Perli chwytając — ja tylko żartowałem; nie wiem nawet czybym się mógł podjąć. Sklepień nigdy nie malowałem, mam dosyć roboty.

— To co innego, odpowiedział Mruczkiewicz z ukłonem. Jak się podoba, i do zobaczenia!

— Stopki całuję!

Rozeszli się, wzajemnie zamierzając się őszukać:

Perli myśląc biedz zaraz do Bernardynów, Mruczkiewicz chcąc jak najrychlej zaprzeć mu tam drogę,—na pozór jednak obojętni.

W pół godziny później spotkali się nos w nos na korytarzu kks. Bernardynów.

— A! pan tu!

— I pan!

— Mam interesik.

— Ja mam tu w nowicyacie krewnego mojej żony, rzekł szybko Perli: chcę go odwiedzić.

— A! a!

Stanęli przeciwko sobie pomieszani srodze.

— Po co te udawania? spytał wreszcie z przymuszonym uśmiechem Stanisław Perli. Szedłeś mi szyć bóty.

— Nie przeczę! a ty podemną trawę kosić?

— No! niechaj. Ale kiedy tak, nie damy sobie rady; zgodźmy się.

— Jakaż tam cena téj roboty?

— Dość znaczna, ale potrzeba potargować się o nią. Tu nie konwent płaci, ale pan; konwent ma także składki.

— Co ci dam?... Powiedzże mi wprzód co ja wezmę?

— Dziesiąty procent dasz?

— Faktorski!

— Śmiesz mówić! obrażasz mnie waćpan! Co to jest, mości panie?

— Słowo obraża go, a rzecz to nie?

— No, idźże sam rób swoje interesa, i dajmy sobie pokój.

Już się rozstawali, gdy Perli zmiarkowawszy, że nie nie wywojuje z lisem, dogonił odchodzącego i po

cichu na prędcie zawarli umowę ostateczną. Potém obaj już razem weszli do celi gwardyana, robić razem wspólny interes. Perli pokorny był i nisko się kłaniał. Mruczkiewicz rubaszny i udający naiwnego jak dziecko; obaj usiłowali się jeszcze podejść.

Mruczkiewicz przed gwardyanem grał rolę człowieka zupełnie bezinteresownego i zarzuconego robotą.

— Bo — mówił — mógłbym to i ja się podjąć, ale wolę koledze usłużyć.

Gdy się to dzieje, Jan napróżno usiłuje walczyć z niedostatkiem, tym trądem, który pożera prawie każdego artystę, prawie każdego poetę, niemającego wprzód przez los obmyślonego kawałka chleba powszedniego.

Sztuka bowiem zawsze zawodzi, ilekroć chcemy ję użyć jako środka do polepszenia bytu materialnego. Nie ję to przeznaczenie. W szczęśliwych okolicznościach, po długich bojach, w krajach, gdzie częściej arcydzieł stała się powszechną, łatwiej mieć chleb przy sławie; u nas to prawie niewidziany fenomen. I ten fenomenalny chleba kasek nie otrzymuje się bez ciężkich ofiar: potrzeba dla popularności i pieniędzy często zaprzeć się siebie, pochlebiać tłumowi i tumanić niegodnie. Najsroższą ofiarą, amputacją myśli, zaparciem natchnienia, kupuje się pieniądz, chleb.

Lecz Jagusi woreczek nie był całkiem wypróżniony, jeszcze na dnie jego brzęczały pieniądze, które nieopatrzone dziecię, ufając w wielki geniusz męża, rozrzucało bez zastanowienia.

— Będziemy bogaci! mówiła, ściskając go za szyję białymi rączkami i całując w czoło. Tyś tak wielki, ty nie masz tu równego; możnaż aby się ludzie nie poznali na tobie?

Jan bladł od wzruszenia, całował ją z uśmiechem milczącym, nie chciał odbierać złudzeń nadziei, które i tak prędko miała biedna utracić.

Jagusia dziwiąc się częstym wycieczkom, odwiedzinom, upokarzającym stacyom w przedpokojach męża, o których głucho słyszała, niepokoiła się niemi, a pojąć nie mogła coby znaczyły. Ile razy smutny, zawiedziony powracał Jan, starała się go wybadać na próżno, z odwagą młodości, która i zawiedzionym nawet, zrozpaczonym na chwilę wlewa nadzieję.

Z obrazów przywiezionych nie sprzedawać się nie dawało. Jan zniżył ich ceny. Żarski pozakupował mniejsze kopie, ale ich ceną długo żyć nie było można. Robota u Kapucynów, o której wcześniej wiedzieli Mruczkiewicz i Perli, zakryta była dla Jana, przypadkiem czy umyślnie. Gwardyan bernardyński, mając go z miny czy ze sławy za człowieka dostatniego i niepotrzebującego zajęcia, ani mu nawet śmiał mówić o tém. Inni zapraszali go, zmuszali do trwonienia czasu na odwiedziny i czeze pogadanki; ale szczerze zająć się nim nie myśleli. Prawda, że Jan dumny trochę, nie wspominał jak inni ciągle o sobie, o żonie, o swoich potrzebach, ubóstwie; nie wyciągał ręki co chwila jak żebrak w rogu ulicy. Mamoncz, który się lękał tём szczerzej, że nie widział skutku zabiegów, przyszedł jednego rana z zamiarem pomyślanym przez się, dawania lekcyj rysunków.

— Kilku uczniów znaleźć możemy, a i tём gardedzić nie potrzeba. Gdyby ci codzienne wydatki zapłacili, byłbym spokojniejszy.

— Ale, spytał go Jan, wieszże ty co to jest lekcya? To powolne szczepienie zasad, które do nich zwraca człowieka i obala znowu na ziemię wprzód uwol-

niony umysł; krępuje go i pęta w ciężkie, poziome, materyalne warunki sztuki, coby ich rad zapomnieć, bo je sobie przyswoił tak, że ich już nie czuje.

— Wiem to wszystko, odpowiedział Tytus; ale pokaż mi co lepszego? znajdź inną radę? Trzeba pracować jak się zdarzy, zapomnieć na chwilę o sztuce i wprządz się do pługa!

— O! gdyby tylko do pługa! zawołał Jan.

— Nie narzekaj, miej odwagę i działaj. Narzekanie osłabia nas i do niczego nie prowadzi.

Nadchodząca wesoło Jagusia, którą Jagnięciem swém Jan nazywał, przerwała rozmowę.

Mamonicz po swojemu zaczął się starać o uczniów i odkopał ich kilku. Wprawdzie płaca była nikczemna, ale mówił Janowi: „Zachęć tylko; gdy ci zrobią postępy, znajdą się inni, więcéj, otworzysz szkołę. Gdybyśmy byli gdzieindziej, nie w Wilnie, gdzie się mało drukuje i to co drukuje wydaje na bibule, startemi literami, możeby się znalazło zatrudnienie miłe, ryciny do ksiąg. Łatwoby ci było wyuczyć się rytować na miedzi; ale tu...”

Poczęły się przenudne lekcye.

Aż jednego poranku znowu przyszła Jagusia wesołutka jak zwykle, pokazując próżny już woreczek Janowi.

— No, rzekła, kolej na ciebie, napełnij mi go mój Krezusie.

Zaczerwieniony Jan pobiegł do szufladki, zabrał co miał do grosza i przyniósł żonie.

— A! tak mało! zawołała śmiejąc się—tak mało! chyba chowasz resztę przedemną.

— W istocie, rzekł Jan zmieszany: mam trochę jeszcze rozpożyczonych, niepodbieranych.

— Na kilka dni to wystarczy, odpowiedziała Jagusia. No, a robota, Janie?

— Nie przychodzi.

— Drogoż bierzesz za lekcye?

— Dosyć, ale to początek, muszę być tanim jeszcze, chcąc zachęcić. Bardzo nie wypada się drożyć.

— Dla czegoż? któż tu lepszy od ciebie?

— Z czasem, moje drogie Jagnię, wszystko przyjdzie!

Z boleścią w sercu, oszukawszy wesołą na pozór miną żonę, pobiegł do Mamonicza, który w zimnej izdebce, w której stał dzbanuszek mleka i parę bułek świeżych, śpiewając, modelował lwa z natchnienia.

— Przyszliśmy—rzekł—do dna worka; oddałem Jagusi ostatki. Dziwi się, że mam tak mało. Co tu począć?

— A lekcye?

— Wiesz, co one przynoszą.

— Słuchaj, ja niewiele potrzebuję, mnie bułka, mleko, trochę gliny, to tylko, co zapycha brzuch dopominający się strawy i co umysł zajmuje, wystarcza. Musiałem oszczędzić trochę, nie wiedząc co z tém zrobić. Mam kilkaset złotych; bierz je, ale staraj się na przyszłość, myśl, działaj.

Jan wahał się w początku, ale nagłony od Tytusa, wziął wreszcie te kilkaset złotych i tegoż dnia oddał je Jagusi. Nazajutrz potrzebując coś kupić, a nie zostawiwszy nic sobie, zapotrzebował od niej części pieniędzy na powrot. Biedna Jagusia zarumieniła się cała, pobiegła, i przyniosła mu, ale nie tyle ile żądał.

— Cóż się stało z resztą, kochanie? Już nie masz pieniędzy? spytał Jan przerażony, błędniejąc i pierwszy raz okazując widocznie pomieszanie i niepokój.

— A, daruj mi Jasiu drogi, musiałam... miałam... nie mogę ci powiedzieć.

— Jagnię drogie, ale cóż się z niemi stało?

— Oddałam ubogim, na msze za duszę matki, za pomyślność twoją.

— Wszystko?

— Tyle mi tylko zostało.

Jan posadził ją na kolanach, i obejmując wpół, okrywając pocałunkami, starając się osłodzić wyznanie, które całe życie ich zmienić miało nagle i jasne dotąd czoło Jagusi zachmurzyć, rzekł:

— Droga moja, ty nie wiesz, w jakim my jesteśmy położeniu: mamy już długi, a ani grosza zapasu.

— Jakto mój Janie? Jasiu! to być nie może! ty niepotrzebnie mnie straszysz! sam musisz się lękać bez powodu. Mruczkiewicz i Perli, co palca twojego u lewej ręki nie warci, żyją z pendzla, a tybyś miał trudność utrzymać się ze swojej pracy?

— Tak jest, aniele kochany. Napróżno gonię za robotą, wszędzie znajduję lub miejsce zajęte, lub pracę ubieżoną przedemną, lub obojętność i nieznajomość sztuki. Przyszłość mnie przeraża. Bądźmy oszczędni, bardzo oszczędni, bo jesteśmy gorzej niż ubodzy, mamy już długi. Oszukiwałem cię trochę droga moja; ale mrę ze strachu, abyś nie doznała kiedy niedostatku, którego z całym z mojej strony poświęceniem będę się starał uniknąć dla ciebie.

Jagusia uściskała go, ucałowała i zawołała naiwnie:

— Nie bój się: rozdane ubogim Bóg powróci. Pracujmy! oszczędzajmy, módlmy się i miejmy nadzieję. Tak mam dobre jeszcze wyobrażenie o mojem rodzinnem mieście, że nie zadrzę nad tobą. Nie, nie, Janku mój, nie obawiaj się. Złeś tylko zrobił, żeś

się tań przedemną. Ja dużo straciłam napróżno, często pozwalalam sobie nadto. Odtąd będę wiedziała jak oszczędzać, aby ci zapas zapewnił spokojność; zobaczysz!

W kilka dni Jagusia, przyniosła w fartuszkui Janowi kilkaset złotych, któremi bieguąc po pokoju po-brząkiwała radośnie; rozsypała je na podłodze i zawołała:

— Bądźże spokojniejszy, oto masz pieniądze, masz pieniądze!

— Co to jest? zkad? spytał Jan.

— Zkad? sprzedałam moje wszystkie niepotrzebne fraszki, trochę nawet pamiątek po ojcu i babce, ale dla ciebie czegożbym nie dokonała?

I rzuciła mu się na szyję. Jan o wszystkiém zapomniał.

— A, będę oszczędzała, zobaczysz, zobaczysz jak! zawołała pieszcząc się z nim.

Na tę właśnie chwilę i rozsypane po podłodze pieniądze nadszedł Perli, który rozniósł po całym mieście wiadomość, że Jan nie wie o swoich skarbach, że zbiera kapitały. I ci, coby byli może, wiedząc o prawdziwém jego położeniu, postarali się o zajęcie dla niego, woleli dać robotę komu innemu, pierwszemu Perlemu, który ciągle stękał mówiąc o swojém położeniu artysty niewynagrodzonego, zostającego w przykrém ubóstwie.

Tymczasem Jagusia spodziewała się być matką.

W każdym innym razie byłoby to radością napełniło dom cały; teraz było dla Jana przestrichem prawie. Jagusia tylko cieszyła się spodziewaném dziećciem, i robiąc mu czepeczki, szyjąc koszulki, rumieniła się weselem, liczyła dni oczekiwania na palcach.

„Za tyle a tyle, mówiła, gość nasz pożądaný przyjdzie!”

Wymawiała mężowi, że nie dosyć podziela jęj szczęście, jęj radość.

— Jeśli będzie syn, dam mu imię Jan; jeśli dziewczynka, nazwę ją Joasią. A jaka będzie śliczna! Jak to dziecię Albana, które ja tak lubię, wiesz? Zobaczysz, służyć ci będzie za wzór aniolka, tylko mu przypniemy skrzydełka.

Długie godziny upływały niezajęte, oderwane pracy, wśród słodkich pieszczot i zapomnienia na wszystko. Lekcy Jana nie wiadomo jak i dla czego, powoli upadły; brak znowu dał się czuć w domu. Nie widząc innego ratunku, Jan poszedł do Żarskiego, prosząc go o pożyczkę. Stary amator, który wyrachował korzyści wypłynąć ztąd mogące, chętnie się na to zgodził; zapewnił Jana, że mu zawsze przyjdzie w pomoc, póki tylko będzie mógł, i uspokoił go na przyszłość. Jak wszyscy ludzie nieopatrzni i chętnie czerpiący z otwartego źródła, a na jutro niemający oczu, Jan łatwo mogąc pożyczyć, wkrótce zadłużył się bardzo. Z przestachem obejrzał się dopiero, gdy obliczył swoje długi i postrzegł, że niepodobieństwem było opłacić je całym rokiem pracy.

Głowa mu się zawróciła.

Jagusia cierpiąca, osłabiona, zapomniała o oszczędzaniu; cała żyła w dziecięciu. Niemający odwagi sprzeciwić się jęj, widząc ją chorą, Jan i lekcy zaniedbał, i pracę porzucił, siedząc tylko przy nięj, z nią, a nie umięjąc odmówić jęj niczego.

Ostatnie zapasy znowu wyczerpane zostały; Mamonicz milczał smutny i zamyślony: Jan przez uczucie wstydu nie śpieszył się także skarżyć i wynurzać przed nim, aby go nie wyciągać na nowe poświęcenia.

Nareszcie jednego dnia, gdy Jagusia nie mogąc sama wyjść z domu na przechadzkę, wyprawiła ich zostając z jedną z przyjaciółek młodości, Mamonicz przełamał kilkomiesięczne milczenie i spytał:

— Powiedźże mi coś o sobie, o swoich interesach; masz ty pieniądze?

— Nie pytaj mnie o to, odparł Jan.

— Znowu ci brak, to pojmuję, ale jak utrzymywaliście się dotąd?

— Pożyczałem, rzekł Jan cicho.

— A! pożyczałeś? spytał żywo Tytus: gdzie? u kogo? u Żydów może?

— Nie, po większej części u Żarskiego.

— To prawie na jedno wychodzi, z zapalem odezwał się Mamonicz. Jemu chce się reszty twoich obrazów; potrzeba mu oddać. Mów, mów mi szczerze: ileś ty mu winien?

— Wiele! Będiesz się dziwił i gniewał, nie powiem. Ale Jagusia chora, nie dogodzić jej w tym stanie byłoby okrucieństwem, ciągle jej przypominać o oszczędności nie podobna. Sam wyznaj. Bawię ją i kołyszę nadzieją roboty, zarobku, a o pożyczkach nie nie wspominam, taję, muszę.

— Lecz czémże je zapłacisz?

— Żarski może wziąć obrazy, sam mówiłeś.

— Tak, ale w jakiej cenie! za nic.

— Miałżeby być tak chytrym, tak..?

— Dodaj: podłym; więcej niżeli myślisz. Tymczasem Mruczkiewicz i Perli podchwycili jedną robotę, która ci przystać mogła. Cały kościółek kapucyński, nowo na miejscu spalonego założony o kilkanaście mil ztąd.

— Co mówisz!

— Tak jest! Dopiero wczoraj się o tém dowiedziałem. Perli ma kilka tysięcy złotych w sperandzie; Mruczkiewicz wziął tylko faktorskie. O tobie rozgłaszają, że śpisz na złocie, a ty nie masz za co może chleba kupić!

— Właśnie wybrałem się znowu do Żarskiego.

— A lekcyę?

— Zeszły na nic; musiałem się opuszczać. Biedna Jagusia niespokojna, cierpi więcćj, kiedy mnie nie widzi przy sobie. Stan jój pełen cierpień nieznośnych; z oka jój spuścić nie mogę. Sług mi przybyło, a w domu ani grosza.

— Oto tymczasem trzy dukaty, rzekł Tytus. Niosłem je tobie na przypadek, więcćj nie mam.

— Daj mi pokój, i tak ci winienem.

— Nic, dopóki nie przyjdę i nie powiem ci z kolei: daj mi, bo potrzebuję. Lecz słuchaj Janie, myśłmy, mówmy, nie masz-li sposobu jakiego wybrnąć z tego? Kasztelan...

— Zrujnowany. Francuzka nałożyła mu taką cenę na rozwód w intercyzie, że ta dodana do dawnych długów zuboży go zupełnie. Żyje po pańsku: pożyczaném. Cała nadzieja jego w bogatém ożenieniu. Stręczą mu bogate dziedziczki nieznanego nazwiska. Ale dotąd sam pożycza po sto dukatów i karmi się nadzieją.

— Mówiłeś mi niegdyś o kawałku ziemi dziedzicznej!

Jan zaczerwienił się, zabelkotał.

— Przedaleś już ją?

— Nie, jeszcze, ale i to mam prawie za grzech, że mi myśl sprzedaży kilka razy przechodziła przez gło-

wę. Tam żył ojciec, tam żyła i umarła pocziwa, święta matka moja—to pamiątka!

— Janie, ale pamiątkami nie wyżyć! Jeśli prze-
dażę tego kawalka ziemi możesz zaspokoić długi swo-
je, a z resztą pozostałą wyjechać ztąd do Warszawy,
do Lwowa... Gdyby żyła matka twoja, onaby pierwsza
ochotnie zrobiła ofiarę z tego kątka, którego ty już
nie zamieszkaszw pewnie.

— Masz może słuszność; mówię to sobie, ale myśl
sprzedaży oburza mię przecię i napęlnia wstydem. Nie
mogę się z nią oswoić.

— Janie, tu idzie o los twój i kobiety, której je-
steś opiekunem. Pamiątkę matki złóż w sercu.

— Zgadzam się, ale jakże sprzedać? jechać sa-
memu? Musiałbym opuścić Jagusię. A koszta podróży?
Sam nic nie znam, ani form prawnych, tyle tylko
wiem, że ten kawalek przyległy jest wielu sąsiadnim
i bardzo im pożądanym. Kupią go chętnie.

— Znajdziemy kogo co go sprzeda, postaram ci
się. Ile myślisz zań wziąć?

— Nie wiem! ja go tak cenię!

— Rozległość?

— Nie znam dobrze. Myślę, że musi być wart kil-
ka tysięcy.

— Kilka tysięcy! To chyba bardzo obszerny! Wszak
to ziemia nie osiadła, bez ludzi?

— Chata, łąka, pole, ogród, dziedziniec, kilka
brzóz.

— Tylko? lecz pola muszą być wielkie? inaczej
nie mógłbyś rachować na tysiące.

— To ostatni mój ratunek.

— Chcesz więc próbować i chwycić się go?

— Muszę! muszę!

— Jutro więc daj plenipotencyę, a ja ci nastreczę kogoś uczciwego do sprzedaży w téj okolicy mieszkającego, co ci i kosztu podróży oszczędzi, i zrobi jak najrychlej.

— Al nieopisana to, niewysłowna ofiara! westchnął Jan; ale dla niej nie mam się co wahać, muszę ją spełnić.

W skutek téj rozmowy wyprawiono listy i plenipotencyę, a dość długi przeciąg czasu upłynął, nim na nie otrzymano odpowiedź.

Tymczasem zbliżało się rozwiązanie Jagusi, która w miarę jak ta chwila nadchodziła, coraz smutniała i plakiwała codzień. Biedna, dopatrzyła pomimo ukrywanego starannie niedostatku, że nędza gnala ich, swą rękę kościstą i wyżółkłą, kładnąc już na ramieniu Jana. Jan czekał sprzedaży gruntu, a tymczasem zadłużał się coraz bardziej, grzązał coraz głębiej, już nie w zaciągnięty dawniej i powiększający się coraz dług u Żarskiego tylko, ale w drobne długi, które jak wrzody osiadają człowieka przy schyłku choroby. Byli już winni wszystkim: praczce, mleczarce, piekarzowi, rzeźnikom, Żydkom, przekupniom, za mieszkanie i wszędzie. Robota była marzeniem: ani jednego portretu nawet nie miał Jan, choć wywiesił z boleścią napis, co go we własnych oczach na rzemieślnika skazywał:

Malarz portrecista.

Zasmucony, upadły na duchu, ile mu razy myślał przyszła wielka, ogrzewająca, którą chciał wydać na płótnie, pytał siebie mimowolnie:

— Dla kogo? dla czego? kto to zobaczy? kto oceni? kto pokłaśnie i zrozumie?

I rzucał pendzel w rozpacz.

Gdyby w tym stanie duszy choć promyk wiary

rozświecił ciemności, gdyby religijne natchnienie artysty wskazało wyższą misję a uświęciło cierpienie? Gdyby boleść umiał ofiarować Bogu i znosić z dumą szlachetną, z pogodą męczeństwa na czole? Gdyby aureola chrześcijańska otaczała skroń żółtkłą i pomarszczoną? Ale nie. Jan od pobytu we Włoszech nie miał wiary w sercu i zapomniał modlić się, ufać Opatrzności, odzywać się do Boga. Rachował tylko na siebie! Biedny, stokroć biedny! bo w upadku pociechy żadnej, osłody znikąd i tylko głuche, zabójcze milczenie nicości otaczało go dokoła.

Dziwił się brakowi natchnienia i rozpaczy, ostudzonej wyobraźni, wygasłemu uczuciu, a nie widział, że z wygaśnięciem wiary, wszystko, co z nią ma związek, co z niej pochodzi, z nią się łączy — ginąć musi.

Plakali z Jagusią wieczorami u komina, bo ona tém przeczuciem właściwém kobiecie, a wzmagającym się jeszcze w stanie choroby, widziała już wszystko jak na dłoni, ceniąc Jana jak był wart, choć pokonanego od okoliczności i zwalonego losem. Dziwiła się tylko, czemu pociechy nie szukał w modlitwie? czemu nigdy nie wspomniał serdecznie o Bogu? Spytany artysta uśmiechał się bolcśnie i milczał.

— Nie, nie! mówiła Jagusia: nie chcę mieć syna malarzem.

— Niech lepiej rzemieślnikiem będzie, po cichu dorzucił mąż. Rzemiosło da mu wszędzie chleb, sztuka tylko w uprzywilejowanych czasach i krajach; a spokojny kawałek chleba, czyste sumienie, domowe pożyte niczém niezachmurzone, nie sąż to skarby droższe nad wszystko?

— A przywiązanie żony? a serce kochanki? ty tego nie liczysz!

— O! to nad wszystko zawołał Jan, ściskając ją: to się nie liczy, o tém się nie mówi, to tajemnica między nami a Bogiem, o której mówić czasem zdaje się świętokradztwem.

Niewczesnie postrzegłszy znów niedostatek, Jagusia ujmowaniem sobie, potajemném odmawianiem najpotrzebniejszego, nadwreżyła słabe już tak zdrowie. Udawała ona wstręt nieprzezwyyczajony ku wszelkim wymyślniejszym pokarmom, których przeciwnie pragnęła niepoohamowanie; płakała w nocy, we dnie zabijając się z dość wesołą twarzą. Nie chciała kołyski ładnej dla dziecka, o której wprzód marzyła tak bardzo; grube pieluchy przygotowywała mu zamiast ślicznych koszulek i czapeczek dawniejszych, teraz odrzuconych z heroizmem.

— Niech się uczy cierpieć, niech wprawia do niedostatku, mówiła. Biada tym, co ufają w szczęście i kołyszają do niego!

Jagusia bliską już była rozwiązania, gdy listu oznajmującego o sprzedaży gruntu czekano jeszcze. Codzień Tytus chodził na miasto i powracał smutny, z niczém. A na ten list i nadejść mające pieniądze rachowano tak dalece, że do niego odsyłano wszystkich wierzycieli, że ciągle mówiono o nim. Roboty nie było. Dwa portreciki wyżebrane prawie i wymuszone zabiegami Tytusa, malowane bez przytomności, bez zapału, niepodobne, bo zbyt wyidealizowane przez Jana, ledwie potoczne opędyły potrzeby, a odstręczyły innych od malarza, bo wszyscy widząc je, mówili:

— Gdzież by najmniejsze podobieństwo?

Portret bowiem aby był oceniony powszechnie, potrzebuje być albo doskonałym arcydziełem albo karykaturą. Tłum, który rozumie każdą fizyognomię po większej części z jej strony prozaicznej, w rysunku szuka także wyrazu codziennego, nie ideału, nie typu, do którego familii należy oryginał portretu.

Kilka dni pozostawało do oczekiwanej z dawna chwili: w domu niedostatek, wierzyciele codzien dokuczliwsi, Żarski uprzykrzony, wygod coraz bardziej brakło; jeden Mamoniecz podsyczał po trosze, poddając nie wiedzieć jak zarobionego grosza, na wydatki codzienne.

Po nocach wyrzynał on lalki lipowe i sprzedawał je ukradkiem do sklepów za bardzo niską cenę. Ile go kosztowała ta wyrobnicza praca, trudno opisać. Ale że to się przynajmniej łatwo wyprzedawało prawie zawsze, robił je chętnie. Żył sam bułką i mlekiem, ograniczał się jedną izdebką; a co zapracował, oddawał Janowi lub części jej służce domu, mówiąc:

— Wyplacam się powoli com u twego pana pożyczł dawniej, w lepszych czasach.

Sam wesół i swobodny, nigdy nie narzekał, nie skarżył się, a za całą nagrodę godzin kilka w dniu lepił z gliny z owym ogniem, łatwością i natchnieniem, które mają tylko wybrani.

Jan tymczasem malował obraz, ale bezsilnie, bezdusznie, rzucając go co chwila i nie mogąc myśli połapać, nierad swojej robocie zmęczony nią, zbity niepowodzeniem. Długi (a Żarski najwięcej mu pożyczał) dochodziły pięciu tysięcy; grunt dotąd był nie sprzedany.

Stary amator nadszedł nareszcie raz na Jana tak zbolalego, tak zrozpaczonego, iż zmiarkował, że teraz

lub nigdy, zrobi z nim co zechce. Za dług więc zaproponował przyjąć dawniejsze roboty.

— Wezmę już obrazy—rzekł—choć wiem, że się to u nas nigdy nie sprzeda, na stratę; ale dla pana, którego szacuję.

— Cóżbyś życzył wziąć?

— A! naturalnie, najprzód co najlepszego: Adonisa.

— Moją główną pracę! którą ceniono w Rzymie tysiąc dukatów, i ja ją tak cenię.

— Bo to w Rzymie paneczku; a w Wilnie sto dukatów rzecz wielka, i za obraz opłacona, niesłychana! niewidziana cena! No, ale robię to dla was, wezmę we stu dukatach.

— Panie! nie kraj mi serca! Jutro! jutro! może mi nadejdą pieniądze.

— A dobrze niech będzie i do jutra, rzekł stary nareszcie po półgodzinnój walce. Tymczasem widzę coś u pana w domu chudo, ot jeszcze dziesięć talarków, obrachujemy się potem.

Jan go uściskał i pobiegł zaraz kupić jakiś przysmak dla Jagusi, która o nim przez sen mówiła biedna. Serce mu się krajało, ale wprzód kupić nie mógł! Ów przysmak, owoce, kosztowały w téj porze cały czerwony złoty, reszta rozeszła się między pilniejszych wierzycieli po trosze. Dano po kilka złotych z dawna dopominającym się: piekarzowi, rzeźnikom, słudze.

Wieczorem tegoż dnia wpadł Mamonicz, ale blady jak ściana i pomieszany widocznie. Wziął Jana pod rękę i rzekł na ucho:

— Chodźmy!

— Dokąd?

— Tak, przejdziemy się, jestem niezdrow, potrzebuję ruchu.

Skinął, że ma coś pilnego powiedzieć, a nie chce przy żonie.

— Tylko mi wracajcie prędko, zawołała Jagusia: ja się sama nudzę, boję, a zostawszy jedna, płaczę i płaczę.

— To nie idźmy lepiej, rzekł Jan.

Mamonicz zdawał się mocno nierad z tego; ale nadejście przyjaciółki Jagusi dozwoliło im wymknąć się na chwilę.

— Masz mi co do powiedzenia?

— Jesteś mężczyzną i powinienesz umieć znosić boleść po mężku: to nasza rzecz! rzekł Mamonicz bez wstępu. Nic nie mów i nie pokazuj po sobie przed Jagusią: wybrniemy z tego jak Bóg da, ale wybrniemy. Oto list.

— Grunt sprzedany?

— Sprzedany, ale gdybyś był wiedział jego wartość i rozległość, lepiej go było zatrzymać.

Jan schwytał oczyma list plenipotenty i zrozumieć go w początku nie mógł.

— Nie miał więc już kątka na ziemi, co by go mógł nazwać swoim, a sprzedaż nie przyniosła nic prawie, nic, w miarę tego czego się spodziewano.

W liście donoszono, że stosownie do woli Rugpiutisa i danego pełnomocnictwa, zjechało na grunt dla ocenienia i sprzedaży. Nadanie gruntu nie obejmowało całej nawet włóki. Sprzedaży sprzeciwiał się dzierżawca, któremu Jan nieopatrznie puścił na lat kilka chatę, ogród i pola, nie zawarowawszy sobie ustępstwa na przypadek sprzedaży, bo się do niej zmuszonym być nie spodziewał. Spadkobiercy tego, który grunt Rugpiutisowi nadał, sformowali manifest przeciwko nadaniu i jego ważności, usiłując grunt nazad zabrać.

Kontrahenci do kupna liczni w początku, zrażeni formalnościami i procesu zarodkiem, ustąpili. Adwokat szczęśliwie usunął wszystkie zawady, kończąc ze spadkobiercami nadawcy o sprzedaż gruntu im przyległego, a dzierżawcę uspokoiwszy niewielką bonifikatą.

Grunt wedle najwyższej ceny, w okolicy nie praktykowanej, zapłacony został, pięćset złotych. Rozległość była niewielka, chata licha, rola błotnista, a rowy osuszające ją zapadłe. Z tych pięciuset złotych, odtrąciwszy kilkadziesiąt dla dzierżawcy, kosztą przejażdżki i t. p., pozostałych trzysta dziewięćdziesiąt kilka odesłano przy liście.

Jan czytał, czytał i doszedł do ostatecznej summy; rozumiał, że trzy tysiące odbierze, tak mu się trzysta pomieścić w głowie nie mogło.

— A! zawołał: trzy tysiące, to nie wystarczy!

— Trzy tysiące myślisz?

— Tak, 3,900 i coś złotych.

— Ale czytajże lepiej! zawołał z rozpaczą Tytus.

— Cóż więc?

I Jan powtórnie czytać począł uważniej, trafił na 390, rzucił list, załamał ręce:

— Jak to? tylko tyle! Ale to rozbój, to oszukaństwo niegodne!

— Janie! co za obłąkanie! Z tym listem od dwóch dni chodzę od prawnika do prawnika, robiłem indagacye po sądach, pytałem, śledziłem, kwerendowałem sam ceny nieosiadłej ziemi; inaczej sprzedać się nie mogło. Cenę nawet zapłacono nadzwyczajną; ale ziemia twoja więcej warta nie była.

— A! cóż pocznę!

— Nie ci nie pozostaje, tylko wyprzedać obrazy, wyrzucić się wysokiej ich ceny, i oddać za cobądź. Po-

tém wynieść się ztąd i szukać gdzieindziej losu. Ja także wytnę kij na Zakrecie, i miasto moich sławnych pradziadów opuszczę bez żalu, ubogi. Pójdę wam służyć i pomagać.

Rzucili się sobie w objęcia ze łzami.

— A! kto może tak zapłakać jak my w téj chwili, nie nazywa się jeszcze nieszczęśliwym! zawołał Tytus. Tylko odważniew! Czytałeś Vasarego, pamiętasz losy malarzy, twoich braci, w lepszej ojczyźnie, we Włoszech. Oddaj obrazy Żarskiemu za co je przyjąć zechce. Wielkąto zapewne ofiara, bo nie chodzi o cenę, ale o to, żeś inną do swój pracy, wyższą przywiązywał wartość; przecież—cóż to w porównaniu innych nędz ludzkich! Jagusia będzie spokojna. Ubóstwo jak śmierć, straszne tylko tym, co sobie oboje dziwnie wystawiają z daleka. Chleb, powietrze, spokojne sumienie; a gdy jeszcze Bóg da serce jedno, da dwa serca towarzysze! ach! czyż nie dosyć!

Właśnie domawiali tych słów, zbliżając się ku domowi, gdy mimo przechodzący, a może szpiegujący ich Żarski, który od rana o liście wiedział, przydybał ich niby wybrany na przechadzkę.

— A panowie to dokąd? spytał z uśmieszkiem.

— Wracamy do domu.

— Jutro tedy, rzekł stary: jutro panie Janie.

— Dziś jeśli chcecie, odparł Jan, który nie wiedział co mówił, i raz wyrzekłszy się swych marzeń, śpieszył pozbyć się obrazów, które mu tylko jego zawody przypominały.

— O! dziś? po cóż się śpieszyć?

— Dziś, jutro, bierz i nabywaj resztę, bo ja się ztąd wynoszę, mówił Jan.

— Jak to! z żoną na zleżeniu?

— Zaraz po połogu wyjeżdżamy.

— No! jutro.

I odszedł.

Byli w progu, Jan chciał wprowadzić do siebie Mamonicza, aby resztę wieczoru spędzili razem.

— Nie mogę, rzekł Tytus cofając się szybko pomieszany; mam robotę.

— Cóż takiego?

— O! to tajemnica moja!

Uśmiechnął się i odszedł.

W istocie, Tytus unikać musiał domu Jana, gdyż z powodu najniewinniejszych, ale częstych i w różnych porach odwiedzin, z powodu częstego zostawiania sam na sam z Jagusią nawet szaremi wieczory, najpodlejsze potwarze krążyły po mieście; a Mruczkiewicz, o którego godnej połowicy mówili, że dla tego się tylko napijała, aby zapomnieć o dawnych kochankach, *quorum numerus erat infinitus*—Perli, którego Rozynka słysnęła z wesołej konduity—skorzystali z pozorów, aby rozpleść o żonie Jana najniegodziwsze fałszy, mieszając ją w miłostki z Tytusem.

Mamonicz wcześniej przestrzeżony, chciał przeciąć niegodną potwarz, nie dając do niej pozorów nawet. Z tego powodu powoli przestawał bywać u Jana, widując się z nim najeczęściej na przechadzce za domem. A gdy Jagusia wymawiała mu to, odpowiadał:

— Droga pani, mam robotę i lubię się bawić, szalenie bawić się lubię. Nie zawsze chwilę uchwycę.

Jak na złość, młoda kobieta wychwalała w niewinności i prostocie serca przed obcymi Mamonicza, ubolewając głośno, że ich opuszcza, i podając się w podejrzania na nowo.

Żarski stawiał się nazajutrz około południa, a Ma-

monicz, uczuwszy niezbędną potrzebę znajdowania się przy targu, pośpieszył także, wiedząc, że Jan wprzód y zbyt wysoko ceniący obrazy, teraz może je oddać za'bezcen.

— Najprzód obliczmy się, rzekł stary,—i dobywszy czerwonego pugilaesu, wypisał z niego kredką summy wypożyczane, które już do trzech tysięcy dochodziły, dodał procenta niewielkie wprawdzie, ale skrzętnie tygodniowo obrachowane.

— Adonisa—rzekł—cenię sto dukatów, a dalibóg to bardzo piękna cena.

— Bierz pan, odpowiedział Jan.

— O! nie, podchwycił Mamonicz: gdybyś korzystając z położenia Jana uczynił to, wiesz stary, zabiłbym cię. Co nadto, to nadto. Dasz półtora sta. W reszcie długu policzymy twój portret, a za pozostałe obrazy zapłacisz gotówką.

— A! daj mi pokój! ja nie mam gotówkil krzyknął Żarski. Trzy tysiące to mój dwuletni dochód.

— Stój stary przyjacielu, nie oszukuj się. Musiałeś dyable stracić pamięć. Masz u księdza biskupa kapitału...

Żarski zgrzytnął zębami.

— No! co mam to mam! to moje, to zapracowane ciężko! liczyć nie ma potrzeby.

— Żarsiu! kochanku! szepnął z cicha, odprowadzając go na stronę Mamonicz: jeśli będziesz nad miarę lichwiarzył, dalipan opowiem całą historję brygadyerowej.

Żarski spojrział na Jana i ścisnął za rękę Tytusa, prosząc go o milczenie.

Stary bowiem, mimo podeszłego wieku, kochał się! Wstydział się swęj słabości, włosów resztę z głowy wyrwał z desperacyi, a nie umiał się zwyciężyć. Piękna

wdówka po brygadyerze Wejmiezu była bóstwem starca; a to bóstwo po części kosztem Żarskiego utrzymywało się w obłokach dostatku i promienistej koronie stroju.

Mówiono, że Żarski przystrajał co inni odzierali, ale czegoż nie mówią? Dość, że stary bał się brygadyerowej, która go traktowała z góry, bez litości, i przyjmując od niego dary, łajała czasem zamiast podziękowania.

Wspomnienie brygadyerowej pomogło wielce do interesu. Mrucząc, zgodził się Żarski o Adonisa i o swój portret, ale więcej już obrazów nabywać nie chciał. Napróżno go Mamonicz kusił, zachęcał—nic nie pomogło.

— Co mi dasz? zawołał przystępując Jan w rozpacz, przyciśniony potrzebą. Nie taję się, mam długi, zmuszony jestem prosić cię! kupuj!

— Wszystko a wszystko, powolnie rzekł Żarski, nie wyjmując Sybilli, kasztelanowej?

— O! nie wyjmując! dorzucił szybko Mamonicz.

— Chciałem ją zostawić! szepnął Jan nieśmiało.

— Po co? surowo poglądając, rzekł Tytus, dopatrzywszy się po raz pierwszy, że Jagusia nie całkiem niebieskimi wspomnienie czarnych oczu zatarła. Nie wyjmując jéj! co dasz?

— Ale najprzód, nie mam gotowych, chyba bym pozyczył.

— Pożyczysz.

— I procent zapłacę, nabycie ciężkie.

— Co dasz?

— Pięć sztuk pozostało? tysiąc złotych.

— Dwa tysiące.

— Niepodobna!

— Tysiąc pięćset, rzekł Jan prawie prosząc.

— No! tysiąc dwieście i dajcie mi pokój! rzekł stary, biorąc za łaskę i czapkę.

— Zgoda, odparł Jan zakrywając oczy, aby nie spojrzeć na obrazy, z którymi mu tak boleśnie było się rozstać.

— Ja idę po pieniądze, a ty ludzi przysyłaj po płótna, zawołał Mamoniecz.

Jan uciekł do Jagusi. Pocieszając ją i ukrywając prawdę, powiedział tylko, że sprzedał obrazy, że ma pieniądze, że wieczorem zamówi kołyskę. Jagusia już poczyniała cierpieć, w milczeniu ścisnęła go za rękę, i z ową czułością anielską, na którą zdobyć się może tylko kobieta, ukryła męczarnie swoje, nie chcąc, by Jan był ich świadkiem; wyprawiła go z domu, choć czuła, jak lżejby jej było, gdyby on był przytomny. Z bojaźnią, że drzeniem zegnała go pocałunkiem.

Cały wieczór upłynął na rozplatach z kupcami, na rachunkach i bieganinie. Jagusia tymczasem jęczała w bolach, i po sześciogodzinném cierpieniu, omdlewając, wydała na świat dziecinę, która świat powitała płaczem, jak zawsze. Gdy uznojony Jan nie domyślając się niczego wszedł do pokoju, powiedziano mu: „Cicho! cicho!”

Wsunął się do pokoju, którego okna były zasłonięte, i postrzegł Jagusię bladą, leżącą w pościeli i spoglądającą na małe, czerwone dziecko, spowite już i skąpane, które otwierało usta, a zamknięte mrużyło oczy.

Któżby śmiał opisywać podobne sceny?

Jan był szczęśliwy i najbiedniejszy: uczuł się ojcem w chwili, gdy uznał się za bezsilnego do zapracowa-

nia na chleb dla siebie i dla drogiej mu istot. Dni trawił u łóżka, nie mogąc się od żony i dziecięcia oderwać; czas płynął, pieniądze szybko się wyczerpały, roboty nie było żadnej.

Mamonicz chodził jak oszalały, milczący, zgnębiony, w rozpacz.

Po dwóch tygodniach, gdy Jagusia już się przechadzać poczyniała, Jan wybiegł szukać jakiegokolwiek zajęcia. Wpadł do Mruczkiewicza, ale tu tylko spotkał, grzeczne naigrawanie. Nie wiedząc co czyni, pośpieszył do Perlego.

Na wschodach spotkała go Różyna wesółą, śpiewającą i strojną jak wielki ołtarz na święto.

— A! dobry wieczór panu! Podobno nie ma mego męża. Co pan chcesz od niego?

— Od niego—możeby mi nastreczył jaką robotę?

— Jak to! panu jój braknie?

— Od dawna, nie mam żadnej!

— Mój mąż wybiera się malować kościół kapucyński w *** Chwała Bogu! będę przynajmniej na czas jaki wolna od tego gbura! Gdybyś pan chciał czasem odwiedzić...

— A! pani, nie mam chwili wolnej!

— A nie masz roboty? zagadła kobieta.

— Żona, dziecię...

Różyna spojrzała na smutną twarz jego, i zawołała z politowaniem serdecznym:

— Czyż doprawdy tak nie macie, jak mówią?

— Nie! nawet nadziei!

— To dziwna! Perli zarzucony obrazami, ledwie wystarczyć może. Ale on, o! ja go znam! on się nie podzieli z nikim, chciwiec! Wystaw pan sobie, że mnie, własnej żonie, żałuje!

Doszli do drzwi. Tu z podziwieniem Rozyny znaleźli Perlego. Ona porzuciła Jana i pobiegła do siebie, sam na sam ich zostawiając.

Myśl o Jagusi, o dziecięciu, odjęła wszelką dumę Janowi; grzecznie powitał malarza, który teraz czując swą wyższość, nadymał się okrutnie.

— A! pan chciałbyś roboty? rzekł powoli. Mógłbym go może użyć, ale są warunki.

Perli podjąwszy się malowania kościoła i wielkich trzech obrazów, nie wiedział jak temu podoła, a nadewszystko jak się obejść z murem. Szło mu najbardziej o rysunki. Postanowił z Jana wyciągnąć co było można, a gdyby się dało, zyskać wzory wielkie, choćby na trzy ołtarzowe obrazy.

— Pan masz robotę! zawołał Jan z zapalem: a! jakżebym mu był wdzięczny, gdybyś mnie użył! Łaskąby to było dla mnie, wielką łaską: żona, dziecko! W tym kraju nie ma co począć! Tak rzadko trafia się zamówienie.

— Ja tego nie doznaję, mówił Perli: jestem zarzucony robotą.

— Bardzo pan szczęśliwy!

— A! a umiesz pan malować *al fresco*?

— Robiłem kilka w tym rodzaju obrazów po kościołach we Włoszech; mam dosyć wprawy.

— Jakże się to robi?

Jan zaczął opowiadać, ale gdy przyszło do reguł perspektywy, potem do procesu mechanicznego, przygotowań tynku, żywego i pośpiesznego kładzenia farb na świeżem, postrzegł Perli, że niepodobna mu nauczyć się z rozmowy.

— Będiesz mi pan pomagał? spytał.

— Chętnie.

— Ale robota uważać się ma za moją.

— Jak to? spytał Jan.

— Tak, że co pan zrobisz, ja podpiszę, rzekł bezwstydnie malarz. Pan będziesz tylko moim pomocnikiem.

Nie rzekłszy słowa na tę dziwną propozycję, Jan pokłonił się i wyszedł. Rozyna zbiegła drugimi wschodkami szybko, aby go spotkać na dole, i szepnęła żywo:

— Bez ciebie Perli się nie obejdzie, trzymaj się tylko dobrze.

Ogłuszony dziwną propozycją zaprzędania nie już ręki swój, ale głowy, pomysłu, sławy, Jan zszedł nieprzytomny, wysłuchał z roztargnieniem rady pani Perlowej, i zataczając się prawie, powracał ku domowi. Z przeciwnej strony żywo gonił Mamonicz, ale tak też zajęty czémś, z tak palającą twarzą, że z razu nie postrzegł Jana. Mijając się dopiero wstrzymali, poznawszy się wzajemnie.

— Dokąd? zawołał Mamonicz: zkąd?

— A! od Perlego.

— O! u niego już byłeś? Co cię tam poprowadziło?

— Prosiłem go o robotę.

— Ty! jego! To okropnie! I cóż ci odpowiedział?

— Zezwala na udzielenie jej, ale chce, bym pod jego imieniem ..

— O! infamis! zawołał Tytus ściskając pięście.

— Dokąd ty śpieszysz tak bardzo?

— Daruj mi! daruj! zdyszany rzekł snycerz: każdy ma swoje chwile brzydkiego egoizmu w życiu; jestem w jednej z tych godzin. Śpieszę, leczę, boję się, żeby mi jedyna może zręczność nie uciekła. Ty wiesz o mo-

im kolosalnym Herkulesie ze lwem. Jest to marzenie mojego życia... moja kochanka, Jagusia, dziecię, wszystko! Tém żyję. Tylkom co się dowiedział, że wiozą przez Wilno dwa lwy afrykańskie, dwa prawdziwe Numidy na pokaz do stolicy ruskiej; biegnę szalony zobaczyć, uprosić, dobić się, aby mi je modelować dozwolono.

— Tytusie drogi, powiedz co mań zrobić z Perlim? co z sobą?

— Będę wieczorem lub jutro! Teraz daruj mi, przebacz i puszczaj, bo wytrzymać nie mogę— lew ten dusi mnie! Nuż go ztąd uwiozą, będę musiał gonić za nim. Potrzebnę go koniecznie, lece!

I zniknął piorunem w ulicy.

Jan okiem zazdrości spojrział na niego. Ten jeszcze był artystą! Jan już rzemieślnikiem tylko, bez zajęcia. Tytus nie pytał, kto mu zapłaci za grupę Herkulesa ze lwem, ale jak ją najpotężniej wykonać, jak tworzyć. Żył sztuką i dziełem swoim, nosił je w łonie jak matka nosi dziecię, póki nie przyjdzie chwila wydania go na świat.

Gdy smutny Jan wlecze się do Jagusi i dziecięcia, licząc ostatki grosza i myśląc o jutrze, Mamonicz pośpiesza ku ratuszowi, gdzie dwa lwy stanęły w zajęzdnym domu, w dwóch żelaznych klatkach. Zabrał z sobą co tylko miał pieniędzy, ołówek i papier, z zapalem domagając się wpuszczenia.

— Jutro pokazywać będą! odparł faktor Żydek.

— Jutro! ale ja dziś chcę się widzieć z właścicielem, dziś koniecznie... zapłaci!

Cisnie Żydowi dwuzłotówkę w rękę, wpycha się do izby gwałtem, i szybko poczyną tłómaczyć się, mieszając wszystkie języki, przed flegmatycznym Niem-

cem, słuchającym go cierpliwie, uważnie, niemal pogardliwie.

Nareszcie dopuszczają go do sieni, gdzie dwa Numidy stoją w klatkach. Królowie pustyni znużeni kołysaniem wozu, zmęczeni, zbici, legli na posłaniu bezwstydnie, drzemiąc i jakby bez życia. Tytus spojrział tylko na nich.

— Wcale nie tego mi potrzeba! rzekł: to są dwa wielkie ścierwa, dwie wypchane lwie skóry, ale nie mój lew, o jakim ja marzę. Czy zawsze tak ospałe i powolne? spytał Niemca.

— O! ja! dajemy im jeść do syta, aby ocieężały. Czasem powstają, zakolyszą się na nogach, ruchem, do jakiego płynąć i jadąc nawykły.

— I nigdy nie ryczą? nie złoścą się, nie rzucają, nie rwą?

— *Gott bewahr!* Niech Bóg bronil rzekł Niemiec z przestrachem. Gdyby były głodne, mogłoby to być może, ale karmimy je do sytości.

— Do licha! szepnął Tysus: takie lwy na nic mi się nie przydały! Darmo straciłem pieniądze; ale poczekaj Niemcze!

I począł usiadłszy rysować lwa, ale tak powoli, tak nudnie, tak cierpliwie nastrzępiając mu grzywę, że gospodarz zostawiwszy małe tylko chłopię przy klatkach, wszedł zniecierpliwiony do izby.

Tytus dobył talarka dla chłopięcia i rzekł mu:

— Idź sobie kup pierników, a dla lwa kawałek mięsa, damy mu jeść!

Trochę się potargowawszy, chłopiec odszedł. Tytus korzystając z tego, że sam pozostał, wyłamał przecik w płocie, którym odgradzony był chlew karczemny dla

krowy żydowskiej w stajni noclegującej, i przez pałki klatki począł po nosie drażnić nim dzikie zwierzę.

Nienawykły do takiego obejścia się z sobą, ale nie pojmując jeszcze, żeby go kto śmiał zaczepiać, lew podniósł łapę i opędził z nosa różgę, myśląc, że mucha mu dokucza. Oczu nawet nie otworzył.

— A! łotrze! nie chce ci się gniewać! Udajesz psa podwórzowego! Poczekaj!

I ćwiknął go po łapach co miał siły. Lew się otrząsnął, podniósł łbisko, otworzył zamrużone oczy, rozdziawił paszczę i... ziewnął szeroko.

— Na honor! to wielkie jakieś koty, nie lwy! to poprzebierane cieleta! coś u licha! wołał Mamonicz.

Bojąc się, żeby kto nie nadszedł, Tytus począł coraz srożej smagać rozbudzonego lwa, który z początku nie rozumiał co to jest, ale przekonany nareszcie o złych intencjach zaczepiającego, zerwał się na nogi z rykiem i wspiął łapami przednimi na prętach klatki. Klatka stojąca na wozie, ale już sznurami krępującymi ją zwykle nieprzytrzymywana, przechyliła się, zadrżała, upadła ze lwem razem na podłogę i rozbiła się tak, że gdyby Mamonicz nie odskooczył na stronę, byłby się znalazł pod pazurami rozjuszonej bestyi. Lew wybijał się ze swego więzienia, łamiąc je i rycząc.

O! piękny był w istocie w gniewie swoim! A drugi, brat jego, ujrawszy obudzony oswobodzonego, zaczął się także rwać i miotać na wszystkie strony, odzywając się przeraźliwie. W chwili wszyscy się na ten odgłos zbiegli; ale ujrawszy klatkę wywróconą, lwa wolnego rzucającego się po ziemi, a Mamonicza uwieszonego na belce, z zapalem i rozkoszą poglądującego na to zjawisko, na które lat tyle czekał, cofnęli się krzycząc

i zamykając drzwi wszystkie. Gospodarz Niemiec i Żyd rwali sobie włosy z głowy i przeklinali, co niewiele pomagało. Tytus wskoczywszy na niższą belkę, z téj wspiał się na wyższą; rozżarty także, nie przestawał lwa drażnić prętem. A lew choć długiem zamknięciem odrętwiały, znużony, dobywał się, podskakując ku niemu zajadle. Za trzecim razem uchwycił łapą Mamonicza tak silnie, że go o mało nie strącił. Zachwiał się na chwilę na belce, która mu za schronienie służyła. Przestał więc go drażnić, czując jak ciepła krew lała mu się z podrapanej ręki; ale oka nie spuszczał ze lwa, aby zapamiętać wszystkie jego ruchy, fizyognomię, wspaniałe i muskularne kształty.

Pierwszy to lew żywy trafił mu się w życiu. Nasyczał się nim, jak nigdy może kochanek widokiem upragnionym swéj ulubionéj, co ją marzył młodość całą, jak nigdy skąpiec widokiem stosów złota. Rana go nie bolała, nie czuł skaleczenia: cały był w oczach cały w artystycznym zapale. Tak pewnie wyglądał, Vernet przywiązany do masztu w czasie wspaniałéj burzy.

Tymczasem okropny rozruch powstawał w karczmie, w mieście. Mówiono już, że lew wyrwał się z klatki i przebiegał ulice, zamykano domy, uciekano na piętra, a okna pełne głów były.

— Narobiłem biedy, potrzeba ją naprawić... rzekł wreszcie ochłonawszy Tytus.

Po belce więc pośpieszył na strych, i wschodami do izby żydowskiéj doszedł. Ale tu gospodarz i właściciel lwów pochwycili go, witając krzykiem, obelgami, narzekaniem, biciem. Niemiec się wściekał.

— Cichoż do stu szatanów! zakrzyczał Mamonicz—

albo was wnet wszystkich tam powyganiam, abyście krzyczeć przynajmniej mieli czego! Dajcie mi co potrzeba, a uwięzę go znowu.

Wyrzekł to z taką pewnością, iż Niemiec, Żyd i wszyscy uwierzyli mu do razu. Postrzegli płynącą krew z ręki, a widząc męstwo, jakiego dał dowody, obskoczyli, pytając:

— Co chcesz? co zrobisz?

— Dajcie mi sznur, drag, kawał mięsa spory i siedźcie spokojnie.

Wszystko się zaraz znalazło, bo mięso, po któreby najdalej posyłać przyszło, było już przygotowane dla lwów.

Mamonicz wlaźł znowu na wschodki i strych, potem na najbliższą belkę i ujrzał lwa znużonego, przewracającego się do góry brzuchem na śmietniku.

Klatka miała tylko drzwiczki potraskane, a padła tak, że ją podnieść rychło było trudno. Nie można więc było myśleć, aby go wprowadzić do klatki. Ale stajenka odrębna gospodarska, ciasna i próżna teraz, stała w kącie otworem. Do niej należało wprowadzić lwa i zamknąć; ale jak? Obejrzał wprzód Mamonicz czy ma sufit, czy nie wychodzi z niej gdzie okno; potem idąc ciągle po belkach, zbliżył się ponad lwa i rzucił mu kawał mięsa.

Głodny, podniósł się, spojrzał, pochwycił je i połknął. Tak powoli, coraz mniejszemi kawałki ścieląc drogę ku stajence, szedł Tytus w górze, przelaząc z belki na belkę aż do progu. Upadek był śmiercią; trzeba się było trzymać dobrze i postępować śmiało. Doprowadziwszy do drzwi, pozostawało najtrudniejsze: rzucić mięso w głąb stajni, a gdy lew wnijdzie za niem, spuścić się szybko, drzwi zatrzasać i uwięzić.

Drzwi te zamykały się od środka stajni na drewnianą tylko klamkę. Odwaga i przytomność wyrabiają się okolicznościami.

Mamonicz tak zręcznie a rączęj tak szczęśliwie rzucił mięso, wybrawszy co największą jego sztukę z kością, że uderzyło się aż o przeciwną ścianę stajenki. Lew poskoczył za nim przez wysoki próg, a w téjże chwili Mamonicz po sznurze rzucił się w dół i zatrzasnął drzwi silnie, które umocował drągiem i uwiązał sznurem, potem zabarykadował drabinami, korytami i co tylko znalazł pod ręką.

Lew znużony, ani się ruszył, i pozostał spokojny w stajence; a Tytus pobiegł oznajmić właścicielowi menażeryi, że go już zamknął bezpiecznie.

— Idź—rzekł—naprawujcie kłatkę, przystawcie ją do drzwi, włożywszy w nią kawał mięsiwa, a lew znęcony karmią, wnijdzie łatwo.

Niemiec nie bez strachu odważył się wniknąć do stajni, gdzie pozbawiony towarzysza, drugi lew w klatce i lew w stajence, oba ryczały przeraźliwie.

Mamonicz teraz dopiero poczuwszy ból silny w poszarpanej ręce lewej, wymknął się i pośpieszył do doktora.

W pół godziny później z obwiniętą ręką leżał na łóżku; ale pomimo cierpienia i gorączki, chwycił glinę, i na desce opartej o krawędź łóżka modelował rozjuszoną bestyę, nie czując jak czas upływał, jak ręka mu gwałtownie rwała, a gorączka pod wieczór wzmacniała się coraz silniejsza. Glina pod jego palcami ożywiona, otwierała paszczę i ryczała; artysta radował się w sercu dziełu swojemu.

Po mieście tymczasem z każdą godziną coraz osobliwsze rosły wieści i olbrzymie przybierały rozmiary.

Opowiadano już o rozdartych przez lwa dwóch ludziach, dwojgu dzieciach i pięciu koniach; mówiono, że jakiś nieznajomy nareszcie czarami go w stajence zaklął i zamknął, a to z takimi dodatkowymi szczegółami, iż nie wierzyć zdawało się niepodobieństwem. Doktor, który opatrzył rękę Tytusa, pośpieszył rozpoznać znajomym, jak silnie i głęboko zaryły się lwie pazury w mięso ludzkie, ile ścięgn naruszyły, ile wydrapały ciała.

Nad wieczór plotka machając skrzydłami Skąły, nadleciała do Jana; a ten nie mając nawet czasu narzucić czapki, poleciał na Baksztę. Ale jakże się zdziwił, znajdując Tytusa w łóżku modelującego zajądła, z okiem zapaloném gorączką widoczną, a nieporzucającego roboty.

— Widzisz, szalony zapaleńcze, co cię lew kosztuje!

— Mam lwa! mam lwa! podchwycił snycerz z uniesieniem. Nie mów mi co on kosztuje; wszystko to głupstwo! Cóż tam ranka! kupiłbym go drożej, kto wie czy nie kalectwem! Patrz na to stworzenie! Brak teraz Herkulesa. Alboż zła postawa? albo nie silne łapy? źle otwarta groźna paszcza? A! teraz, na Boga! Herkulesa! a zobaczysz moją gruppe! Mógłbym lepić to konwencyjonalne zwierzę herbowe z ufryzowaną grzywką i zadartym ogonkiem jak wąsik kawalerzysty, który z wdzięcznym uśmiechem i gracyą trzyma herb W. Brytanii?? Tfu! wołałbym nigdy gliny nie wziąć w rękę, nie lepić więcej, nie ciosać kamienia, nie dotknąć marmuru, lecz belki obrabiać... Lew, lew, co za prześliczne stworzenie! wołał coraz się zapalając. Jaka w nim siła i zręczność mimo tak długiego zamknięcia! jak mu się plątała jego kudłata grzywa

płowa! jak mu grzbiet połyskiwał! Szkoda, żałuj, żeś ty go nie widział! Śliczny, cudny widok i gotowe studyum do Świętego Hieronima!

Jan łajał, a Tytus śmiał się uszczęśliwiony i pobudzony jeszcze gorączką. Całą potem noc marzył o walce ze lwami, siebie wystawując Herkulesem. Nazajutrz osłabiony znaczną krwi utratą i cierpieniem, przespał dzień cały. Doktor niebardzo był rad z jego ręki, ale przeciwko wszelkim oczekiwaniom rana się goić poczynala i artysta szybko do zdrowia przychodził. Tak szczęście, tak radość skuteczném są nawet na rany lekarstwem.

Lew ogólnie kształty z gliny utworzony w pierwszej zaraz chwili, obłożony starannie mokremi szmatami, aby mógł być wykończony później, przerabiany na coraz większą skalę, wyrósł nareszcie do naturalnej wielkości i zajął pół izdebki Tytusa, który go pieścił, poprawiał, aż nareszcie odrzucił *ébauchoir* i powiedział:

— Dość; czuję, że jużbym go popsuł.

Prześliczny ten wzór, zamykany na klucz pilnie, stał się skarbcem snycerza; oglądał go codziennie i wzdychał tylko, myśląc gdzie znajdzie Herkulesa dla tego lwa, tak pięknego wyrazem siły i zajądlności. Rana najprzód, potem blizna po niej stała się drogą dla Mamonicza pamiątką, wspomnieniem, którem się chlubił nawet trochę.

Ludzie pospolici, nie pojmując wcale tej sceny, mieli go po prostu za waryata; a Włoch Righi, który skopiował Mojżesza Michała Anioła do wnijścia katedry, naśladowca bez duszy, najpierwszym był do szydzenia z zapaleńca; śmiał się z niego do rozpuku. Odtąd snycerz nasz uchodził za półwaryata, lecz cóż

mu to szkodziło, gdy tak doskonale gardzić umiał paplaniem ludzi? gdy miał siłę wewnętrzną, by sam wystarczyć sobie?

Jan walczył, ale z losem tylko. Ciężka walka, gdy codzien bezskuteczna się odnawia, a zawsze zwyciężony w niej człowiek, upada coraz bardziej na siłach!

W domu przy wielkiej oszczędności przebiegały się zapasy, i widać już było chwilę, w której nie pozostanie ratunku. Wybrać się z Wilna, nie było o czém z Jagusią i dziećciem. Jan chodził obłąkany, nie mogąc się wziąć do pracy, lub siedział u kolebki i dumał patrząc na dziecię. Codzień gorzej, codzień gorzej. Mamoniecz zmagał się, ale napróżno. Zachęcał Jana do pracy, ten brał się do niej, ale bez zapału, i wkrótce rzucał pendzel bezsilny. Brakło mu wyższego natchnienia w sercu, brakło odwagi, którą daje wiara; czuł się spętany tą nieustanną, niepokojącą go myślą o losie żony i dziecka, która go we snach nawet trapiła.

— Tak — powtarzał bezsenny w duchu, poglądając na żonę uśpioną przy kolebce: — artysta nie powinien mieć ani żony, ani dzieci, ani rodziny. Wyrzec się tych związków dla sztuki, umieć jak Tytus radować się w ubóstwie i żyć o suchym chlebie, obejść się bez współczucia, bez uznania, wzgardzić z góry zazdrością i głupstwem. Na to wszystko brakło mi siły, a niebieskie oczy, które mi tyle dały szczęścia, odebrały teraz odwagę... Pracujmy! sława już dla mnie za wysoko; rzec się potrzeba świętych wzruszeń zapалу, którego doznać nie mogę; żyć tylko dla niej i dla dziecka, być rzemieślnikiem... a! wszystko dla nich! cóż mi tam!

Nazajutrz poszedł powtórnie do Perlego; ale szczęś-

ciem spotkał go wpół drogi, bo inaczej wiele byłby stracił, okazując jawnie nędzę swego położenia.

Perli sam go zaczepił.

— A! witam! tylko bez gniewu! rzekł. Wszak się nie gniewasz?

— Ja! na pana! odpowiedział Jan wpół pogardliwie, na wpół spokojnie.

— Otoż to tak dobrze! zgoda! zgoda! A cóż, robota jest? (Wiedział dobrze, że jej nie było.)

— Spodziewam się jej, mam przyrzeczoną, ale do-
tąd wolny jestem.

— No, możebyśmy się umówili? Jakże?

— Mów otwarcie! zawołał Jan. Wiele ci płacą? co chcesz wziąć dla siebie, nie robiąc i zyskując sławę w dodatku? Zrobię co potrzeba i na twoje imię; mniejsza z tém, nie dbam o tutejszą sławę.

— No, no! otoż właśnie! zgodzimy się; bardzo dobrze, i spiszemy kontrakt.

— Co chcesz!

— Widzisz pan kochany, rzekł Perli, biorąc go poufale pod rękę. Ja bo nie chcę się całkiem z cudzego chlepieć. Mam wiele praktyki, pan sam przyznałeś mi rzuty światła szczęśliwe. Otoż to, jako też, udzielię rady mojej i niektórych myśli.

— Dobrze, dobrze! odpowiedział Jan, ogłupiały swoim położeniem.

— Choć i nie byłem we *Włochach*, ale panie *spryt* jest! Sprytem wszystkiego dochodzę (jako też). No! panku Janku, jakoś to z nami będzie. Ot tak. Mnie płacą za sklepienie i trzy obrazy olejne ołtarzowe wysokości łokci czterech do pięciu, ogółem, jako też... Mam ci prawdę powiedzieć?

— Zda się, że należałoby.

— Dają mi tedy za robotę złotych 3,500; tak, trzy! A czy uwierzysz panie, że ten infamis Mruczkiewicz pod pozorem, że mi nastęczył (jako też), choć palcem nie kiwnie, bierze mi z tego pięćset złotych, które sobie w kontrakcie zawarował pod pretekstem współuczestnictwa. Hultaj! infamis powiadam! Ale niedoczekanie jego, odemszczę! Tandem, zostaje nam z tego 3,000. Daję utrzymanie, stół, chłopców, rusztowanie, farby, wszystko, z warunkiem, aby ultramaryny nie używać do draperyi w olejnych obrazach, a obchodzić się pospolitszą, antwerską. Otoż zostaje 3,000. No, samże powiedz, co ja mam wziąć, bo ja będę naczelnikiem, będę głową, a ty ręką moją.

Jan się gorzko uśmiechnął.

— Głowie dwa tysiące, a ręce...

— Mój panie Stanisławie! rzekł Jan: czyż cię sumienie nie rusza? Wszak nie robić nie możesz, bo na murze nie umiesz; wielkich figur nie narysujesz nawet.

Jak piorunem rażony odskoczył Perli.

— Kto to panu mówił? To ta bestya Rozyna, którąm widział szepczącą coś pod wschodami, albo niegodny Mruczkiewicz. Ale to są ó pomstę wołające pętwarze! to są kalumnie, to są (jako też) niegodziwości!

— Nikt mi nie mówił, ani Rozyna, ani Mruczkiewicz; dość jest widzieć twoje obrazy.

Perli zaciął sine usta, i biorąc za rękę Jana:

— Ale ty tego nie gadasz? spytał.

— Ja? czyż kiedy mówię o tobie!

— A gdy robić będziesz za mnie...

— Skoro się zgodzimy, nikt w świecie wiedzieć nie może, żem tam malował; nie znają mnie. Księża mogą mnie nie widzieć, zamknę się.

— Słowo?

— Słowo.

— No, to dam ci półtora tysiąca... nie dosyć? nie dosyć?

— Daj dwa, imię sobie pozyszczesz w dodatku, będę robił sumiennie i jakbym dla siebie pracował. Będziesz miał sławę.

— Dalibóg nie mogę, ale dla ciebie (jako też) coś począć? tysiąc ośmset i zgoda... A farby pozostałe odeszlesz mi! dodał szybko.

Jan poruszył ramionami obojętnie.

— Weźmiesz je sobie! rzekł.

Poszli więc spisać ohydłą umowę, a Perli wyliczył pięćset złotych na rachunek, bo sam wziął był tysiąc.

Niosąc pieniądze żonie, artysta płakał w duszy; ale postanowił nie mówić przed nią, jak wielką ofiarą kupował chleb powszedni jój i dziecka. Za dwa dni potrzeba się było rozstać z nimi i iść bodaj pieszo na miejsce, gdzie pilno żądano rozpoczęcia roboty.

Mrok był, gdy Jan wszedł powolnym krokiem do swego pomieszkania. Nie było to owo strojne, wesołe i nadziejami jak wieńcami obwieszone mieszkanie nowożeńców. Dwa lata niespełna upływały, a jak wiele się tu odmieniło!

Ożywiona wprzód obrazami malarnia, jasna, widna, miła oku, zdająca się oczekiwać na pracownika, teraz stała naga i odarta. Kilka płócien niedokończonych, zamazanych, świadczących o braku sił i zapалу, wisało zerwanych z ram i gwoźdźmi tylko przymocowanych nie-dbale. Wszystko okryte było pyłem, w zapomnieniu, opuszczeniu. Teki porzucone w kącie gnily, pełno śmiecia i zrynek. Kot bawił się gałką odkręconą od malsztoka.

Na bocznej ścianie kilku rysami ponarzucane głowy, wyrażały ból i rozpacz; w ich rysach pozna-
wał się Jana. Zaczęty dawno portret Jagusi stał nie-
skończony na trójnogu.

Toż samo w bawialnym pokoju, ciasnym, smutnym,
chłodnym. Zniknęły miłe fraszki i pamiątki; jeden tylko
sfinks maleńki na kominie pozostał.

Ujrzawszy go Jan, załamał ręce, położył przy nim
worek z pieniędzmi i rzekł:

— Wiem teraz sfinksie co znaczysz! Sfinks to ar-
tysta. Głowa ludzka, to duch wielki, to część bóstwa
w piersi jego; ciało bydlęce, to zwierzęcej na-
tury więzy, co nas pętają; rozwinięte skrzydła, to za-
pał, który przecież nie uniesie kamiennego potwora
od ziemi obrzydłej! Kamienny, żelazny, nigdy żywy:
to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby
cywilizacyi, ale ręka i umysł ludzki! Dla tego zaw-
sze na świecie, nie dla świata, pogodzić się z nim nie
umie, i dobrze mu być nie może. Artysta potrzebuje
podniesionej cywilizacyi, szczęśliwego czasu i kraju;
a u nas! u nas!!

Powolnie przyszedł do izdebki Jagusi. Tu jeszcze
tlała resztką życia. Maleńki pokój z łózkami był
jak dawniej czysty, świeży i miły. Przybyła w nim
tylko kolebka, w której spał Jaś mały, a nad nim
siedząca matka robiła pończochę. Ubranie ję było
skromnie ubogie, a rysy twarzy zdradzały długie, ta-
jemne cierpienie. Codziennie ją widząc, Jan nie po-
strzegał zmiany, jaka w ję rysach od niejakiego
czasu codzien wyrażniej się okazywała. Bładła, ru-
mieniec ję gasnął, a z wesołej twarzyczki dziewczę-
cej powstała surowa twarz niewiasty, co się zamyśla,
roi i lęka, głębsza uroczystym wyrazem, niemniej

piękna, choć nie tak już świeża. Wprawdzie na widok Jana, na wyciągnięte rączki dziecińy ku niej, zakwitał uśmiech na ustach Jagusi; lecz ileż razy po nim, bez przejścia, bez widocznej przyczyny, następowało głębokie zamyślenie, poważne jak chrześcianina smutek! Tych uniesień dziewczęcia, tego trzpiotowstwa młodej małżonki, tych wesołych śmiechów radziej życiu istoty, wprzód tyje ją zdobiących, już nie znała teraz. Oko patrzyło czasem długo w dał, gdzie nie było przed niem, w błękit niebios, w ciemności nocy, jakby tam szukało rozwiązania niepojętjej zagadki.

A młodości piosenka umilkła, odzywała się tylko jeszcze u kołyski, zmieniona w śpiew melancholijny, nieskończony, powolny, wijący się jak myśl jednostajnie, smutno, ciężko. Gdy patrzyła na Jana, łza czasem kręciła się w jej oku; patrząc na dziecic, ciężko, boleśnie wzdychała.

Taką była Jagusia, taką zastał ją Jan siedzącą z pończochą u kołyski. Położył przed nią worek i rzekł z uśmiechem grającym nieszczere wesele:

— Oto przecie zadatek roboty! pierwszej, którą przedsiębiore. Cały kościół, trzy ołtarzowe obrazy nędznie zapłacone; ale to początek!

Jagusia spojrziała niedowierzając.

— Doprawdy? spytała.

— Widzisz dowód — ale...

— Jest ale? spytała żona, rzucając pończochę i patrząc mu w oczy.

— O! i dość bolesnel rzekł, tając myśl całą, a rzucając jej połowę. Muszę cię na czas jakiś pożegnać.

— Jak to? spytała powstając nagle.

— O! nie trwóźże się! O kilkanaście mil ztąd maluję kapucyński kościółek. Będę śpieszył, będę śpieszył, jak cię kocham. Zostawiam cię pod opieką poczciwego Mamonicza, a te pięćset złotych przy twojej oszczędności wystarczą ci na jakiś czas.⁶ Ja nie nie biorę, pójdę pieszo.

— Ty! pieszo! Boże!

— O! bo nie wiesz — zawołał żywo — ile jest przyjemności w pieszej podróży. Wolę tak. Nie męczę się, bawię owszem, rysuję, tysiącem nasycam się widoków. Podskoczę, stoję i rządę sobą jak chcę.

Jagusia już usiadła zamyślona, odpychając ręką pieniądze.

— A! potrzeba tego! odezwała się. Ale Bóg widzi jak mnie to wiele kosztuje.

— Inaczej nie mielibyśmy roboty, bo drugiej nie znaję.

— Kiedyż się wybierasz? spytała na pozór obojętnie.

— Jutro, pojutrze najdalej. Pójdę tylko do znajomych, do Mamonicza, aby ciebie im polecić. Tytus już zdrow zupełnie na rękę, jemu cię śmiało oddam, to jedyny prawdziwy przyjaciel.

Jagusia wstała, poprawiła coś niby koło kołyski, i odeszła ukryć łzy swoje, które się cisnęły do oczu. Udawała, że się zajęła wyprawą Jana, a szła płakać niewidziana. Kilka razy uśmiechnęła się boleśnie, zagadala żywo i znowu składała rzeczy. Wielkie łzy jak krople deszczu przed burzą, padały jej na ręce, na trzymaną bieliznę, na twarz śpiącego dziecka.

Jan zadumany i pogrążony w swém upokorzeniu, nie nie widział.

Siedli potem na cichą rozmowę u kołyski Jasia,

i przytulili głowę do głowy, złożyli ręce, zbliżyli się do siebie, jakby na długo nacieszyć się chcieli sobą. Nic nie mówili, ale myśl jedna zajmowała oboje, myśl, którą słyszeli w milczeniu własném. Późno już w noc położyła się Jagusia, kryjąc łzy, udając sen. Jan wściekle rzucał się po łożu.

Jak świt, pobiegł do Mamonicza opowiedzieć mu wszystko.

— Słuchaj! rzekł: konieczność mnie ztąd wypędza, od nieć, od dziecka; tobie ich polecam, oddaję. Pięćset złotych wziętych od infamisa tego, zostawuję jój, sam z kijem w rękę idę... O! czuwaj nad niemi! Niech sobie łndzie plotą co chcą, ty ich nie opuszczaj, codzień się dowiaduj. Jagusia widocznie słaba. Donieś mi, gdyby broń Boże! gorzej się miała, uproś doktora.

I rzucił się na łóżko.

— Janie! Janie! zawołał Mamonicz: nie bądźże babą, i albo miej odwagę na nędzę, albo odwagę do czynu, który raz postanowiłeś. Jedno z dwojga. Spełniasz ciężkie obowiązki, ale święte. Powinieneś być spokojny i czoło mieć pogodne. Zresztą będziesz tworzył, malował, będziesz żył. Gdyby tu nie była potrzebna bytność moja, o! jak ochotnie poszedłbym z tobą lepić ci makietki z twoich rysunków. Nażartowalibyśmy się z pocziwymi brodacami, naśmieli, natrzpiotali po młodemu.

— O! mnie serce nie do tego ciągnie.

— Janie nieznosny, co u licha! mężczyznaż jesteś? O Jagusię swoją się nie lękaj. Będę jój ojcem, bratem, dziecku twojemu niańką, babką, czém chcesz; niczego im nie zabraknie.

Jan poszedł do Perlego, którego znów zastał w za-

targach z żoną. Oznajmił mu, że jutro wychodzi. Perli dał list do gwardyana i powiedział obojętnie:

— Ja tam wkrótce przybędę.

Pożegnanie z Jagusią było rozdzierające. Napróżno Jan udawał wesołość, obojętność, pocieszał ją; ona uczepliła mu się na szyi, i nie chciała puszczać, oblewając twarz gorącymi łzami.

— Mój Jasiu! mój drogi! oszczędzaj siebie, wracaj prędko!

I dawała mu dziecię do pocałowania, raz, i drugi, i dziesiąty. W zawinięty węzelek z rzeczami Jana, tajemnie wcisnęła mu połowę pieniędzy, przeprowadziła go na wschody, do drzwi, w ulicę, do końca jęj, a gdy nareszcie potrzeba się było rozstać, uciekła nagle, nie odwracając głowy, jak szalona, pobiegła do pokoiku, rzuciła się na kolana przy łóżku i poczęła płakać, ukrywszy twarz w pościeli, tak płakać, że rozbudzonéj nie posłyszała dzieciny.

Jan szedł szybko; obejrzał się, już mu zniknęła — podniósł głowę. Mamonicz go odprowadzał.

— Janie! Janie! rzekł: gdzie twoje męztwo? Powtarzam ci to ciągle! Czyś niewiasta, że stąpić nie śmiesz kroku, nie oblawszy łzami i nie otoczywszy płonnym żalem? Cóż rozstanie kilkotygodniowe, miesieczne? Idziesz pracować!

— Tak! dla sławy drugiego!

— Powoli! przyjdzie czas, że i sam na siebie pracować będziesz! Odwagi!

Podali sobie ręce.

— Tytusie! żona i dziecię!

— Mówiłem ci: przenoszę się naprzeciw ich domu, abym z oka nie stracił; będę czuwał. Bądź o nich spokojny. Czemuż nie mogę pójść z tobą! Mój lew,

jakby ci się przydał do Świętego Hieronima! Bo musisz im palnąć pięknych czterech doktorów!

Rzucili się sobie na szyję.

— A w przypadku daj mi znać.

— Bądź zdrow! bądź zdrow!

Uszedł szybko kilka kroków malarz, ale machinalnie podniósł potem głowę ku oknu. Z okna patrzyła na niego kasztelanowa temi niezapomnianemi oczyma, które dotąd pamiętał. Ona go poznała pod skromną odzieżą podróżnego, popatrzyła uważnie, uśmiechnęła się pogardliwie i cofnęła z okna. Poszedł dalej.

Tak go żegnało miasto, które on witał tylu nadziejami, do którego jak do portu śpieszył.

Kasztelan minął go i poznał czy nie, ale mu się nie odklonił. Mruczkiewicz otarł się przechodząc, popatrzał, rozśmiał się i głośno zawołał:

— A co? na żołdzie Perlego! Ej! ej! sameś temu winien!

W zaułku żydowskim minął kogoś nie uważając, bo oczy miał spuszczone. Był to Jonasz Palmer. Żyd go poznał, choć parę razy tylko widział, i pognął za nim, nie zbliżając się do niego aż za miastem.

— Panie, panie! rzekł cicho, gdy już byli za bramą.

— Kto? co? spytał odwracając się Jan.

— To ja! cicho Żyd odpowiedział, pokornie go witając. Dokąd? Dla czego tak przebrany? Co to znaczy?

— Ubóstwo! ubóstwo i wszystko, co ono wiedzie za sobą. Siadźmy tu, opowiem ci co się ze mną stało; dawnośmy się już nie widzieli. I tak nogi drżą podemną.

Usiedli na pagórku, z którego widać było miasto. Sze-

roko malarz opowiedział Izraelicie całe dzieje swoje, potem milcząc obaj spojrzeli w dół, pod siebie, na stolice starą, i zadumali się.

W dole, między górami, ścisnęło się i siadło nad rzekami dwiema, u stop wzgórz gliniastych, stare grodzisko litewskie. Czemu tak nisko? dla czego tak ściśnięte? Czemu wieżycie kościołów jak łodygi olbrzymich trawisk strzelają w górę, niby chcąc się bliżej słońcu i niebiosom przypatrzeć?

Czemu ciasne uliczki wiją się opasane wysokimi kamienicami, poprzerywane wystającymi domowstwami, niewyprostowane, nierówne? Czemu do koła rynku taki tłum domów, gdy takie pustki na przedmieściach? a wiatr nieopodal piaskami miota na rozłogu?

Czemu? czemu? Miasta rosną jak grzyby; ani dojdziesz czemu który z tych grzybów ma okrągły lub spiczasty, szary lub czerwony kapelusz. Snadź temu grzybowi wypadało tu i tak a nieinaczej urosnąć, zasłoniętemu górami, odwilżonemu wodą. I do koła ogniska, zamczyska, u rynku, skupiły się budy, domy, gmachy, kramy, kościoły z sięgającymi ponad góry łodygami rozkwitłemi w krzyże, i powstał gród, i stoi.

A ileż to już wieków przepłynęło po nim! Każdy z różgą w ręku, z mieczem w dłoni i rydlem na nowych mogił odkrycie. Jeden grzebał ludzi, drugi gmachy, trzeci wspomnienia starożytności. I nie każdy z nich postawił na mogile znak, że pod nią zawarł się grób; wiele zakłęsło w ziemię szkieletów, i ani śladu gdzie legły. Matka ziemia przerabia te szczęty na nowe życie, a po wierzchu się zieleni gdy w środku tajny ów proces nieśmiertelności, zakryty oczom naszym, nieustannie się odbywa.

Spojrzyj po dachach, po wieżach, po budach sło-

ma pokrytych, a myśl ei przyjdzie tęskna: ile tu przeszło pokoleń ludzkich? ile zabytych wypadków? ile zapomnianych enot i daremnych heroizmów? Kto wskrzesi starożytność? Kto? terazniejszość może. Siostry to rodzone: jedna krew, jedno życie, jedno obu twarze, bledsza tylko tamta, krańszsza druga. Na grobie pierwszój ona wyrasta, na jedną formę kształtuje się żywot nieustanny, bo śmierć w materyi jest żywota nasieniem.

Oto jesienne słońce zachodzi jaskrawo za góry; podnoszą się z kominów dymy szare; wierzeholki wieżyc na siném niebie malują się, błyszczące jakby nieziemskim światłem; ściany podniosłych domów lśnią śnieżną białością; dalej we mrokaeh niższe chaty, zapadlejsze dachy pokornych lepienek; tylko gdzieś niegdzie od szyby odbity iskrzy się blask zachodu. Góry sinieją w dali, a obłoki ubrane jak dziewczęta na niedzielę, pokładły na się wszystkie barwy tęzowe.

O! Pan Bóg tylko tak malować umie jak ezasem ukazuje się niebo, ale nie malarze, człowiek nigdy! Wszystkie tam barwy idealnie zlane, idealnego natężenia i siły, harmonijnie pożenione, zdają się temi odbłyśki jakąś wielką, niewyraźnie nam się czytać dającą myśl odbijać.

Kto nie czytał nigdy zachodu i wschodu słońca, kto w nich długo nie zatapiał wzroku, niech mi nie mówi, że poeta.

Ale otoż nagle ciemnieją kolory tak przed chwilą świetne; szafir tylko i purpura pozostają jeszcze; narreszeie gaśnie rumianość ehmur i zastępuje ją sina, jednostajna szata. Oko opada na ziemię smutno: skończyła się uroczystość w obłokach, szary powszedni dzień po niój.

Dzwony odzywają się różnemi głosy jakby sobie odpowiadały, pytały się i drażniły. Jedne dobranemi dźwięki zgodnie sobie wtórują, drugie się przeciwią, a starzec Smoleński z wysokości wieży poważnie, powolnie, żałobnie, zdaje się gromić cienko wyśpiewującą młodzież. W pośród tego gwaru zegar gdzieś zasycał, i wyprzedzając modlącą się drużynę, wybił przedko pięć razy. Jeszcze raz, dwa, zakołysały się dzwony jak do snu—i... cicho.

Teraz z miasta jak z wrzącego kotła na wielkiem ognisku, słyhać szum gotującego się ludu. Nie rozpoznasz w nim pojedynczego głosu. Wszystko złane, niewyraźne, pomieszane, a tysiąca ludzi szmer, jęki, śmiechy, rozmowy płyną w górę jednym głosem.

A jest Ktoś wysoko, co ze splątanych tysiąca odgłosów dopuści do siebie wybrane. Ale ludzkiemu uchu ani się pokusić o rozgmatwanie téj pieśni życia takim nóconój chórem. Posyłasz ucho, zdaje ci się, żeś coś podchwycił, wtém krzyżują ci się nici, zasłaniają ci złapaną—i znowu nic nie rozumiesz.

Szmer ten, gdy się weń wsłuchasz, już ci się potem wydaje głuchém milczeniem, tak dobrze utarł się w jedność.

Taki obraz mieli przed sobą, a oczy lgnęły do niego. Jan rzekł poruszony:

— Tam, pod tym pochylonym dachem zostawiam co najdroższego mam na ziemi: żonę, dziecię! Dla czego sztuka, myślą nic nie żyje samą? Muszę pracować jak rzemieślnik, aby jak on zarobić na życie! Idę malować najęty, a nawet na pracy znikomego imienia mego nie podpiszę. Kupiono pracę i sławę moją.

— Jakże!—zawołał Żyd powstając—nie było ci wprzód poskarżyć się przedemną? powiedzieć mi

o tém? Ja prawie bogaty jestem; czemu nie było żądać odemnie, abym się z tobą podzielił? Myślisz, że mam mojej biednej braci przywiązanie do grosza i siebie! O! nie! nie!

— Dzięki ci! dość dzieliłem się z innymi; czas pracować samemu. Lecz któż wie, czy ty nie możesz mi być jeszcze opiekuńczym duchem? Zostawiam tu żonę i dziecię; nad nimi czuwa serce najlepsze, Tytus. Lecz on ubogi jak ja; może im czego zabraknie, choć zostawiłem pieniądze. Zobacz się kiedy z Tytusem, powiedz mu, że w przypadku pożyczysz im na chleb, jeżeli by go brakło...

To mówiąc, Jan ścisnął go za rękę i chciał odejść; ale go Jonasz nie puścił jeszcze.

— Czekaj, rzekł: przeprowadzę cię. Gdybyś nie wstydził się mieć we mnie przyjaciela, powiedziałbym ci co czuje serce moje... kocham ciebie!

Jan się odwrócił ku niemu.

— Mój drogi, dla mnie jest tylko dwoje pokoleń ludzkich na ziemi: dzieci boże i dzieci szatana, poczciwi i źli. Pierwszych kocham, nad drugimi się lituję. Ty należysz do pierwszych. Z tobą i z Tytusem spędziłem pod tém lodowatém niebem kilka jedynych chwil rozkosznych na rozmowie o sztuce, o piękności. Te chwile na zawsze są pamiętne, na zawsze! Jeśli odjedziesz do Niemiec, do rodzinnej twojej krainy, wspomnij tam kiedy o mnie, na własnej ziemi wygnańcu.

— Ale po cóż odchodzisz, gdy cię tyle to kosztuje? spytał Jonasz. Wziąłeś zadatek, ale to umowa hańbiąca i niegodziwa. Zerwię ją, ja zadatek wrócę, zastąpię ci pierwsze koszta utrzymania. Od jutra zaś, jeśli nie masz wstrętu, wyrobię ci miejsce w handlo-

wym kantorze, gdzie twój szlachetny charakter wstęp ci zjedna. Ja zaręczę za ciebie, jeśli pozwolisz; weźmiesz kasę, a godziny wolne poświęcisz malarstwu. Janie! rzekł, proszę cię, przyjm.

— Nie mogę! nie mogę! ale wierz, że ci z serca dziękuję.

— Daj się namówić, proszę!

— Musi się spełnić moje przeznaczenie.

— Niech Bóg błogosławi cię, mój biedny Janie! zawołał Jonasz — Bóg jeden nas wszystkich! Bądź zdrow! Życie—pielgrzymka: może gdzie jeszcze spotkamy się na drodze; jeśli nie, wspomnij na mnie; któż wie, gdzie się zobaczym jeszcze?

Gdy się rozeszli, słońce już było zaszło, a Jan straciwszy czas na pożegnaniach i rozmowie, przenocował w blizkiej gospodzie, z której jeszcze widać było miasto. We snach marzył o Jagusi i dziecięciu swoim.

We dwa dni później znużony zakolał do drzwi klasztoru, gdzie go uprzejmie przyjęto. Nie był to wprawdzie ów zamożny znany mu kapucyński klasztor; ale przytułek cięły przy swém ubóstwie i bogaty w ludzi, jakich Jan teraz więcej niż kiedy potrzebował. Gwardyan, starzec pięćdziesiątletni, był niegdyś pięknego rodu i najlepszego wychowania; bracia, co go otaczali, szczęśliwym trafem, wszyscy ludzie światli i łagodnego charakteru. A co najbardziej, uroczysty spokój klasztorny, błoga cisza serc i duszy panowała tu, na wyjaśnionych malując się czołach.

Na widok sklepień nagich, które myśl jego zaludnić miała, płócien i przygotowania, obudziła się w Janie reszta artystycznego zapалу. Wielkie myśli, Pisma Świętego, z których malować miał obrazy, przeszły

w głąb jego duszy i zadziwioną poruszyły. Olbrzymie majestatyczne postaci i pogodne oblicza rosnące pod ołówkiem malarza, budziły w głowie pytania o życie religijnem, których nie umiał rozwiązać. Pracował szybko, ale natchnieniem zupełnie świeckiem, nie umiając ożywić jakby był chciał obrazów, nie mogąc wlać w nie duszy, i dziwując się sam w sobie niedołężności swojej.

Kartony, acz niezaspakajające dla artysty, ale piękne dla obcych osób, wyrosły prawie bez pracy: była w nich umiejętna kompozycja, rysunek poprawny, postawy piękne, linie wdzięczne i powagi pełne, były oznaki wielkiego talentu: brakło tego, co starym obrazom w XV i XVI wieku urodzonym w modlitwie nadaje ów nieopisany urok, ⁷za czego nic nie da, gdy kto w piersi nie ma ognia wiary, płomienia modlitwy. Jan ich nie miał od dawna—i dziwił się, że oblicza jego postaci idealnem życiem poruszyć się, zagrać i przemówić nie chciały.

W pośrodku niewielkich sklepień, na pamiątkę widzianego w młodości obrazu *al fresco* u Kapucynów, zamierzył wystawić Wniebowzięcie, apoteozę matki Boga, czyli tryumf kościoła.

W czterech narożnikach siedli czterej prorocy, wielkie figury natchnionych starców, po których kolosalnych postaciach popłynęły surowo obleczone draperye. Dwóch bocznych sklepień freski miały być z życia patrona zakonu. Na jednym z nich odebranie buli potwierdzającej zakon, na drugim śmierć Świętego. Trzy ołtarzowe, pół-okrągło zakończone obrazy, wystawiać miały: środkowy Trójęc Świętą w chwale aniołów i światłości; jeden boczny Świętego Antoniego z Dziecięciem Jezus, drugi Świętego Franciszka.

Pocziwi księża, zdumiewając się nad talentem i bolejąc nad smutkiem głębokim artysty, nastreczyli mu w sąsiedztwie parę portretów i zamówili dwie inne do kościoła roboty nieobjęte kontraktem; to się zrobiło nim rusztowania i inne przybory ukończone zostały. Zapłacono je jak było można, dopełniając niewielką kwotę temi grzecznościami z serca pochodzącymi, tém przyjacielskiém współczuciem, które jest droższe nad wszystko. Jan uspokojony nieco, dokoła siebie pogodnie tylko widząc czoła, uczuł w duszy nieznaną dawno ciszę i pozazdrościł zakonnikom swobody. „A! rzekł w sobie: gdybym wierzył jak dawniej i umiał się modlić, jakżeby wzdychał do życia zakonnika-artysty, który nie po za sobą na świecie nie zostawił i sam tylko z Bogiem w sercu pozostał!”

Nieznacznie, pobyt w klasztorze działał na Jana; ale szczególnie wpłynęła nań jedna okoliczność, która może i o przyszłości jego dalszej stanowiła. W początkach nabożeństwo, obrzędy, ledwie nie szyderczym go znalazły, później obojętnym, nareszcie zamyślonym, i jakby usiłującym przeniknąć tajemnicę głębokiej wiary, którą utracił. Zastanawiał się, dumał, niepokoił sobą. U ludzi, co go otaczali, zwłaszcza gwardyana, znalazł tyle oświaty, tyle nawet świeckiej nauki przy tak szczerzej i serdecznej wierze, że go to zastanowić musiało. Dotąd Jan wiarę przypisywał ślepotcie; tu ze zdumieniem ujrzał ją połączoną z nauką wielką i panującą jęj; posłyszał na swe częste zarzuty odpowiedzi bez zdumienia i łatwe, spotkał uśmiech łagodnego politowania.

Nawrócenie wcale mu się nie narzucało natrętnie, nie kusilo go, ale przychodziło, gdy go pożądać się

zdawał, jak woda płynąca z czystego źródła, do której potrzeba się nachylić, aby się napić.

Seree mu zabiło nieznaną trwogą i jakiéś nieopisaném żądaniem.

Gdy się to dzieje, a Jan biedzi się, czując brak natchnienia, jednego południa szedłszy z rusztowania, poezął się przechadzać po pustym kościełku. Myśli czarne opadły go jak kruey trupa, myśli kruki, które tylko na umarłą w wierze pierś nalatują. Chodził i dumal, gryząc się sam sobą, szarpiąc pogardą swój słabości i upadku. Wtém nieraz już pomijane bez uwagi drzwi, wiodące do małej kapliczki Chrystusowej, nieobjętej kontraktem jego, zamknięte na klucz, uderzyły go teraz nie wiedzieć dla czego. Miałż zostać niepomalowana? lub kto ją miał zdobić? Częsty stukot i przechodzenie do niej oznajmowały, że tam coś robiono; dla czegoż zawsze była zamknięta? Spróbował drzwi, ale mu się nie otworzyły za danym znakiem; nieukontentowany udał się do refektarza.

— Ojcie gwardyanie—spytał po obiedzie—cóż będzie z kaplicą Ogrójeową, którą tak pilnie zamykacie? Czy myślicie ją zostawić białą? czy chcecie powierzyć komu innemu?

Na to pytanie, starszy spojrzał ukradkiem ku przechodzącemu mimo braciszkowi, który milezący do drzwi się wymykał, i odpowiedział trochę zakłopotany:

— Ta kapliczka... nie należy do waszego kontraktu.

— Ja wiem o tém, rzekł Jan—i właśnie jestem ciekawy.

— A! to źle kochany panie, żeś ciekawy! śmiejąc się odrzekł żartobliwie gwardyan. Nie ma tam nic ciekawego.

Milczący braciszek stał jeszcze we drzwiach, po-
glądając na gwardyana błagającym wzrokiem, zatrzy-
mał się na progu, potem zniknął. Rozeszli się.

Ale Jan wprowadzony w większą jeszcze cieka-
wość milczeniem starszego, nie zaprzestał śledzić co
się działo w téj kapliczce. Następných dni dostrzegł,
że ktoś raniéj od niego przechodził tam i zamykał się
w niéj; parę razy przesunął się chłopiec niosący coś
ku tym drzwiom tak pilnie zamykanym.

Spytał się znowu gwardyana, ale ten tajemnicę
w żart obrócił i rozmowę inaczej skierował. Jan po-
czynął się niepokoić i niecierpliwić. Dostrzegł, że ile-
króć mówi o kaplicy, zawsze ów braciszek nieznamy,
milczący, spogląda błagającym wzrokiem na gwardya-
na. Cóż w tém miał braciszek? nie pojmował; ale po-
stanowił go śledzić i zbliżyć się do niego o ile moż-
ności. Zdziwi to może kogo, że Jan tak zajęty sobą
i położeniem swoim, mógł być wprawiony w cieka-
wość okolicznością tak małej wagi. Lecz niewytłoma-
czone są poruszenia duszy, z których żadna psycholo-
gia sprawy nam nie zdaje.

Braciszek, o którym mowa, mógł mieć lat czter-
dzieści kilka. Małego wzrostu, chudy, twarzy nie-
zmiernie bladej, na której dziwnie czerniały oczy
błyszczące silnie, z posrebrzonym już włosiem na skro-
ni, z brodą długą, ciemną jeszcze, zastanawiał fizyo-
gnomistę czołem niewidzianéj piękności i dziwnego
kształtu. Twarz jego była spokojna, uśmiechająca się,
wdzięczna; on sam milczący. Mało go Jan widywał
w klasztorze; najczęściej przychodził do refektarza tyl-
ko i zniknął po jedzeniu szybko. W czasie uroczystości
i nabożeństw tymczasowo w kapliczce odprawianych,
odznaczał się zapalem, z jakim trwał na modlitwie.

Nieraz wśród niej widział malarz łzę błyszczącą w jego oku i po białej spadającą twarzy.

Jakaś tajemnica widocznie otaczała tego człowieka. Księża nie o nim nie mówili. Gwardyan pytany o niego, odpowiadał:

— A cóż? to brat Franciszek!

— Zkądże on rodem i jakiego stanu?

— O stanie nie wiem prawdziwie, a rodem jest z naszych prowincyj.

I na tém się skończyło, bo nie więcej wysledzić Jan nie mógł.

Przyszedłszy jednego dnia raniiej niż zwykle do roboty, malarz zobaczył z rusztowania, jak braciszek przemknął się do kaplicy, po cichu zamknął się w niej i nie pokazał już więcej. Jan próbował zbliżyć się do brata Franciszka, ale pomimo uprzejmości, wesołej rozmowy jego i pozornego nieunikania, przekonał się, że mnich z dala od niego zostać pragnie.

Wszystko to razem jątrzyło artystę tak, że postanowił dojść tajemnicy kaplicznej i tego zagadkowego zakonnika.

Drobne postrzczenie, plamka od farby na habicie brata Franciszka, naprowadziła wreszcie na domysł, że on maluje zapartą część kościołka. Wszystko się tym sposobem tłómaczyło skromnością mnicha, który ze swoją robotą popisywać się nie chciał.

— Jużciż muszę zobaczyć co on robi i jak! zawołał Jan w sobie.

W niedzielę, w czasie nieszpornego nabożeństwa, udał się do kościoła, i tak zręcznie podchwycił klucz, wiedząc gdzie go zwykle kładą, że nikt nie miał czasu zapobiedz temu. Wcześniej bowiem śledził sposobu, jak go dostać.

Z ciekawością zajątrzoną długiem oczekiwaniem, wpadł malarz nasz do Ogrójcowej kapliczki, wyobrażając, sobie, że zobaczy coś naiwnie potwornego w robotach Franciszka. Ale jakże się zdumiał!

W pośrodku stał ołtarzowy obraz poczęty; mury już okryte były całe malowaniem lekkim, powietrznym i wesołego kolorytu. Obok trójnoga leżały dyscyplina, brewiarz i różaniec. Na boku nieco, drewniany krzyżyk, osadzony czasowo, prosty bardzo, wskazywał miejsce modlitwy. Jan obejrzał się bacznie. Roboty zakonnika tak były odmienne od jego robot, tak nacechowane odrębnie, że chwilę pozostał w niepewności i zdumieniu jakimś, nim szczegółowo rozpatrywać je począł. Freski i obraz zarówno przypominały stare malowania widziane przez artystę we Włoszech z epoki poprzedzającej tak zwane odrodzenie sztuki. Był w nich jakiś styl gotycki, surowości pelen, a życiem tchnący, coś razem prostotę i wielki wyraz łączącego w sobie. Wdzięcznych linii, sztucznych sprzeczności i malarskich wybiegów dla efektu, tu nie znalazłeś: wrażenie, jakie robiły obrazy, było spokojne i poważne. Światła i barwy nie trzpiotowały się na nich i nie wysilały jak na pokaz, tylko użyte były jak narzędzia.

Jan przywykły do sztuki wymyślnój i wymyślającej, sztuki co z rąk Perugina i Angelica da Fiesole przeszła we władanie Rafaela Mengsa i nosiła u siebie ślady maniery, wymusu, rafinacyi,—widział tu coś jakby cofnionego, zastarzałego, gotyckiego, ale razem zdumiewającego prostotą i niesłychanym wyrazem. A wyraz to był nie ziemskich twarzy, nagiętych na oznaczenie pewnego uczucia, ale idealnych obliczy rozjaśnionych niebem, uniesionych, lub heroicznie i nie po ludzku cierpiących.

Anioły z narzędziami męki Chrystusa Pana, ukazujące się na freskach, były tak piękne a tak anielskim owiane smutkiem, że Jan wpatrując się w jednego z nich, co nań zdawał się patrzeć i wskazywać mu krzyż, uczuł bicie serca i nieznane jakieś dotąd wrażenie.

Obraz ołtarzowy wystawiał Chrystusa w Ogrójcu.

Dziś, gdy znamy Overbeck'a, do jego tylko utworu można ten obraz porównać; on tylko mógłby z taką siłą prostoty i natchnieniem tak potężnym, z takim coś zrobić namaszczeniem. Malowanie było nieco twarde, draperye łamały się może w sposobie Martina Schön'a, koloryt zbyt był nateżony; ale niemniej było to dzieło zachwycające nieporównaną ekspressyą. Cierpienie w Chrystusa twarzy, anioły ze łzami na oczach i uśpieni uczniowie, narysowani byli z uczuciem, na które, powiedział sobie Jan, zdobyćby się nie nmiął.

— Zrobiłbym wdzięczniej, miliej dla oka, ale nigdy tak. Ten wyraz twarzy, ruchów, wylał się z piersi na modlitwie może. Jest to rodzaj intuicyi, widzenia, co podyktowało, czegooby zimna rozważa i umiejętność nie była dać w stanie.

Krzyż, dyscyplina, brewiarz i różaniec wytłómaczyły Janowi, z kąd pochodziło natchnienie brata Franciszka. Stał, patrzył, myślał długo, i westchnął nad sobą.

Uczuł się z całą swą doskonałością, małym i bezsilnym.

Jeszcze był nie dokończył rozpatrywać kaplicy, gdy szybkie kroki dały się słyszeć w kościele, i brat Franciszek, bledszy niż zwyczajnie, stanął w progu. Ujrzał Jana zdumionego, zamyślonego, i zawahał się czy wniknąć czy się cofnąć.

Malarz pobiegł ku niemu.

— Daruj—rzekł—ciekawości!

— Czy się to godziło! czy się godziło! mruczał zakonnik.

— Przebacz mi, a zarazem rozwiąż zagadkę, którą twoja praca jest dla mnie. Kto ci dał wyraz? kto daje duszę twoim postaciom? kto to niewyuczone i nie-naśladowane życie, które tchnie z nich i zachwyca? Kto cię nauczył?

— Modlitwa, odpowiedział po cichu braciszek.

— A! jesteś wielkim malarzem! jesteś wielkim malarzem! a moje roboty przy twoich, zimne posągi przy żywych ludziach!

— O! kochany panie! jam nieuk, nie zawstydzaj mnie.

— Ty! jabym się winien uczyć u ciebie. Nie pojmuję, czemu nie malowałaś całego kościoła!

— Jestem tu na krótko, a przytém czyżbym potrafił? zawstydzony i jak dziecię spuszczać ciągle oczy odzywał się zakonnik.

— Czybyś potrafił! rzekł Jan z zapalem: o! gorętsze życie lałoby się z tych figur, które teraz zimne i sztywne stoją, jakby czekały, czy kto im nie da duszy!

I usiadł na bliższej lawce, pochylił głowę, milczał.

Brat Franciszek wziął go za rękę, ściskając ją z politowaniem.

— Bracie—rzekł—bo możemy się tak nazywać... chory jesteś na duszy, ciężko chory. Spokój cię odbiegł, wiarę straciłeś i świat ci czarno się pokrył. Módl się! módl się! módl się! to jedyna rada. Spojrz w niebo, gdzie mamy ojca, na ziemię, gdzie masz bra-

ci, a odwróć oczy od siebie, bo może tam za często poglądasz. I módl się! Zrzuć pychę z serca i otwórz je miłości Zbawiciela i miłości ludzkiej w Zbawicielu. Modlitwa cię uleczy.

— Modlić się! rzekł Jan: modlić się, gdy nie wierzę!

— Przyjdzie wymodlona wiara! Wiara, ten dar boży, którego wołą ani żadnym nie pozyskasz środkiem, który tylko wyźebrać łzami można, nagle oświeci cię ak wschodzące słońce promieniami swemi, i obudzisz się w blasku poranku, padniesz na kolana, dziękując. Módl się, módl się—dodał—a i ja za ciebie Boga prosić będę.

Od tego dnia począwszy, nie zamykała się już kaplica Ogrójcowa przed Janem, a dwaj artyści zbliżyli się do siebie powolnie, wiążąc się najściślej sznurami. Pomimo rad wszakże brata Franciszka, Jan nie mógł jeszcze wymódlzić na sobie zwrotu ku wierze i modlitwie, pozostał zimny jak był; tyle tylko uczynił zakonnik, że go uprosił, aby nabożeństwa nie opuszczał, i chociażby najchłodniej, bez uczucia, spełniał wszystko co nakazuje religia, czekając cierpliwie aż duch zstąpi na niego. Jan niewiele ufając w ten środek, dał słowo, że go użyje, i dotrzymał słowa. W kilka dni po opisaném widzeniu kaplicy, Jan dowiedział się historyi księdza Franciszka od niego samego.

Syn ubogich szlacheckich rodziców, spędził młodość najdziwniej, miotany po świecie i w najzupełniejszej obojętności religijnej. Z bogatszymi od siebie zwiedził Hollandyę, Francję, Anglię, a na ostatku Szwecyę.

W ciągu młodości czego doświadczył, jak bolał, tego się zaledwie domyślać było można; gdyż ani on, ani

nikt nie umiał o tém powiedzieć. Głęboka tajemnica okrywała dzieje serca jego i duszy.

Powracając ze Szwecyi, zachwycony burzą na morzu nieopodał od Połagi, brat Franciszek, naówczas świecki jeszcze człowiek, uczynił w przestrachu ślub wstąpienia do zakonu, jeśliby uratował życie. Okręt osiadł na mieliźnie, a rybacy przywieźli nazajutrz na brzeg pozostałych podróżnych. Nasz wędrowiec, dotrzymując uczynionego przyrzeczenia, ku czemu wiodły go także zapewne zawody przeszłego życia, natychmiast obłókł suknię zakonną. Tu dopiero nagle, bez przejścia prawie z największej obojętności, uczuł się oświeconym i pełnym gorącej wiary. Tu, nigdy wprzód nie będąc artystą, natchniony począł malować obrazki świętych, sam się poduczył, sam się nauczycielem stał własnym, i doszedł do wyrobienia sobie stylu, do umiejętności, jaką w nim Jan się zachwycił.

Taki był rys życia brata Franciszka. My wróćmy do Jana.

W pierwszym tygodniu odebrał on list od żony, pełny łez ukrytych, ale wesoły pozornie. Tytus opisywał mu także obszernie zabawy dziecięcia, zatrudnienia matki, stan domowych interesów, i żarcikami umyślnie kończył dla rozweselenia Jana. To go zasmuciło właśnie. Wzdychał do Wilna! Mamonicz pisał, że Perli wybiera się do kościółka zobaczyć, w jakim stanie są roboty.

Jakoż w istocie nadjechał wkrótce Perli z całą powagą mistrza, który idzie zajrzeć w robotę ucznia. Księża zbiegli się, wnosząc z Jana, że mistrz ten musi być nierównie jeszcze wyższy od niego. Lecz jakże się zdziwili, widząc tylko dumnego, zarozumiałego nieuka, który zręcznie nawet pokryć czego mu bra-

kowało, nie potrafił. Teraz bowiem Perli z postępem pomyślności w interesach, mniej już miał baczenia na zdradzający go język.

Udając wielkiego znawcę, wszedł na rusztowania dla obejrzenia kartonów, które przedawał za swoje, i roboty; ale na widok rozrobionych farb tyłu, pośpiechu, z jakim na świeży tynk kłaść było potrzeba tony, nie poprawiając się wcale, na widok ogromu figur i złamania linii niepojętego mu, osłupiał, zdumiał się, języka w gębie zapomniał. Malowanie, które z dołu zachwycało go, z blizka wydawało mu się szkaradnym. Dziwił się, zżymał, ganił, nie wiedząc co począć z sobą. Wstyd mu było pokazać się nieumiejącym całkiem przy księżach; próbował udawać, że maluje; ale ilekroć brał pendzel do rąk, tylekroć przekonywał się, że tu, jak w jego olejnej robocie, wykpić się nie było można sprytem. Nie darmo Michał Anioł olejne roboty zwał kobiecą zabawką. Upokorzony w duchu, zszedł Perli z rusztowania, udając, że nauki daje Janowi, który wysłuchiwał go cierpliwie, choć z szyderskim boleści uśmiechem. Księża nie mogli pojąć, co znaczy ta osobliwsza komedia?

Na dole opowiedział im malarz, że od lat trzech boleść w prawej ręce, pracować mu nie dozwala, i dla tego cudzą swoje pomysły wykonywa.

Poczęte obrazy olejne zupełnie złemi wydały się Perlemu, i niełitościwie je zganił. Zaraz nazajutrz ufając w to, że gotowy już rysunek robotę mu ułatwi, wziął się do obrazu głównego ołtarza; bo wstyd mu już było nie a nie nie robić. Ale obraz ten jasny i cały w delikatnych półtonach i światłach, był dla niego niepodobny do wykonania. Pomazał chmury, począł tak widocznie psuć, że sam się na tém poznał, i po-

skarżywszy się na rękę, że mu nawet olejno malować nie dozwala, wstał od roboty.

— A przytém—dodał—to tak słabo poczęte, że wziąć się do tego nie mam ochoty.

Brat Franciszek stał z daleka tak zdziwiony, że słowa wyrzec nie mógł. Jan w milczeniu starł robotę Perlego, i cicho mu szepnął z uśmiechem:

— Nie frasuj się, nie stracisz sławy, podpisując moją robotę.

Obraz Świętego Antoniego był jeszcze nienarysowany, tego więc chwycił się z kolei Perli, dni parę wypocząwszy. Jan dał mu rysunek, zostawując wykonanie, a sam przechodząc do Świętej Trójcy i fresków.

Porównanie podmalówek do reszty zbiło z tropu, z dumy i z powagi Perlego, który uczuł się o tyle niższym, że począł milczeć, zadumywać się i wspominał o nagłej potrzebie odjazdu do Wilna. Księża, którym się naprzykrzył gadatliwością próżną, wcale go nie wstrzymywali.

Na pracy i w tych dramatycznych przejściach (bo nic nie było zabawniejszego nad Perlego, usiłującego zrównać się lub przynajmniej bez wstydu wynijść przy Janie), minęło kilka tygodni. Listu od Jagusi dawno już nie było. Pisał tylko raz Tytus, że dziecię przechorowało na kaszel, ale jest już zdrowsze, a żona dodawała: „Powracaj gdy będzie można, mój drogi! tęskno nam do ciebie!”

I jemu tęskno też było, ale jak powrócić gdy praca ledwie poczęta? Poczciwi Kapucyni pocieszali go rozmową, towarzystwem swoim jakimś serdecznym, braterskim uczniem, które najsilniej objawiło się u Franciszka. Wieczorami znalazły się książki, a czas wygnania tego spływał daleko lżej i prędzej niżeli

się spodziewał. Roboty szybko prowadzone z żalem zakonników zbliżały się ku połowie, Jan bowiem przywilejem, wielkim tylko talentem i geniuszowi wspólnym z wielką miernością, tworzył szybko i łatwo.

Księża, a zwłaszcza brat Franciszek, widząc taki postęp roboty, często smutnie mówili mu:

— Źle nam będzie bez ciebie gdy odjedziesz... ot, zostań się z nami!

— A żona i dziecię? tam wszystko moje i serce, odpowiadał Jan.

— Gdzie skarb twój, tam i serce twoje!

Już nareszcie część rusztowania odjęto i mniejsze freski odkryte jaśniały temi żywymi kolorami, tą barwą obłokową, które mieć powinny unoszące się w kościele nad głowami idealne postaci; obraz ołtarzowy Świętej Trójcy miał się wykończyć, gdy jednego ranka do sali, w której teraz pracował Jan, wszedł Żyd zblocony z listem od Mamonicza.

List nakreślony był żywo na kawałku udatego papieru, niezapieczętowany, i zawierał tylko te słowa:

„Janie! siadaj na koń i przybywaj, śpiesząc o ile możliwości. Śpiesz do nas, śpiesz!”

— Co się stało? zawołał do Żyda.

Ale Żyd posłaniec nie powiedzieć nie umiał. Jan ze ściśnionem sercem, przerażony, porzucił wszystko, i z listem w ręku, z rozognioną twarzą, stanął przed gwardyanem.

— Ojciec mój!—krzyknął—konia! zaklinam cię na miłość bożą, konia mi daj! Coś okropnego mnie czeka w Wilnie, wzywają mnie, konia na Boga! dam za niego co chcesz.

Gwardyan wstał powolnie.

— Moje dziecko! rzekł smutnie: nie wstrzymuje

cię, jedź, dam ci najlepszego jakiego mam konia, ale godziło się chcieć mi za niego płacić?

Wyjął z szufladki zwitek pieniędzy, wcisnął go do ręki osłupiałemu i rzekł:

— To na drogę. I to na drogę! dodał błogosławiąc go wzruszony.

Jan wyrывał się do drzwi, poleciał do stajni, pochwycił za uzdę konia na wpół osiodłanego, i siedział już na nim bez płaszcza i czapki, gdy brat Franciszek nadbiegł, rzucając mu na ramiona nakrycie, aby pochwycić dłoń jego jeszcze i cicho powiedzieć:

— Janie, módl się!

Wszyscy zakonnicy wyszli spojrzeć na odjeżdżającego, modląc się w duchu za niego. On nie widział nikogo, nie słyszał nic, spał konia, poleciał.

Na ostatniej mili zhasany koń, bo mu nie dał tchnąć prawie, począł widocznie ustawać, potrzeba było zatrzymać się, a Jan porachował, choć niebardzo był przytomny, że na wypoczętym prędzej się dostanie niż pieszo, rzuciwszy go na drodze.

Ktoby go ujrzał naówczas, z trudnościaby poznał; blady, wynędzniały, zgarbiony, we dwa dni postarzał o lat dziesięć. Twarz jego wyrażała tę niespokojną srogość, którą daje wielka boleść w pierwszej chwili, gdy człowiek nie znając się sam jeszcze, nie wie jak się niedoła szeroko rozleje.

Zaledwie dawszy wytchnąć koniowi, przebiegł ostatnią milę w pół godziny; minawszy ulice miasta, wpadł przed dom, na którego okna rzucił najprzód wzrokiem lęklwym. Były ciemne.

Rzucił konia w dziedzińcu, wbiegł na wschody: cisza głęboka, cisza niezrozumiała panowała wszędzie.

W pierwszym pokoju siedział Tytus wsparty na rękę, zamyślony i widocznie zbolący.

— Gdzie oni? spytał Jan lecąc.

— Cicho! cicho! rzekł Mamonicz: śpi!

— Śpią?

— Śpi.

— Kto?

— Ona.

— A dziecię?

— Dziecię, Bóg ci je dał, Bóg wziął. Daruj mi! daruj! Któż może co przeciw Bogu! Zebrałem wszystkich z miasta doktorów, robilem co było w mocy ludzkiej. Dwie noce nosiłem je sam na rękę.

Z sypialni odezwał się słaby głos Jagusi:

— Jan przyjechał! niech przyjdzie! Janie!

I Jan rzucił się ku niej. Leżała w łóżku blada, wychudła, a kolebka próżna stała przy niej. Po koldrze, na stoliku rozrzucone były czepeczki dziecięcia i jego zabawki, z którymi matka rozstać się nie chciała.

— Nie ma mego Jasia... zawolała we łzach: wzięli Jasia! O! czy ja to przeżyję? Patrz Janie, żyją jego zabawki, jego ubiorki, a jego już nie ma! Po cóż się było rodzić? po co cierpieć? Cóż to życie? Zawód nieustanny.

I szlochała biedna schylona nad czepeczkiem.

— To jego włoski, mówiła pokazując: uciełam je z zimnej już główki... Trochę kaszlu, i duszyczkę oddało Niebu, i poleciało z aniolkami.

Wieczór ten był jednym z najcięższych w życiu Jana. Mamonicz uciekł, bojąc się wyrzutów, on, co sam chory, stał się drugą matką, piastunką i lekarzem

dziecku, co je pogrzebł swemi rękoma, pierwszy może raz w życiu płacząc nad grobem...

Nazajutrz i dni następnych, Jagusia miała się lepiej, Jan odrywał ją od nienastannych wspomnień dziecięcia i pracował, by ją pocieszyć, odurzyć. Ale są bole, które nie chcą się ukrócić; są cierpienia lnbe, z którymi rozstać się nie pragnie. Taką była boleść matki, która obawiała się drugi raz utracić dziecko, zapominając o niém.

Perli tymczasem dowiedziawszy się o powrocie Jana, pośpieszył do niego.

Nie mogąc ocenić uczucia, jakie śmierć dziecięcia i cierpienie żony wzbudzały w Janie, przyszedł dopytywać go, po co przyjechał?

— Po co? wszak widzisz!

— To dobrze, ale robota nieskończona!

— Niewiele braknie, obraz wielkiego ołtarza i wielkie sklepienie są na dokończeniu, z mniejszych rusztowanie odjęto.

— Ale... mruzczał Perli, nie dadzą pieniędzy, póki wszystko nie będzie skończone. Potrzeba wracać!

— Kilka dni, kilka dni przynajmniej, prosił Jan z wyrazem boleści.

— Kilka dni, to jak sobie chce, ale mnie potrzeba, żeby to było rychło zrobione.

Jagusia dosłyszawszy rozmowy, zawołała Jana do siebie.

— Jedź! rzekła stanowczo: jedź, kończ szybko i powracaj. Choroba dziecięcia, pogrzeb jego, zabrały nam co było zapasu; znowu nie nie mamy. Mamonicz tylko przynosi co ma, i Jonasz przysłał, ale to oddać potrzeba.

— Pojadę! rzekł Jan z rezygnacją; ale nie lękaj

się Jagusiū, powrócę niezadługo. Tymczasem dadzą mi co na rachunek.

Tego dnia poszedł do Perlego, ale ten odmówił pieniędzy.

— Nic mam swoich, rzekł gburowato: tam płacić nie myślą aż będzie wszystko skończone, nie dam nic.

Od niego poszedł Jan do Żarskiego, który wielki obraz śmierci Adonisa sprzedawszy do Londynu, zyskał na nim, a resztę robot Jana dostał darmo; ale Żarski, sypiący dla wyróżzowanej pani brygadyerowej, zaklinał się, że nie ma. Nareszcie, czy litością czy sumieniem tknięty, wyjął niechętnie dwieście złotych, które rzucił na stół mruczając. Malarz w każdym innym razie byłby tak udzielonej pomocy nie przyjął, ale teraz chodziło o spokój chorąg Jagusi, której zostać bez grosza nie było można. Jonasz zaś mogący chętnie usłużyć, został się na ostatni ratunek, jeśli by wszystko chybiło. On i tak na pierwszą wieść o chorobie dziecka przybył, miosąc pieniądze i prowadząc lekarzy, i przesiedział na wschodach niejedną godzinę niepewności.

Uprosiwszy znówu Mamonicza, który się już łamiąc rękę wymawiał od opieki, Jan musiał z wieczoru, pożegnawszy Jagusię, trzeciego dnia odjechać. Pieniądze spodziewane za robotę, służyć im miały na podróż do Warszawy. Tytus obiecał jechać z nimi. Ale inaczej chciało przeznaczenie. Gdy Jan z pośpiechem bezprzymtomnie pracuje, kończąc swoje obrazy, Jagusia nieposłuszna Mamoniczowi, dni, i zimne wieczory, i ranki mgliste przepędza na grobie ukochanego dziecięcia.

Kilka razy prosił jęg Mamonicz, zaklinał, aby zdrowie swoje szanowała, aby się starała rozerwać; ona mu na to odpowiadała:

— Kochany przyjacielu! Na com ja na świecie potrzebna? Dla Jana ja jestem zawadą w życiu, ciężarem, utrapieniem, boleścią tylko. Kocha mnie i męczy się dla mnie. Na cóż mi zdrowie? na co mi życie? Pójdę z ochotą do Jasia, aby uwolnić mego Jana i tam czekać na niego. Wszystkie jego nieszczęścia od ożenienia się poczęły. O! nie żęń się Mamoniczu, dodała: artyście niepotrzebna żona! nie! nie!

I płakała gorzko.

Te smutne myśli rozproszyć się nie dały. Jagusia zaczęła słabnąć, pokaszliwać, i całe czasem dni spędziła w krześle, u okna ze spuszczonej rękoma, okiem nieruchomo wlepionem w ścianę, płacząc nad włoskami dziecięcia. Codzień zdrowie jój pogorszało się widocznie; a dać znać nie mógł Janowi Mamonicz, bo robota musiała być na ukończeniu i on niezadługo miał powrócić. Na cóż dodawać niepokoju, gdy przybyć było dla niego niepodobieństwem?

W listach wszakże napomynał Mamonicz o osłabieniu i smutku niepokonanym Jagusi. Jan odpowiadał, że prędko powróci. Księża obiecywali mu spłacić jego część należności zaraz, tak, ażeby już nie miał nic do czynienia z Perlim. Pomimo milczenia Jana, do którego się był zobowiązał, umowa jego z malarzem, jój warunki nawet, wszystko to wyszło na wierzch i stało się wiadomem. Księża wzdrygali się na niepocziwe postępowanie pseudo-artysty. Ale Jan na czynione mu propozycje zerwania ohydnej umowy przez fundatora, odpowiadał, że tego, do czego się zobowiązał, świecie dotrzyma.

Mamonicz był w najstraszniejszym położeniu, Jagusia widocznie gasła, a Jan nie przybywał. Starania lekarzy, troskliwość przyjaciół, nie już nie mogło przy-

wrócić nadwreżonego zdrowia. Poczciwy Tytus silił się napróżno na rozrywki. Przypomniawszy sobie, że dawniej lubiła gołębie, a nie mogąc ich kupić, dopuścił się największego upodlenia dla wyżebrania pary gołębiąt, które z klatką wniósł do jej pokoju. Ale widok ptasząt, które jej przypomniały młodość i szczęśliwsze czasy po ożenieniu, łązy tylko gwałtowne wywołał. Musiał co najspieszniej Tytus i gołębie wypuścić, i klatkę precz wyrzucić. Wstydział się tylko, gryzł i lajał siebie, że tego nie przewidział.

Nareszcie Jan był już w ciągu tygodnia spodziewany, a Jagusia codziennie wychodziła na jego spotkanie. Z początku te przechadzki i cmentarzowe odwiedziny ożywiały ją nieco, teraz sił na nic zabrakło.

Nieustanne czuwanie Mamonicza, ciągle krążenie jego około domu, podbudziły znowu plotki dawniejsze. Posądzano go o miłostki z Jagusią, korzystającą z niebytności męża. Kilka razy obili się o uszy Tytusa wyrazy szyderskie, które zapalały go gniewem; ale wstrzymywał się od wybuchu, bo wiedział, że tém mógłby jeszcze stan rzeczy pogorszyć.

Jednego dnia, gdy byli na przechadzce, śmiechy, urągania, wytykania palcami, umyślne obelgi rzucane, aby wprost trafiły do serca Jagusi, tak już były głośne i widoczne, że pomimo starannego zagadywania i zagłuszania przez Tytusa, kobieta usłyszała je, ścisnęła go za rękę, i szybko, zadyszana, powróciła do domu, płacząc gorzkiemi łzami.

Mamonicz słowa nie rzekł, ale wyleciał wściekły na ulicę. Trafił mu się na drodze Mruczkiewicz, który właśnie głośną swoją rozmową tak srodze mu dopiekl.

— Mośaunie! rzekł snycerz, porywając go za kołnierz: wiedziałem, żeś głupi i podły, ale nie myślałem,

żebyś chciał zabijać ludzi swoim zjadłym językiem. Co znaczyły twoje śmiechy i słowa w czasie przechadzki?

Mruczkiewicz zaczerwienił się, zaperzył.

— Nie potrzeba ich było do siebie i do pani Janowej stosować—na złodzieju czapka gore.

— Jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, to ci go w gardło wepchnę, zakrzyczał Mamonicz.

— Co znaczą te pogróżki, obszarpańcze jakiś?

Mamonicz potężnym odpowiedział mu policzkiem i dodał:

— Jeśli chcesz się bić, to cię jutro czekam.

Rzucił się Mruczkiewicz na Tytusa, ale oderwany przez kogoś, uszedł miotając się od gniewu.

Nazajutrz po tak publicznej obeldze, niepodobna było uniknąć pojedynku; umówiono się o miejsce i czas. Wyznaczono Zakręt na spotkanie. Mamonicz z wesołą twarzą poszedł do Jagusi, i powiedziawszy jej, że ma pilną sprawę wymagającą bytności wieczorem, a może i dłuższego pobytu w okolicy, zostawił jej pieniądze i pobiegł na plac.

Spiesząc tam, wstąpił jeszcze do Jonasza Palmera, ale go nie zastał; bo odjechał był do Frankfurtu, list tylko do Jana zostawiwszy. Z listem tym pośpieszył Tytus na brzeg Wilii, oczekiwać przeciwnika, który nierychło przybył zajadły, gniewny, ale bardziej jeszcze blady i wylękniony. Gdyby czterech ludzi Mamonicza nie było trzymało, byłby go w kawałeczki posiekał.

Zgoda była niepodobieństwem. Odrzucono pałasze, bo oba bić się w nie nie umieli, i dano pistolety. Drżącą ręką strzelił Mruczkiewicz, śmiałą i pewną Tytus: Mamonicz przecię z przebitą lewą ręką, tą, która wprzód skaleczona została przez lwa, upadł na ziemię. Miał tylko czas zawołać:

— Ta ręka szczęśliwa! Wprzódę lew, teraz osieł!
i zemdłał.

Przyniesiono go ze zgruchotaną kością do domu. Jagusia nie o tém nie wiedziała; a wieczorem tegoż dnia Jan powrócił.

Radość żony nie umiała się już inaczej wyrazić tylko łzami. Jan przestraszył się, spojrzawszy na jej twarz zmienioną, wypłakane oczy, zwiedle policzki. Spytał o Mamonicza; Jagusia nie wiedziała gdzie był. Wieczór cały spłynął na projektach, na marzeniach. List Jonasza odesłany przez Tytusa przed przybyciem Jana jeszcze, zawierał weksel na dwieście czerwonych złotych i czule pożegnanie, które łzę wycisnęło Janowi.

„Jeśli się interesa twoje polepszą — pisał Żyd, — oddaj to ubogim braciom moim.”

— Teraz możemy jechać do Warszawy! zawołał malarz.

— Poczekaj! odpowiedziała żona: ja czuję się dziwnie osłabioną, cierpiącą... Pogrzebiesz mnie tu na mogilkach, obok babki, matki, siostry, Jasia naszego, i pojedziesz sam. Będziesz wolny.

Napróżno Jan błagał jej, aby tę myśl odpędziła, aby ożyła i rozweseliła się, uwierzyła w życie i przyszłość; napróżno, choć z rozpaczą w sercu, małował jej oczekujące ich szczęście. Jagusia milczała, uśmiechała się, i całując go w czoło, powtarzała:

— To nie dla mnie! to nie dla mnie! Wszystkieśmy pomarli jak ja młodo... matka, siostra, Jaś... ledwie skosztowawszy życia.

Przestraszył się Jan, gdy ujrzał, że od łóżka prowadzić ją było potrzeba pod rękę do okna, a wśród pokoju stawać dla spoczynku.

Straszna prawda stała mu w oczach: Jagusia konała już, tylko powolnie.

Zwołano lekarzy, którzy z obojętnością zwykłą w razach zdesperowanych, ogólnemi jakiemiś nadziejami karmili, i rozeszli się, przepisując czyste powietrze, spokojność i kozie mleko.

Miła to rada, gdy znękanemu cierpieniem niepozbytém, nieprzewalczoném człowiekowi, powie lekarz chłodno: „Potrzeba spokoju, dobrej myśli, rozrywki, wypoczynku...” A któżby im nie rad! O Boże! ale zkadże je wziąć, gdy się w łono wpije boleść i zatopi w niém swe szpony? „Bądź spokojnym — mówią — a zdrowie powróci!” jakby rzekli: „Dostań sobie życia, a żyć będziesz.”

Lepiej już dać opium niż taką radę.

We trzy dni później biedne dziecko, co nie nie знаło z życia tylko trochę miłości a wiele smutku — nie żyło.

Śmierć jój była ostatnią poetycznego snu sceną. Na kilka godzin przed nią wyjaśniło się jój czoło, zarumieniła się twarz, poczuła się żywszą, weselszą, zdrowszą, chciała się ubrać, wzięła sukienkę białą, uczesała włosy jasne i prosiła Jana o gołębia. Wyszukano jój białą ptaszykę wspomnień, którą pieściła i bawiła się nią jak dziecko.

Była to wiosna i dzień prześliczny. Prosiła, aby jój otworzono okno; kazała sobie przynieść zakwitłą gałąź czeremchy, i powąchała jój z rozkoszą. Zdawała się budzić po długim milczeniu. Jan uwierzył w polepszenie i roił dla niej życie. Ale to były tylko gasnącego już żywota ostatki, płomyk lampy, co się dopaliła.

Jagusia niespokojnie pytała potem o Mamonicza:

— Chcę go zobaczyć, mówiła—podziękować mu za tyle starań. Co mu się stało? gdzie jest?

Jan wiedział już o wypadku, choć nie znał powodu spotkania; pobiegł prosić przyjaciela, aby przyszedł, jeśli będzie mógł. Z ręką na temblaku zwałkł się z łóżka Mamonicz, wysilił się, aby przejść ulicę i stanął przed Jagusią blady.

Ona mu się uśmiechnęła.

— A cóż to? znowu lew? spytała.

— O! nie, na ten raz to tylko osieł! odpowiedział uśmiechając się snycerz. Rękę mam trochę przełamana, ale to nic. Jakże się masz droga pani? lepiej? nie prawdaż?

— Jak widzisz! dobrze mi, wesoło, sama nie wiem czemu, a tak lekko na sercu! Wszystko to powrót Jana zrobił. — I pocałowała go w rękę. — Zdaje mi się, że odmłodziła, że tak wesoła i szczęśliwa, jak gdy z okna mieszkania babki posyłałam wzrok ku oknom Batrań'ego.

Mówiła, mówiła długo, aż zmęczona poczęła mrużyć powieki.

— Wyjdźmy, może zaśnie, rzekł Mamonicz.

Ale Jagusia przytrzymała rękę Jana i nie dała mu odejść od siebie. To ściśnięcie ręki było już ostatniem... Chłodły białe paluszki Jagusi i odpadły, martwe. Główka pochyliła się, uśmiech przyleciał na usteczka — duszy nie było już na ziemi.

Jan wybiegł z mieszkania i rzucił się płakać, w kościele; w tym samym kościele, w którym ją pierwszy raz pożegnał.

Gdy Jagusia zamykała oczy, powóz podróżny opa-

kowany zatrzymał się przed domem wskazanym przez Żyda.

Doktor Fantazus wysiadł z niego zestarzały, złamany pracą, osiwiwały, opierając się na lasce.

Wszedł na wschody, do pokoju, milcząc przeszedł pierwszy, obejrzał się i prosto skierował do łóża, na którym w białej sukni, jakby snem tylko głębokim zmorzona, spoczywała córka umarła.

Gołąb siedział na poręczy łóżka i dziobał swobodny.

Starzec patrzył długo, rzucił się w krzesło, i z wlepionym okiem w córkę pozostał tak odrętwiały. Wszyscy, których sprowadza śmierć: kobiety, księża, ciekawi, przyszli, przeszli; noc zapadła, a on nie wstał, nie ruszył się.

Jan, który błądził po ulicach, późno w nocy powrócił do domu. Ciało umarłej już leżało w pierwszej izbie rozciągnięte wśród świec; wyraz spokoju nie opuścił pięknej twarzy anioła. Pokłąkł u nóg jej Jan i całował ją płacząc.

Wtém jak zjawisko senne wysunął się o kiju Fantazus, wołając głosem ochryplym:

— Janie! Janie! coś zrobił z córką moją?

Malarz odwrócił się i zadrżał.

— Zostawilem ci ją pełną życia, nadziei; zastaje umarłą, umarłą! Tyś winien! Tyś winien! Niech śmierć jej spada na ciebie! nie na mnie, com ją opuścił, myśląc, że lepiej kocha mąż od ojca! Biedne dziecko!

— Ojcie! zawołał Jan, rzucając mu się do nóg ze łkaniem: cożem winien? Jam ją kochał, otaczał staraniem i miłością.

— A przecież umarła! umarła! zajęczał Fantazus. Jak mogłeś dopuścić, ażeby umarła? Tyś winien... Nie, nie ty! nie! Ja, com ją opuścił! ja, com ci ją oddał! Tyś nic nie winien. Jam nie dość ją kochał, kochałem naukę, i ona mnie zabija. Znowu nikogo na świecie, nikogo! Na starość sam jeden* z pożerającą jak sęp myślą. Prometensz przykuty! Nie ma drogi na północ! lody! Nie ma sposobu dostania *prawdy*, a ja zmarnowałem życie. Nie dotknąłem pulsu ziemi, a straciłem dziecko.

Garść siwych włosów wyrwał z głowy i rzucił ją pod nogi trupa.

— Późny żal, próżny żal!

W nieprzerwaném milczeniu przesiadzieli tak obaj ci nieszczęśliwi noc całą u łoża śmierci.

Nazajutrz rano Mamonicz, pomimo pogorszenia, jakiego doznał po wczorajszém wyjściu z domu, przywłókł się po Jana, i gwałtem go odciągnął od umarlój. Ojciec pozostał, zajmując się pogrzebem, milczący, ale z ognistym wzrokiem, którego jedna łza nie odwilżyła.

Gdy trumnę wynoszono z domu, posłał po Jana. Mamonicz nie chciał go puścić, ale malarz wyrwał się i poszedł za wozem żałobnym do mogiły. Babka, matka, siostra, dziecko, spoczywali już na kawałku ziemi, gdzie i Jagusi grób wykopano. Dziwne wieści chodzące o doktorze i całej jego rodzinie, sprowadziły tłumy ludu na pogrzeb.

Gdy ostatnia garść ziemi upadła na trumnę, a wieko jój przykryte zostało, Jan pomodliwszy się, powstał żywo. Doktor Fantazus bez lzy w okn wsiadł do powozu, wejrzeniem nawet nie pożegnawszy nikogo, i wskazał ręką na północ.

Po kilku dniach, Tytus, zdrowszy znacznie i na chwilę nieodstępujący Jana, zapytał go:

— Czemu się nie weźmiesz do pracy? Praca czas zabija i boleści.

— Nie chcę! nie chcę! Modłę się, to mi wystarcza... a umiem się modlić! teraz, po czasie!

I wpadł w odretwienie, w którym spędzał dni całe, siedząc na jednym miejscu nieruchomy, nieprzytomny, zatopiony w sobie.

Czas upływał, a nic się nie zmieniało. Jan tylko niekiedy wychodził do kościoła lub na mogiłki. Do pracy nie mógł go niczem Tytus zachęcić.

Nagle jednego poranku wstał z pościeli, ubrał się żywo, zaczął zwijać tłumoczek i wyraźnie wybierać się w drogę.

— A to co? zapytał Mamonicz.

— Idę, rzekł Jan.

— Dokąd?

— Do domu, do matki. Świat mi zbrzydł; tyś na nim jeden wyjątkiem. Nie pojmuję sztuki zmieszanej z takim życiem jak nasze. Zkąd natchnienie? Nie! nie! sztuka w religii powinna czerpać swe życie. Idę, zamknę się w klasztorze na resztę dni, i modląc się, płacząc, pracować będę. Czuje dusza moja, że tam tylko jeszcze szczęśliwym być mogę.

Naprawdę Mamonicz chciał go od téj myśli odwieść, uważając ją za chwilowy i mogący się wprędce rozwiązać pomysł, ofiarując mu się towarzyszyć gdzieby poszedł.

— Gdzież iść? mówił Jan. Światam waszego już nieciekawym; najlepsze i najgorsze z niego poznałem, doznałem. Reszta byłaby tylko próżném powtórzeniem znanego. Batrapi mówił zawsze, że artysta nie znaj-

dzie szczęścia i swobody, chyba w klasztorze. Tam tylko prawdziwy spokój. Wszystkie nadzieje ziemi zawiodą, dla wszystkiego jest jutro ze śmiercią i końcem! Lepiej się wyrzec wszystkiego, aby po niczém nie płakać.

Z tym głębokim smutkiem, ale z modlitwą już w ustach, Jan wziął kij i pożegnał Tytusa.

— Żal mi cię! rzekł w ostatku. Ty na świecie zostaniesz na zawody, na męczarnie; ja idę do dobrowólnej mogiły, co mnie zamknie żywego, a z której widać niebo! Życie moje skończone. Sława, dostatek nie uleczyłyby mnie z odczarowania nieuleczonego, z nieprzebranego smutku. Wiara tylko i modlitwa goją rany śmiertelne, zadane przez życie. Błogosławię Perlemu, że mnie posłał do Kapucynów: tam kropła rosy niebieskiej najpierw spadła na spalone usta! Ty jeden w mojem życiu, Tytusie, byłeś zjawiskiem cudnym, co się nie zaćmiło na chwilę. Ty z Jagusią i z matką moją pozostaniesz w sercu na wieki. Umierający, wspomnę cię w modlitwie.*

Powolnie przeszli miasto, które śmiało się, ryczało i hukało właśnie jakimś uroczystym wjazdem senatora. Nowy dygnitarz przy odgłosie trąb i kotłów, w orszaku skrzydlatych rycerzy, ciągnąc za sobą szeregi powozów, wjeżdżał na starą stolicę.

Jan wychodził z niej z sercem zranioném, ze łzą w oku, a orszak jego składały wspomnienia zmarłych i jeden wierny przyjaciel.

Biały gołąb przeleciał nad ich głowami i zniknął w dali.

Gdy wyszli za miasto i już tylko chwilami słyszeli odgłos dzwonów i trąb, który im wiatry do ucha przynosiły, Jan uściśnął znowu Mamonicza.

— Al! gdybyśmy się jeszcze zobaczyli w tém życiu!

— Przyjdę do ciebie! zawołał Tytus. Kto wie gdzie i mnie prąd życia zaniesie! To pewna, że puste dla mnie Wilno i ciężko w niem będzie pozostać. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

W kilka tygodni potém Jan wdział suknię zakonną braciszka, w klasztorze, który z dawną chatą ojcowską sąsiadował. Smutny, ponury, ale spokojny, pokrył kapturem dumne myśli, posypał popiołem zgasłe nadzieje — na wieki.

W klasztorze wziął imię brata Maryana. Nowicyat odbył ze zbudowaniem ojców, i wkrótce przyjęty został do grona zakonników.

Nieprędko ciężki smutek zszedł mu z czoła chmurnego, ale zszedł nareszcie. Wiara i modlitwa uzdrowiły go, spokój zamieszkał serce, a jasna pogoda otoczyła rozchmurzone oblicze. Wesele ziemskie, cielesne, co przypada nagle i odchodzi niedognane, za którym idą łzy i rozpacz, nie zajrzało do niego więcój; ale przyszło owo inne wcale, stałe, nieprzełamane niczém i trwające w sercu chrześcianina, który pogląda tylko na niebo i idzie ku niemu powolnie.

Życie upływało na modlitwie zroszonej łzami; na przechadzce samotnej ku mogiłkom, gdzie pogrzebieni byli rodzice, ku polom, gdzie stała chata ojcowska, teraz zwalona, po której tylko mur pozostał i kilka brzoźdokoła; na malowaniu nareszcie.

Na cmentarzu modlił się Maryan za wszystkich swoich, co blisko i dalej leżeli; tam także wspominał jedyne go żywego Tytusa. Zaraz w pierwszym roku pobytu w klasztorze przybycie brata Franciszka, stało się wielkiem dobrodziejstwem dla nowicyusza. Ten z troskliwością matki i brata czuwał nad biednym, umacniał, pocieszał, prowadził, i gdy się oddalił przeniesiony gdzieindziej, zostawił już Maryana na drodze, z której nie go zbić nie mogło.

Po kilku latach przebytych w zaciszy klasztornej, Maryan raz wybierał się wedle zwyczaju na mogiłki, gdy u fôrty posłyszał wymówione imię swoje. Chciał się cofnąć, bo zerwał ze światem na wieki, ale poznawszy głos Mamonicza, pośpieszył przeciwko niemu.

Spojrzeni na siebie i rzucili się w objęcia.

Razem poszli potem do celi brata Maryana, gdzie usiadłszy długo na słowa zebrać się nie mogli. Nie prędko ściśnione radością usta, otwarły się na dłuższą rozmowę.

Tytus z podziwieniem poglądał na przyjaciela, którego nie spodziewał się widzieć tak pogodnym, tak wesołym prawie, a nadewszystko spokojnym. Żadna myśl szara, dojmująca, nie patrzała mu ze źrenicy; żadna zmarszczka nie krajała czoła. Jakaś dziecięca, niewinna radość śmiała się na ustach.

— Czyżes ty zdrów? czy szczęśliwy? pytał Tytusa.

— Ja! jak widzisz! zawsze ten sam waryat jakim był. A ty?

— Spokojny i o ile może być szczęśliwy kapucyn ze mnie, nie więcéj.

— Nie pytasz mnie o Wilno?

— Owszem, opowiedz. Widzę, że masz ochotę, słu-

cham, choć wątpię, czy się tam co zmieniło. Moje tylko drogie groby porosły gęstszą trawą.

Powiedział to ze smutkiem, ale ze smutkiem pogodnym.

— Perli—prawił Mamonicz—uchodzi teraz, dzięki twojej robocie, za wielkiego artystę. Studya, rysunki, kartony, które zakupił, gdyś mi je kazał sprzedać dla postawienia grobowca Jagusi i Jasiowi, podtrzymują go. Nauczył się trochę lepszego kolorytu, a bezwstydniej niż kiedy kradnie rysunek.

Jan uśmiechnął się tylko, wzruszając ramionami.

— Mruczkiewicz zawsze maluje portrety i popija z żoną, która potrafiła zachęcić go do kieliszka. Kasztelanowa wyjechała do Paryża z wracającym tam emigrantem. Kasztelan ożenił się z bogatą dziedziczką korzennego kupca.

— A ty? spytał Maryan: o ciebie mi najwięcej chodzi przecie. Zapewniłżeś sobie swobodę i kawałek chleba na stare lata?

— O! zachciałeś! ktoby tak daleko myślą sięgał! Dotąd marzę o Herkulesie, którego szukam, i o lwie, co go mam pod kluczem. Żyję jak żyłem: chlebem, wodą i myślą o sztuce. Nie ożeniłem się i nie ożenię, dla artystów sztuka powinna być żoną.

Maryan znowu się uśmiechnął.

— Kochany Tytusie, rzekł: sztuka jest córką wiary; pojąłem sztukę dopiero kiedyś wdział habit zakonny. Świat nie dla nas: on nęci, odrywa, męczy, niepokoi; a spokój tylko da ci wiara. Szczęśliwym, żem się tu zamknął To życie wam smutném się wydające, przedzielone od świata murami, jednostajne codzien, milczące, swobodne, bez wzruszeń, bez walk prawie i zawodów—jest jedyném szczęściem ziemi. Długie go-

dziny płyną mi u trójnoga w zapatrywaniu się na postaci święte, wielkie, wspaniałe, które wywołuje na płótno czytanie i modlitwa. Czasem przyjdzie pamiątka stara przesunąć się po tym błękiecie, jak złocista chmurka po niebie. Nie zaprę ci się łez, które płyną z tych oczu; ale to nie są łzy rozpacz, to słodki płacz cichego smutku, oświeconego nadzieją wieczności!

— Szczęśliwy! tyś szczęśliwy! Nie pojmuję i zdumiewam się, i dziękuję Bogu. Lecz z kim tu podzielić myśli?

— Myśli! Dawne myśli moje dumne i skrzydlate złożyłem na ofiarę Bogu. Umorzyła je wiara cudem mi przywrócona. Pokorne myśli dzisiejsze wspólne mi są z dziecieniem i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wywnętrzać się jak dawniej, gdy tęskniła do ideałów, które próżno goniła po rzeczywistym świecie.

Mamonicz postrzegł jedyną pamiątkę dawnego życia, brązowego sfinksa, na którego grzbiecie zakonnik wbił krzyż i postawił go nad łóżkiem. To dziwne godło zastanowiło go, a spojrzenie Tytusa objawiło Maryanowi zapytanie.

— Spoglądasz na sfinksa? spytał: dziwi cię tutaj! krzyż na nim! To pytanie, a to rozwiązanie zagadki. Chrześcijaństwo rozwiązało wszystko—drugim życiem. Sfinks nie jest tém, czémeśmy go sobie dawniej coraz inaczej tłómaczyli. Sfinks to człowiek i ludzkość. Pół anioła, pół zwierzęcia, wieczna zagadką, rozplątana nieśmiertelnością, bojem, walką i wzniesieniem się duszy aż do bóstwa. Naówczas rozwiną się skrzydła kamienne i opadnie ciało bestyi, a sfinks ku niebu wzleci! Chrystus skruszył zagadkę tysięcy lat

i objawił nam czém jest człowiek. Cała starożytność próżno szukała rozwiązania pytania. Plato nauczony przez Sokratesa, przeczuwał tylko ciemno, co Ewangelia objawiła jasno i dobitnie. Wielkie umysły napróżno tysiące lat mozoliły się na odpowiedź tebańskiemu potworowi! Iluż to pożartych przez sflinksa zwątpienia i rozpaczy! Pojąć człowieka bez drugiego życia niepodobna. Jest to frazes bez słowa; jest to coś niedokończonego, tajemniczego. Poeta, artysta, duchem wyższy nad innych, tém większą jest zagadką bez téj myśli ostatecznej, co ją rozwiązuje.

Dzieła artysty świadczą tylko o duchu zamkniętym w glinie znikomój; ale dla czego zszedł duch tak blisko; dla czego, rośnie, walczy i do czego dąży? Nie odpowiesz jeśliś nie chrześcianin.

Wysoko i wysoko podnieśliście utwory sztuki; a cóż one są przecię jeśli nie chłodne, księżycowe promyki, odbite od wielkiego ogniska? Człowiek tworzy, bo stworzony jest na podobieństwo boże; ale utwory jego znikome: myśl oderwana od łona artysty, błyszczy chwilę tylko i opada bańką mydlaną. Czém człowiek? a czémże dopiero dzieła jego!

Tytus słuchał i dumał.

Kilka dni spędził na oglądaniu biblioteki, obrazów, na ożywionej rozmowie z Maryanem, nareszcie musiał z żalem się z nim rozstać, wziąć kij pielgrzymi i ruszyć nazad do Wilna. Odprowadzony przez zakonnika na pola, gdzie stała chatka Rugpiutisa, pożegnał Tytus Maryana uściskiem, tając łzy, co mu się wiły pod powieką. Żał mu było klasztoru, w którym kilka słodkich dni przepędził.

— Módl się za mnie! rzekł przyjacielowi.

— W ostatniem technieniu nawet nie zapomnę o tobie. Matkę, żonę, dziecię i ciebie w każdej wspominam modlitwie, o! nie zapomnę was nigdy!

Słówko jeszcze o Mamoniczu, którego historia jest dalszym ciągiem znaney nam jego młodości. Dopóki miał Jana, dla którego mógł się poświęcać, cały żył sztuką i przyjacielem tylko; po utracie przyjaciela znalazł się sam jeden, osierocony tak, że po niejakiem czasie wytrzymać nie mogąc strasznój samotności, pognął się zobaczyć z nim w klasztorze, spytać go, czy szczęśliwy? dowiedzieć się czy zdać mu się na co nie potrafi?

Uspokojony powrócił nazad do Wilna, gdzie mniej niż kiedy mógł się spodziewać zajęcia. Jeśli gdzieindziej rzeźba nie jest popularną, u nas ona zaledwie znana. Sąd o pracach tego rodzaju fałszywy i dorywczy. Materiału nam brakło do rzeźby, począwszy od pięknych wzorów aż do brył kamieni i metalu, wktóre się ideał przelewa. Tytus więc pozostał ze swém marzeniem o gruppie Herkulesa ze lwem, modelując tors olbrzymi, poprawując zwierzę i chowając starannie ten wzór, jako jedyne dzieło swoje coś warte, według niego.

Życie jego było osobliwszą tajemnicą; nikt nie pojmował z czego on żyje, jak przy ubogiem utrzymaniu, ledwie na konieczne potrzeby wystarczających docho-

dach, których źródeł nie domyślano się nawet, nigdy nie stęknął, nigdy nie leciał przeciw robocie, co by mu się nie uśmiechała jaką myślą upodobaną, celem swym lub znaczeniem duchowném. Mruczkiewicz, Perli i tym podobni artyści łamali głowę, przemyślając z czego on żyje; robiono przypuszczenia najdziwsze, a nikt na prawdę nie wpadł.

Falsz często ma minę prawdziwszą od samej prawdy.

Mamonicz wesoło popijając mleko i pożywając bułkę lub chleb czarny, zamknięty w swojej izdebce, strugał lipowe figurki, wylewał z gipsu popiersia, które ubogie chłopaki roznosiły po mieście a czasem i dalej po kraju. W ostatku dłótował srebrne wyroby, dawał rysunki rzemieślnikom, i tak zapracowywał mozolnie, ale wesoło, na ubogie utrzymanie swoje. Kiedy miał czém opłacić mieszkanie, chleb, mleko, dość mu było. Szedł na przechadzkę nasycać się przyrodzeniem, dumiał przebiegając ulice miasta, a czasem zaryglowawszy się lepił z gliny statuetkę, którą potem stawiał gdzie w kącie izdebki.

Nie stronił wcale od towarzystw, wiedząc, że człowiek w najnudniejszém z nich jeszcze coś skorzystać może: psycholog jaki rys duszy, malarz fizyognomię jaką cielesną, snycerz linię wdzięczną lub ruch szczęśliwy. Szyderski, ale nie złośliwy Mamonicz, można rzec śmiał się z serca. Dowcip jego nie był zimnym francuzkim sztylecikiem, co wpija ci się w serce, ale wesołym polskim szmigusem. Serce jego nie było zimne, nieczułe tak, żeby ani razu w życiu nie zadrżał, patrząc w oczy kobiecie! ale powiedziawszy sobie, że artysta ubogi żenić się nie powinien, unikał pięknych oczu, opowiadając zawsze legendę o Świętym Marty-

nianie. Westchnął nawet niekiedy na samotność swoją, zwłaszcza gdy włos mu siwieć począł, nad tém, co inni zowią straconą młodością, a raczej nad utraconym Janem i jego rodziną, którą był już przybrał za swoją; ale westchnienie to zamykało się pocieszajacém:

— Jeśli cierpię, to sam przynajmniej.

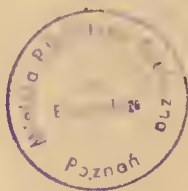
Potrzebując wszakże zapelnąć czémś serce, wziął później chłopaczka sierotę, synka Batrani'ego, na wychowanie, opiekę i naukę. Było to biedne, opuszczone dziecko, a i ku niemu wyciągając rękę Tytus, pomyślał wprzód, rozważał długo, czy ta odrobina nauki, jaką mu dać może, dobrém dla niego będzie? Nareszcie przemogła potrzeba przywiązania się do kogoś, i wziął dziecko. Ujęła go niezwykła piękność chłopięcia, które na Bachusika wyglądało, dowcip i zdatność do wszystkiego. Przywiązał się do niego, począł uczyć, i resztę życia płakał nad wychowancem. Zawiódł się bowiem na nim. Pracował, aby mu dać wychowanie, zaspokoić potrzeby życia i wygody nawet, a odebrał za to zapłatę niewdzięczności.

Kto wie, czy ucieczka ostateczna wychowanka, który okradłszy go zniknął z Wilna, nie przyspieszyła mu zgonu; umarł bowiem wkrótce potem, spokojny, wesół prawie, ale boleśnie ranny w serce. W jego izdebce, gdzie na trosze słomy i ubogiem dogorywał łóżeczku, znalazł gospodarz łwa glinianego, ogromnego, z tuzin posążków, kilka lipowych figurek zaczętych, dużo popiersi połamanych, dzban bez ucha, stół, stolik, w kącie dużą kupę mieszaną gliny, kamień jakiś trochę obrobiony i stary płaszcz, którym zamiast kołdry się okrywał. Resztę rzeczy zabrał wychowanek.

Pogrzebiono go w prostój sosnowej trumnie, a nikt nie poszedł nawet za pogrzebem, krom kilku starych

pobożnych kobiet; nikt mu nawet nie postawił skromnego krzyża na Bernardyńskim cmentarzu, gdzie leży w kąciku zapomniany jak za życia. A przecież był to ostatni zasłużonych Mamoniczów potomek i wielki nieznany artysta, co potrafił wzgardzić nawet sławą, i przeżył, karmiąc się tylko własną myślą, długi żywot cierpienia i nędzy.

KONIEC.



ONGI.



Ziemia, na której od wieków mieszkają ludzie, uprawna ich potem, używna kośćmi, zasiana pamiątkami, wcale inaczej i serdeczniej wygląda, niż najwspanialsza pustynia amerykańska. Gdzie się cywilizacya nie rozwijała powolnie, ale przyszła gotowa, wyrobiona, ze wszystkimi zasobami do zwalczania i pobicia dzikiej natury, — tam nagłe przejście z głuchej ciszy wieków i żywota drzemającego do wrzawy i ruchu, który z sobą przynosi ciżba wędrowców, wypiętnowuje się i na obliczu ziemi...

Dowodem niech będą majestatyczne a pełne dziwnych kontrastów, wspaniałe krajobrazy Ameryki, w których środkiem puszczy wiekowych, obalonych nagle, pędzi świszcząca lokomotywa, a na niewytrzebionych jeszcze gąszczach wznosi się obelisk XIX wieku... komin fabryczny, urągający się starym wotalnemu Rzymu kolumnom i zapisanym hieroglifami iglicom. Tam rzucony Adam tego rajy nie spotykał żadnej pamiątki człowieka, co by go poprzedził, żadne wspomnienie do tych miejsc nie przyłgnęło... Widać tylko ślady dzikiego zwierza, burzy i siły roślinnej, która pokrywała rolę, ssąc z niej soki z chciwością.

Jakże tam pusto, smutno, samotnie być musi tym pionierom cywilizacyi przesadzonym ze starzej Europy, której każdy kątek obwija bluszcze wspomnień, gdzie

pod każdą stopą gruntu jest grób, spoczywa świadectwo wędrówki, pracy, żywota i zgonu... gdzie na dnie jezior nawet szczęty umarłej, przedhistorycznej cywilizacyi stwardniały pod wodą!...

Jak nowe domowstwo, w którym nikt jeszcze nie mieszkał, gdyby było nawet najpiękniejsze, smutnym być musi, tak i te zdobywane dziewicze kraje są zawsze jeszcze pustyniami, póki ich praca i myśl ludzka nie ochrzci.

Jest to przedłużeniem krótkiego bytu człowieka, gdy pò za nim, jak zajrzeć, szeregują się wieki.

Prawem powszechném postępu łatwego dla siebie stąpa człowiek po wybitej ścieżynie. Ta dróżka staje się grobelką, żwirówką, koleją, ale to zawsze ten sam gościniec jeszcze, którym chodzili umarli... co śpią na cmentarzach.

.

W Lubelskiem leży wieś Mielsztyńce, która już dziś inne nosi nazwisko i próżnoby jój szukać na karcie. Znanej i możnej rodziny Spytków, która bardzo wcześniej jakoś zdrobniała i niemal wygasła, zieleniła się tam maleńka, zapomniana gałązka. Już w XV wieku Spytkowie należeli do najbogatszych i największego znaczenia rodzin w kraju. Wspaniałe grobowce, starte napisy, nazwisko dóbr rozległych, jedynie dziś świadczą o Spytkach... W XVIII wieku, gdy się nasze opowiadanie zaczyna, zapomniano już o dawniej wielkości panów Spytków. Tylko uczeńsi genealogowie, spotkawszy się z tém imieniem na żywym czło-

wieku, pytali z podziwieniem: „Czy podobna, żeby to byli ci sami co ongi Spytkowie?”

Można było o tém powątpiewać, wnosząc z rozta-
czającego się w koło nich milczenia; ale istotną praw-
dę zawierały pergaminy i dokumenta, któremi się oni nie
chwalili. Z ojca w syna byli to od dawna ludzie jed-
nego ducha i charakteru, starający się tylko o spokój,
o ciszę, zgodę z ludźmi i żywot, któryby nikomu nie
zawadzał, nikogo nie raził i nikomu powodu do zaz-
drości nie dając, dozwolił im w cieniu Pana Boga
chwalić. Odrodzili się od Spytków z Mielsztyna, ale
im z tém snadź już dobrze było, bo od wielu pokoleń
z Mielsztyniec się prawie nie wychylali. Musiało coś
w starych podaniach zniewalać ich do tego; szeptano
po cichu, że taki rozkaz swym następcom do kilku po-
koleń wydał któryś Spytek, a oni go święcie spełniali.
Nikt jednak z pewnością przyczyny tego osamotnie-
nia nie wiedział; sąsiedzi do niego przywykli, zwy-
czaj uświęcił ten rodzaj życia, i nikt się im nie wdzie-
rał w ten kąt spokojny. Mielsztyńce z kilku pięknemi
wsiami, z wielkimi lasami, rozległą bardzo przestrze-
nią, składały pięknie zaokrągloną całość, odgraniezo-
ną, odrębną, a tak szczęśliwie położoną, że tam nie-
bardzo kto miał potrzebę zaglądać. Małe miasteczko stało
w pośrodku nad rzeczką i stawem, opodal nieco od
niego zamczysko na wzgórzu, otoczone wiekuistemi
drzewy, dalej po równinie rozrzucone wsie i folwarki,
osady, młyny i pojedyncze dworki dożywotników, sta-
rych sług starój rodziny. Szło tam życie takim try-
bem, że się wszystko trzymało długo, jednakowo, nie-
zmiennie, a otaczający dwór mielsztyński ludzie, tak-
że od wieków i prapradziadów mu służyli. Kto się
ztałd gorączką jakąś i pragnieniem nowości party od-

dał, już chyba nie powracał, bo wytrwałby nie mógł w tej atmosferze tak jednostajnej, uspokojonej, milczącej, iż od stu lat może widocznej zmiany żadnej czuć w niej nie było.

Dwór mielsztyniecki budził ciekawość przybyszów, ale gdy się z nią kilka razy o mury jego nadaremnie obili, a przekonali się, że przebić ich nie było podobna, że i ludzie nie mieli ochoty się wygadywać, i panowie znajomić—w końcu każdy dawał za wygraną, i... jeżeli był już bardzo tém tknięty, to się po cichu uśmiechał. Głośno ganić nie było można, bo dokoła i aż do Lublina, Spytkowie liczyli tylko przyjaciół; najlżejszej skazy nikt na nich nie znalazł; a ktoby przeciwko nim śmiał się odezwać, na siebieby wyrok napisał.

Dosyć, że w tym pokoju dotrwali Mielsztyńscy aż do końca XVIII wieku.

W okolicy Mielsztyniec, na samej ich granicy, wioska Studzienica, przepyszna posiadłość, od niepamiętnych czasów zostająca w ręku Studzińskich herbu Leliwa, drogą zamiany i z dopłatą przeszła na innego właściciela. Nabył ją Repeszko niejaki, człek stary, bezdzietny, znany z niesłychanego skąpstwa, a naturalnie też i słynący z niezmiernej fortuny, którą bajecznie obliczano. Pan Nikodem Repeszko liczył wówczas lat sześćdziesiąt, ale je tak nosił, jak gdyby mu one nad trzy krzyże nie ważyły. Był to człowiek statury wielkiej, prawie olbrzymiej, silny, zbudowany dobrze, z maleńką jak na śmiech główką, na szerokim karku i ramionach osadzoną. Płeć miał śniadą, ospowatą, żółkłą, oczka małe, czarne, łysinę wygoloną, ręce długie i żylaste. Życia był skromnego nadzwyczaj, sam to przypisując pobożności i potrzebie

martwienia ciała, chociaż drudzy tłumaczyli skępstwem, czynny niezmiernie, zapobiegliwy, ruchawy. Ludzie o nim powiadali, że nigdy nie sypiał, nikt go przynajmniej śpiącego nie widział, a choć w jęgo al-kierzyku stało łóżko pokryte starą wytartą skórą łosiową, z poduszką skórzaną turecką niedocieczonego koloru, nie znać było na nięm, ażeby kiedy tu spoczywał. Zwykle siadywał w fotelu wielkim z poręczami, skórą także obitym, i tu go ludzie duiem i nocą znajdowali. To pewna, że począwszy od pierwszych kurów do świtu, w nocy go najczęściej spotkać było można tam, gdzie się najmniej spodziewano; ale nigdy w jednęj porze, na jednęj miejscu, tylko coraz gdzieindziej.

Jednego dnia widziano go po północy przy gumnach, drugiego za stodołą, to znowu na wsi, w polu, a nawet w lesie... Jak upiór czasem zjawiał się u ogniska nocleżan na łąkach, na rozdrożach, u karczmy, a w burzę, pioruny, słoty albo w śnieżną zawieję, najprędzej się z nim spotkał. Nic mu to nie szkodziło: zatarł ręce, strzepnął się, uśmiechnął, i szedł dalej, odmawiając pacierze...

Pan Nikodem był pobożny niesłychanie, gorliwy bardzo katolik, przestrzegacz ścisły wszystkich praktyk, i tak na pozór słodki, miły, serdeczny, tak lgnący do każdego, iżby go się pokochać chciało od pierwszej godziny. Lecz po zbliżeniu się do niego stawało się to niepodobieństwem. Repeszko całował, ściszał, upokarzał się i bił w piersi, ale gdzie zaszedł interes, gdzie potrzeba było cośkolwiek zrobić, dać, ofiarować, twardy był jak skała. Swoim obyczajem wymawiał się miodem, cukrem, samemi pochlebstwami i słodyczami, ale dać nie nie dał.

Nigdy się nie obrażał, pokornym był nadzwyczaj, dla miłości Zbawiciela darował wszystko... choć nigdy niczego nie zapomniał. Wyściskał nieprzyjaciela, lecz jeśli mógł mu dać naukę, nie poskapił, zawsze z uniżonością, dyskrecją i poszanowaniem, Repeszko miał i to do siebie, że się wcisnąć lubił wszędzie, wiedzieć musiał o wszystkim i znać każdego. Nie zrażał się zimnem obejściem, okazaną obojętnością lub niechęcią; zdawał się ich nie rozumieć, i szedł dalej, biorąc zawsze wszystko z najlepszej strony...

Przybywszy do Studzienicy, w okolicę wcale sobie nieznaną, pan Repeszko pojechał naturalnie i do Spytków, ale tam niebardzo sobie podobał, i od téj pory choć się o nich wyrażał z największym poszanowaniem, przypiął się do Mielsztyniec z jakąś nadzwyczajną chęćością dowiedzenia się, badania bliższych stosunków, znajomości. Nikt mu do tego dopomódz nie mógł, ale go to nie zrażało. Raz namotawszy na wąż, był on z tego rodzaju ludzi, co niełatwo powziętą myśl perzucają. Powtarzał między innemi przysłowiami często i *festina lente*.

W okolicy, kogokolwiek zagadnął o Mielsztyniec i Spytków, wszyscy go zbywali milczeniem i spojrzeniem ukośném, jakby dając do zrozumienia, że wdał się w rozmowę niewłaściwą, i ostrzegając, aby jęj nie wznawiał. Nie zrażało to jednak Repeszki, a że był człowiek łagodny i nie czynił przebojem, szedł pomalusińku do celu. Z tych badań na pozór bezskutecznych, zawsze mu się coś zostawało, a upór, z jakim mu odpowiadano milczeniem, dawał wyobrażenie o ważności tego przedmiotu, którego nikt dotknąć nie śmiał.

Dla czego tak Mielsztyniec Repeszkę zajmowały go-

rać, domyślano się z tego, co o nim w Brzeskiem mówiono, gdzie Pocijów jakichś, zainsynuowawszy się do ich domu, ostatecznie podkopał i wyssał: sądzono, że te same mógł mieć zamiary na spokojną Spytków rodzinę. Może się też i mylono, bo Repeszko, ile razy owych zrujnowanych Pocijów wspominał, ręce składał, łzami się oblewał, i wyrażał się o nich jako o ludziach najgodniejszych, których los nieszczęśliwy serce mu zakrwawia... Nie mógł nawet mówić o nich długo, tak go to wiele kosztowało.

Postanowiwszy bądź co bądź przebić tę grubą zasłonę tajemnicy, która okrywała samotne zamczysko mielsztynieckie, Repeszko postąpił bardzo zręcznie. Wyszukał jedyne go człowieka, który tam bywał od lat wielu i zdawał się w jak najlepszych zostawać stosunkach ze dworem. Był nim proboszcz parafii sąsiedniej ksiądz Ziemięć, staruszek, dobry człowiek, ale łatwo wierny niezmiennie i łatwo też ująć się dający. Choć w Mielsztyni był proboszcz miejscowy i wikary, ksiądz Ziemięć, dawniej zajmujący ową prebendę, z której się przeniósł na spoczynek do Studzienicy dobrowolnie, zachował przyjacielskie stosunki z kolatorami i niekiedy ze mszą tam jeździł do zamkowej kaplicy; mówiono nawet, że sam pan Spytek nie spowiadał się u nikogo, tylko u niego. Ks. Ziemięć był aniołem dobroci, ale ośmdziesięciu lat dochodząc, nieco zdzieciniał. Repeszko go tém ujął, że w kościele klęczał przed prezbiterjum, modlił się ze złożonymi rękami, bił w piersi tak, że po całym kościele słychać było, a niekiedy krzyżem leżał. Księżdz całował w rękę i był dla niego z taką rewerencyą, jak nikt ze szlachty okolicznej.

.. Prawda, że gdy w to uwierzywszy, staruszek się

do niego o trochę drzewa na poprawę ogrodzenia cmentarnego odezwał, odmówił pan Repeszko, ale list zawierający ekskuzę był tak pokorny i tak usprawiedliwiający go, że mieć do niego żalu nie było można.

Postrzegłszy, że ks. Ziemiec lubi czasem grywać w maryasza na Zdrowański za dusze znikąd ratunku niemające, a przy tej grze się ożywia i gaduła, pan Repeszko począł do niego chodzić na partyjkę. Miał w zysku także, iż się to przeciągało ku wieczery, i że w ten sposób oszczędzał w domu niepotrzebnego około gotowania na jedną osobę zachodu.

Przy maryasiku powoli, nieznacznie brał na lekkie tortury starowinę... Był pewien swego, bo ks. Ziemiec już się z nim tak spoufalił, że mu anegdoty z czasu młodości swój opowiadał; ale gdy tylko o Spytków zagadnął, proboszcz milczał jak kamień, odwodził rozmowę, nawet maryasza przerywał, i kończyło się na tem, iż z niego nic dobyć nie było podobna.

Repeszko przekonawszy się, że podkopy nie pomagają, postanowił zrobić wyłom i szturm przypuścić.

Jednego tedy poobiedzia chmurnego, znów począł ciągnąć ks. Ziemca.

— E! dałbyś asindziej pokój, rzekł proboszcz; co tam tak ciekawego w tych Mielsztyńcach, że one wam spać nie dają? Ludzi zacnych dwoje... siedzą cicho, i pragną, iżby o nich świat zapomniał.

Tu dopiero Repeszko, położywszy karty, odezwał się otwarcie:

— Księżę proboszczu dobrodzieju... najzacniejszy złoty księżuniu, sercem najukochańszy, którego w duszy mój noszę, weneruję i wyrazów nie mam na to, jakimi dla niego synowskiemi uczuciami palam, wytłómaczyć mi to racz, dla czego ci godni, najzacniejsi, ze

wszęch miar szanowni państwo Spytkowie, jedni tego na całym świecie używać mają przywileju, iż o nich nikomu mówić nie ma być wolno? Nie pochlebiam sobie, że mam rozum najbystrzejszy, wszakże najpośledniejszym z ludzi też nie jestem... a wszelako tego nie rozumiem.

Ksiądz także karty położył, na rękę się oparł, i jakby głosu w piersi zabrakło, rzekł z cicha:

— Kochany panie... dałbyś bo téj chciwości pokój... Ot powiem ci lepiej dykteryjkę...

— Powiedz, ojcze, dykteryjkę; słucham z największą uwagą, proszę... Człek się całe życie uczy i rozumu nabierać pragnie, a od kogoż nabierze, jeśli nie od świątobliwych jak wy i siwizną przez Boga za przykładne życie błogosławionych?

Dawszy mu się wygadać z temi słodyczami, bez których nigdy się nie u Repeszki nie obeszło, ksiądz podparł się na łokciu i począł w ten sposób:

— Było to lat kilkadziesiąt temu. Jam naówczas był wikaryuszem w Lublinie przy kościele Św. Michała, bo wypadek, który wam opowiem, jest prawdziwy. Z dawna tam chodziły o tém pogadanki, iż około onego pnia dębowego, na którym wielki ołtarz był założony, fundator kościoła skarb wielki zakopać kazał, aby w jakiej ostatecznej domu bożego potrzebie znaleziony, mógł mu służyć na podtrzymanie i ozdobę.

Otoż choć ów skarb na kościół był przeznaczony, jak podanie głosiło, nie spało łakomstwo, ażeby go sobie przywłaszczyć, i ten a ów dłubali a świdrowali około pnia i ołtarza, a nuż nań trafią. A jak to ludzie w potrzebie sobie wszystko wykrętnie tłómaczyć umieją, powiadali tedy sobie: „Jeśli skarb się dostanie duchownemu, toć kościołowi, bo duchowny do kościoła

należy." Ale to są rzeczy uboczne i do mojej dyktaryjki właściwie nie należące. Tandem, nie wiem tam już kiedy i za którego proboszcza, zakrystyan, który o tym skarbie od poprzednika miał tradycję, począł próbować, a nuż będzie od innych szczęśliwszy... Podnosił tedy posadzkę po jednej tafli i żelaznym drażkiem ziemię wiercił. Jednym razem stuknęło owo żelazo o coś, jakby o wieko kufra lub skrzyni. Zakrystyan mało nie oszalał. Nuż do proboszcza, bo choćby był chciał przed nim się skryć z ową tajemnicą, nie miał sposobu. Samby rady nie dał, więc musiał kogoś wezwać na pomoc, a wołał już proboszcza, niż innego. Dał się skusić ksiądz. Nocą poszli do kościoła, próbują... brzęczy, rozlega się echo... jest coś... Dalej do rydlów, do motyk, do łopat, ziemię we dwóch wynosić. Nie szło to łatwo, bo trzeba było dobywać się dosyć głęboko, a wydobytą ziemię kryć, aby się ludzie nie domyślili, i na dzień dziurę płytą nakrywać. Słowem, namordowali się dobrze przez trzy noce, i zakrystyan bodaj nie poderwał się, gdy naostatek pokazała się skrzynia żelazna... Nowy kłopot, jak ją wywindować? co z nią zrobić? Ksiądz nie był bardzo silny; chcieli z razu podważyć, ale ani drgnęła, jak przykuta. Widząc, że na wierzch jej nie dostaną, okopali dokola. Z jednej strony okazały się zamki mocne; nuż próbować kluczków, jakie się tylko przy kościele znalazły, ale żaden się nie przydał. Napocili się dobrze a darmo. Drugiej nocy zakrystyan młota i dłota dostawszy, jał majstrować, aby odbić. Myśleli na pewno, że złoto garściami wynosić będą... co stukną, to się im złoto odzywa. Są pieniądze!!... Ale w kościele, po nocy, a jeszcze w takim, co tuż ponad ulicą stoi i w ludnym mieście, gdzie każdego czasu po Grodzkiej ulicy ludziska się wło-

czą, hałas i szcękę robić nie było można... szło wtedy bardzo powoli.

A tu i chciwość niepoczeiwa, i ciekawość okrutna piekła. Mało się nie pochorowali. Zamki jak zaczarowane nie puszczały. Postrzegli zaraz, że nie jeden był, ale trzy, a wszystkie tak hartowne, że ich wiekuista rdza nie tknęła... Wziął się tedy zakrystyan do głównego, i jakoś go przecię otworzył, ale gdy drugi odmykał, pierwszy się znowu zatrzasnął; a że ich było trzy, zmiarkowali, iż inaczej skrzyni nie otworzą, tylko przybrawszy sobie trzeciego pomocnika, żeby razem wszystkie ruszyli. Rozumny ów skrzyni fundator obmyślił to dobrze, aby skarbu ludzie źli nie naruszyli samowolnie: albowiem kędy dwóch jest, trudno tajemnicę utrzymać—kędy trzech, niepodobna. Nie było jednak innego środka, tylko już ślusarza sobie przybrać, zakławszy go, aby święcie tajemnicy dochował. Proboszcz zamówił na następną noc bardzo pobożnego majstra, który miał robotą kierować. Spuścili się tedy do wykopanego dołu i przy stoczkach i świecach dłubali. Cóż jegomość powiesz? Miesiąc upłynął, a rady sobie dać nie mogli, aż wszyscy powysychali na szczapy: ani jeść, ani pić, ani spać; zakrystyan już krwią płuć począł, gorączka go trawiła. Nareszcie na piątym pono czy szóstym tygodniu otwarły się wszystkie trzy zamki razem i wieko odskoczyło. Ale najprzód z niego jakby opar jakiś poszedł gęsty, który im oczy zaćmił i oddech zatamował... Rzucili się wszyscy razem do skrzyni, spodziewając się złota i drogich kamieni... No, jak się wpanu zdaje, co też znaleźli?

— Najszanowniejszy księżę proboszczu dobrodzieju, rzekł Repeszko—nie nie wiem, ani miarkuję.

— Na dnie... kończył staruszek...

— Skrzynia więc nie była pełna? przerwał Repesko.

— Nietylko że pełną nie była, dodał ze śmiechem ks. Ziemiec, ale całkowicie próżną... Na dnie leżały zbutwiały kawałeczek pergaminu i maleńki mosiężny połączany relikwiarzyk, mocno zaśniedziały, zawierający cząsteczkę szaty Chrystusowej, wedle tradycyi, odartej przez żołdaka, gdy go obnażano, aby przybić na krzyżu. Relikwia ta wielkiej ceny, przywieziona z Jerozolimy przez jednego Krzyżowca, była całym owym skarbem.

Pan Repesko milczał zadumany.

— Otoż, rzekł ksiądz Ziemiec, niech wpan dobrze zważa, aby z ciekawością i zachodem wielkim, kusząc się o otwarcie mielsztynieckiej skrzyni, także tam ino pamiątek i relikwii nie znalazł.

Zarumieniłby się był może pan Repesko, gdyby mu płeć śniada i opalona, do skóry wyprawnej podobna, dozwoliła blednąć i czerwienieć. Co tam pod tą maską nieprzebytą się działo, on sam tylko wiedział. Pośpieszył się wytłómaczyć i zaprotestować, że nie żadne inne uczucie, tylko miłość bliźniego kazała mu starać się poznać ludzi, aby im wedle możności być użytecznym.

— A! księżu proboszczu dobrodzieju! rzekł niby z lekką urazą—jakże mnie też złote serduszek wasze mogło posądzić, że mogę mieć jakieś powody nie całkiem czyste, a uchowaj Boże interesowane, do wciskania się w poufalszą znajomość państwa Spytków?... Jakże mnie to boleśnie, ojcze mój, iż w janielskiem sercu waszém na lepszą jeszcze nie zasłużyłem sobie opinię!... Ale świadkiem Ten, który wszystko widzi i czyta w sercach ludzkich najskrytsze myśli, iż ja

mizerota, któremu los i praca własna nad wszelką za-
sługę poszczyliły, com się w pocie czoła a za wyraź-
ną opieką bożą dorwał kawałeczka chleba—mam go
do sytu i nieczego już nie pragnę, byle tam to chudo-
pacholstwo moje zachować w całości, a przekazać na
dobre uczynki, kościółki ubogie, szpitaliki, mszyczki,
i w ręce pocziwych...

— A no dość, dość, przerwał ks. Ziemiec: to była
dykteryjka, aby gadać. Rozdawaj waść karty, a daj
mi za to pamfila z ręki, tuza i króla... i już tam
o tych pocziwych Spytkach nie mówmy.

Zawiódł się tedy i tu pan Repeszko, ale za wy-
graną nie dał.

Wkrótce po przybyciu swém w Lubelskie był on,
jak wspomnieliśmy, w Mielsztyńcach, ale odwiedziny
te wcale go nie zaspokoily. Pojechał potém raz drugi,
zdawało mu się, że został przyjęty zimniej jeszcze.
Nie zraził się tém, ale czuł, że mu nie wypada tam
wciskać się znowu bez powodu; szło tedy o znalezie-
nie takiego, aby się wyszukanym nie zdawał.

Było to jakoś na wiosnę; zatykano łąki. Repeszko,
który sam wszędzie być musiał, a majątku jeszcze
nie znał tak bardzo drobnostkowo poszedł na grani-
cę od Mielsztyniec, dla dopilnowania sprawy.

Na miejscu znalazł kilku ludzi swoich i mielszty-
nieckich; nie kłócili się oni, ale żwawo spierali. Po-
między dwoma wzgórkami obrosłemi lasem dębowym,
ciągnęła się piękna łączka, a środkiem jęj biegł sobie
już uspokojony po wiosennych powodziach strumyczek.
Był to zwykły ruczajek, ledwie widoczny wśród buj-
nych traw i kwiatów, przekradający się za swemi in-
teresami do rzeki, tak, że go tam ledwie dostrzedz by-
ło można. Nikomu nie wadził ani pomagał; czasem

tylko w nim pastuszki nogi moczyli, a zające pić przychodziły w posuchę.

Ale ten strumyczek nikły i niepozorny, na wczesną wiosnę pozwalał sobie czasem takich wybryków i swawoli, że mógł powaśnić sąsiadów, stanowił bowiem granicę między Mielsztyńcami a Studzienicą, a spełniając tak wielką misję społeczną, nie zachowywał się z przyzwoitą obowiązkowi swemu powagą. Miał kaprysy niewytłómaczone;—gdy mu się nie wiedzieć dla czego wygodne, rozmyte, żwirem wysypane łózczenko sprzykrzyło, rył sobie nowe, łakę nanosił piaskiem, psuł trawy i zjawiał się niespodzianie tam, gdzie wcale prawa nie miał gościć, urywając to mielsztyńską, to studzienicką łakę. Gdyby ona była włościańską; byliby to tam ludzie sobie jakoś poradzili, ale ekonomowie obu folwarków, aby sporów nie mnożyć, z dawien dawna zgodzili się na to, żeby kosić po strumień, jakkolwiek on sobie w którym roku płynął.

Téj wiosny właśnie ruczaj pokrzywdził bardzo nowego dziedzica, i widać przez ciekawość zbliżył się ku jego stronie, tak, iż dobry kawał łąki oddał Mielsztyńcom. Właśnie go zatykano z tamtego boku, gdy ludzie studzieniccy oparli się temu, wskazując stare łożysko ruczaju, jako prawowitą granicę obu dominiów. Na ten spór nadszedł pan Repeszko z uśmiechem i najserdeczniejszymi pozdrowieniami włościan, którzy mu się do stop kłaniali.

— Dzieci moje najukochańsze, rzekł: coś bo to ja, rybki moje złote, niebardzo rozumiem. Jakże to może być, żeby taką granicę niepewną cierpiano?... Czy uchowaj Boże, nie ma w tém obrazy bożej i jakiego oszustwa? Nie idzie mnie tam, serduszka wy moje,

o ten kawałeczek łąki, ale o sprawiedliwość świętą, o spokój miły i o zgodę z najdroższymi sąsiadami...

Gdy włóścianie z obu stron tłómaczyć mu poczęli, głową kiwał i nie chciał rozumieć.

— Wszystko dobrze, dzieci moje najdroższe, dodał w końcu,—ale to tak nie może być. Ja majątek kupilem, upewniony będąc o stałych granicach. Trzeba będzie pojechać do Mielsztyniec, i po bożemu, po sąsiedzku załatwić sprawę raz na zawsze...

Pokłonił się włóścianom bardzo grzecznie, nisko, zatarł ręce i odjechał. Tego mu tylko było potrzeba.

Nazajutrz wyruszył parą szkap dryndulką do Mielsztyniec.

Ponieważ i nas tam ciągnie, pojedziemy za panem Repeszką.

Przebywszy las dębowy, który dzielił Studzienicę od Mielsztyniec, ujrzał pan Nikodem w pośrodku rozległej równiny, którą w dali opasywały wzgórza zagajone, po nad rzeką i łąkami zielonemi, rozłożone miasteczko, a nad niem panującą wieżę kościoła starożytnego, jak to z budowy wnosić było można. Mieścina, mimo że niezbyt wielka, niegdyś była obmurowana w części i opasana wałem; z tej dawniej fortyfikacyi pozostały jej dwie dosyć poważne bramy u wjazdu, zdające się z XV lub XVI pochodzić wieku. Oprócz tego rynek zdobił ratusz z wieżyczką, otoczony sklepami, wcale nieszpety i dobrze utrzymany.

Wielka aleja lipowa, cienista, od bramy miejskiej zwanój Zamkową (bo druga nosiła imię Lubelskiej), wiodła do zameczyska.

Wznosiło się ono na wzgórzu niezbyt wysokiém, objętém fossami, w których już od dawna wody nie było i stare bardzo porastały drzewa. Z murów gdzie-

niegdzie część kurtyny jeszcze sterczała malowniczo wśród zieleni, zostało parę basztek narożnych okrągłych, jedna wieżyca niewielka z bardzo grubego muru z blankami, oraz wspaniała brama, niegdyś poprzedzona mostem zwodzonym. Tego już śladu nie było; usypana na miejscu jego grobelka prowadziła wewnątrz..

Panowała tu cisza prawie grobowa, smutna, poważna, uroczysta; tylko niepowściągnięte ptactwo szczebiotało gwarnie w drzew gąszczach. Nad głównym łukiem wrot wykuty był herb Spytków, już dobrze starty i mało wyraźny. Pięterko nad bramą miało wprowadzić okna, ale nie zdawało się zamieszkanem. Dwa ogromne, stare, posiwiałe brytany leżały grzejąc się tu spokojnie, i nie przywitały nawet gościa szczerkaniem.

Dziedziniec był bardzo obszerny, a w głębi jego za zielonym trawnikiem, na którym wznosiła się kamienna figura Matki Bożkiej, w podkowę zbudowany był zamek dość okazały i poważny. Była to budowa nierazem snadź wzniesiona, niezupełnie regularna, chociaż później starano się jej nadać formę jednostajniejszą. W półkolistych połączeniach korpusu ze skrzydłami na dole, były arkady i sklepienia, u góry galerie i odkryte przejścia. Nad gankiem rodzaj kopuły blachą obitej panował, a we froncie armatury starą modą pomalowane, chorągwie, bębny, kotły, herby i cyfry.

Nad samemi głównymi drzwiami, których odrzwia, jak wszystkich innych okien i drzwi, były kamienne i ozdobne, stał napis pobożny: *Nisi Dominus aedificabitur, etc...*

Po za skrzydły i dokoła wszędzie cienistych drzew

zielone gąszcze służyły za tło wspaniałemu gmachowi, który był utrzymany czysto, starannie, ale w niczém nietknięty na nowy sposób. Owszem, zdawało się, jakby pilnie czuwano nad tém, żeby się z niego cęcha starożytna nie starła.

Nad prawém skrzydłem małoznaczna wieżyczka z sygnaturką oznajmowała kaplicę. Innych budowli nie było w dziedzińcu, kryły się one snadź niżej po za fossami, a sam zamek mieścił w sobie wszystko, co do życia państwa mogło być potrzebne. Wszakże życie to kryło się w niém tak, iż w podwórцу pusto zupełnie było, i pan Repeszko gdy stanął przez respekt u bramy i wysiadł z dryndulki, zostawiając ją tutaj, nie dostrzegł żywéj duszy, któraby mu peregrynacyę ułatwiła.

Ale że tu już był i trochę wiedział kędy się wchodziło i wychodziło, skierował się ku głównemu wnijsciu. Tu na przestrzał przez sklepienie widać było starożytny ogród szpalerowy, z gankiem nań wychodzącym i piękną balustradą, a po za nią ogromne lipy, jodły i graby. Sień wyłożona kamiennymi płytami, miała po obu stronach kamienne wschody na górę. I tu jeszcze nie było nikogo. Na ścianach dawno snadź malowane i wyblakłe, zieleniały niby krajobrazy, zamki, góry i lasy, ale pośród nich symboliczne postaci migwały i na wstęgach mnóstwo łacińskich napisów.

Wielki zegar pilnował wnijscia. Drzwi wszystkie malowane były na białó, ze złotemi pasy, gzemsami i sznurkami. Jak w zaklętém jakiém zamczysku, do-tąd pan Repeszko nikogo jeszcze nie spotkał, a prócz świergotu ptactwa wśród drzew, żadnego nie usłyszał głosu. Za to ciekawemi oczyma mógł do sytu przyglądać się téj pięknej i nader troskliwie utrzymywanej

budowie. Chód jego, choć ostrożny i cichy, rozlegał się dziwnie po gmachu, a wśród uroczystego milczenia, samemu przybyszowi odgłos jego własnych kroków złowrogo jakoś i niemiłosiernie brzmiał w uchu.

Stał już nareszcie u drzwi, za któremi jakąś straż znaleźć się spodziewał; uchylił je powoli i ujrzał w istocie, na wygodném krześle z poręczami, przed stołem siedzącego staruszka, którego łysina trochę włosów jak puszek siwy miękkich otoczona, świeciła jakby wypolerowana kość słoniowa. Starzec ów miał na sobie liberyę, w ręku trzymał książkę dużą i czytał z niej przez okulary półgłosem litanie. Twarz jego łagodna była i uspokojona. Z razu usłyszawszy otwierające się drzwi i snadź wcale nie spodziewając się obcego, nie podniósł oczu nawet, tak był w nabożeństwie swém zatopiony. Repeszko widząc to, jako był człek bardzo pobożny, a poczuwający się do obowiązku uczestniczenia we wszelakiem trafiającem się nabożeństwie, gdy i odchrząkiwanie i lekkie szurganie nogami nie nie pomagało, począł powoli odpowiadać: „Módl się za nami!”

Usłyszawszy to, starzec podniósł głowę dosyć obojętnie, a zobaczywszy nieznajomego, lekko ją skłonił, ale litanie odmawiał dalej i doszli tak do końca. Dopiero po antyfonie, okulary złożywszy do środka książki, staruszek powstał powoli i zbliżył się do milcząco do Nikodema, który mu się powtórnie a nader uprzejmie uśmiechając kłaniał.

— Chciałbym mieć szczęście—ozwał się Repeszko—widzenia się z panem domu.

Służący się uśmiechnął, lekko ruszając ramionami.

— Godność pańska?

— Repeszko Nikodem, sąsiad jegomości ze Stuzienicy, z uszanowaniem, a trochę w interesie.

— Hm! hm! rzekł stary kręcąc głową, i dobył grubego srebrnego zegarka, który miał u pasa za kontuszem, popatrzał nań uważnie, a potem znów namyślać się począł.

— Godzina jedenasta—rzekł—dochodzi za minut kilka. Nie wiem! nie wiem! Wszakże pójdę, oznajmię i zapytam, a waszmość pan raczy się tymczasem tu w sali zatrzymać i spocząć.

To mówiąc, drzwi mu otworzył do obszernej komnaty pustej, cichej, ale bardzo wspaniałej.

Była ona cała w drewniane okładziny białe ze złotem lakierowane przybrana, nadedrzwiemi tylko malowaniami staremi przyozdobiona. Na jednym z nich wchodząc dostrzegł p. Nikodem godła znikomości ludzkiej, z napisami: *Mors ultima linea rerum*. W ścianach naprzeciwko dwóch wielkich weneckich zwierciadeł, dwa były szczególne wizerunki, równie jak owe nadedrzwiemi niewesołe. Wystawiały one: mężczyznę we zbroi, leżącego na katafalku ostawionym świecami, z godłem w górze: *Credo videre bona in terra viventium* — oraz kobietę również w trumnie spoczywającą, z krzyżykiem w ręku, a po nad nią na wstędze: *Miserere mei Deus, secundum magnam misericordiam Tuam*.

W pośrodku pomiędzy dwoma temi portretami grobowymi, któreby przyzwoicij w katakumbach niż w salonie zawieszone być mogły, w ramach czarnych był obraz wystawiający młodą panią lub pannę, w czarnych szatach, z różą w ręku. Twarz jej nadzwyczajnej piękności, artysta z wielkim odwzorował talentem, możnaby rzec z rozmiłowaniem się w niej.

Świeżość kolorytu i wykończenie zdradzały niepospolitego malarza ze szkoły Rubens'ów i Van Dyck'ów. Portret ten i pięknością swoją, i jedną nadzwyczajnością zwracał uwagę i pociągał oczy. Na pięknej białej szyi dziewczęj, dokoła biegł pas czerwony, wązki, jakby krwią zarysowany, który głowę odcinał... Nie była to ozdoba żadna, rząd paciorek, ani naszyjnik, ale jakby ślad miecza... Twarz ta poważna, wypogodzona, acz smutna i dumna, nabierała uroku tajemniczości od tego dziwnego znamienia, którego pan Repeszek wytłómaczyć sobie nie umiał.

Stał jeszcze przerażony i zadumany przed tym dziwnym obrazem, gdy stary sługa za rękaw go pociągnął i rzekł cichym głosem:

— Jaśnie pan prosi... czeka...

P. Nikodem ruszył się żywo, ale stąpanie prowadzącego staruszka, przywykłego do powolnego, uważnego, cichego chodu po tych milczących, opustoszałych komnatach, zmusiło go do zwolnienia kroku... Coś w tym zamku zaklętym, majestatycznie uśpionym, skłaniało do ciszy i poszanowania miejsca jak w kościele. Trzeba było iść ostrożnie, nie czyniąc wrzawy, do której ściany te nie były przywykłe.

Po tej sali zagadkowych wizerunków, nastąpiła druga z okrągłą kopułą w środku, przez którą wpadało trochę światła we wnętrze; okiennice jej wewnętrzne były poprzymykane i półcień zalegał całą. Dokoła nad sofami rzędem opasywały ją portrety wielkie całych postaci, naprzemian niewiast i rycerzy. Niektóre twarze blade, pozawijane chusty białemi, występowały tylko z mrocznych cieniów... gdzieś tam zarysował się owal młodszego męskiego oblicza, lub czarno patrzyły oczy z posępnej czaszki zarosłego star-

ca we zbroi. Ten milczący szereg umarłych nappełniał postrachem, jakby ze zwierciadeł migaly istotnie widma i cienie upiorów jakichś, na sąd surowy wywołane. W pośrodku stojący stół, okryty ciemnym suknem, na którym białął dzwonek srebrny, nadawał sali pozór izby sądowej. Chciał się przez ciekawość wstrzymać tu p. Repeszko, ale droga wysłana dywanem przechodziła przez salę na wskroś i wiodła do innej, świetlejszej i nieco weselszej.

Ta była długą niby zbrojownią, pełną misternie powiązanych i poukładanych orężów i zbroi, dziś już nieużywanych, które różnaitością i bogactwem zastanawiały... Były tam niewidzianej piękności puklerze i tarcze z godłami rodziny, kołczany szyte złotem, buńczuki, chorągwie, buzdygany, buławy, szable najróżnaitszych kształtów; lecz co najbardziej zastanawiało, to cztery całkowite zbroje, szmelcowane, złoczone, prawdziwe dzieła sztuki, wyobrażające jakby czterech rycerzy zamkniętych w hełmach, stojących po czterech rogach na straży... Każdy z nich trzymał w ręku kopię z proporczykiem, na którym szyte były herby, a ręką wspierał się na tarczy... Pan Repeszko z przerażeniem ujrzał, że u tych drzwi, do których się zbliżali, stojący rycerz miał przyłbicę podniesioną, a z niej nie czarna głębia wyglądała, ale głowa trupia całkowita, szydersko śmiejąca się zębami białymi i jakby nrągająca z życia... Na proporczyku jój czarnym i białym stały wyszyte wyrazy:

Mors vita, i Vita mors.

Nie dał mu się i tu zatrzymać przewodnik, wiodący go z wolna, ale nieubłagane dalej. Weszli do mniej-

szęj komnaty, w której stał klęcznik z krucyfiksem, obłożony książkami oprawnymi w jaszczur i pergamin. Po nad nim wisiał obraz Matki Bożkiej częstochowskiej, a w lewo cała ściana od góry do dołu wysłana była mniejszemi wizerunkami rodziny, pośród których wypisano na wstędze:

Requiescant in pace...

Rzuciwszy zaledwie okiem na te rzędy głów, Repeszek dojrzał wypadkiem znaną już sobie głowę dziewczicy, z czerwoną krwawą przepaską na szyi...

Z tego oratorium drzwi już wprost wiodły do pokoju pana Spytka, i tu sługa, otwarłszy je, wskazał tylko p. Nikodemowi drogę, a sam się cofnął.

Wszystko to, co w ciągu powolnej po zamku przechadzki widział Repeszek, dziwnie go jakos usposobiło; czuł się w duszy onieśmielonym i trwożnym... nawet dopiekająca ciekawość znacznie ostygła.

Pokój wszakże, do którego wchodził, właśnie może na największą zasługiwał uwagę. Był on narożnym i niezupełnie regularnego kształtu, prawie tak obszernym jak sale zamkowe, a pełnym najosobliwszego sprzętu i pamiątek.

W jednym jego rogu uderzał obraz patrona, przed którym zawieszona na sposób wschodni i włoski paliła się lampa; tuż niedaleko ogromny stół zarzucony był stosem papierów, pościąganych w fascykuly, przywilejów z przywieszonemi pieczęciami na sznurach i ksiąg policzbowanych starannie. Z pośrodku tych stosów wyglądał czarny hebanowy krucyfix, z Chrystusem z kości słoniowej.

Przed oknem w ozdobnych wazonach ułożony był

cały klomb zieleni z najrzadszych i najpiękniejszych roślin, wśród których przemagały róże, rozkwitłe i przekwitające. Liśćmi ich wonnemi usypana była posadzka. Ogromny komin marmurowy, biały, rzeźbiony, część znaczną drugiey ściany zajmował.

We wgłębieniu naprzeciw, nawpół osłoniioném firankami adamaszkowemi, widać było skromne małe łóżeczko, jakby obozowe, pokryte skórą, z niedźwiedziem u nóg, z obrazem w głowach, z szablą u boku przewieszoną...

W pośrodku téj komnaty, której ścian reszta obita była tureckimi makatami, przerabianemi złocisto, stał, czekając na powitanie gościa, gospodarz...

Repeszko, jakkolwiek zwykle odważny, lubo z zasady pokorny i słodki, chociaż dwa razy był w Miel-sztyńcach (ale go naówczas na dole przyjmowano), choć już pana Spytka widział i mówił z nim, dzisiaj, przeszedłszy wspaniałe sale zamkowe, napatrzwszy się tych dziwów grobowego jakiegoś oblicza—prawie w ustach języka zapomniał, uniżeszmy się stał jeszcze, i zamiast powitania, gospodarzowi się tylko *more antiquo* czapką do kolan skłonił.

Nie była to rzecz tak prosta i łatwa dla Repeszki jakby się zdawało; p. Nikodem bowiem był prawie olbrzymiej statury, a gospodarz, potomek owéj rodziny znakomitej, ledwie nie karła miał postać. Człowiek był już dobrze niemłody, nader kształtny, zdrow i silny, chociaż blady na twarzy, ale niewiele więcej nad pas pana Repeszki wyrósł..

Nie przeszkadzało mu to być pięknym; nie ułomnego w sobie nie miał, dziwnie jednak drobnym wyglądał, mimo bótów na korkach wysokich, podniesionej w górę głowy i wyprostowania. Twarz jego, bar-

dzo pięknych i szlachetnych rysów, wielce przypominająca wizerunki po salach rozproszone, nosiła na sobie piętno spokojnego smutku; w oczach była jakby świeżo obudzona ciekawość i niecierpliwość. Postawę miał rycerską, ruchy pańskie, zdawał się stworzony na olbrzyma... a skazany jakąś wolą bożą na skarlenie. Mimowoli pan Repeszko przy tym maleńkim człowieku, którego by bez wysiłku mógł podnieść w jednej ręce, czuł się nieśmiałym, upokorzonym i gburem, jeśli się tak wyrazić można, tyle było w tamtym majestatu i wielkiego wyrazu jakiejś siły...

Pan Spytek, mimo małości swój, był krzepki, urodę pięknej bardzo, a tak zbudowany, iż ręka, noga, oblicze, gdyby posąg stary, zwracały na siebie oczy. Ubrany też był, choć to w dzień powszedni, bardzo wytwornie.

— Szanownego sąsiada—odezwał się pan Spytek—bardzo mi widzieć miło. Zdaje mi się, iż podobno była wzmianka o jakimś interesie...

— Tak jest, tak jest, jaśnie wielmożny panie, odparł Repeszko, powtarzając ukłon pokorny. Wiedząc jak miłe są cisza i spokój jw. panu, nigdy bym się nie ośmielił zakłócać ich... ale malenieczka kwestyjka graniczna... Chcę ją poddać pod sąd i wyrok pana dobrodzieja.

— Graniczna kwestya? spytał gospodarz. Ale szanowny sąsiedzie, to mnie nadzwyczaj dziwi. Od lat przeszło stu pokończyliśmy wszelkie możliwe wątpliwości graniczne, okupując święty spokój setnemi ofiarami... Zkądby się to wzięło?

— Ja nie wiem, odezwał się Repeszko,—ale nowy przybysz, szanując święte prawa własności, nie pragnąc nigdy cudzego, a usiłując uniknąć wszelkiej zwa-

dy, starałem się upewnić w moim ubogim kawałeczku ziemi. Otoż przy świecém zatykanu łąk, gdzie Mielsztyńce od Studzienicy odgranicza strumyczek... zamiast stałej granicy, odkryła się używalność. Strumień płynie każdego roku inaczej... ztąd niepewność... Gdyby była mappa, tobym pokazał.

— O ileż to iść może? przerwał pan Spytek; jakż to tam różnica?

— Na całej przestrzeni—odparł pokornie Repeszko— to tam może jakich parę morzków łączki, jw. panie, i to często gęsto piaskiem a mułem naniesionój. Bóg widzi, że chciwy nie jestem, a czego mi tam Opatrzność łaską swą dorobić się dała, to pragnę zachować tylko, boć to krwawica, całego życia owoc!!...

— Szanowny panie sąsiedzie, rzekł Spytek: ja wcale sędzią w tój sprawie być nie mogę, przechodzi to moją kompetencyę... Najprzód któż sądzi własną rzecz?... powtóre mało znam granice; potrzebie jest tu *ad hoc* mój godny plenipotent, *alter ego*, pan Dziegielewski. Znasz go pan pewnie; co on zadecyduje, przyjmę i podpiszę. Jeśli trzeba, bym mu polecił jak największą w postępowaniu wyrozumiałość, tego pan możesz być pewien, chociaż ogólna instrukcyja dawna opiewa, że w tego rodzaju sporach ma raczej ustąpić, niż mnie na proces narazić. Jeśli się panu sąsiadowi zda wybrać arbitrów, przystaję na nich z góry.

Repeszce wszakże ani o łąkę, ani o granicę, ani o formę, jaką kwestya rozwiązana być miała, nietyle szło pono, co o zręczne wciśnienie się do Mielsztyńiec i narzucenie panu Spytkowi; więc lubo rzecz zdawała się załatwioną w zasadzie, nie okazał się zadowolonym... Chodziło o przedłużenie bytności w zamku.

— Stanie się woli pańskiéj zadosyć, rzekł powoli,

z pewnym wyrazem smutku. Ja przecie, przyznam się, pochlebiałem sobie, że wyjątkowo tę sprawę załatwisz jw. pan sam, abym niepotrzebnej formalności uniknął. Przybyłem z gotowością wszelką zastosowania się do rozkazów.

— Ale ja wcale nie znam ani położenia, ani sprawy, rzekł posępnie pan Spytek. Dziegielewski człowiek zacny, każdy kątka zna...

— Więc gdybyś jw. pan raczył tylko go tu kazać prosić, w dwóch słowachbyśmy skończyli.

Gospodarz widocznie był zakłopotany.

— Prawdziwie—odparł—nie wiem czy Dziegielewski jest w domu; bardzo wątpię. A co do mnie... ja dziś właśnie jestem tak zajęty... wyjątkowo zajęty...

Zdawał się nasłuchiwać niespokojnie; ale cisza panowała w podwórzu zamkowym. Repeszko stał się ciekawszym jeszcze; postrzegłszy, że jest do czegoś zawada, domyślał się jakiegoś wypadku, chciał wynaleźć sposób przedłużenia rozmowy, nie okazując się natrętnym.

— Możebyśmy zresztą jaki dzień inny nazaczyli, a jabym panu Dziegielewskiemu dał znać, gdyż dziś... to mówiąc gospodarz drgnął, a od okna dało się słyszeć hałaśliwe psów szczekanie i trąbka myśliwska....

Pan Spytek podbiegł do okna, wyrzał, twarz blada okryła się rumieńcem i bardzo żywo począł do Repeszki:

— Więc tak... na środę, piątek, kiedy się podoba, proszę do Dziegielewskiego, ja mu dam właściwą jeszcze instrukcję, aby był jak najwyrozumialszym... Oznaczycie granicę...

Szczekanie psów i tętent kilku koni coraz wyraźniej słychać było pod oknami.

Spytek skłonił się Repeszce i podprowadził go do drzwi; ale pokorny szlachcic nie dał się zbyć tak prędko.

— Pozostaje mi—rzekł z ukłonem niskim—przeprosić jak najpokorniej jw. pana, iż ośmieliłem się zakłócić moją bytnością...

— Ale to nic... owszem, mówił żywo gospodarz, w którego twarzy coraz gorętszy malował się niepokój.

— Proszę wierzyć, dodał Repeszko, już prawie stojąc w progu: iż to nie żadna chciwość występna, od której Bóg mnie strzeże, ani chęć korzystania z powolności jw. pana, tylko pragnienie utrzymania sąsiedzkiego spokoju, tak drogiego dla człowieka, zwłaszcza dla mnie, nieznanego jeszcze w okolicy i potrzebującego sobie zaskarbić względy...

W miarę jak przeciągał mowę, oczy maleńkiego człowieczka, zniecierpliwionego już do najwyższego stopnia, nabrały tak złowrogiego jakiegoś blasku, postawa takiej grozy, usta tak nakazującego wyrazu, iż p. Nikodem, straciwszy wątek mowy, przeleknął, ująwszy czapkę pod pachę, wynosił się, nawet ciekawości zapomniawszy. Gdy spocony, drzwi za sobą zamknawszy, podniósł głowę w progu, oczy jego padły na helm rycerza stojącego tu na straży, z pod którego trupiej czaszki patrzyły dwa próżne doły czarne. Z tych otworów, zdawało mu się, że nań spojrzała śmierć, uśmiechając się szydersko...

O trzy kroki czekał stary sługa, z zegarkiem w ręku. Repeszko już się zabierał iść, gdy w salach usłyszał wrzawę i głosy, chód kilku osób. Ciekawość wróciła; przytulił się do ściany, niby dla przepuszczenia przybywających, choć go przewodnik za rękaw po-

ciągnął, i był świadkiem dziwnego wśród grobowego tego zamku zjawiska.

Przodem szła słusznego wzrostu, średniego wieku kobieta, bardzo pięknych jeszcze rysów twarzy, w nbiorze amazonki, w kapeluszu z piórami na głowie i biczkiem w srebro oprawnym w ręce. Ogon aksamitnej ciemno-zielonej sukni niosła na ręce. Wyglądała jak królowa, a z pod powiek nieco przyciemnionych, osobiwszej barwy, jakby od płaczu poczerniałych, strzelały oczy jej czarne, ogniste, straszne płomieniami, które w nich gorzały. Lice jej nieco opalone, świeże było i jeszcze ani jedną nienapiętnowaną marszczką. Czoło miała wysokie, bielsze nieco od reszty twarzy, pogodne, ale smutne. Stworzoną się zdawała do rozkazywania, i musiała wiedzieć o tém. Kibić jej, choć mogła mieć więcej nad lat trzydzieści, łudziła kształtami dziewczemmi młodości w pełni rozkwitłej. Repeszko, nie wiedząc kto była, łatwo się w niej domyślił pani domu; ona, postrzegłszy tę nieznana sobie postać schyloną pokornie, wyprostowała się jeszcze bardziej, zmarszczyła brwi, zacięła wargi, i ledwie odpowiedziawszy skinieniem głowy, minęła go szybko kierując się ku drzwiom gabinetu...

Nie była samą: szedł za nią chłopak mogący mieć lat piętnaście, nadzwyczajnej piękności, ale tak małego wzrostu jak pan Spytek i bardzo do niego podobny, wytwornie ubrany, wesoły, śmiejący się; a za nim, w sukni duchownej, widocznie endzoziemiec jakiś, wyfryzowany, w trzewiczkach i pończochach, z książką w czerwony safian oprawną pod pachą. Był to Eugeniusz Spytek, jedyny syn państwa Mielsztyńskich, i przewodniczący jego wychowaniu l'abbé de Bury, słynny z przyjemnej uczoności, dowcipu, a później

z wydanych dzieł kilku i ogromnie rozległych stosunków w rzeczypospolitej literackiej z najsłynniejszymi jej koryfuszami. Ta niewyczerpana studnia mądrości, mimo głębiny swój, wyglądała jak kryształowa karafka, szlifowana niezmiernie wytwornie i błyszcząco. Pan Repeszko nie był pewien, ale posądzał, iż woń przyjemna, niby wędnących fiołków, która się rozeszła w chwili gdy ksiądz de Bury go mijał, z jego peruki i mankietów wychodzić musiała.

Dodajmy, że blady brunecik, przyjemnie uśmiechnięty, był wcale ładnym mężczyzną; tylko na suknię duchowną, którą obyczajem wieku dla przyzwoitości nosił, nadto jakoś elegancko i kwiecisto wyglądał.

Wszystkie te trzy postaci mignęły tylko, przesuając się przed ciekawemi oczyma pana Repeszki; drzwi gabinetu się otwarły i okrzyk radości dał się słyszeć. Pierwszy wbiegł niemi ów śliczny chłopaczek. Za nim weszła matka, l'abbé de Bury na końcu, i podwoje nielitościwie się zatrzęsęły, a Repeszko rad nicrad musiał za swym przewodnikiem z zamku się wynosić.

Nie spodziewał się wcale, żeby go się tak prędko pozbyto, i szedł kwaśny, ze spuszczoną głową, ale szedł z wolna i nie w powrocie bacznjej jego uwagi nie uszło. Zamek przed chwilą tak cichy, trochę się zaludnił; postrzegł pan Repeszko kilku strzelców w zielonych kurtach, z kordelasami u boku, którzy psy odprowadzali, kilku masztalerzy i kilka koni, wosatego łowczego porządkującego dwór swój, a dalej dwa powozy, z których jeden obładowany, świeżo jakby z dalekiej powracające podróży. Tego myśliwstwa w połączeniu z ekwipażami nie mógł dobrze zrozumieć p. Nikodem; ale ze stroju amazonki miarkował, że pani

Spytkowa wracała z polowania, a syn i l'abbé de Bury musieli świeżo z odległej jakiejś przybyć wycieczki. Wszystko to dosyć mu się dziwnie wydawało. Ten zamek jakby zaklęty, z gospodarzem karłem, ta pani tak wspaniała i piękna, która uganiała się po lasach za zwierzyną, gdy mąż wśród róż wędnujących siedział w papierach i książkach, i ten chłopczyk śliczny, malutki, o którym w sąsiedztwie jakoś nawet słyhać nie było — całe to życie wyglądało na zagadkę, a Repeszko szczególnie był łakomy na tajemnice... Ale się go tak pozbyto, odsyłając do Dziegielewskiego, że nie było sposobu nanowo się do zamku wcisnąć, a pytać ludzi i nieśmiało, i wiedział, że się na nic nie przyda. Popatrzawszy więc tylko na dwórów, na konie, psy i powozy z daleka, smutny, bo zawiedziony, poszedł Repeszko do swojej bryczki stojącej za bramą.

Ruch niezwykajny w zamku potwierdził domysł jego, że syn domu, młody Eugeniusz, musiał z dalekiej podróży powracać. Na twarzach przechodzących sług widać było wesołość; wszyscy z pośpiechem snadź dążyli, aby młodego pana powitać.

— Trudno! rzekł w duchu Repeszko, potrząsając głową: narzucać się im nie przystało mi, a niełatwi są dla obcych... ale z czasem... z czasem... niepodobna żebym ja się tu nie wszrubował.

W tych myślach wyjechał za bramę, a że kawał dobry miał do Studzienicy, na sobie zaś najlepsze ubranie, pomyślał więc o tém, gdzieby przywdziać kitel swój codzienny, w którym około gospodarstwa chodził. W miasteczku tego czynić nie chciał, bo trzeba było zajechać do gospody i za postójne choć krótkie zapłacić, lub dać coś utargować. Przypomniał so-

bie, że na drodze do domu miał właśnie karczemkę w lesie, do Mielsztynieć należącą, w której najprzystoicij będzie pomyśleć o przebraniu. Nakazał więc woźnicy, aby przed nią stanął, a sam nad niepowodzeniem swęj wyprawy się zadumał.

Karczemka owa, zwana Wygódka, stała pośród starych dębów i sosen, nad samą drożyną; woźnica rad był w nięj także koniom wytchnąć, sądząc, że może pan przypomni sobie kazać mu dać kieliszek wódki. Konięta same się zatrzymały przed wrotami; wysiadł pan Nikodem, wnosząc zawiniątko swoje, siadł w cieniu, drzew i rzucał powoli zbyt kosztowne na pył i skwar ubranie.

Tylko co się był rozebrał, gdy podniosłszy głowę, postrzegł przed sobą stojącego ogromnego mężczyznę nieznanomego, który mu się z ciekawością, ale drwiąco przypatrywał.

Figura to była jakaś zakazana, ni pan, ni szlachcic, ni sługa, ni dworak, buta ogromna, wąsiska łokciowe, drab wielkiego wzrostu, kurta wyszarzana z węgierska, skórnie do kolan, pas juchtowy, a na sforze przy nim para chartów kosmatych wołoskich, chudych i rosłych jak on.

Wziął go z razu Repeszko za łowczego jakiegoś pana, ale powtórnie spojrzawszy, przekonał się z twarzy, iż nieczym sługą być nie mógł. Z oczu mu strasznie dumą i zuchwalstwem patrzało. Nie młody, nie stary, niegdyś bardzo piękny, rysów twarzy wyrazistych i kształtnych, ów łowiec zdawał się zabawiać zapobiegliwym strojem pana Repeszki, patrzył na niego wyzywająco i impertynencko. Snadź się był wódki wprzód napił i chlebem a serem zakąsał... Minę

miał okrutnie szyderską, jakby sobie z całego żartował świata. Mimo to widać nie było po nim dostatku: suknie mocno przechodzone, bóty niezbyt oczyszczone, pas stary, czapka stara. Psy nawet nie były utrzymane w zbyt dobrém ścierwie, wyglądały kościsto i smutnie a drapieżnie.

Cierpiał z razu Repeszko, że mu się ten drab tak przypatrywał; ale widząc, że to temu, końca nie będzie, odezwał się naostatek kwaśno:

— No! cóż tam ciekawego, żeby też pół kwadransa tak stać?...

— He! odparł nieznajomy: a cóż to ja cię zjem oczyma, szlachcicu kochany? Nie obawiaj się. Dopelniasz chwalebnego czynu oszczędności, snadź wiesz co grosz wart; cieszę się więc, żeś człowiek taki porządny, i... admiruję...

Repeszko tylko ramionami zżymnął i splunął.

— A zkad Pan Bóg prowadzi? spytał myśliwiec.

— Jam przecię tutejszy... raczejby mnie wypadło zapytać: co waszmość za jeden?...

— Otoż i ja tutejszy, sąsiedzie szanowny! rzekł zjadając i stojąc ciągle nieznajomy. Teraz się już domyślam, że jesteś ów Repeszko czy Drapieszko, który z daleka tu zawędrował.

Powiedział to jakoś w tak obrażający sposób, że p. Nikodem się jeszcze bardziej pogniewał.

— A któż waćpan jesteś, jeśli się zapytać wolno? rzekł chmurny.

— Ja? ciekawys? zawołał zagadniony. Jak to? czyżbyś nie słyszał o mnie, a słysząc nie domyślił się z kim się spotkałeś?

— Ani wiem, ani znam, ani się domyślam! rzekł p. Nikodem.

— Nikt ci nie wspominał o Iwonie? he? o Iwonie Życkim, zwanym pospolicie kasztelanikiem?

Repezsko dopiero sobie przypomniał, iż o nim w istocie słyszał, ale skóra na nim ścierpła... Mówiono dziwnie o kasztelanicu, obawiano się go w sąsiedztwie jak ognia, głoszone za awanturnika chętnie szukającego zwady i nieprzebaczącego nikomu. Wszystko, co o Iwonie gadano, przyszło mu na myśl, i Repeszko nagle spokojniał, zdjął czapkę, skłonił się, uśmiechnął.

— Daruje pan kasztelanic! rzekł cicho: nie miałem dotąd szczęścia.. Cieszę się bardzo, iż choć tu zaszczytam się...

Iwo się śmiał.

— No, no! nie pleć koszałek, opalek! zawołał Szczęście, zaszczyt! Niewielkie to szczęście spotkać się ze mną... a zaszczyt też nieosobliwy... Ale kiedyśmy się zetknęli, to cię spytam: czyś ty myśliwy?

— Ja? osobiście... nie... odparł Repeszko.

— To dobrze, odparł Iwo: bo ci oznajmiam, że w twoich lasach, i na polach twoich polować będę...

Szlachcic zamilkł posepnie.

— Ponieważ myśliwym nie jesteś, to ci szkody nie zrobię.

— A zwierzyna? spytał z cicha Repeszko.

— Zwierzynę będę jadł! odparł Iwo,—i waści jęć dawać nie myślę, raz, że na nią będę pracował, powtóre, że ty, słysząc, mięsa nie używasz, i w tygodniu sześć dni jadasz z postem, a siódmego z suchotami.

— Wolno mi przecież uczynić uwagę, że kto nabywa majątek, ten ma w nim i własność zwierzyny. Słusznaby więc była...

— Kręcielu stary! rozśmiał się Iwo. Miły ci spokój, to mi się nie sprzeciwiaj. Popytaj ludzi.

— Ale ja nie odmawiam bynajmniej miłemu i kochanemu sąsiadowi téj maleńkiej przysługi! zawołał Repeszko, spojrzawszy z ukosa na bat pleciony, którym Iwo poklaskiwał niby od niechcenia. Spuszczam się na jego wspaniałomyślność, iż kiedy niekiedy kapnie mi co do kuchni... Co się zaś tycze skóreczek... gdyby Pan Bóg dał lisa, wilczka lub inne stworzenie... na te ja stawiam żelaza i zwykłem je sprzedawać...

— Ani mi się tego czynić waży! odparł Iwo. Przestrzegam cię kochanie: polowanie w twoich lasach biorę w arendę...

— W kwocie? spytał Repeszko żywo.

— A! skąpczyszko stare! przerwał Życki: jeszczebyś z tego chciał coś wyssać! Niedarmo nam cię tu tak odmalowano jako liczykrupę.

— Mnie! o Chryste Jezu miłosierny! krzyknął Repeszko: otoż to języki ludzkie i złośliwość! Miły Boże! mnie, który przez całe życie poświęcam się dla ludzi, odejmując od ust sobie.

Iwo zaczął się śmiać.

— Paradny! rzekł—ale wracajmy do arendy. Otoż umowa taka: będę polował, zabijał, plondrował, ale za to dopilnuję ci lasów, i pierwszego złodzieja, którego w lesie spotkam, powieszę na dębie.

— Jezu miły! a zlitujże się! Nuż z tego proces wyniknie!

— Masz słuszość, dam mu sto batów, już mniej być nie może. Jak się ludzie dowiedzą, że ja ci lasu pilnuję, gałązka ci nie przepadnie.

— Zbytek łaski! zawołał Repeszko, ośmielając się i chcąc rozmowę zakończyć, bo zawiniątko było gotowe, konie wypoczęte, a dłuższa rozmowa z panem

kasztelanice mogła być niebezpieczna,—zbytek łaski! Ale mnie pora do chaty.

— Czegoż ci tak pilno? Żony i dzieci nie masz, kuferek dobrze zamknięty... pogawędzimy. Winienesz mi odwiedzin, he? Zapraszam cię do siebie na wieczór.

Repeszko się zląkł, ale pomyślał, że to żarty, bo wiadomo było, że biedny, zrujnowany kasztelanik nikogo nie zapraszał i nie przyjmował.

— To istotnie zbytek łaski,—rzekł—i... i... mógłbym zrobić ambaras.

— Żadnego! odparł Iwo. Ja nikogo takiego nie proszę, coby mi z sobą kłopot przyniósł. Chudopacholek teraz, nie mam czém przyjmować, ale waśc nie jesteś wymagający... czém chata bogata. Musisz jechać! Konia mego poprowadzi człowiek luzem, a ja z waszecią na bryczkę. Mała milka drogi, na prawo w gąszcze. Za godzinę będziemy.

To mówiąc, świsnął kasztelanik, psy oddał słudze staremu, który nadbiegł kulejąc, a sam, nim Repeszko się zebrał na podziękowanie i wymówki, już siedział na bryczce i ręką wskazywał mu, aby się obok sadowił.

Z zawiniątkiem pod pachą, rad nierad p. Nikodem wdrapał się na brykę swoją, wzdychając. Przeczucia miał niepokojące, ale wymówić się sposobu nie było. Iwo popchnął woźnicę z kozła, odebrał mu lejce i batog, i zawołał na konie po swojemu.

— Ja cię powiozę, zobaczysz tatuniu! koni swoich nie poznasz, tak pójda w moich rękach. Hej! ha!

W istocie, bryczka potoczyła się po wąwozistój drodze i wybojach, tak, że Repeszko ledwie się w niej mógł utrzymać, polecivszy Bogu duszę...

Konie leciały czwałem, Iwo śmiejąc się poganiał.

Postrzegł się po czasie pan Repeszko, że wpadł całę niespodzianie w szpony człowieka, od którego wszyscy jak od ognia uciekali, a stało się to nie wiedzieć jak i pochwyciło go bezbronnym. Nie miał innego ratunku, tylko wedle zwyczaju swego w trudnych razach, odmówić „Pod Twoją obronę” i dziewicę „Zdrowaś Marya,” z krótką modlitewką do Św. Antoniego. W istocie wieści, jakie po okolicy krążyły o kasztelanicu, nie nęciły do jego znajomości. Mało o nim wiedziano, oprócz że z możnej pochodził rodziny, że długo za granicą w Hiszpanii, we Włoszech, we Francyi przebywał, majątek do szczętu stracił, i podobno w skutek jakiejś nieszczęsnej miłości dostał jakby lekkiego pomieszanania, a raczej chronicznej rozpaczy, która w najdziwaczniejsze przybierała się formy. Zapamiętały myśliwiec, spędzał dni zimą i latem na koniu w polach i lasach, samotny; a gdy mu się kto ważył sprzeciwić lub wleźć w drogę, mścił się nielitościwie. Chwilami był to człowiek najlepszego towarzystwa i wychowania, grzeczny, wykształcony, dowcipny... napadami gbur, szyderca, okrutnik. Ludzie, jak go najdalej zobaczyli, kryli się i uciekali przed nim.

Iwo Jaksa Gryf Życki, kasztelanie p***, gdyż tak się zwał, po kądzieli odziedziczył w Lubelskiém dobra Rabsztyńce, niegdyś firlejowskie; te ojciec jego zadłużył, a on całkowicie stracił. Gdy mu je zatradowano, nie opierał się, ale zapowiedział wierzycielom, że bądź co bądź, w Rabsztyńcach zamek, ogród i obejście dworskie sobie zostawi i tych zabierać nie dopuści.

— Jest to moje gniazdo rodzinne. Zwierzęta na-

wet mają nory; ja też muszę mieć legowisko i Rabsztyniec nie dam, a zechcecie najeżdzać, będę się broił i nie oszczędzę nikogo.

Skutkiem téj groźby, został zamek przy panu Jaksie, a dziedzic Rabsztyniec musiał się pobudować na nowo, opodał nieco.

Oprócz sporego kawałka gruntu, ogrodów, stawu, dziedzińca i góry, na której niegdyś stało zamczysko, niewiele na tém wierzyciele stracili. Właściwie powiedziawszy, zamek nie istniał; został on zburzony przez Szwedów jeszcze za Karola Gustawa. Było mura trochę, jedno skrzydło budowy, rozwalona brama i pusta kaplica... W dole drewniany dom folwarczny.

Nie wiedzieć dla czego ta ruina, przypominająca feudalne burgi niemieckie, tak była drogą Życkiemu; to pewna, że oprócz niego niktby w niej nie mieszkał. Za jego pobytu na Rabsztynicach, pod najsroźszą odpowiedzialnością niewolno było jednéj różgi wyciąć na całej przestrzeni do dworu należącój. Skutkiem tego zarosło wszędzie gąszczami, drzewa się porożpościerały, chwasty, ziele i krzaki, tak, że pośród nich ledwie wązkimi ścieżynkami przedrzeć się było podobna. Na murach nawet, wśród budowli, puszczały drzewka, wisiały gałęzie, bujały polne kwiaty.

Przez rozwaloną bramę na wałach, otoczoną lipami, wchodziło się do środka; ale od niej nic widać nie było jeszcze. Po nad wierzchy lip i klonów jedna tylko baszta szczerbata, z powybijanemi dziurami, sterczała wyżej nieco. Ze starego zamczyska Szwed i ogień zostawili tylko jednego skrzydła część niewielką. Była ona snadź wzniesioną za ostatnich Jagiellonów, gdy u nas budownictwo na sposób włoski kwitło; to też ozdobne odrzwia, z kamienia i marmurów, po-

sadzki z wielkich taffi i płyt różnobarwnych, rzeźby i napisy dotąd ją okrywały.

Ale to wszystko w najopłakańszym było stanie. Dach, niegdyś blachą kryty, później gontami, teraz polatany był słomą, a w znacznej części żebra poczerniałych krokwi i łąt z niego wyglądały. Wiele drzwi brakło, inne się nie zamykały...

Do tej wilczej jamy, jak ją nazywano powszechnie, nikt prawie nie zaglądał; kasztelanie żył w niej sam, z Zacharyaszem kulawym, dawnym i wiernym sługą. Na folwarku była gospodyni, dwóch chłopaków do koni i psów, w stajni trzy chude szkapy i dwa wyszarzane siodła.

Charty i brytan tak dobrze strzegły zagajonego dziedzińca, że się w nim i żebrak nawet pokazać nie śmiał. Osobliwość to była zaprawdę, że w chwili dobrego humoru i dzikięj fantazyi Iwo zaprosił do siebie Repeszke; rzecz tak się dziwną p. Nikodemowi zdawała, że podejrzewał go o jakieś nieczyste zamiary, szczególnie obawiając się o worek. Ale z drugie strony co do spraw pieniężnych wiadomo było całemu światu, że Iwo nigdy nikogo na szeląg nie pokrzywdził, i prawdziwie po szlachecku kończył sprawy tego rodzaju, obcinając poły, byle rąk nie zwałać.

W śmiertelnych potach Repeszko dojechał do Rabsztyniec, które pierwszy raz w życiu oglądał; bryczka i konie musiały z chłopakiem pozostać w bramie gdyż dalej drogi do zajazdu nie było, tylko ścieżka, którą ledwie konny człowiek mógł przejechać.

Zlazłszy z wozu, Jaksa rzucił lejce i odprostował się.

— Niechże go pioruny trzasną, jak ta drynda trzęsie! zawołał. Jak wy możecie tém jeździć? nie wole-

libyście na dobrej szkapie, niż w tym półkoszu, w którym zęby sobie powybijają można?

Repezsko, postanowiwszy być grzecznym, uśmiechnął się tylko.

— Na co kogo stało!—zawołał—kasztelanicu do brodzieju. Człeczek jestem ubogi, dorobiłem się w pocie czoła grosika, pamiętam na to z czego wyszedłem...

— Tak, tak, *pulvis sum et in pulverem..*

— Otoż to jest... potaknął Repeszko: nie udaję pana.

— Wolisz nim być w istocie! rozśmiał się Jaksa smętnie, idąc przodem przed gościem. Ale nie kłam! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... jesteś groszowity, skąpy i liczykrupa. Pał cię lichy z tém! co mnie to obchodzi, że się uwędzisz dla spadkobierców, których nie znasz? Rób jak ci lepij, to do mnie nie należy.

— Zagaduje do worka! to nie bez kozery! rzekł w duchu Repeszko; w tém już coś jest... Ale gdyby nawet i bizunami zagroził... ha! stań się wola Twoja... że nie dam, to nie dam.

Drżał w duchu nieborak jednakże.

— Trzebaż mi było z tą głupią ciekawością do Mielsztyniec jechać i na karczemkę powracać, włóczyć się nie wiedzieć po co i wpaść w taką matnię.

Szli tymczasem ścieżynką, i minawszy gąszcze, znaleźli się przed ocaloném owém skrzydłem zamkowym, które dziwnie wyglądało, pysznie i odrapano; pańsko i nędznie... Jaksa stanął i świsnął przeraźliwie: nadbiegły brytany i charty, a w chwilę i stary Zacharyasz nadszedł kulejąc.

Stali przed główném wnijściem, nad którego szerokimi drzwiami herb Firlejów jeszcze był znaczny gnieździły się w nim wróble. Godzina była może trzecia z południa.

— Zacharyaszu moj! rzekł Jaksa: masz co jeść? bo oto mój gość głodny, a jam go zaprosił i nakarmić muszę, choćby przyszło pieczeń z wierzchowca mojego zrobić. Byłaby łykowata nicco, bo stary... Spytaj Barbary, co się tam święci?... a prędko.

— Jam się już dowiedział, mruknął Zacharyasz: boć wiedziałem, że gość będzie.

— Ha! no i cóż? spytał Jaksa.

— Idźcie-no na górę... idźcie! mruknął sługa; jak-koś to będzie, z głodu nie pomrzecie.

— A więc dawać do stołu.

Zacharyasz ramionami ruszył i nie nie odpowiedział; gospodarz wszedł do sieni. Była obszerna, pusta, trochę słomy dla psów leżało w kącie, okna miała powybijane. Wschody z marmurową balustradą, ale połamane i zgnile, prowadziły na pierwsze piętro.

Znowu sień ogromna, ze ścianami, na których deszcz zaciekając pokreślił zielone pasy... drzwi nieszczelne, ale niegdyś białe złoczone, prowadziły do antykamery, w której stały awy proste, a raczej zydle; na jednym z nich posłanie Zacharyasza, istny barłóg. Dokoła na grzędach trochę odzieży, rogi myśliwskie, strzelby, sieci. skórki i przybory łowieckie.

Tu gospodarz, idący dotąd przodem, puścił gościa przed sobą. Weszli do pokoju, który być musiał jadalnym, bo w nim zajmował miejsce główne stół stary, ciężki. Koło niego ustawione były krzesła o wysokich poręczach. Na ścianach wisiały czarne jakieś portrety i potłuczone zwierciadła.

— Nie jest tu bardzo wytwornie, rzekł śmiejąc się Jaksa, ale z biedy żyć można. Drzwi w prawo do mojego pokoju.

Repeszko postępował posłuszny, pocisnął klamkę, i znaleźli się w salce obszerniej, krągłej, jeszcze nieźle dochowanej.

W jednym kącie, nogami do ogromnego marmurowego komina, który dwie męskie karyatydy podtrzymywały, stało łóżko kasztelanica, pokryte niedźwiedzią skórą. Na niém broń rozwieszona; w głowach duży obraz, gęstą, czarną krepą osłonięty cały, tak, że z za nim ledwie się jakiś na nim białej twarzy domyślać było można.. Zeschła gałąź cyprysu, opylona, siwa, zwieszona była nad tym tajemniczym wizerunkiem.

— Siadaj, mości sąsiadzie. Rzadko tu gość bywa. Prawdę rzekłszy, nie pamiętam czym kogo prosił kiedy; więc i przyjęcie niewykwintne... No, ale i waszmość też, jak wiem, niewymagający jesteś.

— Ale paradnie, paradnie, odrzekł, ocierając pot z czoła Repeszko: jak Boga kocham, to pałace.

— Gdy zjemy, to ci całe moje dziedzictwo sprezentuję, rzekł powoli Jaksa. Zobaczysz, jest to fundum wcale nieszeptne; możnaby coś zrobić z tego, będąc przy pieniądzach.

— „Po co on mi to chce pokazywać? pytał sam siebie gość—po co? W tém coś jest...”

Po chwili Zacharyasz otworzył drzwi. Wyszli do pierwszój izby, gdzie nakryto do stołu.

— Wódkę pijesz? spytał gospodarz.

Repeszko nie wiedział co odpowiedzieć.

— Bo wódkę mam prostą, śmierdzącą kotłówkę, na inną mnie nie stało; więc jeśli łaska...

— Ale niekoniecznie.

— Jedzenie będzie brzydkie, ale nie ma lepszego; wina ci za to dam, jakiego tu nikt nie ma. Ale wino to zawdzięczam przypadkowi. Lat temu kilka, mówił

siadając Jaksa: byłem taki słaby, żem myślał, że maie już licho weźmie. Nadjechał tu doktor Niemiec, więcem się go chciał poradzić, aby też wiedzieć jak długo pociągnę. Ten mi powiada: „Jedź waszeć do Bardyowa na Węgry, napij się wody, wykąp, a ozdrowiejesz.” Niebardzom miał o czém jechać, ale jeszcze tam coś się znalazło na sprzedaż dla Żydków. Siadłem na koń i ruszyłem na Węgry, do tego Bardyowa. Poznaliśmy się serdecznie z Węgrami, pobratali, nieraz popili, i oto mi jeden magnat, Paloczay, przyśłał na wyzdrowienie zupełne beczkę tokaju. Jeszcze i para wołów co ją przywiozła, karmiła mnie jakiś czas, bom ją sprzedał. Niech mu tam Bóg nagrodzi. Tego tokaju butelkę wysączymy.

Repeszko nad spodziewanie znalazł się przyjętym. Półmiski i talerze były wprawdzie pootłukane, ale porcelanowe; na wazę dano niezły krupnik, potem bigos i zająca piezonego. Czegoż więcćj żądać? Tokaj w ogromnych kieliszkach, czysty jak złoto, smaczny był jak nektar, pachniał po całym pokoju. Po pierwszym kieliszku Jaksie dziko zaświeciły oczy; nie wesele, ale smutek i boleść dobyło z niego wino.

— Ja cię nie znam—rzekł, podparłszy się na łokciu Jaksa, po długiej chwili milczenia,—ale wiem, żeś lichwiarz, spekulant i dusigrosz.

— Kasztelanicu, to potwarze!...

— Daj pokój! dosyć na ciebie spojrzeć: masz tu na czole wypisane. Pij wino!

Repeszce tokaj smakował, ale naleganie napępniało go obawą, do czego to zmierzało?

— Pij wino! nierychło się z podobnym spotkasz... Ażebyś zaś strachu daremnego nie miał, powiem ci od razu, po com cię sprowadził.

Repeszko, który był już kieliszek ujął, postawił go z wolna.

— Słuchaj! życie mi tu obrzydło! zawołał Jaksą. Ja ludzi nienawidzę tu, oni mnie nie cierpią. Odłączony, samotny, zabijam się myślami; nie mam czém żyć, bo mi brak celu, nadziei, jutra... Chcę pójść gdzieś w świat, daleko... Zostało mi z dawniej zamożności ot to gniazdo, które burza rozbiła; trzymałem się w niém długo, myślałem, że tu umrę, i że trumnę moją wrzucą do pustej kaplicy ostatnią. Ale już mi wyżyć ciężko, muszę to raz skończyć. Nie doczekam, czego czekałem. Sprzedam ci zamek cały, jak go widzisz, dwór, ogród, grunta... Kupuj!...

Repeszko, słuchając, usta otworzył. Propozycja była tak w swoim rodzaju dziwna, niespodziewana, osobliwsza, iż z razu nie umiał na nią wcale odpowiedzieć.

Upłynęła długa chwila milczenia.

— Ale szanowny kasztelaniku! odezwał się pan Repeszko, rozważywszy nieco o co chodziło: chciéj z łaski swojej, nie obrażając się, pomiarkować, na co się mnie to zdało?

— Jak to? zamek taki przepyszny?

— Ale, choćby w istocie był najwspanialszy, cóż ja z nim robić będę? Od Studzienicy ogromny kawał... ni przypiął ni przylatał. Toż naturalnym nabywcą powinien być albo dziedzic teraźniejszy Rabsztyniec...

Jaksą ramionami ruszył i splunął.

— No... albo Spytkowie, którymby to fundum mogło z biedy do Mielsztyniec...

Począł to mówić Repeszko w najniewinniejszej myśli, nie przewidując wcale, iż samo imię Spytki zrobi na Jaksie wrażenie tak okropne, tak niespodzia-

ne, iż nie dokończywszy, p. Nikodem struchlały zamilkł.

W istocie, dosyć było wzmianki o Spytkach, by spokojnego dotąd kasztelanica zmienić niemal w obłąkanego. Porwał się od stołu, bijąc o niego pięścią z całej siły; zaiskrzyły mu się oczy, pofałdowało czoło, zapienily usta. Odepchnął krzesło, które z hałasem padło na posadzkę, i począł przechadzać się żywymi krokami po salce. Mówił sam do siebie, zdawał się nie widzieć Repeszki, który za stół się tulił, patrzył i trząsł się ze strachu, myśląc: „Co mu się stało?”

— Spytkowie! tak! i to niech wezmą oni, i popioły dziadów, i mojemi łzami krwawemi oblaną ziemię! wszystko... wszystko!... Wzięli mi com miał najdroższego, wezmą i to, im się to należy... Przeznaczenie! Wydarli mi serce!... powinni nawet trupa pochować pod swoim progiem, aby go gnieść nogami... Znasz waszmość Spytków? znasz?

— Ale nie, Bóg widzi! nie znam, nie wiem... przypadkiem... klnę się na rany Chrystusowe...

Iwo stanął nagle.

— Tak, usta twoje nie wiedziały, że wyrok na mnie wyrzekły... Gdybyś ty kupił, tożbyś frymarczył potem, by zyskać, i zamek mój imby się dostał. Wyrestaurowaliby go i mieszkali... Nie może być inaczej...

Niezrozumiałego coś pomruczał, potem zamilkł, nagle, podniósł głowę, i popatrzawszy na Repeszkę, krzyknął groźnie:

— Zkąd wracałeś, gdym cię spotkał?

Pan Nikodem się zająknął.

— A no... z Mielsztyniec... ?

— Tfu! głupi, powinienem był to zgadnąć po sa-

fianowych butach i atlasowym żupanie... Coś tam robił? mów mi prawdę! po co tam jeździłeś?

— Ależ, panie kasztelanicu dobrodzieju! bełkotał Repeszko: ja ich nie znam... wysokie progi na moje nogi. Mam spór graniczny o łąkę; pojechałem, chcąc go załatwić sam, zgodnie, ale cóż?... odprawili mnie z kwitkiem, nicem nie wskórał...

— Byłeś dziś—począł zamyślony kasztelaniec—dziś. Mów, kogo tam spotkałeś?... kogoś widział?

Repeszko, nieco ochłonawszy, począł z jak największymi szczegółami opowiadać bytność swoją w Mielstyńcach, jak go wprowadzono, co widział, a nareszcie kogo wychodząc spotkał. Iwo słuchał z nadzwyczajną uwagą, a gdy przyszło do ostatka, twarz jego nabierać zaczęła coraz straszniejszego wyrazu; oczy płonęły, rozśmiał się dziko rzucił tylko pytanie:

— Prawda? piękna pani, śliczna pani! i wygląda dziwnie młodo! i śmieje się tak wesoło... *jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...*

Wyrazy te, które mu się mimowolnie wymknęły, chwycił Repeszko chciwie, zadrżał i nie mógł się wstrzymać od wykrzyku:

— Jak to? zabiła?

Ale kasztelaniec już był panem siebie; posępne wejrzenie zwrócił na pytającego.

— Kto ci to powiedział? gdzieś to słyszał? Milez! słyszysz? milez! lub... Jam tego nie powiedział, to fałsz! Zapomnij o tém... to szaleństwo moje... a jeśli odważysz się kiedy...

Kasztelaniec kielich, który trzymał w ręku, zgniótl na kawałki, rzucił okruchy na stół i spojrzał milcząco na Repeszkę, który drżąc jak liść, ust już nie śmiał

otworzyć. Potém nalał sobie wina szklanke, wychylił duszkiem i rzekł:

— Kupujesz, czy nie? Pokażę ci co mam na sprzedaż, chodź... Sprzedam tanio, z warunkiem tylko, by nigdy odsprzedane nie było do Mielsztyniec. Weźmiesz za co zechcesz.

— Ale ja... ja nie jestem kupcem...

— Obejrz-no! zawołał kasztelanica—potém powiesz. Dam za bezcen, bo muszę ztąd uciec... muszę! Jużem się dosyć namęczył, a nie doczekam niczego...

— To mówiąc, Iwo otworzył drzwi.

— Chodź! rzekł.

Nie z wielką ochotą poszedł za swym przewodnikiem Repeszko; ale go podtrzymywała nadzieja, że się wprost później do swojego wózka dostanie i uciec będzie mógł do domu, czego najmocniej pragnął. Obawa jego rosła, a chmurniejsze coraz oblicze kasztelanica nic miłego nie wróżyło. Przez gęszcze wydobyli się na podwórzec, którego obszerność Iwo najprzód okazał Repeszce. Oprócz mieszkalnego skrzydła zamku, które jakby odłamane od całości, stało na gruzach zalegających wszędzie kupami dziedziniec, nic tu nie pozostało z dawnych budowli. Iwo zapewnił tylko, że zachowały się w całości dziwnie suche, jasne i piękne podziemia, lochy i składy sklepione, ale do nich Repeszko iść się nie napierał. Tradycya, jeszcze z firlejowskich czasów utrzymująca się w okolicy, mieć chciała, że gdzieś w tych lochach, za zamurowanymi żelaznymi drzwiami, część znaczna skarbów możnej rodziny zachować się miała; ale mimo poszukiwań niejednokrotnych, nic dotąd nie odkryto. W razie sprze-

daży kasztelanie własność tych skarbów sobie zabezpieczał, trzecią ich część tylko ofiarując temu, któryby wniósł odkrył. Repeszko, spoglądając na stosy cegieł i kamieni, uśmiechał się jakoś niedowierzająco. Przychodziło mu na myśl opowiadanie starego księdza o odkrytej skrzyni pod pniem ołtarza u Św. Michała w Lublinie.

Jakkolwiek chciwy, na tego rodzaju wędkę złapaćby się był nie dał szanowny p. Nikodem; życie oduczyło go marzeń. Obszedłszy główny dziedziniec, potem dokoła reszty murów obwodowych, zajrzawszy do kraglonej baszty panującej nad okolicą, z której widok był przepyszny, co mało jednak do duszy, a mniej jeszcze do kieszeni Repeszki przemawiało, spuścili się z wałów obrosłych drzewy, do przylegających ogrodów, równie zapuszczonych jak zamek cały. Drzewa w nich były przepyszne; ślady ulic, szpalerów niegdyś strzyżonych, a teraz bujnie odrosłych, sadzawek, które trzcina, tataraki, zielsko i pleśń w trzęsawiska pozamieniały, tarasy, poniszczone altany, połamane kamienne wschody i zdobiące je wazony, smutny przedstawiały widok. Kasztelanie chodził wśród tej ruiny posepny; niekiedy tylko uśmiech krzywił mu usta...

— *Sic transit gloria mundi!* szeptał. Dziś rano oglądałeś waszmość wspaniałe Mielsztyńce, zachowane jak w pudełku; po południu patrzysz na skutki macierzyńskiego obchodzenia się natury z pracą człowieka. Nie powiem, żeby to pięknie wyglądało; ale przyznaj, że człowiek jak ty, z pieniędzmi i bez przesądów, któremu gruz ten nic nie mówi, dla którego on, jak dla mnie, nie jest świętością i wspomnieniem, mógłby z tego zrobić wspaniałą rzecz... przepyszna... Byłbyś

mospanie jak król na Rabsztyńcach: zamek, ogród, sady, staw... a któż jeszcze wie, co byś dłubiąc pilno w tych zwaliskach, mógł poodkrywać, nie licząc zamurowanych skarbów.

W sadzie, w którym smutnie stały rzędami omszone i podziczające drzewa, kilka ledwie grządek warzywa świadczyło, że o nim ludzie pamiętali. Większy chłopcy powybijali złodziejskich ścieżek dosyć wśród grusz i jabłoni, i kijmi pootłukali za wczasu zielone owoce. Była to jedném słowem pustynia i zniszczenie.

Kasztelanie nie darował najmniejszego kątką, a pan Repeszko nie śmiał się wymawiać od ogłędzin. Nareszcie przybyli do staréj kaplicy, która pod wałami stała... Od dawna nie odprawiano w niej nabożeństwa. Za lepszych czasów wzniesiona, kaplica była obszerna, niby wiejski kościółek, zawierała ona oprócz tego groby rodzinne niegdyś... ale cynowe ich trumny dawno gdzieś potopiono, a marmurowe sarkofagi leżały popękane.

Główne drzwi zabite były deskami; musieli obejść od boku i przeleźć kawał płotu, aby się dostać zakrystyjnemi do środka. Repeszko bał się przewodnika swojego opuścić, choć go tam wcale nie nęciła ciekawość. Iwo zaś zdawał się mieć w tém jakąś gorzką przyjemność, żeby swą nędzę przypomnieć sobie... Kościółek wewnątrz odarty był ze wszystkiego; i głównego i bocznych dwóch ołtarzy ślady tylko na ścianach pozostały. Gdzie niegdzie na obnażoném sklepieniu grobów, z którego posadzkę zdarto, wały się łomy, kawały drzewa, resztki rzeźb złożonych. Na mały chór nie było wschodów, on sam wisiał nawpół obalony... Z monumentów przodków, kilka jeszcze

rozpoznać było można, mimo widocznie umyślnego ich poruszenia. Na tablicach z napisami młotek całe powyflukał wyrazy... w postaciach rzeźbionych ohydne szczyrby świętokradzka powybijala ręką.

Z jednego boku kamienne sklepienie grobowe obaliło się, i przez nie widać było, jak czarną przepaść, podziemie, w którym stały trumny... Ale nie poszowano w nich spoczynku umarłych, szukano snadź chęćwie przy zwłokach może jakich kosztowności; trumny leżały porozbijane, potrzaskane, pogniłe, w jakichś siwych popiołach z ciał ludzkich... Kasztelanie patrzył w tę głąb z ciekawością, Repeszko ze drżeniem. Przychodziło mu na myśl, że się może sklepienie zawalić... i...

— Ani jedną trumnę całej! zawołał kasztelanie. Cha! cha!... kiedy ruina to ruina!... Śmierć sobie pohulała co się zowie... Ale jak ci się to wydaje, panie Repeszko? Ma swój majestat i swą piękność to zniszczenie, he?...

Repeszko wcale piękności téj nie rozumiał. Prawdę rzekłszy, obrachowywał w téj chwili, ile z tych trumien cynowych mogli nabywcy wytopić pięknego kruszeu na misy do krupniku i dzbany.

— Przyznam ci się, rzekł kasztelanie, siadając na kamieniu i wskazując obok siebie miejsce dosyć niewygodne gościowi, że na tę kaplicę naszą miałem szczególne projekta, starając się koniecznie zostać przy fundum w Rabsztyńcach. Myślałem, że wyrestauruję ją, oczyszczę groby i że tu kiedyś obok moich działów stanie trumna dębowa (na cynową mnie nie stać, i jak widzisz, nazbyt obudza apetyt)... Bylbym tu sobie spokojnie spróchniał obok przodków, co zawsze

jest rzeczą przyjemną. Ale tych słodkich nadziei trzeba się pozbyć, a razem i Rabsztyniec.

Repeszko nic nie odpowiedział, miał minę zafrasowaną, gdy towarzysz jego przybierał osobliwsze fizygnomie: posepną, dziką, uśmiechniętą, szyderską i gniewną na przemiany.

Posiedzieli tak chwilę. Iwo wstał i westchnął.

— Chodźmy, rzekł: nie mam ci co więcej już pokazać; kaplicę zostawiłem, jako najlepszy przysmak, na ostatek. Zdaje mi się, że powinnyby cię zlakomić, dodał: mógłbyś ją wyrestaurować małym kosztem. Jesteś pobożny, zrobiłoby ci to i przyjemność i famę. Nie masz tu ani krewnych, ani rodziny, zyskałbyś od razu grób rodzinny i rodzaj antenatów spopielałych, którzyby cię przyjęli. Zawsze to rzecz przyjemna nie samemu leżeć i w dobrém towarzystwie. Jest parę Firlejów i Firlejówien, a moich Gryfów niemało. No! jakże? nie pokusisz się?

Żarcik ten niewczesny jeszcze smutniejszym uczynił Repeszke, który wydobywszy się nazad przez płot z kaplicy, stał zafrasowany, nie wiedząc już co odpowiedzieć. Patrzał sobie pod nogi. Kasztelanie wziął się w boki.

— Kupujesz, czy nie? zapytał.

— Szanowny panie! ośmielił się naostatek przemówić Repeszko: szlachetne serce pańskie i wzniosły umysł jego...

— Nie smaruj, proszę; do mnie się to nie bierze! przerwał Iwo. Do rzeczy!

— Łatwo pan pojmujesz, mówił dalej Repeszko: że kto nabywa i płaci, ten musi potrzebować tego co kupuje, a mnie to na co? Ja jestem człowiek ubożuch-

ny, pokorny, maleńki... zbytów takich, żeby kościoły fundował i zamki zakładał, pozwalać sobie nie mogę. Przytém nabycie Studzienicy, którą mi bardzo drogo kazano zapłacić, wysuszyło worek do dna; mam i długi.

— Nie kłam, nie kłam! masz kapitały, rzekł kasztelan.

— Ale gdybym i miał, mój Boże! ze skruczą rzekł Repeszko: toć muszę ich tak użyć, aby mi coś przyniosły; a cóż ja z tego zrobić mogę, abym choć grosz dostał?

— Mylisz się, szanowny spekulancie, mylisz; mógłbyś zarobić na tém. Ja nie zarobię, ale ty...

— A to jak? zapytał Repeszko.

— Czyż nie widzisz tego, że rabsztynieckie fundam jak wyspa leży pośród dóbr nowych nabywców? że oni je muszą kupić, bo im zawadza, robi dziurę w ich posiadłości? Gdybym ja chciał im sprzedać, grósza nie dadzą, bo wiedzą, że muszę prędzej czy później zbyć, ale co innego z waćpanem... Waść możesz wytrzymać. Byle nie Spytkom, przefrymarzysz sobie jak zechcesz...

P. Nikodem ruszył ramionami.

— Ciężka z tobą sprawa, zawołał Iwo. No—ale polowanie w lasach, póki ja tu jeszcze jestem, zapewnione, nie prawdaż?

Repeszko się skłonił i dobył zegarka, chcąc się już uwolnić; kasztelan go wstrzymał.

— Powiedz mi, spytał po cichu: widziałeś Spytkową?

Repeszko spojrzał na niego zdziwiony.

— Przechodzącą tylko...

— Opisz mi ją, jak wyglądała? czy miała twarz

uśmiechniętą? nie była pomieszana? żadnej chmurki nie dostrzegłeś na jej czole? Jestem ciekawy: o tak! jestem ciekawy.

Gość nie wiedział jak odpowiadać; począł opis bardzo szczegółowy i suchy ubrania, fizyognomii, rysów twarzy. Kasztelanie słuchał go chciwie, ale z powieści téj musiał chyba odgadywać sam rzeczywistość, bo Repeszko zmieszany balamucił.

— Szła z synem? nie prawdaż? spytał. Prowadziła go za rękę... czule?

— Tegom nie spostrzegł, odparł Repeszko; śpieszyła tylko widocznie do męża, biegła żywo, trochę zasepiona. Twarz pełna powagi i nieco surowa, trochę na nią nawet smutku.

— Smutku, czy tylko pomieszania? zapytał Iwo: jak ci się zdaje?

— Prawdziwie, tego ja nie potrafię określić, nie znając osoby.

— Zawsze mówisz, żeś wesela nie widział?..

— Tak mi się zdaje.

— Będiesz jeszcze w Mielsztyńcach? zapytał po chwili kasztelanie.

— A no, muszę dla téj łąki, odparł Repeszko; ale mi się coś zdaje, że mi już do zamku i do pana przystępu nie dadzą, i pewnie tylko do Dziegielewskiego odeszlą.

— Jednak, gdybyś tam był.. słuchaj... to mi opowiedz coś widział...

Repeszko się sklonił. Coraz dla niego niezrozumiałszym był kasztelanie, ale też co chwila większą budził w nim obawę. Zeszli tak rozmawiając na dół. Bryczka stała nieopodal. P. Nikodem począł żegnać się, a Iwo, jakby o owym projekcie sprzedaży całkiem

już zapomniał, nie wstrzymując go wcale, kiwnął głową tylko, pożegnał i poszedł powoli do swego mieszkania.

Pozbywszy się go, lżej odetchnął nieszczęśliwy nasz przybylec, dopadł do wózka, chłopcu zdrzemalnemu dał w kark, i kazał do domu pośpieszać. Przeznaczono mu wszakże było tego dnia same spotykać niespodzianki. W drodze, nie dojechawszy do dworu, napędził pieszo wracającego z przechadzki starowinę księdza proboszcza Ziemca. Szedł on na plebanie, a postrzegłszy zwykłego swojego maryaszowego gracza, począł na niego machać ręką i dawać mu znaki, aby do niego wysiadł. Choć dobrze zmęczony, Repeszko odesłał konie i zsiadł z wózka, pieszo już myśląc powrócić po rozmowie ze staruszką. Ale ten go na wieczór zaprosił, a wieczerza dla człowieka, co w domu nigdy nie jada, jest rzeczą miłą i pożądaną. Ks. Ziemiec się nudził, więc siedli zaraz do maryasza. Począł go pytać: gdzie był? co robił? kogo widział? P. Nikodem nie miał powodów tajenia się z niczem, a głowę pełną osobliwych wrażeń dnia tego; począł więc ze wszelkimi szczegółami całą swą podróż i jej przygody opowiadać.

Dopóki była mowa o Mielsztyńcach, ks. Ziemiec głowę miał spuszczoną, milczał i nie przerywał; ale gdy począł o spotkaniu z kasztelanem, jakby go co tknęło, starzec karty rzucił, oczy podniósł, i ramionami zżymnąwszy, niecierpliwie kilka razy mruknął:

— No! patrzajcież! no! jeszcze czego nie stało! do tej pory nie zapomniał!

Repeszko zdał jak najdrobnostkowię sprawę ze swęj utrapionęj bytności w Rabsztyńcach, uważając, że staruszek mimo to celu zaproszenia dobrze zrozumieć nie

mógł; dopiero gdy przyszedł w opowiadaniu do ostatnich zapytań, proboszcz się rozśmiał i zawołał:

— A tuś mi! to tak jak w liście, gdzie *postscriptum* dopiero istotny interes zawiera.

— Wyspowiadałem ci się, mój ojcze, dodał p. Nikodem; terazże mi to wynagrodź choć kilku słowami, bo jestem jak w rogu tutaj. Ludzi nie znam, co się ze mną dzieje nie rozumiem,—a ten szalony palka Iwo Życki... jest dla mnie zagadką.

Ksiądz się zamyślił.

— A już ci! rzekł po chwili poważnie: niektórych objaśnień waćpanu udzielić muszę, dla tego samego, abyś się w postępowaniu swém miał czém pokierować; ale zaklinam was, nie paplajcie!

— Ojcze dobrodziej! zawołał Repeszko, składając ręce: nie znacie mnie jeszcze, nie wierzycie mi, ale ja jestem milczący z natury, dobroduszny, w cudze się sprawy nie wdaję, swoich pilnuję, Boga chwale i Jegobym obrazić nie chciał...

Mówiąc to, tak świętoszkowską miał postać, że ksiądz, gdyby był miał lepsze oczy, byłby się pewnie jej przeląkł.

— No, no! co do Jaksy, ja jegomości zainformuję, szepnął; ale jeszcze raz przestrzegam, że jeśli tknę mimowolnie w opowiadaniu Spytków (bo to rzecz nieuchronna), niech to idzie jak w grób, jak w wodę.

— Ale jak w wodę! jak w wodę! powtórzył uderzając się w piersi gość, który uszy nastawił, oczy otworzył, i o mało na staruszka cały nie padł, tak się ku niemu pochylił, by nie stracić słowa.

Ksiądz Ziemiec po namyśle krótkim mówić począł:

— Są tajemnice rodzin godnych, od losu ciężko dotkniętych, które cierpią z dopustu bożego; te każ-

dy człowiek szanować powinien, i ani nawet wnikać w nie, aby tych ran dotknięciem nie drażnił. Ale są kary Opatrzności domierzone na płochych i występnych, które publicznymi być winny, aby grozę i bojaźń obudzały. Nie potrzebuję dodawać, że właśnie w tych dwóch wypadkach są rodziny Spytków i Jakśów.

Co się pierwszych tycze, niech tam tajemnica pokrywa, dla czego się od świata i ludzi odsunęli, i w odosobnieniu a godnie cierpią dolę swoją. Historia za to pana Iwona Jaksy Życkiego żadną dla ludzi nie jest tajemnicą i być nie powinna. Ojciec jego, kasztelan p***, wiele już na świecie dokazywał. Był żołnierzem, ale i warchołem niepospolitym; majątku nadtracił, żonę z klasztoru porwał, ludzi narażał i nastrzelał niewinnych co niemiara, a jedynaka dziedzica wychował, że zszedł na to, czém go waszmość widziałeś. Rodzina niegdyś godna, w Rzeczypospolitej wielkich i starych zasług, bodaj nie książęcego pochodzenia, ale w tej krwi, przy wielkich przymiotach, i wielkie też trafiały się ekscesa. Złego znać tak było wiele, że miarę cnót przewyższyło, i Bóg ich chłostać począł. Już w XVI wieku chylili się ku upadkowi. Nie pomogło i spokrewnienie z Firlejami, i nabyte przez nie bogactwa, i rzucanie się na różne strony; z każdym pokoleniem ubywało dóbr, znaczenia, wziętości, i schodzili coraz niżej, acz bez widocznych przyczyn upadku. Rodziny gałąź główna w końcu już przez jednego p. kasztelana była reprezentowana, a temu został syn jedynak Iwo. Nie szczędzono na wychowanie, a natura też darów nie poskąpiła; ale wszystko szło, można powiedzieć, w liście: młodzieniec

bujał, świetniał, rozpraszał się i nigdzie do niczego dosiadać nie mógł. Ojciec zmarł, swoboda smakowała, fantazyja gnała, rzucił się za granicę; ale nigdzie miejsca nie zagrzał, choć wszędzie sławę pozyskiwał łatwo. Tam kogoś porąbał, tu zastrzelił, owdzie burdę głośną zrobił, i trzeba się było wynosić. Jeszcze młody, ale dobrze świata zażywszy, wrócił do domu, sądząc, że on, co po całym niemałym świecie sławę rycerską pozyskał, u siebie jeno się pokazać potrzebuje, by przed nim wszystko na twarz padało. Szumnie wystąpił w Rabsztyńcach... pojechał do stolicy na sejm, przepychem gasząc możniejszych; wrócił potem nazad, chcąc rozkazywać tu, a co mu w drodze stało, zmiatając zuchwale. Ale Jaksy przepychy i swawole niedługo potrwać mogły, bo przy takim życiu Rabsztyńce rychło w cudze ręce pojsć musiały, a ludzie u nas dobrze rachować umieją. Tymczasem w sąsiedztwie wpadła w oko p. kasztelanicowi panienska, w której się szalenie pokochał. Była to panna Brygida Zbązka, z familii możnej niegdyś, ale podupadłej na majątku. Ojciec jej miał wieść jedną wielką. Muszę od razu powiedzieć waszmości, że panna Brygida Zbązka jest dziś najgodniejszą z niewiast, małżonką mego dobrodzieja, pana Spytka z Mielsztyniec.

— Al teraz rozumiem! zawołał Repeszko.

— Nic jeszcze jegomość nie rozumiesz, odparł ksiądz.

— Ale przepraszam, już wiem dla czego się tak o nią dopytywał—dokończył gość.

— Dajmy na to—rzekł ks. Ziemięc. Więc kiedyś waszmość zrozumiał, to i moja historia skończona.

Kasztelanie się kochał w pannie na zabój, a Spytek się z nią ożenił.

— Ale jakże to było? jak? proszę księdza proboszcza.

— Tego ja tam nie wiem...

— Bo wyrwało się temu zawadycające słowo, że mi włosy na głowie stanęły. Gdy się mnie po raz pierwszy dopytywać o nią począł... rzekł (ot, mogę jego własne powtórzyć wyrazy) rzekł wyraźnie: „Piękna pani! śliczna pani! Wygląda dziwnie młodo, śmieje się tak wesoło... *jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...*” Potem, postrzegłszy, że się wygadał niedobrze, zaklął mnie i zagroził, żebym tego nikomu a nikomu nie powtarzał.

— A po cóż mnie to mówisz? spytał chmurno ks. Ziemieć.

— Ojcze! wam, to tak jak na spowiedzi, uniewinniał się Repeszko.

— Milczcież już, milczcie! na miłego Boga, nie chcę nic wiedzieć więcej, nie słucham, i nie nie powiem. Dosyć tego. Waszmość sobie narobisz nieprzyjaciół. Milcz! milcz!... proszę i zaklinam!...

To mówiąc, rzucił ksiądz karty maryaszowe, Repeszko go w rękę pocałował, i tak się rozstali.

Najmniej przenikliwe oko, patrząc na Mielsztyńce, odgadywało tam ukrytą boleść jakąś, pokutę,—ranę, która się oczu ludzi lękała; ale szacunek dla rodziny wstrzymywał lekkomyślną ciekawość. Zresztą poło-

żenie Mielsztyniec było z tego względu dosyć szczęśliwe, że chroniło od natrętnych sąsiadów. W okolicy była szlachta drobna i majątki wielkich panów, którzy tu nie mieszkali, a z wyjątkiem Studzienicy i Rabsztyniec, nikt prawie na życie Spytków nie zwracał uwagi. Czasem po dworach cicho szeptało o tym zaklętym zamku, dziwne historye opowiadano o małym Spytku, o pięknej jego żonie, która namiętnie lubiła myśliwstwo, o synu bawiącym za granicą, o jakichś obrazach i podaniach starych w rodzinie; ale plotki te nie miały się czém nowém odżywiać i marły z niedostatku pokarmu; a to, co sobie ludzie mówili, tak było niejasne, tak sprzeczne, niepodobne do wiary, że nikt ani zbytniej wagi, ani wielkiego zaufania w prawdę tych baśni mieć nie mógł.

W samym zamku mielsztynieckim, najstarsi nawet słudzy domu, których kilka pokoleń żyło się z rodziną, niewiele dziejów jej wiedzieli. Głębokie milczenie okrywało te tajemnicze przygody, zasze jeszcze wprzód, nim z Krakowskiego tu się na dobrowolne wygnanie przenieśli.

Różnie sobie tłómaczono te dwa wizerunki przodków na katafalkach, tę śliczną postać kobiety, która na białej szyi krwawą nosiła pręgę. Wiedzano tylko, że było w roku kilka anniwersarzy, do których się uroczystie przygotowywano, które obchodzono z wielkim przepychem modłów, mszy, wigilij, egzekwii i nabożeństwa. Częste wspomnienia Emilii Spytkówny w pobożnych modłach, tradycya, że ją wystawiał ten portret wiszący w sali, że skończyła śmiercią tragiczną, nagłą, o której szczegóły nikt nie śmiał pytać, na nią szczególniej zwracały uwagę domowników. Wieczorem też, przechodząc około jej wizerunku, oba-

wiano się nań spojrzeć, a głucha wieść twierdziła, że się często pojawiała z tą różą rozkwitłą w rękę, ukazując na szyję zakrwawioną. Mianowicie gdy nieszczęście jakie dotknąć miało Spytków rodzinę, duch Emilii zawsze się komuś objawiał. Rozsądniejsi mieli to za zwykłe baśnie, jakich pełno wszędzie. Starzy wszakże zasłyszeli, że od śmierci téj panny spadły wszystkie klęski na Spytków. Dzieci umierały w kolebkach; więcćj nad jedno, jakby tylko umyślnie na spadkobierstwo kary, z żadnego małżeństwa się nie wychowywało. Od kilku pokoleń żaden Spytek nie miał nad jednego syna, a choć pragnęli córki, nie przyszła na świat już żadna: owa Emilia była ostatnią... Dziwnym też fenomenem, do którego przywiązywano pewne znaczenie, od tych olbrzymów na wizerunkach starych, Spytkowie zeszli na wzrost prawie karli; każdy z nich od ojca był mniejszy, a choć ułomności żadnej widać w nich nie było, maleli i drobnieli, tak, że niemal wstydzili się światu pokazać. Każda z matek starała się wszelkimi sposobami dać swemu dziecięciu siły i bujność; karmiono je umyślnie, dawano ciału rozrosnąć się, ćwicząc je i krzepiąc: nie nie pomagało. Przychodzili na świat z nadzieją, że zwykłego dojdą wzrostu; potem nagle młodości brakło, i przed zwykłymi laty rosnać przestawali. Uważano nawet, że Eugeniusz, którego matka była pięknej i wspaniałej postawy, choć go w klimacie obcym, za radą lekarzy, żywiąc jak najposilniej, wychowywano, nie dorósł ojca, i mimo najpiękniejszych kształtów ciała, nadzwyczaj był wątły i drobny. Umysł w nim dojrzał przedwcześnie, władze duchowe się rozwinęły; lecz roślina ludzka, dotknięta jakąś fatalnością plemienia, na lodydze usychała.

Niedziw, że nosząc na sobie to brzemie jakieś wspomnień tajemniczych i groźby przyszłości, Spytek ojciec był smutny i milczący. Cały też dom dzielił się tą żalobą jego, i rzadko się weselszy śmiech rozległ po komnatach starożytnego gniazda. Życie płynęło w nim, jak płyną głębokie rzeki, których powierchnia nie ma marszczki na sobie, nie okrywa się pianą, zdaje się stać, a dno jój zwodniczo się ukazuje z za kryształów, choć jest niezgłębioną przepaścią.

Troska o dziecię, obrzędy pobożne, uroczystości żałobne, zachowywanie wszelkich podaniowych obyczajów przywiązanych do pewnych dni w roku, czytanie, rozmyślanie, przechadzka w ogrodzie zamkniętym,—stanowiły całe życie Spytki, który naówczas tylko ukazywał publicznie, gdy tego uniknąć nie mógł. Do tego trybu musiała się zastosowywać i pani, chociaż dla niej daleko to było trudniej.

Wychowana inaczej, spędziwszy młodość na swobodzie, w uboższym a gościnnie zawsze dla wszystkich otwartym dworku szlacheckim, panna Brygida musiała się, poszedłszy za męża, zastosować do nawyków męża. Poddawała się warunkom jego życia, ale nie wyrzekła się jednej dziwnej w kobiecie namiętności: zamięłowania w myśliwstwie. Ojciec jój był zapamiętałym łowcem; od dziecka córka mu w wyprawach towarzyszyła, strzelała jak żaden z mężczyzn, jeździła na najdzikszych koniach, i choć w domu umiała dni spędzać u krosien, gdy posłyszała trąbkę, gdy psy się odezwały pod oknami, zrywała się jak szalona, i nie jój naówczas powstrzymać nie mogło. Spytek z razu sądził, że z wolna pohamować potrafi tę passję, że ona z wiekiem sama ustanie; ale przekonał

się w końcu, że była nieuleczona i uległ jej, uznawszy, iż za liczne ustępstwa żony, należy wypłacić się wzajemnością. Choć sam nigdy w lesie nie bywał, myśliwstwo w Mielsztynicach urządzone było po królewsku; psiarnię miał najslawniejszą w kraju, sieci, strzelców, osaczników i cały dwór osobny łowiecki, na którego utrzymanie wielka wioska ledwieby starczyła. Stary koniuszy, a razem nadłowieczy, Kmiecie, towarzyszył zwykle nieodstępnie pani we wszystkich jej wycieczkach. Oprócz tego szedł na wypadek wózek parokonny, koń luźny, a maleńkich strzelbek do zmiany wieziono tyle, żeby nigdy na nabijanie czekać nie potrzebowała. Późną jesienią pani Spytkowa jeździła z chartami, które tak wilka brały, jak najprostszego kota, a w dojeżdżaniu nikomu się wyprzedzić nie dała, i konie jej szły na równi z psami najręczniejszymi.

W lasach mielsztynieckich, które były rozległe, w puszczy sąsiedniej należącej do Zamojskich, nikomu polować nie było wolno, a zwierzyne niemal hodowano i liczono, aby jej na zwykłą porę nie brakło. Oprócz Kmiecie i służby, nikt na tych łowach nie bywał, choć one budziły ciekawość niejednego.

Widywano tylko piękną panią na dzielnym koniu tureckim, przesuwającą się jak wiatr po polach, a za nią cały tłum myśliwców, wozy, psy, bryki, z sieciami i przyborem... Wszystko to przelatywało i nikło gdzieś w ciemnej puszczy głębi...

Niekiedy o krótkim dniu wracała już późno, a wówczas otaczali ją jezdni z kagańcami, i orszak ten, którego droga wyścielala się iskrami, zjawiał się i nikł wśród ciemności, jak jakieś nocne widziadło. Daleka luna, posuwająca się szybko, kazała się do-

myślać po włościach, że pani z polowania wraca, ale nim kobiety i dzieci na gościniec wybiegły, by ją zobaczyć, już orszak się przesunął, a po nim tylko nie-dogasłe szczęty gdzie niegdzie dymiąc konały.

Ludzie, co ją otaczali, mówili, że mimo zapału myśliwskiego, nigdy jęj nie słyszeli mówiącej, nigdy nie widzieli uśmiechniętej wesoło...

Ze zsuniętą brwią jechała, gonila, strzelała, spoglądała na ubitego zwierza i powracała do zamku nieznużona, nie dając znaku po sobie, że w lesie kilkanaście godzin spędziła na skwarze, zimnie lub skucie.

I tego dnia, którego się spodziewano powrotu Eugeniusza z zagranicy, chcąc na jego spotkanie wyjechać, pani wzięła z sobą myśliwych i popędziła konno, a dopiero gdy syn się ukazał, z nim do powozu się przesiadła.

Mimo poszanowania, jakie obudzała, charakter pani Brygidy nie mógł jęj serc jednać; była dobrą dla otaczających, ale obcą wszystkim. Prędzej sam Spytek rozmową, słowem, uśmiechem zbliżył się do kogo i dowiódł, że z nim czuje się członkiem jednej, wielkiej ludzkiej rodziny: pani spełniała jak najściślej obowiązki swoje, wymagała od drugih ich spełniania nieubłagane, ale jęj serce kobiece zdawało się żelazną blachą w piersiach zabite. Nie okazywała ani szczęścia, ani bólu, zawsze była jedną, milczącą, poważną i jakby całemu światu zupełnie obcą, żyła tylko w sobie. Dla męża powolna, stosująca się do jego rozkazów, uległa rozporządzeniom, również była zimną i nieprzystępną.

Gdy Pan Bóg dał jęj syna, zdawało się, że te lody pękną. Chwyciła dziecko, namiętnie przyciskając je

do łona... chciała je kochać, rozwiązywały się usta, zabilo serce, ale lekarze nie pozwolili karmić jej samęj, dziecię potem odesłano pod cieplejsze niebo, wydarto jej tę pociechę.

Naówczas, choć po zbladłym lieu widać było ślady niezmiernego cierpienia i walki, z ust jej nie wyrwała się skarga, jęk ani prośba. Uległa, z nową namietnością tylko rzucając się do łowów.

Dziecię ledwie raz w rok przywożono do Mielsztyniec. Były to dla niej dni uroczyste, gorączkowego zajęcia; ale zarazem z obejścia się z synem znać było, że ten związek serdeczny, który życie powoli każdą chwilą razem przebytą utrwała, został zerwany między nią a tém dzieckiem. Z ciekawością wpatrywała się w nie, badała, a czuła mu się obcą. Niekiedy wybuch czułości ją zbliżał, a chłód dziecka oddalał... Syn wychowywany był starannie, ale z pewnemi szczególnemi ostrożnościami, które tylko przeszłość wytłómaczyć mogła. Obawiano się w nim egzaltacyi, zbytku roznamietnienia; więc dążono ku temu, by za wezasu go rozczarować, ostudzić i trzymać w chłodzie. Może dla tego matce nawet zajmować się nim nie było wolno; bo mimo pracy jej nad sobą, energiczny charakter malował się w niej dobitnie. Matką więc była tylko z imienia, choć w czasie pobytu dziecka w Mielsztynicach zbliżała się często ku Eugeniuszowi, jakby dobyć z niego chciała rzeczywiste przywiązanie dziecięcia...

Z planów zapewne głęboko obmyślanych wynikało, że chłopak chować się musiał między obcymi, z dala od wrażeń, jakie w domu rodzicielskim mógł odbierać, powierzony opiece najtroskliwiej wyszukiwanych piastunów i nauczycieli. Strzeżono go od marzeń, wdra-

żano do rzeczywistości, zabijano w nim umyślnie zbytnią czułość i namiętności gwałtowniejsze, których wybuchu zdawano się spodziewać. Ojciec pomimo to nastawał mocno, aby dziecię bardzo religijnie w wierze ojców, w nawyknieniu do praktyk jej wyrastało. Zastosowywano się do tego, ale trudno było w ówczesnej Francyi, przy nauczycielach Francuzach, acz w stanie duchownym wybieranych, technąć weń tego ducha, który tam już nie istniał. Koniec XVIII wieku wyrobił tak nieznacznie swawolę myśli pragnącój odzyskać swe prawa sądu i samorządu, iż jej ulegli nawet ci, co suknię duchowną nosili i z powołania do obrony religii powoływani byli. Ci, zachowując powierzechownie wszystko, do czego ich stan ten zmuszał, posłuszni zewnętrznym formom, stykali się w życiu z zasadami tak przeciwnemi powadze, której musieli ulegać, otoczeni byli atmosferą tak przesiąkniętą całem różnym duchem, iż niepostrzeżenie tracili gorliwość, nabywali pobłażania, zarażali się sceptycyzmem, a raczej drętwieli w obojętności zupełnej. Działanie to ducha wieku nie było nagłe, jak się nam dziś wydawać może z daleka, nie występowało wręcz zaczepnie do boju; ograniczało się tajemniczym, ale niszczącym przetwarzaniem przeszłości.

Wszystko, co jakkolwiek styczność miało ze światem uczonym, z literaturą, przejęte było niewiarą i niepokojem poszukiwania utopij, które wiarę zastąpić miały.

De Bury, nauczyciel młodego Eugeniusza, był najzapaleńszym zwolennikiem Jana Jakóba Russa... W jego pismach upatrywał jakby nowe światło, jutrzeńkę nowój ery; a jak wielu naówczas, godził marzenia filozofa genewskiego z zasadami chrześcijańskimi.

W Mielsztyńcach ścisłość religijna była nader wielka; zachowywanie przepisów nawet najobojętniejszych wiary, posuwano do nieubłaganej surowości. Sam pan Spytek był niejako stróżem ortodoksyi domu, i stawał opornie nawet przeciw kapłanom, jeśli coś z praktyk starych zwolnić chcieli dla słabości ludzkiej. Nigdzie też wszystkie tradycye kościoła naszego pilniej przestrzegane nie były, a obrzędy spełniane z większą skrupulatnością. Kaplica zamkowa była filią parafialnego kościoła, dosyć oddalonego, na słotne i chłodne pory roku; ale mimo przywilejów, jakie miała, Spytek w dni uroczyste poczuwał się do obowiązku odprawiania nabożeństwa w miasteczku, razem z innymi parafianami, i naówczas go tylko obcy ludzie widzieć mogli z daleka. Odbywało się to z pańską wystawą: szły powozy stare, ozdobne, poprzedzane przez masztalery, ze służbą w wielkiej liberyi, z rękodajnymi dworzanami, hajdukami i t. p. Kawalkata zajeżdżała przed kościół, a proboszcz zwykle ze święconą wodą wychodził naprzeciw dostojnym kollatorom, którzy we drzwiach przyjęci, zamykali się potem w osobnej loży, przy wielkim ołtarzu dla nich umyślnie wzniesionej. Lud miasteczka i okolicy cisnął się naówczas tłumnie przy wejściu i wyjeździe, aby ich oglądać choć z dala, gdyż ciżba sług szeregiem stojąca na drodze do karet, zbyt mu się zbliżyć nie dawała. W takich razach kapelan, najczęściej zakonnik towarzyszący państwu, rozdawał obfite jałmużny, po które żebractwo się w te dni z dala zbiegało.

Spytek sam przestrzegał, aby domownicy wszyscy równie z nim uczestniczyli w nabożeństwach i zachowywaniu religijnych obyczajów miejscowych, które każdy niemal kraj sobie wyrobił w pierwszych wie-

kach gorliwości. A na tych chrześcijańskich ucztach, na które gdzieindziej liczne się zjeżdża sąsiedztwo i rodzina, w wigilię Bożego Narodzenia i na Wielkanocne święta, w Mielsztyńcach pusto było i nikt prócz starszyny i oficyalistów do stołu nie siadał. Łamano się opłatkiem, dzielono święconém jajem w milczeniu jakimś smutném. Bo Spytkowie rodziny nie mieli, a przyjaciół dobrowolnie się wyrzekli.

Można sobie wystawić, jak księdzu de Bury, odwyklemu od praktyk ścisłych, wydawać się musiał dom ten, istny klasztor ostrój reguły. O ósmój rano dzwoniło na mszę świętą do kaplicy zamkowej; naówczas co żyło we dworze, musiało jój być przytomném. Po mszy następowały wspólne modlitwy, śpiewy, czasem medytacye... i dodatkowe obchody, wedle porządku roku. Wieczorem wspólna modlitwa na Anioł Pański znowu skupiała wszystkich. Środa, piątek i sobota obchodzone były ścisłym postem; w piątek sam pan Spytek suszył zawsze i do stołu nie siadał nawet; w wigilię także, adwent, wielki post czterdziestodniowy, suche dni kwartalne, jadano z olejem lub wodą, kto oleju nie znosił. Dla Francuza były to rzeczy niesłychane; gdyż nigdzie post, oprócz po klasztorach, tak surowo jak u nas zachowywany nie bywa. Dzieciak także od tego był odwykły, a posty za granicą odbywał z nabiałem, rybami, oliwą, i czuć mu się one nie dawały. Różnica ta rodzicielskiego domu nauczycielowi i dziecku wydawała się barbarzyństwem średniowieczném. Wspominamy o tém, choć to nietylko jedno raziko wychowawca ks. de Bury i uśmieszek wywoływało na jego usta. Wstrzymywał się wprawdzie z objawieniem tego co myślał przy ojcu, ale nie krył przed matką, która milczała.

Spytek, ile razy syn powracał mu latem do domu na parę miesięcy, niespokojném okiem badał rozwijanie się téj jedynéj rodu swojego gałązki. Dopóki był młodszy, Eugeniusz, łudził się i cieszył postępami, swobodą, weselem... ale od lat kilku już radość tę zastąpił niepokój, choć ukrywany, jednak widoczny. Zmieniono dwóch nauczycieli z kolei, starano się księdza, w ogóle dostrzegł ojciec, że dziecię obce jest domowi, rodzinie. To go przerażało. Eugeniusz każdego roku powracał mu jakiś coraz dziwniej obcy, coraz mniej rozumiejący dom własny, coraz nim bardziej znudzony, uśmiechający się widoczniej z jego majestaticznej ciszy. Unikając może jakiegoś wymarzonego niebezpieczeństwa, zarażenia go zbyt pewnemi tradycjami, któreby życie zatruć i obawą natchnąć mogły, nastrecono większe daleko, czyniąc z niego istotę bez związków z tym światem, w którym jednak żyć musiał i dźwigać jego obowiązki.

Stosunek ojca do syna i matki do jedynego dziecka był zaprawdę dziwny; nie brakło w nim oznak miłości i najczulszego przywiązania dowodów, a jednakże zdawało się, że serce z nich wyjęto.

Pieszczono to dziecię, ale szczerzém słowem nikt do niego nie przemówił... Ojciec nie umiał czy nie mógł, matka jakby się lękała. Oczyma śledziła Eugenia, podziwiała go, lecz obawiała się do niego przystąpić. Władał nim ten, któremu rodzice przekazali całą swą moc nad nim i prawo,—miły, słodki, dowcipny i rozumny ksiądz de Bury, ale wedle teoryi, nie wedle serca.

Jeżeli zamiarém było za wczasu ten niebezpieczny organ życia w nim zniszczyć i nieczynnością ostudzić, można rzec, że się wychowanie doskonale udało: Eu-

genek żył głową, myślą, jak najmniej uczuciem. Nie obrachowali nauczyciele może, iż rozbrajając serce, niepodobna fantazyi związać, myśli spętać, namietności sparaliżować; a gdy przeciwwagi ucznia nie ma, naówczas ta fantazyja i namietności dalej mogą zaprowadzić, niż albo serce znieść potrafi...

Często co ma ostudzić i uzbroić człowieka, na większe go niż czułość chorobliwa naraża niebezpieczeństwa...

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków prostej naszej, ale niestety! prawdziwej powieści.

Dzień ten, na który wypadkiem trafił do Mielsztyniec pan Repeszko, był dla Spytków uroczystym. Po roku niewidzenia odzyskiwali to dziecię, na którym wszystkie ich spoczywały nadzieje, i mogli śledzić w niém rozwijanie się o przyszłości stanowiące. Niedziw, że ojciec drżąc go oczekiwał, że matka przeciw niemu wybiegła, aby go prędkiej zobaczyć.

Ks. de Bury, który już od lat kilku był przy Eugenku, nie znał też Mielsztyniec. Zalecony przez jednego z pobożnych i świątobliwych zakonników na nauczyciela dla młodego Spytki, w czasie wakacyj zwykle odbywał podróż do swój rodziny i po raz pierwszy przybywał z wychowawcem do nieznanego sobie kraju i domu.

Kraj, dom i ludzie czynili na żywym Francuzie niezmierne wrażenie; ale był przecież dobrze wychowanym człowiekiem, więc zdziwienia nie okazał, ani słowem go zdradził. Z ciekawością spoglądał na wszystko. Z niemniejszą wyczekiwał na niego Spytek, który jakoś wcale różne sobie wyobrażenie był uczynił o księdzu i guwernerze swego jedynaka; uderzyła go od razu ta powierzchowność zbyt światowa.

Gdy weszli do pokoju ojca, a dziecko rzuciło mu się na szyję, nie jak po polsku wypadło, do nóg, gdy po za chłopakiem ukazał się ufryzowany, młody, uśmiechający się księżyna, stary pan Mielsztyniec zadrdzał. W jednej chwili pojął, poczuł, że stracone było wszystko, że syn jego tym nie będzie, kim on go mieć chciał. Był dobrym fizyognomistą i sędzią ludzi, nie mógł się na tém nie poznać. Zbladł p. Spytek, zadrzał, ręce jego objęły syna... ucałował go w czoło, ale łza, która się na czoło dziecka stoczyła, już go oplakiwała. Druga jeszcze okoliczność uderzyła go nieprzyjemnie: Eugenek, który od przeszłego roku powinien był wyrosnąć, nie zdał mu się ani odrobinę wyższym. Ojciec poczuł w objęciach, że dziecko nie urosło, że rosnać od roku przestało... że było niższe od niego... trwało więc nad rodem jego przekłętwo...

Ale oba te nieprzyjemne wrażenia pokrył siłą woli, uśmiechnął się i wrócił do układnego Francuza, który przygotowany komplement deklamował z odwagą i przytomnością umysłu niezachwianą. W téj oracyi, subtelnie madrygalowym sposobem przysmażonej, zręcznej, wytwornej a czezej, była mowa o wielkich przeznaczeniach potomka znakomitej rodziny, o owocach pracy, o darach natury i t. p., i t. p.

Spytek połknął to grzecznie, a patrzył na syna tylko, na którym też i oczy matki spoczywały z gorącą ciekawością... Rozmowa w pierwszych chwilach roztaczać się poczęła powolnie, obojętnemi zapytaniem, odpowiedziami, ogólnikami, które zawsze stanowią preludya zbliżenia się nieznajomych.

Jeden Eugenek, pieszczone dziecko i wychowanek natury po trosze, który ani się hamować nie widział potrzeby, ani żywości swój i wesołości studenckiej

ukracać, po chwilec spoczynku ruszył się żwawy, swawolny, niecierpliwy, budząc wszystkich zapytaniami, i okazując, że nieczyjś powagi za wyższą nad potęgę swój młodości nie uznaje. Tknęło to Spytką, nawykłego do wielkiej w domu karności..., ale przy obcym nie śmiał się odezwać.

Chłopak był całkiem Francuzik, przez najemników wychowany i do panowania im przywykły. Ani wejścia matki, ani uwagi ciche księdza, ani smutne milczenie ojca, nie mogło weselu jego, roztrzepaniu, żywości położyć pewnych granic...

Ciche pokoje zamkowe, w których od dawna wesoły śmiech się nie rozlegał, po raz pierwszy od lat wielu posłyszały odgłosy wiosenne tej radości, co nie wie z czego wyrasta, dla czego jest, a czuje się na świecie potrzebną ludziom i sobie. Tylko w sercu staro Spytką ten śmiech dziecka odbił się jak okropna wróżba ciężkich boleści, któremi się musiał opłacić; ścisnęło mu się serce na myśl, że Eugenek ani przeczuwa ciężarów swój doli. Matka także to na ojca, to na niego patrzyła smutnie zdziwiona.

Dziecko w jednej chwili uściskawszy ojca, potem ucałowawszy mu nogi, pobiegło do matki, aby jej nie być zaleglém w pieszczotach; z ciekawością przemyszkowało kątki wszystkie, zajrzało gdzie tylko mogło, wdrapało się do okna, powąchało stare księgi ojcowskie, i jużby się było chciało wyrwać na swobodę, aby księdzu swemu pokazać cały zamek... opowiedzieć co niegdyś tu od sług słyszało... polatać...

A jednakże ten trzpiot tak swawolny, miał mimo fizyognomii swój dziecięcój lat szesnaście przeszło; ale pieszczoty czyniły go w pewnych względach jeszcze tak młodocianym roztrzepańcem.

Przeczuciem matki wiedziona, chcąc razem syna uwolnić z tego więzienia, a ojca z nauczycielem zbliżyć, pani Brygida skinęła na niego, aby z nią wyszedł, i wywiodła go z sobą do sąsiednich pokojów.

Eugenek widywał je co rok, ale zawsze dziwny zamek ów zaciekał go tysiącem rzeczy. I tym razem wybiegł, witając najprzód trupią głowę w rycerskim hełmie, z zuchowatością śmiałka, który się już nawet śmierci nie lęka, a potem ścigając milczącą matkę pytał tysiącem.

— A to ta babusia... panienka z czerwoną pręgą na szyi, której historyi nikt mi powiedzieć nie umiał czy nie chciał... ale ja się jęj muszę dowiedzieć! paplał żywo. Ja już mam lat szesnaście, nie jestem dzieckiem, jestem mężczyzną, powinienem znać historję domu... A to ten stary, ogromny, straszny pradziad, którego nazywano miecznikiem, choć miecznikiem nie był.

Matka nic nie odpowiadała, on wciąż biegał, witał, zaglądał.

— To dziwna rzecz, mówił: od tylu lat zawsze tu wszystko na swojém miejscu. W pokoju ojca... w tych salach... nic nie drgnie, nic nie przybywa, nic nie starzeje. Ludzie ci sami... zdaje się, że wczoraj ztąd wyjechałem...

— Słuchaj Eugenek—usiadłszy w kątku sali okrągłej i przyciągając go ku sobie, odezwiała się Spytkowa:—tyś mnie zrozumieć powinien. Wyprowadziłam cię umyślnie, aby ci powiedzieć rzecz jedną... aby cię przestrzedz.

— Przestrzedz? dobrze... odparł chłopak... ja jestem posłuszny, gdy tylko mogę.

— Widzisz jak tu wszystko nieme, milczące, poważne dokoła ojca, który smutek jakiś dawny nosi

na sercu. Ty jesteś młody, ty potrzebujesz wesela i hałasu, ale one ojcu mogą być przykre... Wstrzymuj się... nie trzpiotaj, nie śmiej się... bądź uważniejszy, bądź z poszanowaniem i umiarkowaniem.

— Moja mamó, rzekł Eugenek, to dobrze; ale kiedy mi w duszy weselo, że was widzę, żem tu przybył, jakże to ukryć?

— Być wesolym, lecz nie okazywać tego.

— Matko, to zawsze będzie rodzaj kłamstwa.

— Prawda, dziecko moje, smutnie odpowiedziała Spytkowa: na co ja cię go mam uczyć? Wcześniej nauczy cię tego życie... A więc...

Umilkła i pocałowała go w czoło.

— Bądź jakim cię Bóg stworzył, jak ci serce wskaże... a co się ma stać, to się stanie...

— A cóż się może stać, matko? zapytał chłopak.

— Nic, nic... Ojciec jest człowiek stary, znękaný, smutny; może cię wziąć za bardzo płochoego i zmartwić się...

— Dla czegoż ojciec jest smutny? alboż nie pamięta, że był młodym i wesolym? mówił Eugenek.

— Już dość, nie zadawaj mi pytań, dziecko moje... Niech cię Bóg błogosławi, niech...

Tu łza się zakręciła w oku, ale śmiech dziecka rzucił w nią jakiś promień radości i uśmiechnęła się także.

— Nie pytałeś o swego konia! zawołała.

— A! prawda, mój koń, mój arab! Matko! każ wyprowadzić araba! niech Tamara za szyję uścisnę. Czy on mnie też pozna? czy zarzy do mnie?

I klasnął w ręce, i pobiegł do dzwonka na stoliku, a w chwilę słudzy się zbiegli i do stajen posłano, aby Tamar przyszedł młodemu panu sobą się pochwalić..

Gdy tu tak się skończyła rozmowa, w pokoju pana Spytki ks. de Bury, chcąc jak najtrafniej pochwalić się postępami wychowanka, pojętami wedle swych zasad, każdym rysem, każdém słowem raził ojca, który bladł, czerwieniał, nie śmiał się jeszcze sprzeczać, ale przekonywał się coraz bardziej, iż wychowanie syna było chybione, że człowiek, któremu je powierzono, niewtajemniczony, pełen wiary w siebie, poprowadził je koleją wieku, do którego należał, i kraju, którego był dzieckiem. Nie czas już było walczyć, cofać się, gniewać; potrzeba było kielich goryczy, najcięższy w życiu, wypić do dna, nie zmrużywszy oka, nie jęknąwszy nawet. Stało się.

Blady pan Spytek, z załamanemi rękami, słuchał milczący świegotliwego opowiadania, a oblicze jego tak straszna jakaś nagle napiętnowała boleść, że wchodząca po półgodzinnój niebytności żona, przelękła się na widok jego, nie śmiejąc jednak dać poznać po sobie, że to widziała... bo nie wolno jój było pytać. Siedziała milcząca. Eugenek tylko pobiegł do ojca, chwytając araba, którego wyściskał i na którego już sięść pragnął...

Na skinienie Spytki, który widocznie cierpiał bardzo, pani Brygida wywiodła ks. de Bury i syna. Gdy drzwi się zamknęły, stary pochwycił się za krzesło, nogi pod nim drżały; wziął się za czoło palące, a potem powłókł do klęcznika i padł na kolana.

— Stań się wola Twoja, Panie! zawołał. Widzę zgubę rodziny w tém dziecięciu... Chciałem je uczynić czujnym pracownikiem w Twój winnicy, pokutującym za ojców winy, abys się nad krwią naszą ulitował—nie zdołałem! Wszystko w mych rękach przeistoczyło się, skarłało jak ja, znędzniało... Nieuniknione prze-

znaczenie, wyrok Twój Panie nieprzeblagany się spełni... Łzy i modlitwa nie ocala od zaguby rodziny, na zgubę palcem Twym naznaczonéj. Stanie się więc wola Twoja... rozsypie się więc w proch znikomy... Walczyłem do ostatka, pragnąc przemienić dolę naszą, wstrzymać śmierć; ale słaby... i oto padam, Panie, i jęczę: weźmiej mnie, abym na ruinę nie patrzył i ostatka nie oglądał oczyma mojemu...

Nierychło przyszedł do siebie stary, a gdy ochłodził nareszcie i chciał wyjść do żony i syna, poczuł się tak nagle osłabłym, że całą siłą zaledwie wywlec się potrafił z komnaty. Powolnym krokiem przeszedł, jakby żegnając się z niemi, puste sale zamkowe, stojąc naprzeciw portretów i duchem rozmawiając z niemi

Tak dosyć smutnie przeszedł ten dzień pierwszy pobytu Eugenka w domu rodziców, chociaż Spytek miałby się czém pocieszyć, gdyby po ludzku umiał przyjmować pociechę. Po obiedzie bowiem ks. de Bury przyniósł rozpakowany cały stos wypracowań, rysunków, zeszytów naukowych młodego trzpiota, który wielkie zrobił postępy. Pozornie dziecinny, umiał i wiedział więcej niż pospolicie w jego wieku chłopcy; ale ta nauka nawet razila ojca, bo w niej na każdym kroku czuć było niecierpliwy umysł, który po za granice teraźniejszości sięgał, pragnąc burzyć i przetwarzać.

Gdy się wszysej na spoczynek porozchodzili, a nauczyciel rozmyślał tęskno nad nudami, jakich w Polsce doznawać będzie, dla braku stosownego towarzystwa, gdy miał się i pisać wrażenia swe dla przyjaciół pozostawionych we Francyi, dla ks. Raynal'a i kawalera Beaumarchais'a, niezwykle o téj godzinie ruch jakiś dał się słyszeć na korytarzach. Ksiądz do Bury,

nie budząc usypiającego wychówanka, wyszedł, aby się spytać co się stać mogło? Byłby wszakże z trudnością się rozmówił, gdyby wypadkiem nie przesunęła się w téj chwili blada jak marmur, zasepiona pani Brygida. Szła z oczyma wlepionemi w ciemność... z lampką w ręku... Ksiądz troskliwém pytaniem ją wstrzymał...

— Módl się, odpowiedziała mu: pan i mąż mój niebezpiecznie zapadł...

— Cóż się stało?

— Nic... zachorował...

Była już noc, gdy sługa czuwający przy panu Spytku omdlałego podniósł z kłęcznika, przy którym się modlił, i pobiegł oznajmić pani. Stary leżał z gorączką silną na łóżku. Natychmiast posłano po lekarza do blizkiego miasteczka, a konie rozstawiono do Lublina, aby nad ranem mógł przybyć lekarz inny, Włoch, który największej sławy w okolicy używał. Spytkowa, na chwilę tylko odszedłszy od łóża męża, wróciła przy nim zająć swe miejsce, milcząca, ale przerażona tém uderzeniem piorunu. Spytek był nieprzytomny, odzywał się jakby do niewidzialnych postaci łoża jego otaczających; to płakał, to milczał, lub modlił się. Potém gdy chwilka snu go jakby pokrzepiła, budził się, poznając żonę, odzyskując zmysły, mówiąc chłodno i rozważnie; ale te jasne momenta trwały krótko, a po nich zaraz jakby mgłą oblekał się umysł, i znów wracali owi umarli do łóża... gorączkowe hallucynacye, łzy i modlitwy...

Na krześle przy starcu, łzy nie roniąc, marmurowo spokojna siedziała Spytkowa, słuchała i patrzyła, jak się pogląda na spełnienie wyroku nieuniknionego. Trudno było odgadnąć co się w jéj sercu działo, ja.

kiém uczuciem biło ono dla tego człowieka, który był jej mężem, którego dzieliła życie, zdając się nie podzielać ani pojęć, ani bólów, ani gorączkowych wróżb przyszłości. Niekiedy nawet zdawać się mogło, że pani Brygida, wcielona do tej rodziny, ani wielkiego do niej przywiązania, ani nawet współczucia dla jej losów nie miała. Jak ofiara wyznaczona do cierpień, dźwigała je nie jęcząc, nie żaląc się, ale nie pokazując też po sobie, że serce jej ma jakiś udział w tych igrzyskach losu...

Wśród nocy już przybył najprzód lekarz z miasteczka; ale oprócz gorączki, której uznał istnienie, niczego nie mogąc się dobadać, przepisał tylko lekkie przeciw niej środki; przyczyny choroby były dla niego tajemnicą... Tymczasem noc przeszła bez zmiany; nadedniem nastąpił sen i nieco ulgi... Doktor Włoch nadażył około południa, gdy znowu gorączka powiększać się zaczęła i stopniami ku wieczorowi rosła, co zwiastowało rozwijanie się choroby, ale charakteru jej jeszcze określić nie było podobna.

W domu pępna panowała cisza; nawet Eugenek z książką w rękę, spokojny i smutny, siedział w sali, a serce jego prawie po raz pierwszy w życiu poczuło obawę i niepokój... Niekiedy błada matka wychodziła odetchnąć do sali, całowała dziecię w czoło, szepnęła słów kilka księdzu... i powracała do łóża...

Czekano przesilenia, które przyjsć miało nazajutrz lub później może. Ale tego dnia gorączka niesłychanie się wzmogła, chwile jasne znikły, chory był całkowicie nieprzytomny. Włoch nie krył się z tém wcale, iż nadzwyczaj małą ma nadzieję ocalenia pana Spytka...

Przebieg tej nagłej słabości był zwykły wszystkim

gorączkom tego rodzaju. Kryzys nie przyniosła ulgi, a raczej przekonała, że chory sił do nowego życia już nie ma.

Następnych dni dogorywał tylko... wszelkie złudzenia trzeba było utracić. Szczęściem odzyskiwał przytomność, ale w chwilach takiego zwrotu tyłu myślami się męczył, tyłu obowiązkom chciał uczynić za-
dość, iż wysiłek zupełne wyczerpanie przyspieszał...

Dopełniwszy powinności chrześcianina uroczystości, wedle dawnego obyczaju, w obec całego dworu, gdyż chwila ostatniego pomazania łączyła się zawsze u nas z pożegnaniem rodziny, sług i wszystkich ziemskich przyjaciół,—Spytek jakby nieco uspokojony, usnął. Była późna noc, gdy się przebudził... Otworzywszy oczy, ujrzał nieruchomą jak posąg żonę, która od początku choroby, nie prawie w usta nie biorąc, nie opuszczała na chwilę nieszczęśliwego... Siedziała patrząc na niego, bez łzy, bez wzruszenia pozornego, ale nie opuszczając stanowiska. W drugim pokoju modlił się kapelan, w dalszych siedzieli Eugenek i ks. de Bury, bo sobie wyprosił, żeby mu czuwać dozwolono... Dalej jeszcze starzy słudzy, officjaliści, wysłuszeni gracyaliści, dwór niemal cały modlił się i płakał.

Od pierwszej chwili, gdy zachorzał Spytek, zamkową kaplicę otwarto, wystawiono Przenajśw. Sakrament, i nieustannie w niej na intencję chorego odprawiały się modły.

Wśród ciszy i ciemności, ten oświecony kościółek zdawał się już przygotowywać do pogrzebu. Pomiedzy ludźmi było przeczucie śmierci, tysiące oznak złowrogich... coś, co mówiło, że Spytek z téj choroby nie powstanie...

Przebudzony, zwrócił oczy na Brygidę i cichym głosem ją przywołał.

— Żegnam cię, rzekł... niech ci Bóg wynagrodzi ofiary twe... On je tylko i ja widzieliśmy... Tam ci one policzone zostaną... Ostatnia wola moja i rozporządzenie... znajdzie się w papierach. Jeśli się nie znajdzie, po co tam wola człowieka próżna, gdzie bo-
ża wszystkiem rozrządza?... Stanie się co się stać było powinno—musiało. Próżnobył zalecał, zaklinał i chciał się przeznaczeniu wyłamać... Stanie się—powtórzył—co się stać było powinno! Niech syn przyjdzie... czuję, że nie dożyję rana.

Spytkowa poszła i przywiodła Eugenka, który przez te dni choroby ojca bardzo spowaźniał i posmutniał; na twarzy jego znać było ślady łez i znekania...

Ojciec spojrział na klęczącego i położył mu rękę na głowie.

— Dziecko moje, po cóż mam w młodą twą duszę wlewać jad i ból tych zwątpień, które moją strawiły? Niech Bóg odwróci kielich goryczy od ciebie, niech ci oszczędzi nieszczęść, niech błogosławi...

Tu mu głosu zabrakło.

Odwrócił się i podał rękę żonie, która ją w milczeniu ucałowała...

— Zniosłaś swę brzemię cierpliwie, rzekł: dzięki ci za to... Czulem, żeś je dźwigała, aleś mi to kryła... Zostaje ci wielki obowiązek... to dziecię! a w tém dziecięciu skupia się przeszłość kilkowiekowa rodziny... jój zasługi i jój grzechy... jój posłannictwo i pokuta...

Głos powtórnie słabnąć począł i mowa stała się niewyraźną... Ręką jeszcze dotknął główki pochylonej

Eugenka i westchnął... a w westchnieniu tém ducha oddał...

I długie milczenie panowało w komnacie, nim się rozległy ostatnie płacze i ostatnie modlitwy. Ze wschodów zamkowych w dziedzińcu zbiegła wieść, która z ust do ust poleciała po sąsiedztwie:—Pan umarł! pan umarł!...

Mamyż opisywać wspaniały pogrzeb, na który z dalekich stron powinowaci, krewni, ciekawi, niezmiernie liczne duchowieństwo i szlachta, tłumami się zjechali? W istocie ciekawy był może ten obrząd, z całym tradycyjnym przepychem dawnych wieków odprawiany, na którym dwudziestu panegirystów przemawiało u grobu, a katafalk był arcydziełem misternej architektury ornamentacyjnej... Sto kilkadziesiąt tysięcy złotych wydano na opędzenie kosztów nabożeństw, które trwały kilka tygodni. Wszystko, co tylko kiedykolwiek w obyczaju było czynić dla uczczenia zmarłego, zrobiono jak najściślej; żądała tego pani Spytkowa, zapewne przewidując wolę nieboszczyka, lub raczej stosując się do jego zasad, objawianych w innych życia wypadkach.

Zaraz po tym nużącym obrzędzie, wezwani powinowaci do przejrzenia papierów Spytki, znaleźli w nich jego testament.

Datowany on był wieczorem tego dnia, gdy syn przyjechał do Mielsztyniec, i napisany jakby pod wrażeniem obawy śmierci i przymusowego pośpiechu.

Obok leżała koperta świeżo rozdarta, która, jak się zdawało, dawniejszy, przy pisaniu nowego zniszczony testament zawierać musiała. Ale z tamtego popiół tylko w kominie pozostał.

Ostatnia wola była nader krótko wyrażona. Spytek żonie polecał opiekę nad synem i zarząd dóbr całych, pozwalając jej sobie wybrać dwóch współopiekunów. Na majątku miała ona dawniej zapewnione bardzo znaczne wiano, a oprócz niego dożywocie na połowie dóbr wszystkich. Kodycył do testamentu wzmiankował, że gdy Eugeniusz dojdzie do pełnoletności, wręczona mu zostanie rada ostatnia i błogosławieństwo ojca, powierzone osobie zaufanej, która wymieniona nie została.

Zmienił się więc los Mielsztyniec i zamiary względem Eugena przez ten wypadek. Matka od siebie dziecka oddalić nie chciała; zostawiono przy nim do czasu ks. de Bury. Przewidzieć było łatwo, że choć wdowa z początku najmniejszej zmiany w trybie życia raz zaprowadzonym dopuścić nie chciała, choć zachowała sługi, godziny, obyczaj, szanując od dawna tu utrzymujący się porządek, nie mogło to trwać długo.

Pomiędzy nieboszczykiem a żoną, acz najprzynajmniej zgodna, nikt nie dostrzegł tej harmonii serdecznej, dobrowolnej, która się rodzi ze zgodności przekonań i charakterów. Było coś wyteżonego, przymuszonego w tém szczęściu pozorném; czuć było z jednej strony uczynioną i dotrzymaną, ale ciężką ofiarę. Miała się li ona aż za grób przeciągnąć?...

Pani Spytkowa liczyła wprawdzie lat trzydzieści kilka, ale wyglądała młodo, bo duszy jej nawet ta

walka lat kilkunastu nie zużyła i nie złamała. Zachowała się całą, z sercem młodem, z głową może pełną marzeń; tak przynajmniej czarne, ogniste jej oczy mówić się zdawały.

Było coś strasznego, ale uroczo pociągającego w tej kobiecie, milczącej, zadumanej, poważnej, tajemnicą okrytej i tak władającej sobą, że najsilniejsze uczucie drgnienia z niej nie wywołało.

Słudzy, szanując ją, lękali się jej więcej niż samego pana, a niektórzy przewidywali, że pod jej panowaniem Mielsztyńce nie mogą już pozostać taką pustką klasztorną, jaką były. Ale nikt się nie ważył ani o tém przebaknąć; myślano i czekano.

W parę miesięcy ks. de Bury wyjechał do Francji z powrotem, a do Eugenka przywieziono z Warszawy młodego człowieka Polaka, który się wychowywał za granicą. Był to młodzieniec wielkich nadziei i świetnych talentów, pan Tadeusz Zaranek, protestant. Pani Spytkowa, mając go sobie poleconym jak najkorzystniej, nie dowiadywała się nawet o wyznanie; dopiero w Mielsztyńcach okazało się, że był uczniem genewskiego mistrza i gorliwym zwolennikiem Kalwina. Zgorszono się niepomału, iż pomimo to, Zaranek został przy uczniu. Prawda, iż z tą swą wiarą bardzo się wstrzemięźliwie zachowywał i nawracać na nią nikogo nie myślał.

Eugeniusz potrzebował towarzystwa; ku końcowi więc żałoby, powoli, nieznacznie, dom się otwierać, ożywiać, zaludniać zaczął. Matka nie przeciw temu nie miała. Zmiana więc, choć przychodziła nieznacznie i stopniowo, dawała się już czuć w domu, a po pierwszych do niej krokach, wiele wróżyć było można. To też wróźono.

Nie skończyła się jeszcze żałoba uroczysta, rok i sześć niedziel trwająca, gdy niecierpliwie pono obrachowujący jej trwanie kasztelaniec Iwo, który czatował na to, aby się dostać do Mielsztyniec..... schwytawszy na przejażdżce Eugenka, poznawszy się z nim i przypodobawszy młodemu chłopakowi, utorował sobie drogę do nieprzystępnych dotąd dla niego progów zamku.

Kasztelaniec, jakeśmy mówili, był jednym z tych ludzi, którzy mimo zaniedbania się, puszczenia cugli i rozpasania, umieją gdy potrzeba, najróżniejsze przybierać fizygnomie. Dla Eugenka stał się powagą, tak umiał go oczarować.

Chłopak, którego matka dosyć pieściła, wpadł jednego dnia do niej, oznajmując, że kasztelanica Jaknę na wieczór zaprosił.

Porwała się na to jak raniona pociskiem pani Spytkowa, i z oczu jej trysła błyskawica. Pierwszy raz zgromiła syna, że śmiał to uczynić bez jej wiedzy, nagaśniała natychmiast panu Zarankowi, że na to pozwolił, ale koniec końców zgodziła się, by kasztelaniec został przyjęty, oznajmując tylko, że do niego nie wyjdzie i widzieć go nie będzie.

Wytłómaczyła to przed synem tém, że towarzystwo tego człowieka znajduje dla niego niestosowném, że między rodzicami była jakaś dawna nieprzyjaźń...

Eugeniusz zamyślił się, posmutniał... ale ani śmiał prosić matki, aby dla niego zmieniła postanowienie.

Rozkazano wszakże, aby przyjęcie było jak najwspanialsze, i wyznaczono na nie paradne zamku pokoje, te właśnie, przez które widzieliśmy przechodzącego pana Nikodema Repeszke. Pan Zaranek miał sam tylko pomagać Eugenkowi w zabawianiu gościa.

Nie wiadomo nam, jak do tego doszedł mimo swojego ubóstwa kasztelanie, że na oznaczoną godzinę stawił się przed zamkiem nie opuszczony i zaniedbany jak zwykle, ale ubrany wykwintnie, na koniu bardzo ładnym i z masztalerzem, który zastępował nakułiwającego Zacharyasza. Obejście jego zastosowało się do stroju: było łagodne, grzeczne i pełne uprzejmości. Eugenek, który z niecierpliwością młodego wieku oczekiwał na niego w ganku i zaraz mu oznajmił, iż matka jego jest chora, nie dostrzegł najmniejszej chmurki na jego czole. Kasztelanie skłonił się, zagadał o czémś inném i wszedł na pokoje śmiało.

Tu jednak niepodobna mu było pokryć wrażenia, jakie na nim zamek ów tak pański, tylu pamiątkami ozdobiony, taki dostatek stary znamionujący uczynił. Skrzywiły się jego usta uśmiechem ironicznym, który przez nie przeleciał i zniknął, ale oczy mimowolnie zdradzały ciekawość i zdziwienie, prawie gniew jakiś tłumiony.

Tak przeszli aż do okrągłej sali, z której widać było przez otwarte drzwi stojącą w helmie na zbroi rycerskiej ową trupa głowę (dziwne o niej chodziły podania)... Iwo stanął, długo się wpatrywał, pochmurniał i rzekł:

— Wszak i to pamiątka familijna? Myśl prawdziwie oryginalna... Cóż to ma oznaczać?

— Ja nie wiem, rzekł szybko Eugenek. Mówią, że to proste przypomnienie śmierci... ale... mnie ludzie jakąś historję opowiadali, zwyczajnie baśń kobiecą, że to ma być głowa ściętego przez miecznika nieprzyjaciela naszej rodziny.

Kasztelanie szybko się odwrócił i więcej już nie pytał... ale brew mu się zmarszczyła.

— Pan widzi, oto ten, dodał wskazując Eugenek: to jest miecznik... nie wiem czemu go tak nazwano. Miał być bardzo srogim człowiekiem..... A ta oto pan-na babunia, co ma tę dziwną krwawą przepaskę na szyi, z którą się urodziła... to jest córka miecznika...

Kasztelanie zdawał się nie chcieć już słuchać; przerwał rozmowę, mówiąc coś do Zaranka, potem ją zwrócił do koni. Przyniesiono wystawny podwieczorek, którego kasztelanie, pod pozorem słabości, nie tknął; przyjął tylko kieliszek wina, i ten zręcznie nachyliwszy się, wylał przez okno, jakby w tym domu nie go-dziło mu się rozłamać chlebem, ani ugasić pragnienia.

Eugenek widział to, ale przypisał temu, że matka się pokazać nie chciała. Sądził, że kasztelanie rychło odjedzie, lecz stało się przeciwnie. Iwo mówił wiele, gorąco, Eugenia osypywał grzecznościami, rozbawił się; wywiódł go w dziedziniec dla próbowania koni i do zmroku dokazywał z najdzikszeimi, które pokonać umiał z cudowną zręcznością. Weszli na chwilę z powrotem do sal, które znaleźli oświetlone. Kasztelanie brał za kapelusz, aby się już pożegnać, gdy naj-niespodziewaniej otwarły się boczne drzwi na oścież, i pani Spytkowa, w czarnej aksamitnej sukni, weszła do sali.

Na widok jój Iwo osłupiał. Pani Brygida zbliżyła się ku niemu ze zwykłą swą powagą i spokojem, i odezwiała się głośno:

— Pomimo żem cierpiąca, chciałam dawnemu znajomemu podziękować za okazaną synowi memu życzliwość. Czułam się do tego tém więcej obowiązana dzisiaj, że później nierychło zapewne mogłabym tego dopełnić, gdyż wybieramy się do Warszawy.

O tym wyjeździe ani Eugenek, ani nikt dotąd nie słyszał... wszyscy okazywali zdziwienie.

Kasztelaniec rychło przyszedł do siebie, uśmiechnął się, skłonił i odpowiedział:

— Jakkolwiek miło mi to dziś usłyszeć z ust pani... przykro, że to ją najmniejszy wysiłek kosztować mogło. Byłbym w Warszawie, dokąd się także udać zamierzam, złożył jój moje uszanowanie.

Pani Spytkowa nie odpowiedziała nic, ale wstrzymała kasztelanica, który widocznie na jój skinienie pozostał. Rozmowa stała się obojętną... a w chwili, gdy Eugenek pytał o coś Zaranka, pani Brygida, nie przerywając jój, zaczęła chodzić po sali, wiodąc za sobą kasztelanica.

Przechadzka ta z razu ograniczyła się na okrągłej sali, potem przeszła jój próg... a wreszcie posunęła się w galeryę, na której końcu świeciła zębami białem; owa w hełmie trupia głowa.

Spytkowa zatrzymała się tu, odstąpiła parę kroków, popatrzała z pogardą prawie na Iwona, i zmienionym odezwała się głosem:

— Pytam was, czy po to staraliście się tu wejść, aby mnie ztąd wygnać?

Iwo stał chwilę jak wryty...

— Takiem pytaniem, po latach tylu, Brygida witać może Iwona?... Przyznaj pani, to dziwne...

— Jest to najłagodniejsze słowo, jakiegom użyć mogła. Przypomnij sobie coś uczynił, coś winien w obce mnie, a przyznasz, że ze wzgardy usta się te nawet otworzyć nie były powinny. Niżej dziś stoisz w mych oczach, niż najłichsze słowo moje spaść może... niegodzien jesteś ani wejrzenia, ani wyrazu, ani pamięci. Powinnam była spytać: kto jesteś? a usłyszawszy

nazwisko, nie przypomnieć sobie istoty, która je za życia nosiła...

Wyrazy te, mimo wysiłku, wymówione były z takim uczuciem, że w głosie marmurowej niewiasty drganie łkania słychać było.

Iwo był posepny i długo milczał.

— Pani, rzekł nareszcie: potrzebuję mówić długo, abym się uniewinnił. Czy pozwalasz?... Nie będę potrzasał łachmanów mojej nędzy; opowiem historię i zażądam sądu. Wolno mi mówić tu, teraz?...

— Nie, odparła kobieta.

— Więc kiedy? nalegał Iwo. Przysięgam, że nie wrócę tu więcej; nie mam po co... ale chcę, byś pani wiedziała wszystko...

— Dla czego mam wiedzieć kłamstwo?...

Iwo zapłonął, podniósł się i uderzył w piersi.

— Jakem żyw nie splamiłem ust fałszem dobrowolnie! zawołał. Gdybyś pani śmiała...

Nie dokończył wzburzony.

— Teraz—dodał—nie proszę cię o pozwolenie... musisz mnie wysłuchać, lub... lub... tu się wstrzymał,— lub pomszczę się na twojem dziecięciu...

Spytkowa, chociaż blada, zachowała całą przytomność umysłu, spojrzała na salę i poczęła ku niej wracać, a powracając i śmiejąc się dla pokrycia uczucia, którego doznawała, odezwała się:

— Zemsty się nie lękam, ale winnego wysłucham... Przyjedziesz, gdy cię syn mój wezwie.

— A wyjazd do Warszawy? spytał Iwo, którego oczy paliły się.

— Odłożę, odpowiedziała wdowa obojętnie.

Weszli do sali, mówiąc o polowaniu. Niktby się

był nie dorozumiał, że przed chwilą między nimi o życie lub śmierć toczyła się walka.

Kasztelanie rychło pożegnał się, siadł na koń i odjechał. Noc była ciemna, piękna, księżycowa. Eugenek gonił oczyma zręcznego jeźdźca, który w cwał puściwszy konia, znikł wkrótce w lipowej ulicy.

Chciał, powróciwszy do matki, nagadać się o Iwone, podziękować jej, ale mu powiedziano, że z bolem głowy położyła się, i nikogo, nawet jego, wpuszczać do siebie nie kazała...

W tydzień potem Euguniusz zdziwił się, gdy mu matka obojętnie dosyć przypomniała, że powinien odwiedzić kasztelanica, i może go zaprosić do Mielsztyniec raz jeszcze, nim do Warszawy wyjadą.

Chłopcu to było bardzo miło, bo kasztelanica niezmieśnie polubił i czuł do niego pociąg, którego sobie wytłomaczyć nie umiał. Wybrał się więc konno na rabsztyniecki zamek, z panem Zarankiem i masztalerzem.

Wiadomość o tej przejażdżce, tak na pozór mało znaczącej, pomiędzy starymi sługami mielsztynieckiego dworu niemiłe zrobiła wrażenie, i miano za złe pani, że na to pozwoliła. Jakkolwiek mało tu mówić było wolno za nieboszczyka pana, a tajemnice rodziny, ściśłem okryte milczeniem, ledwie między sobą, w rozmowach napomknąć śmiano, tradycje te przechodziły pokoleniami, były wiadome w kółku dworzan, co od dawna Spytkom służyli, a teraz gdy stary zmarł, nieco swobodniej o nich między sobą gwarzono. *Strzegli się tylko słudzy, wyraźny mając*

na to rozkaz pani, żeby Eugeniuszowi głowy nie nabijali powieściami, które ona za urojone, dziecinne a niebezpiecznie na młody umysł podziałać mogące uważała.

Stary ten zamek obfitował w podania, lecz tak dzikiéj, krwawéj natury, tak posępne i straszne, że w istocie dla młodego chłopaka, poparte pamiątkami dotykalnemi, do których się ściągały, niebezpiecznemi być mogły. Chociaż Eugeniusza wychowano w zupełnéj nieświadomości tego świata duchów, do którego się odnosiły, choć sceptyk był i śmiał się z podobnych bajek, wyobraźnia gorąca mogła je przyjąć mimowolnie i na tle ich pracować.

W istocie te wizerunki stare miecznika, jego córki, żony, ta niewiasta z pręgą krwawą, ta trupia głowa w hełmie i mnóstwo innych zabytków, sama powieść o przeniesieniu się do Mielsztyniec, splątane były z bajeczną może, ale tragiczną historią rodziny Spytków. W podaniach tych głuchą jakąś rolę odgrywała także, dziwnym zbiegiem okoliczności, rodzina Jaksów, do której Iwo należał.

We dworze wiedziano tylko dobrze, iż od czasów miecznika, o którego gwałtowności charakteru dziwne chodziły wieści, nienawiść między Jaksami a Spytkami doszła do tego stopnia, że się już członkowie tych dwóch rodzin tradycyjnie nigdy nie spotykali... Wieść niosła, że przypadkowe nawet zetknięcie się ich z sobą miało być zawsze przepowiednią nieszczęścia dla Spytków. Ztąd, jak pierwsza bytność kasztelanica przeraziła starych sług, tak przejażdżce Eugeniusza oprzec się chciało nawet, nie dając mu poznać tego, że wagę do niej przywiązywano. Ale młode chłopię było samowolne, pieśczone, a otrzymawszy pozwole-

nie matki i pragnąc gorąco, nieczém się już powstrzymać nie dało.

Wypadek ten, gdyż stary dwór nieboszczyka uważał to za straszny dopust boży, za wróżbę nieszczęść niechybnych, skupił siwych sług pod zamkową kaplicę. Patrzali oni na odjazd panicza, potrząsając głowami, przerażeni fatalnością, jaka nad rodziną ciążyć się zdawała.

Czy Spytkowa o tych podaniach nie wiedziała, czy je lekceważyła, różnie sądzono; ale dwór pamiętał to, że kasztelanie Iwo niegdyś się o nią starał, a opinia, jaką miał od dawna w okolicy, samego zbliżenia się jego do pani, do Mielsztyniec, do Eugenka, obawiać się już kazała. Nie ztąd dobrego wyniknąć nie mogło; dla wielu dość było nazwiska Jaksy, ażeby w tém dojrzeć karę bożą.

Tymczasem chłopak pędził do Rabsztyniec, z ciękawością młodemu wiekowi właściwą. Wyobrażał on je sobie gryfiem gniazdem rozwaloném, jak je sam pan nazywał, ale nigdy tak straszliwą ruiną. Na widok tych gąszczy, tych zwalisk, błota i śmieci, wychowaniec zbytku był prawie przelekły. Zsiadł z konia na ścieżce, a zaraz też i gospodarz zjawił się, jakby na niego oczekiwał, nie ów strojny gość zamku, ale odarty i zaniedbany, z najeżonemi włosami, błędny rycerz jakiś, z uśmiechem ironicznym na ustach. Powitał on Eugenka jakoś szydersko, i zamiast go poprowadzić do mieszkalnego skrzydła, jął go obwodzić po gruzach, zdając się mieć w tém jakąś gorzką przyjemność, że się przed nim chlubił swym upadkiem i nędzą.

Na ostatek poszedł z nim do kaplicy grobowej,

a gdy Eugeniusz przełękły poglądał na powywracane trumny, rzekł z wyrazem prawie okrutnym:

— Pamiętaj pan coś dziś widział... jest to widok nauczający. Któż wie? dodał dziko... dziś to los Jakśów, jutro być on może choćby Spytków losem. Bóg wielki, sprawiedliwość nieublagana... losy nieprzecięzione, a ludzie są znikomymi i słabi.

W młodzieńcu zadrgała duma i krew starej rodziny zakipiała; pierwszy raz uczuł wstręt do tego człowieka, którego był tak gwałtownie ukochał. Zdziwili się Iwo i Zaranek, gdy Eugenek odpowiedział na to:

— To pociesza, że w świecie nie nie jest wypadkiem, wszystko sprawiedliwością... Trzeba kochać, przebaczać i... spać spokojnie.

Nie byłoby może nic dziwnego w tém przemówieniu Eugeniusza, który często objawiał zdania dojrzałe nad wiek swój; ale gdy to mówił, głos jego się zmienił, spoważniał, można było powiedzieć zestarlał. Kasztelanie drgnął mimo woli, zamilkł, i wyszli z grobowej kaplicy, w zupełnie innych stosunkach niżeli do niej przybyli. Eugeniusz co najrychlej chciał powracać, nienawidził kasztelanica; zaprosił go wedle rozkazu matki, ale gdy tylko dozwoliła przyzwoitość, opuścił Rabsztyńce, dając sobie słowo, że w nich więcej noga jego nie postanie.

Tego skutku niktby się był nie mógł spodziewać. Z żywością, wróciwszy, opowiedział matce swe odpowiedzi, nie kryjąc uczuć, jakie one w nim wzbudziły. Pani Spytkowa popatrzała na syna zdziwiona nieco, i po raz pierwszy w mowie, głosie, charakterze, który się objawił, poznała w nim nieboszczyka.

Brew tak marszczył jak on—mówił krótko, stanowczo—był prawdziwym Spytkiem, tak, że prawie się go ułękła.

Łagodnym głosem wykazała mu jego lekkomyślność, przypomniała jak się bez przyczyny i bez jej wiedzy pokochał w tym nieznajomym, jak teraz nagle się odstręczył, — oboje uznając za pośpieszne. Eugeniusz przyjął uwagę matki z pokorą, ale na twarzy jego znać było, że pozostaje przy swém zdaniu i uczuciu.

Nazajutrz z południa zaproszony kasztelanie przyjechał. Młody chłopak przyjął go grzecznie, ale z widocznym chłodem, a wprowadzając do sali, rzekł:

— Widzę, że pan i dziś z ciekawością oglądasz nasze pamiątki rodzinne. W istocie, warte są one widzenia i poszanowania. Gdybyśmy wierzyli, że nie się nie dzieje bez przyczyny, że nic nie trwa bez zasługi i nie ginie bez winy, musiałbym wnioskować, że rodzina Spytków ma swe zasługi.

Była to dumna, dziecinna odpowiedź na ową lekcję w grobowej kaplicy. Kasztelanie bystro, z góry spojrzał na młodego chłopaka, i odparł z uśmiechem ironicznym:

— Niezawodnie, tych jej nie zaprzeczam.

Tém obojętném słowem zamknął mu usta, ruszył ramionami i więcej się już do niego z rozmową nie zwracał.

W sali czekała na nich Spytkowa, a po twarzy jej, zawsze pogodnej i równie surowej, nie było można poznać, że przybyły uczynił na nią jakiekolwiek wrażenie. Przywitała go zimno, była panią siebie, wydawała się nawet od ostatniej rozmowy ostygłą i zobojętniałą. Zdaje się, że umyślnie kazano podać pod-

wieczorek w altanie ogrodowej, aby w czasie przechadzki więcéj mieć swobody do niepostrzeżonej rozmowy, która dosyć długą być miała. Jakby naumyślnie złożyło się to ze złym humorem Eugeniusza, który kasztelanica porzucił wprédce, i zajął się cały gorącą rozprawą z p. Zarankiem o dziele Buffon'a, które właśnie razem czytali. Poszli przodem ulicą, zostawiając panią Brygidę z jéj towarzyszem; a ten zaledwie ujrzał się z nią sam na sam, natychmiast z tego korzystając, zwrócił się do niéj i rzekł:

— Jest to więc jedyna chwila w życiu dana mi na wytlómaczenie się z przeszłości. Korzystam z niéj, bo i ja mam prawo żądać wysłuchania, choć za wczasu potępiony. Wyrok może pozostać takim, jakim był napisany przed dwudziestu laty... idzie mi tylko o to, bym się przedśmiertną oczyścił spowiedzią.

Pani Spytkowa nie odezwała się słowem; patrzała w ziemię, idąc powoli, a Jaksa mówił ciągle:

— Nie wiem czy potrzebuję pani przypominać te dzieje, o których mnie dziś zimno jeszcze i obojętnie mówić niepodobna. Pamiętasz pani, żem powrócił z pierwszej podróży pełen życia i młodości. Żył jeszcze wówczas dogorywający mój ojciec. Staliśmy z nim razem na krawędzi przepaści, która dla mnie była zakryta. On już ją widział, czuł raczej oddech jéj pod sobą; całą jego nadzieją byłem ja; jam miał podnieść i dźwignąć starą tarczę Gryfów, aby się nie strzaskała na wieki... Ale mnie naówczas rodzina, jéj losy, jéj sława, jéj wielkość, były obojętnymi zupełnie, ja tylko żyć i być szczęśliwym pragnąłem. Naówczas to, objeżdżając sąsiedztwo, pierwszy raz zajechałem do domu waszego rodzica i zobaczyłem—panią. Pamiętam jeszcze dziś tę chwilę, bo była stanowczą dla mnie;

zostałem oczarowany, podbity: wyjechałem od was oszalały. Zapomniałem o wszystkiém, pragnąc się tylko zbliżyć do was. Wszystko zdawało się nam sprzyjać w początku: ojciec wasz był mi przychylny... wy... mamże i to przypomnieć, że serce wasze pierwszy raz w życiu biło dla mnie? żem je pozyskał, żem słuchając jego uderzeń, spędził jedyne chwile szczęśliwe, których wspomnienie całe życie mi truć miało?... Mogę powiedzieć, że byliśmy oboje szczęśliwi; z młodością w sercach, z marzeniem w głowach, z piosenką na ustach, z wiarą w siebie i przyszłość, przebyliśmy aż do téj chwili, gdy po raz pierwszy na progu domu waszego zjawił się ów nienawistny Spytek...

Wdowa spojrzała na niego groźnie.

— Dla czego się mam taić z tém co czuję? podchwycił Jaksę. Tak, choć umarł, był i jest mi nienawistnym... i będzie takim.. Przychodził z bogactwy, z imieniem, jak handlarz, podkupił mnie, który przynosiłem tylko serce i ubóstwo ciężkie do dźwigania. Zdaje mi się, że gdy się zjawiał, już losy nasze były rozstrzygnięte.

Pani Spytkowa uśmiechnęła się pogardliwie, spojrzała dumnie i szepnęła:

— Mylisz się waćpan... ojciec nie byłby mnie zmusił do mimowolnego małżeństwa, bo ja tylko sobie przyznaję prawo rządzenia sobą. Nie mnie nie mogło skłonić do przeniewierstwa i fałszu, do przysięgi na zimno... Waćpan sam pchnąłeś mnie i zmusiłeś do tego kroku, który opłacałam życiem.

— Ja?—podchwycił Iwo—ja?... Niel pozory omyliły was... Byłem i jestem niewinny... posłuchajcie mnie do końca... Ojciec mój był już naówczas chory i do-
cy; dobiło go to, że przewidywał nieuchron-

ny upadek rodziny, a czuł, iż ja nie zniosę cierpliwie nędzy i upokorzenia. Doszły go wieści o moich częstych do domu waszego wycieczkach... dwa ubóstwa przerażały go... Nie chciał tego małżeństwa, nie tał tego bynajmniej przedemną. Kochałem ojca, ale byłbym się mu oprzeć potrafił, gdybym go na śmiertelném łożu nie zastał. Znalazłem go zmienionym straszliwie, zeschłym, zniszczonym gorączką wewnętrzną. Ledwie na próg wszedł, jak gdyby się lękał, że mu czasu zabraknąć może na pohamowanie mnie i obrócenie mną wedle swój woli, schwycił mnie za ręce, posadził przy sobie, odegnał wszystkich... i począł tę straszną spowiedź swojego życia i historię rodziny, która i silniejszego odemnie złamaćby musiała. Był nielitościwym dla siebie, oskarżał się, płakał, winę teraźniejszości brał całą na stare barki... Począłem płakać z nim razem. Cóż chcesz pani? byłem młody, serce żyło jeszcze we mnie i kochałem ojca... Człowiek ten prócz tego dla obcych nawet miał dar przekonywania i urok ogromny słowa; cóż dopiero dla syna, gdy słowom tym towarzyszyło łkanie, gdy po za nimi widać było i czuć śmierć nadchodzącą, gdy uroczysta godzina konania namaszczała go na patryarchę!... Otoż pod jakim wrażeniem musiałem w słowach się wyrzec mojej miłości, moich nadziei, szczęścia, a przyrzec ojcu, że poślubię naznaczoną mi przez niego córkę jego przyjaciela, jedynaczkę i dziedziczkę ogromnego mienia, które nas od ruiny ratować miało... Ojciec naówczas się uspokoił... usnął, zdrowie jego polepszyło się; chciał doczekać ślubu, i ta nadzieja sił mu dodawała... Oto historia mego przeniewierstwa... dodał Iwo.—Byłem winien chyba tém, że kochałem ojca, że spokój ostatnich godzin jego szanował,

ale czyniąc to, czego on wymagał po mnie, najsilniejsze zachowałem przekonanie, iż ta, której dałem słowo, która mnie знаła, nie uwierzy słysząc, żem ją zdradził, nie uwierzy widząc zdradę, że zaufa mi do końca, tak jak ja ślepo, szalenie jęj ufałem. Tymczasem pani na pierwszy popłoch, na wieść głuchą, używszy jęj za pozór, oddałaś rękę swoją i moją przyszłość na pastwę Spytkom... Któż winien? Mamże się tłómaczyć? Ojciec zmarł zaraz po zaręczynach naszych; nazajutrz odesłałem obrączkę. Po pogrzebie leciałem do was, pewien, że wytłómaczę się, że zgładzę tę mniemaną winę moją, że znajdę tę, którą kochałem, czekającą na mnie z wiarą silną... a trafiłem w ganku na powracających z kościoła... Potrzebaż jeszcze jakiego uniewinnienia? czyż życie moje całe nie jest niém?... Zubożały, zszargany, ogłupiały nieszczęściem, zszedłem na istotę ściganą wzgardą, a broniącą się gniewem i wściekłością... Mogłem przecie, odrzuciwszy wspomnienia, zimny, z rachubą tylko pójść się tak-że sprzedać z imieniem i młodością za jaki grosz, któryby mi dano chętnie... a jednak spędziłem życie na zgryzotach, wierny sereu, gdy wy... wy...

— Kończcie! zimno rzekła wdowa.

— Gdy wy—odparł gniewnie Iwo—pędziliście życie spokojne, w dostatkach, w łodowatęj obojętności, z uśmiechem na ustach gniotąc trupa mego... gdy wy budowaliście sobie szczęście.

— Tak, szczęście! gorzko uśmiechając się, powtórzyła pani Spytkowa.

Po chwili podniosła głowę. Twarz jęj była blada, smutna. W oczach miała wyraz dziki.

— Miałabym się tłómaczyć? ja? spytała, śmiejąc

się cicho, ironicznie. Nie, tego nie uczynię! poniżyłabym się. Poświęciliście miłość waszą i mnie ojcu dogorywającemu, litości, słabości... Czujecie się czyści! więc dobrze. Przypisujecie mnie winę! O! już dziś mniejsza o to... Cóż mnie obchodzi wasz ojciec, wasza ta litość wspaniała, wasze wykrętne oszukaństwo?... Co się stało, odstać się nie może... Czujesz się wacpan czystym? tém lepiej; ja was osądziłam jako zabójcę i nie cofnę wyroku. Co mnie obchodzi wasza rodzina, wasza wielkość, losy, ruina bogactwa?... Przyniesiono mi dowód zdrady, nie wchodziłam w jej powody; wiedziałam tylko, że została spełniona. Nie domyślałam się, że mogliście kłamać umierającemu ojcu, zamiast mu wyznać wszystko i błagać, by przestając być Jaksą, został u skonania człowiekiem i rodzicem dla swego dziecięcia—że mogliście kłamać kobiecie, przyrzekając jej, czego nie chcieliście dotrzymać. Co mi tam! dorzuciła wdowa... co się stało, jest nieodwołalnym...

Iwo szedł obok niej mileczący. Wolnym krokiem, aleją cieniłą kierowali się ku altanie, ku której poprzedał ich Eugenek z Zarankiem. Na chwilę przerwała się rozmowa, Iwo spojrzał na nią dziko, ale bez nienawiści; czuł, że w tych wymówkach, którym na próżno starała się nadać pozór obojętności, grała wspomnień młodych niezapomniana muzyka. Błysk jakiegś nadziei przeleciał po jego twarzy.

— Więc winy słabości téj dla ojca... dla jedynéj istoty, jaką na świecie miałem naówczas—zawołał—winy słabości téj nawet całego życia męczarnie i spodlenia odkupić nie mogły w oczach waszych? Ale spojrzcie na mnie, co ze mnie zrobiło życie, a porównajcie wasz dumny spokój do mojej gorączki zgnilłej!

Spytkowa uśmiechnęła się dziwnie.

— Tak—rzekła—tak! ja byłam sześliwa, bardzo sześliwa!... Odgadliście to, poznali, osadzili wybornie. Ten złoisty i marmurowy grób mój zachwyił was! Dość, nie mówmy więć, to rzecz skończona, osadzona. Wy byliście męzennikiem, a ja istotą sześliwą, dla tego, że wam łachman nędzy pokrywał szaty bezeene i rozpasanie wyuzdanój swawoli, a u mnie złoto świecił na ranach... Ale po cóż to wszystko? odezwała się po chwili z ironią: to są rzeczy niepowrotne, których wagę tylko Bóg osądzić potrafi. Mamyż się sprzezać między sobą, kto z nas był fałszywszym, zdradliwszym i biedniejszym? Wszystko się stało, jak stać się było powinno... jakeśmy zasłużyli. Dziś zostało ludzi dwoje obcych sobie, co się tam niegdys znali trochę i śmieją się ze swój przeszłości...

To mówią, chciała pośpieszyć do syna, gdy Iwo ją powstrzymał, zwalniając kroku.

— Wy mówicie—zawołał z gorączkowym wyrazem— że się wszystko stało jak było powinno... Ja nie tak łatwo to rozgrzeszę i z mojego życia skwituję... Widzicie przecie, że lat dwadzieścia czekał, że jak pies na łańcuchu przetrwał w nędzy i npokorzeniu u tych wrot, których otwarcie czekałem, które mi śmierć otworzyć musiała i otworła nakoniec. Mylicie się: życie nasze nie skończone, poczyną się ono dopiero. W głosie waszym, w oczach waszych czuję i widzę niezgasłe uczucie. Uwierzyć mi musisz, musisz przebaczyć!!

To mówią, chciał ująć ją za rękę, gdy pani Spytkowa, stanęła nagle z takim majestatem gniewu i oburzenia przed nim, z oczu jej trysnął śmiało na niego wzrok tak piorunujący, iż znechwały Iwo cofnął się musiał, i oniemiał stanął, bledniejąc.

W istocie, straszną była ta kobieta, na której ezole uezucie niewiešieiego majestatu i potęgi malowało się z nadzwyczajną siłą, długimi nagromadzoną latami. Dosyć było tego spojrzenia, aby odepehnać i odjąć wszelką nadzieję; ale Iwo eierpiał tak długo, a może tak moeno koehał, że się nie nłął tój groźby i nie ueiekl od walki. Usta jego po chwili zadrgały uśmiechem bolu i szyderstwa zarazem.

— Proszę o przebaczenie, rzekł ostygając i zmieniając głos. Odzywając się do uezuć, które nie wystygły we mnie, nie popełniłem zbrodni... popełniłem błąd tylko. Zapomniałem ezem jest seree kobiece, w którym miłość gaśnie prędko, a gniew nie umiera nigdy. Zostań więc pani ze swym gniewem, a pozwól mi zachować tę miłość, która żyje struwszy, odebrać mi je potrafi.

Wdowa ruszyła ramionami tylko i poczęła z wolna iść dalej.

— Zdajesz się pani w to nie wierzyć, że się ezłowiek dobić może, gdy ostatnią straci nadzieję. Zapewne, jak jaki!... Nie mogę zmusić do wiary... Od dziś dnia jednak, wyezerpawszy ostatnią ocalenia otuchę, pójdę szukać albo innój nadziei, lub jakiegoś końca tój nędznej komedyi. Cóż to wam szkodzi, że się do reszty skalam, zwałam, i nędzny gdzieś, steryny zgine? Powiesz, że się stało tak, jak stać się było powinno. W istocie—nie mówmyż o tém więcej. Jęki i żale nie przystały mi, a dla was byłyby nudne. Zatem wracamy do towarzystwa, a ja do mego charakteru.

Na te słowa, zawahawszy się, pani Spytkowa podniosła oczy... Twarz jój zupełnie była zmieniona: blada, smutna, patrzyła na Iwonę ze łzą na powiece

drżącą. Zdawało się, że coś powiedzieć chciała, że może słowo poeieehy byłoby się z jój ust wyrwało, że Jaksa po raz drugi niespodzianą nadzieją osłupiały stanął; ale wtém Eugeniusz żywo się zbliżył do matki. Spojrzał na nią i na jój towarzysza dziwnie, z przestachem, i poeiągnął ją z sobą ku altanie, nim czas miała przemówić.

Jaksa po chwili odzyskał przytomność, ale poszedł za nimi zamyślony, niezwykle milczący i nieśmiały.

I tym razem nie rozłamał on ehleba, nie przyjął wina; wytłómaczył się słabością, patrzył, siedział i dumiał. Eugeniusz, jakkolwiek mało znał ludzi, postrzegł w nim zmianę; ale mając do niego w sereu urazę, prawie się ucieszył, widząc go chmurnym. Na obojętnej rozmowie przeszła godzina w ogrodzie, a że wieczór się zbliżał, Iwo wstał do pożegnania.

— Ponieważ państwo wyjeżdżają do Warszawy, wątpię—rzekł—żebym miał przyjemność widzieć ich już tutaj.

— Odjazd mój—obojętnie na pozór przerwała wdowa—jest dotąd tylko projektem, a kiedy przyjdzie do skutku... doprawdy nie wiem.

Było to jakby dodaniem nadziei; ale Jaksa zdawał się nie ehcieć tego zrozumieć; skłonił się lekko i dokończył:

— Pozwoli więc pani się pożegnać.

Zwrócił się potém do Eugeniusza i podał mu rękę z uśmiechem... Młodzieniec już był nieco zwolniał w uezueiu nieehęci powziętj tak nagle do kasztelaniea, walczył przynajmniej z sobą, aby mu jój nie okazać.

Pożegnali się z nim grzecznie. Eugenek nawet odprowadził go aż do ganku, szezebioczę.

W chwili gdy już Iwo miał siadać, niespodzianie

z balkonu pierwszego piętra ukazała się blada twarz pani Spytkowej, która zawolała do syna:

— Proszę sąsiada, aby nas odwiedził jeszcze.

Iwo, nie nie odpowiadając, grzecznym ukłonem podziękował za ten znak łaski; ale twarz jego ehmurna nie rozjaśniła się, a gdy młody ehłopak eoś mu szeptał, spełniając rozkaz matki, rzekł tylko:

— Dziękuję bardzo, ja także mam projekta podróży... nie wiem jeszcze eo zrobię z sobą.

Pani Spytkowa stała eiągle na balkonie. Iwo odwrócił się ku niej raz jeszcze, šeisnął konia, i wedle swego zwyczajn ezwałem popędził do domu.

Co zaszło w duszy téj kobiety od pierwszego obnrzenia i gniewu, do tego miłosierdzia i współczucia—jakim sposobem zmieniła się obraza w litość, duma w łagodność... odgadnąć było trudno.

Zaraz po odjeździe Iwona, wdowa weszła do pokoju i zamknęła się na modlitwę. Eugeniusz pozostał na ganku, i pozbywszy się Zaranka, dumał tu sam jeden, głębiej niż ezynił dotąd. Czuł, że w nim jakaś dziwna, niewytlómaczona zaszła zmiana, że jedną ehwilą gniewu dojrzał nagle i stał się mężczyzną, na którego ramionach eieżkie spoezęło brzemię. Człowiek ten, ku któremu niedawno ezuł poeiąg i słabość, stał się dla niego nienawistnym; jego zbliżenie się do matki zaezynało go oburzać i niecierpliwieć; niepokoił się, sam dobrze nie umiejąc sobie wytłómaczyć przyczyn téj obawy i wstretu.

Zarannek odszedł do swojego pokoju, zostawiwszy

go samego. Eugeniusz podparty siadł w ganku, i po odjeździe Jaksy pozostał, rozpatrując się w samotnym zamku, jakby mu coś dolegało, jakby potrzebował w sobie skupić ducha i myśli. Dotąd mało roztrząsał życie własne i jego obowiązki; była to może pierwsza chwila, w której uczuł potrzebę wejścia w siebie, chociaż nie go na pozór do tego nie zmuszało.

Tęskno mu było w duszy, jakby przeczuciem jakiegoś niewidomego niebezpieczeństwa.

Cicha noc spowiła cały ów dworzec, przywykły do spokoju i milczenia, jeszcze uroczystsza ciszą nadchodzącej snu godziny. Nie słyhać było nic, oprócz niepochwyconego prawie szmeru drzew w ogrodzie i przytłumionego klekotu dalekiego młyna wodnego. Niekiedy powiew jakiś niespodziany przelatywał poruszając gałęzie, zaszumiał w głębiach korytarzy zamkowych, i znowu następowało po nim uroczyste milczenie. Na zamku, jak dawniej za życia pana Spytka, wszystko miało wyznaczone godziny; sen i ruch przychodziły na zawołanie zegaru, który królował i rządził ludźmi. Światła po oknach gasły z kolei, znikali słudzy, wyludniało się wszystko, zamykały podwoje, i w końcu jedno tylko okienko kaplicy, w której zawsze płonęła lampa słabym światłem, wśród czarnego połyskiwało gmachu. Eugeniusz doczekał się tego stąpania po korytarzach, które zwiastowało zamykanie drzwi i ostatni kres życia i ruchu. Burgrabia był od niepamiętnych czasów zgrzybiały, od kilku pokoleń sprawujący swe obowiązki Siemion, który już ledwie się włókł, ale kluczów nikomu powierzyć nie chciał póki życia. Mało go kto we dnie widywał. Z brzaskiem, otworzywszy podwoje, chował się do swojej izdebki w suterrenach, i nie wychodził z niej aż nocą, gdy

zamek potrzeba było obwarować kluczami, których pęk dźwigał u pasa. Ludzie miejscowi poznawali go po ehodzie posuwistym i po brzęku tych kluczów nieodstepnyeh. Rankiem i nocą wychodził z półgłosną na ustach modlitwą, którą opatrując kąty i zatraskując wrzeciędzy odmawiał. Rzadko bardzo odzywał się do kogo, nie eierpiał sprzeciwiania się, mruczał niewyraźnie, a życie zdawało się go bardzo niewiele obchodzić. Siemion nie miał rodziny, żył samotny, a większą część dnia spędzał na modlitwach. Wolne chwile przesiadywał w kaplicy zamkowej, często sam jeden, dozoruując niewygasającą lampy i odnawiając różaniee. Ojciec jego, dziad i pradziad byli na usługach Spytków, zrosili się więc z pańską rodziną, którą prawie uważali za swoją. Siemion nie mówił inaczej o Mielsztyńcach, tylko: „nasz majątek”, o rodzinie jak o własnej, o dziecku jak o swoim.

Od śmierci starego Spytki, uważano ciężkie na nim pogrzebienie; u trumny nieboszczyka leżał płacząc, a po pogrzebie jego prawie oniemiał, słowa się z niego dopytać nie było podobna. Na Eugeniusza z daleka patrząc, plakiwał.

Młodzieniec jeszcze siedział na ganku, gdy po wybieiu godziny zwiastującą zamknięcie zamku, ehód starego Siemiona dał się słyszeć na korytarzu. Wedle swojego zwyczaj, burgrabia obchodził galerye, ganki, wsehody, opatrując, czy wszystko było w porządku, czy nikt nie pozostał opóźniony za domem. Eugenek nie postrzegł się, gdy go staruszek pochwycił siedzącego i pogrążonego w myślach. Z dala nie mógł go poznać o mroku; zbliżył się więc, a zobaczywszy pannie, zdziwiony stanął naprzeciw niego, z założonemi rękami. Chłopak podniósł głowę.

— Mój miły Boże! ozwał się starzee półgłosem: tobież to, mój złoty paniezu, myśleć już i rozpamiętywać jak stareowi? tobie, eobyś powinien tylko się śmiać i weselić?... Ale, prawda! zostałeś się ty sierotą... a sieroty dojrzewają prędko...

I szepeząc tak z uczueiem, zbliżył się do chłopaka, aby jego rękę ucałować. Eugenek dopiero się ocknął i poznał staruszką, którego dawniej rzadko kiedy widywał.

— A no! paniezu mój złoty—rzekł burgrabia—możeby wam ezas iść i spocząć? Cóż wy tu tak po nocie dumaecie? Chłód i smutek... nie nakarmi to duszy, a ot ja już muszę i zamek zaryglować.

Chłopak wstał milczący, zawahał się nieco i eicho odezwał:

— Zamykajeie, ale ja z wami pójdę, potrzeba mi się z wami rozmówić.

— Ze mną? spytał zdziwiony staruszek: ze mną?

— Chodź! krótko odparł Eugenek: zamykaj i ehodź

Niespokojny Siemion musiał być posłusznym. Pośpiesznie drzwi za sobą zamykając, poprowadził panieza po wschodach do suchych suterren od ogrodu, w których mieszkał. Izdebka, do której schodziło się po kilku kamiennych stopniach, mimo że nawpół w ziemi i sklepiona, była dosyć schludna i wesola. Za nią druga, mniejsza, zawierała sypialnię staruszka. W pierwszej stolik, ławy, kufer, klucze na kołkach rozwieszone, krueyfiks i obrazy świętych z kropielnicą przybitą u drzwi, całym były sprzętem.

Eugeniusz nie przypominał sobie, czy tu był kiedy. Ubogie to pomieszkanko obudzało jego ciekawość. Siemion wyglądał tu ze swą pobożnością na prawdziwe-

go zakonnika. Wszedłszy dość odważnie i z mocném jakimś postanowieniem do starca, w chwili gdy miał usta otworzyć, chłopak się zająknął, zarumienił, i widocznie był zmieszany. Pierwszy to był prawie czyn w jego życiu, podjęty na własną odpowiedzialność; niedziw więc, że przy spełnieniu jego trochę odwagi zabrakło. Starzec patrzył na niego długo, uważnie, z rodzajem rozczerzenia; zdawał się w téj twarzy badać przyszłość rodziny, którą Eugeniusz w sobie nosił, ale zarazem czekał ciekawy, co tu młodego chłopca sprowadzić mogło?

— Mój Siemionie! odezwał się wreszcie siadając na ławie Eugenek: ja tu jestem w rodzicielskiém gnieździe jak obcy. Wiesz jak mnie wychowano. Rzadko i krótko dzieckiem bywałem w Mielsztyńcach; ojca o nic pytać nie śmiałem; matka tak jest smutna i przygnębiona, że nie mogę jęj badać; a przecieźbyńi wiedzieć coś powinien o téj przeszłości, która jest dla mnie tajemnicą. Wszystko co mnie otacza, budzi ciekawość, nie zaspakajając jęj. Roją się myśli dziwne, drażni mnie to. Ty, mój dobry staruszk, mógłbyś mi wiele wyjaśnić, wiele mnie nauczyć... Chciałem—dość—prosić cię, żebyś mi wytłómaczył to, na co ja patrzę, a czego zrozumieć nie umiem.

Siemion, wysłuchawszy go, spuścił głowę smutnie; widocznie walczył z sobą.

— Cóż ja wiem?—rzekł—plotki, które po cichu pokolenie pokoleniu podawało, a w ustach ludzkich prawda nawet, przechodząc przez nie, nabiera coraz odmiennych kształtów i trudno się jęj dobać, gdy postarzala niespisana. Zresztą, mój dobry panie, czy ci potrzeba za wczasu już wiedzieć wszystko, trapić się

i obawiać? Nakoniec—nakoniec ja się lękam... a gdybym eheiał, nie potrafię w starój głowie znaleźć tego, co w nią włożyłem za młodu.

— Mój drogi! przerwał Eugenek: ty mi musisz powiedzieć eo wiesz... to mi zrobi ulgę. Jam już nie dziecko, znieść potrafię eo boli, i odróżnić fałsz od prawdy. Może wyglądam młodo, ale i mnie sieroctwo i samotność uczyniły przed czasem człowiekiem.

— Cóż ja wam powiem? przebąknął stary,—i czy to pora po temu? Pytaj mnie jeśli chcesz, ja ei nie nie zataję. Ale godzina późna, spostrzegą, że was nie ma, będzie niepokój w zamku... a pan Zaranek...

— Pan Zaranek nie mi nie robi, rzekł Eugeniusz: jest moim towarzyszem, nie więcéj; praw nademną nie ma żadnych, a rad jest gdy swobodną ehwyaci godzinę, by się w swych książkach zatopić... Nie obawiaj się o niego, nie lękaj o matkę, ona się o mnie dziś nie spyta.

Siemion zamilkł, ale westchnął.

— Cóżbyście wiedzieć eheieli? zapytał.

— Wszystko! bo nie wiem nie, żywo począł młody dziedzie. Znam z imion moieh pradziadów i babki, któryeh wizerunki wiszą na zamku. Z twarzy tych zbladłych wiekami, poezerniałych, niemyeh, czytam i odgaduję tajemnice... Nie wiem nic. Co znaczą te dwa katafalki? eo ta śliezna kobieta, z krwawą na szyi pręgą? eo trupia głowa w szyszaku?...

Siemion głęboko się zdawał namyślać: eieżko mu było dobyć z piersi głosu.

— Ja o tém wszystkiém wiem niewiele, to tylko, eo rodzice z sobą przynieśli, i o ezm słyszałem ich gwarzących czasem; ale prawda to czy baśnie?... Prędzéj że ludzie, patrząc na dziwne wizerunki stare i na-

gromadzone pamiątki, sami sobie do nich to tłómaczenie dopełtli. Wierżże mi, drogi mój panie, że lepiéj ei jeszcze i długo o tém nie wiedzieé, a gdy przyjdzie godzina, aby się odkryła prawda, Pan Bóg ei ją zesle przez usta matki. Uspokójeie się. Po każdym domu niemal lata jak nietoperz jakaś bajka ezarna, którój nie widaé we dnie. Każda rodzina ma swoje tradycye, ale nie we wszystko wierzyć potrzeba i godzi się. O tych portretach starych niebym was nie nauczył; wiem mało i źle, więc nie cheę was niepokoié. Powiem jedno tylko, co mi się zdaje być prawdą niewątpliwą. Wprzód nim się Spytkowie z Krakowskiego tutaj przenieśli, od bardzo dawnych a dawnych lat, pomiędzy nimi a Jaksami była nieprzyjaźń zawzięta. Zkąd poszła, tego nikt nie wie. Prześladowano się, nękáno, najeżdżano wzajemnie, i krew nieraz się polala. Jeszeze w Krakowskiém naddziad wasz pomścił się na jednym z Jaksów za jakąś krzywdę... Ująwszy go i osądziwszy sam, dał śeiaé katowi w więzieniu. Mówią, że głowa tego Jaksy, zamknięta w szyszaku, zachowuje się na pamiątkę téj zemsty... Późniéj Bóg eieżko za tę śmieré dotknął rodzinę waszą—zaezęła się pokuta. Spytkowie opuścili swoje gniazdo, śeigani zgryzotą i pomstą Jaksów, którzy umyślnie goniąe za nimi, usadowili się pod ich bokié tu w Rabsztyńcach. Ale wyroki boże są niedośeignione: Jakowie pomścić się nie mogli, i ród ich wyginał do ostatniego... Tym ostatnim jest ów, którego dziś tu widzieliście na zamku... którego wy podobno, dobry panie, zaprosiliście tu po raz pierwszy sami.

— Tak jest, ja! ja! krzyknął Engenek, porywając się z ławy. Cożem zrobił! Widzisz stary; jak niewiadomością zgrzeszyć można! Ale dziś poczułem do

niego odrazę, niechęć, wstręt jakiś, i noga tu już jego nie postanie. Sądzę, że nawet matka moja niespełna o tém wiedzieć musi: chociaż opierała się w początku, naganiała mnie, ale teraz, teraz jest dla niego łaskawszą.

To mówiąc przechadzał się niespokojnie po podziemiu; stary westchnął.

— Jedno wam jeszcze dodać muszę, szepnął cicho. Kasztelanic Jaksa, na którego my tu, choć z daleka, od młodych lat jego patrzymy, niedobrym jest człowiekiem; nie ma wiary, żyje jak dziki, szaleje często, pomiata ludźmi i sobą. Obawiają się go wszyscy, nie ma przyjaciela, nie starał się otoczyć rodziną — jest postrachem i podziwem...

— Sądzicie, że on wie o tém, co między rodzinami naszymi zachodziło? że zachował nienawiść spadkową? że z nią tu przybył? spytał Eugeniusz, patrząc na Siemiona.

— Jakżeby o tém mógł nie wiedzieć? rzekł stary. Dla niego to może jedyny cel życia, bo mu tylko nienawiść i zazdrość zostały na pokarm ostatni.

— I śmiał tu przybyć z kłamstwem na ustach?

— Gorzej, bo ze zdradą w sercu! dodał Siemion. Potrzeba się go strzedz, należy unikać. Jest to człowiek tém niebezpieczniejszy, że wszystkie pozory przybrać potrafi, że skłamanie serdeczność, że będzie się śmiał, gdy wewnątrz gniew w nim zgrzyta, że zdolny jest do wszelkiego złego.

— Dziękuję ci za przestroagę... po chwili rzekł Eugeniusz, trąc czoło. Widzisz więc, że się pożytecznej rzeczy dowiedział. Matka z razu miała słuszność, a ja byłem niebaczny. Dziś dopiero ostrzegło mnie prze-

czucie, albo raczej kilka słów bolesnych, któremi mnie zranił ten człowiek.

Młody chłopak zamilkł... Siemon zbliżył się do niego, pochwycił za rękę i począł ją całować.

— Dosyć już tego, odezwał się cicho. Nie badaj mnie, bo zaniepokoisz sam siebie. Zawczasie zawsze dowiesz się swych obowiązków i weźmiesz spadek po ojcach. Bądź paniczu cierpliwy, a jeśli potrzeba dla uniknięcia niebezpiecznego sąsiada oddalić się z Mielsztyniec, proś matki, niech wyjedzie. Za nadto już siedzieliście w tym zakęcie, w téj pustce; trzeba i należy znów Spytkom iść między ludzi. Niechaj was inne, zdrowsze może niż tutejsze powietrze owieje i ożywi.

Eugenek, zamyślony, ścisnął rękę starszka.

— Sluchajże, mój dobry Siemionie, odezwał się: gdybyś czego odemnie potrzebował, jabym ci serdecznie rad usłużyć...

— O! mój Boże, paniczku złoty, a cóż mnie staremu potrzebne być może, oprócz tego cichego kąta na ostatnie lata? Klucze mi nie ciężą, przywykłem do nich, tęsknoby mi było po nich, gdyby je innemu dano; mam wszystko. Niech wam Bóg błogosławi! Czekaście, dodał do wyrwającego się: poświecę — po korytarzach noc — nie trafilibyście do siebie.

Wziął stary latarkę, i suwając nogami, poprzedał żywo idącego panicza na drugie skrzydło zamkowe. Musieli przechodzić długie galerye, wschody, sale, nim się zbliżyli do mieszkania, które Zaranek i Eugeniusz zajmowali. Noc już była późna; księżyc, gdzie niegdzie wpadając oknem, bladym światłem migotał na

posadzkach i czepiał się po ścianach. W głębiach tylko panowała ta nieprzejrzysta ciemność murów, o którą oko jak o żelazny wał się rozbija. Szli wolno, mimo pośpiechu Eugenka, bo Siemion prędzej nadszyść nie mógł. Dla skrócenia drogi, burgrabia, który znał zamek doskonale, otworzył drzwi wielkiej sali zwaną biblioteką, do której od bardzo dawna nikt prawie nie wchodził, bo klucze od niej były u burgrabiego. Niegdyś cała pełna ksiąg, niewiadomo kiedy i przez kogo ogołocona z nich została w znacznej części; górne półki były puste, niżej tylko widać było grzbiety foliów opylonych.

W pośrodku stał ciężki stół staroświecki, rzeźbiony, wsparty na czterech karytydach. Na nim, może przed stu laty położone, nietknięte spoczywały grube księgi, klamrami mosiężnymi pospinaane. Przez troje okien od ogrodu księżyc wchodził do sali i część jej znaczną oświecał. W chwili gdy zamek się otworzył i drzwi uchyliły, Eugeniusz, który nie znał biblioteki, i widzieć jej nigdy ciekawym nie był, rzucił w nią okiem i krzyknął. Siemion z przestachem odwrócił się ku niemu, i spostrzegł go palcem wskazującego na stół... Staruszek spojrzał na salę, ale prócz dziwacznie złamanego promienia księżyca, który oświecał stare krzesło i część stołu, nic zobaczył nic. Eugeniusz, jak skamieniały, stał w progu.

— Co się wam stało? paniczul na miłego Bogal zapytał burgrabia.

— Jak to! nie nie widzieliście? nie?

— Nie nadzwyczajnego—a wy? wy paniczul?

— A ja... Eugenek zawahał się i żywo odparł: Musiało mi się wydać, jestem rozgorączkowany. To było światło księżyca.

— A cóż się wam zdało?... niespokojnie, stojąc ciągle w progu, mówił Siemion. Cóż to było? na miłego Boga!

— Nie, nie, śmiejąc się dodał chłopak. Dajcie mi klucz od biblioteki; jutro po dniu muszę ją zobaczyć.

Burgrabia się zawahał, pomyślał, ale panicz naglił; weszli więc i drzwi zaryglowawszy, stary oddał klucz Eugeniuszowi, który go chciwie schował do kieszeni.

— Gdybym nie był pewien — rzekł postępując z wolna ku środkowi — że co mówią o duchach i zjawiskach, jest przesądem i słabych umysłów hałlucynacyą, tobym sądził, że istotnie wchodząc tu, widziałem kobietę siedzącą u stołu, nad księgą...

— Kobieta! powtórzył Siemion — a jakże ona wyglądała?

— Była podobna do portretu babci Emilii... téj, która ma krwawą pręgę na szyi — rzekł Eugeniusz.

Na te słowa stary burgrabia począł drżeć widocznie, spuścił głowę, i co żywiej ku drugim drzwiom do wyjścia się skierował; ale Eugeniusz, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, ciekawie rozpatrywał się po bibliotece, poszedł do krzesła, na którym zdało mu się, że widział ową postać, i chwycił książkę najbliższą leżącą.

Księga była gruba dosyć, oprawna w skórę białą, z kłamrami srebrnymi. Rzuciwszy w nią okiem, przekonał się, że nie była drukowana, ale pisana. Na pierwszej karcie błyszczały herby Spytków, wymalowane na tarczy obwiedzionéj dziwnymi ozdobami. Do podtrzymania godła rodziny służyli z jednój strony rycerz w hełmie otwartym, z którego wyglądała trupia głowa; z drugiej lew, rozdzierający gryfa. Przy-

szło na myśl Spytkowi, że gryf był Jaksów oznaką. Wziął rękopis ze stołu, i korzystając z pomieszczenia starca, który nic się nie zdawał widzieć i na nic już nie uważać,—pośpieszył z biblioteki. Mileząc przeszli jeszcze korytarz i schody, a blisko już będąc mieszkania, Eugeniusz pożegnał staruszka, z którego się teraz słowa dopytać nie było można.

W pokoju nie zastał Zaranka; czekał nań tylko sługa, który zwykle sypiał w przedpokoju. Eugeniusz rozebrał się prędko, odprawił go, i z gorączkową ciekawością chwycił przyniesioną z sobą księgę. Miał jakieś przeczucie, że w niej znajdzie wytłomaczenie wielu dla niego mgłą pokrytych rzeczy, dotyczących się rodziny. Tytuł i pierwsze karty przekonały go, że się nie mylił; księga była wszakże zbiorem suchych heraldycznych wyciągów i wiadomości, wpisywanych różnemi charakterami i w różnych, jak się zdawało, epokach.

Młody człowiek mało umiał po łacinie, bo już naówczas wychowanie za granicą nie opierało się jak przedtém całc na klasykach; rozumiał jednak tyle, ile było potrzeba, by chciwą zaspokoić ciekawość. Genealogię odrzucił, szedł dalej... wiele kart zostawało niezapisanych. Ku końcowi kilkanaście ktoś po rogach przewłókł sznurkiem i opieczętował... Roztworzyć ich nie było podobna, nie naruszając pieczęci, która się zachowała cało. Sznur był wyblakły i zmięty—wycisk na wosku wyobrażał herby Spytków. Ta tajemnica zniecierpliwiła go nieco; nie śmiał złamać pieczęci, wahając się czy do tego ma prawo — i usunął rękopis zamyślony, odkładając czytanie do jutra. Schował go jednak jak drogą zdobycz do szafy, od

której miał klucze. Chciał już zasnąć i spocząć, bo mu głowę rozsadzały myśli i marzenia, które raz pierwszy przysły ją tak tłumnie nawiedzić, ale oka zmrużyć nie mógł—mimowolnie stawało mu przed oczyma zjawisko w bibliotece, w które nie wierzył, a wspomnienia jego pozbyć się nie umiał. Śmiał się sam z siebie i postanowił nikomu o tém nie mówić, aby się z niego nie śmieli. Była to widocznie postać stworzona w różgorączkowanej wyobraźni — nie więcéj; światło księżyca służyło jéj za wąż, z którego to widmo zlepiła. Nie widział go przecieź Siemion...

Tak rozmyślając, nadedniem dopiero, gdy księżycowe światło poczęło ustępować rannemu brzaskowi, chłopak zdrzemnął się znużony; ale we snach widział jeszcze jakby dalszy ciąg wieczornych zjawisk... owe postaci starych portretów, które z ram wyszedłszy, otaczały go kołem i nad łóżkiem jego stojąc, cicho się naradzać zdawały. Na przodzie, z kwiatkiem w ręku i uśmiechem na ustach, stała babcia Emilia, z krwawą na szyi przepaską.

Straciliśmy z oczu pana Nikodema Repeszke, któryby może na szczególne zajęcie osobą swą nie zasługiwał, gdyby nie smutne przygody, jakich doznał od dnia nieszczęśliwego spotkania przy karczemce z kasztelanicem Iwonem. Dobrze to powiadają, że człowiek z miejsca, w którym żył, gdzie mu się wiodło, nie powinien się ruszać, szukając łakomie gdzieś indziej większego jeszcze powodzenia; najczęściej bowiem trafia na zawody i przekonywa się o téj praw-

dzie, że nietyle sobie, co okolicznościom winien był to szczęście, które przypisywał tylko własnej zapobiegliwości i pracy.

Coś podobnego właśnie trafiło się szanownemu panu Nikodemowi Repeszce, który pomimo bardzo korzystnego nabycia Studzienicy, niezmiernie troskliwego gospodarstwa i nadzwyczajnej swój oszczędności, a raczej niesłychanego skąpstwa, mimo téj łagodności charakteru, którą się odznaczał—z ludźmi i światem nowym wcale sobie tak dobrze jak w Brzeskiem rady dać nie umiał. Tam mu szło wszystko jak z płatką, tu jak z kamienia. I choć zwykł był się pocieszać tém, że pierwsze kotki za płotki, że się to poprawić musi, wszakże tych drugich kotków napróżno wyczekiwał. W istocie mu się nie wiodło. Pan Repeszko miał ten talent osobliwy, że się był zwykł, jak ślimak do drzewa, czepiać do jakiegoś rodu i majątku, i żyć z nich i niemi. Zwykle zawierał serdeczną przyjaźń, pomagał, służył, ratował, wygadzał, poświęcał się, stawał przyjacielem, doradcą, a że takie poświęcenie zawsze los i Opatrzność (boć to na nią składają) wynagradzać sownie zwykła, działo się tak jakoś zawsze, że owa rodzina i majątek padały, a zacny Repeszko, ratując się, mimo największych ofiar, wychodził cało i z korzyścią dla siebie. Nie było w tém nic tak dziwnego, gdyż wybierał zawsze przez litość tych, którym miał dopomagać, a że przeciw doli nawet Repeszko nie uratuje, przeznaczani na zgubę mimo to ginęli, on zaś wychodził jakoś i szczęśliwie, i nie bez nagrody.

Tak było w początkach, póki się Studzienicy nie dorobił i w Lubelskie nie przeniósł; ale jak w grze, kto opuści krzesło, na którym mu szła karta, przegry-

wa potem najczęściej, tak i p. Nikodem na nowój siedzibie samych tylko strat doznawał. Już to samo, że się nie dorabiał, liczyło się u niego za stratę i było nią, boć czas marnie uchodził. Napróżno usiłował się zbliżyć do niektórych sąsiadów: wszędzie, jak w Mielsztyńcach, znajdował obojętność lub niewiarę, chociaż trudno to sobie było wytłómaczyć, znając zacnego Repeszke, jego pobożność, cichość, skromność i łagodność. Natomiast gdy on nie mógł poprzyjaźnić się skutecznie z nikim, do niego najniepotrzebniej przylgnął na utrapienie człowiek, którego się lękał niezmiernie i ze strachu ulegać mu był zmuszony, — kasztelan Jaksa, który od pierwszego spotkania i otrzymanego pozwolenia polowania w lasach, przywiązał się dziwną jakąś miłością do sąsiada.

Repeszko wcale nie miał ochoty nabywać od niego Rabsztynice z grobami gotowych antenatów, ani wchodzić w jakiegokolwiek interesa; ale Iwo, znalazłszy go dla siebie dogodnym i potulnym, już się z nim rozstać nie mógł. Nawiedzał go niemal codziennie i kochał do zbytku.

Wielki znawcą ludzi i słabości ludzkich, kasztelan od pierwszego spotkania zbadał człowieka, odgadł charakter, i domyślił się, że p. Nikodem nie należy do najodważniejszych istot w świecie. Z téj skromności jego i łagodności Iwo widać korzystać postanowił; nie uszło i to baczności jego, że Repeszko, mimo wielkich swych cnot, miał zbyt cennie może do grosza przywiązanie. Chociaż sąsiad bardzo zręcznie od jego odwiedzin w Studzienicy się chronił, nigdy prawie w domu nie bywając, kasztelan tak dobrze umiał go szukać, iż zawsze gdzieś w kącie jakimś wynalazł, zaprowadził do dworu, i sam próżniak, truł mu czas,

przesiadając u niego długie godziny. Temu to naleganiu niezbyt delikatnemu winien był, że na Rabsztyńce, jakkolwiek wartość kawałka gruntu i ruin była wątpliwa, zaciągnął najprzód pożyczkę u studzienickiego pana, potem wziął od niego parę dodatkowych summek, a w ostatku obejściem się lekkiem, pogardliwem i groźnym strachu go niemałego nabawiał. Od téj natarczywój przyjaźni kasztelanica nie było sposobu bronić się. Repeszko uciekał, krył się, wyjeżdżał, lecz wszelkie starania były daremne.

Cieżką tą plagą, jak mawiał cicho ks. wikaryuszowi, srodze go Pan Bóg za grzechy ukarał.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranku, w chwili kiedy się go najmniej spodziewał pan Repeszko, wpadł do jego skromnej, a prawdę rzekłszy, brudnej izdebki kasztelanica Iwo. Poznał go z dala po chodzie, ale nie było już sposobu wysliznąć się; więc tylko ręce zalał i do nieba oczy podniósł, skarżąc się Bogu.

Śludzy mieli najsurowsze rozkazy, żeby postrzegłszy gościa, natychmiast o nim oznajmowali, nigdy go nie wpuszczali, a na zapytania zawsze odpowiadali, że pana nie ma w domu; w dzień więc biały przybycie kasztelanica było fatalnością niepojętą. Repeszko domyślał się w tém złośliwości niegodziwych sług, i w duchu sobie obiecał ukarać ich wszystkich trydniowym postem o chlebie i wodzie. Była to kara jego ulubiona z dwojga powodów: jako rzecz Bogu miła, bo poskramiająca żądze cielesne, i... mówmy prawdę, wielce korzystna dla kieszeni. Interesa doczesne i niebieskie cudownie się w niej godziły.

Kasztelanica miał pod pachą, jak to zaraz dostrzegło bystre oko pana Repeszki, zwój papierów, nie dobrego nierokujący. Twarz zacnego gospodarza po-

bladła trupio. Iwo tymczasem z powagą kroczył ku środkowi izdebki, i zamiast powitania, silną swą dłoń myśliwca położył na ramieniu pana Nikodema, jakby się chciał zapewnić, że ten mu nie umknie.

— No, rzekł surowo: dobrze, żem w. m. pana zastał,—wybiła ważna godzina. Zawsze mu obiecywałem, że jego przyjacielską dla mnie pomoc zawdzięczę; o toż teraz przychodzę tego dopełnić, przekonasz się o tém natychmiast. Ale że rzecz potrzebuje przydłuższego wyluszczenia... siadaj.

Tu wskazał mu łóżko jego twarde, a sam, nie bez wstępu pewnego, zabrał miejsce w wyszarzanym starym fotelu.

— Jest godzina dziesiąta; nim sprawa nasza się ułoży, głód mnie przycisnie. Co mi w. pan dasz jeść? zapytał Iwo.

— Jeść? jeść? bąknął gospodarz; ale to... to są suche dni... ja z postem, u mnie w kuchni pustki prawdziwe.

— Ty wiesz, jam myśliwy i zubożały, pulpetów też nie potrzebuję; łada baba nam co uskwarzy, byle posilnego. Jaj na wsi się dostanie; zająca utrozonego do siodła przywiozłem; chleb choć czerstwy, musi być; to i dosyć.

Klasnął w ręce kasztelanie raz i drugi, nie czekając, by się Repeszko rozporządził; a gdy wszedł sługa, nie dał mu mówić i mrugnąć.

— Słuchaj, rzekł: powiedz gospodyni, aby z obiadem się nie spóźniła. Jegomość z postem, ale ja nie. Zrobi mi jajecznicy, jaja wszędzie są, i upiecze zająca, którego przywiozłem. Powiedz jój tylko, aby nie szpikowała starą słoniną, a resztę sam dokonponuję. Ruszaj! w skok!

Nim p. Nikodem mógł się téj dyspozycyi tak despotycznie wygłoszonej oprzeć, chłopak, na którego mrugnął Iwo, już był za drzwiami.

— Teraz, dodał gość, nie ruszaj się w. pan i słuchaj: idzie o rzeczy ważne.

Repezsko, ofiarując Bogu strapienia swe, drżąc, postanowił być posłusznym; ale w głębi ducha po-przysiągł, że jeśli będzie szło o pieniądze, raczej się da ubić, niż ulegnie wymaganiom.

— Nie wiesz o tém waćpan zapewne, począł Iwo: że od bardzo dawnych wieków zajadła waśń rozdziela dwa nasze domy—panów Spytków i Jaksów rodziny. Pierwsze początki sporu i współzawodnicstwa sięgają może czasów Bolesławowskich, stare są jak rody nasze... Miłość się rzadko tak długo utrzymywać i podawać może, ale nienawiść jest trwałą, a czas ją umacnia i sił dodaje. Już w początku XVI wieku Spytkowie z Jaksami nigdy u jednego stołu, w jednej komnacie z sobą zetknąć się nie mogli. Ludzie ich, dwory, przyjaciele, staczali z sobą walki nawet pod boki królów. Napróżno ludzie starali się ich przejednać, zbliżyć, połączyć; nieprzyjaźń ta stanowiła spadek, podawała się testamentami, przeszła w tradycję, płynęła we krwi. W końcu XVI-go wieku, mój przodek starał się o majątną dziewczkę Kmiciankę; ręka jój była mu już przyrzeczona, panna sprzyjała serdecznie, gdy Spytek się nawinał i na biesiadzie przy kielichach pannę dla swojego syna zaswatał, tak, że nim się kto mógł o staraniu dowiedzieć, już go zaręczył, a nim mój naddziad, który był na Węgrzech, nadbiegł, ślub mimo łez panny odbyto. Była dla niego na wieki stracone, ale serce, które mu raz oddała, było tylko dla niego. Narzecz-

ny wprzód Jaksą, kilka tygodni pozbawiony był zmysłów, tak gwałtowna nim miłość i żądza zemsty miotła; potem wpadł w czarną melancholię i chciał się wyrzec świata; aż król, korzystając z chwili i osądziwszy, że dla samej możności widywania téj, którą kochał, gotów jest na największe ofiary, skłonił rodziny, po wiekach nienawiści, do uroczystego przejednania. Lękając się, aby ono powierzchowném tylko nie było, uczyniono je nader solenném, łącząc z niem obchód religijny, niegdyś przy podobnych zgodach praktykowany. Członkowie wszyscy obu rodów, poprzedzani przez giermków niosących na szczytach herbowne ich znaki połączone wieńcami, udali się w godowych szatach do kościoła, i stojąc u ołtarza, pobrawszy się za ręce, słuchali mszy świętój. W chwili gdy kapłan odprawujący ofiarę ręce zwykł towarzyszącemu kłaść na ramionach, wszyscy Jaksowie i Spytkowie podobnie uściskiem bratnim i pocałunkiem pokoju starą waśń swoją przed tronem bożym zakończyli... Zdawało się tedy po uczcie, po przełamaniu chleba, po godach, po zaręczeniu dwojga młodych, z obu familij wybranych osób, że historia tych krwawych zapasów na wieki będzie zamknięta. Ale są rodziny, fatalności jakiejś piętnem nacechowane na wieki. Naddziad mój, który tak był umiłował później mu wydartą Spytkową, począł uczęszczać do domu jój męża. Nie było w tém nic złego, ani cienia zdrady, ani możności jój, tylko nałóg sercowy, któremu biedny oprzeć się nie mógł. Chciał na nią patrzeć, widzieć czasem, że mu się uśmiechnęła przyjaźnie, pragnął być przyjacielem domu w czystości serca, bratem tylko i sługą... Spytek był nieufny, zgryźliwy, ostry dla żony i nie miły dla gościa, którego podej-

rzewał zawsze. Dziad nasz, im nieszczęśliwszą wi-
dział tę istotę, którą kochał, tém do większych dla
niej ofiar czuł się gotowym; znosił on opryskliwe cza-
sem i mniej grzeczne napaści męża, aby nie zrywać
z tym domem. Tak się to wlokło i przedłużało—aż
do ostatniej sceny tragicznej, krwawej, strasznej, któ-
ra tę zgodę w nowy płomień zajadłej wojny zmieni-
ła, a na nas rzuciła wiekuiste zemsty dziedzictwo...
Spytkowie mieszkali naówczas na wsi, w starém
swojem gnieździe, zamczysku ponurém, smutném, za-
murowaném jak twierdza, zamkniętém jak więzienie;
dziad mój przesiadywał w Krakowie. Z dawniej mi-
łości dla Spytkowej pozostała mu przyjaźń gorąca
ku niej i wiekuiste widzenia jęj pragnienie i tęskno-
ta. Spytko naówczas nie było w domu. W jakiejś
sprawie zawikłanej, nie umiejąc sobie poradzić sama,
Spytkowa listownie go wezwała, aby do niej przy-
był. Pośpieszył na to zaproszenie biedny, i nie są-
dził, ażeby tém zgrzeszył. Oboje byli na duchu
czyści i bez myśli złej; ale im dzień spłynął niepo-
strzeżenie na słodkiej rozmowie. Pod wieczór, mó-
wi tradycya, zerwała się burza straszliwa, i powra-
cać nie było sposobu. Jaksa musiał pod tym dachem
zanocować. Dano mu pokoje na drugiem skrzydle
zamkowém, a że burza wrzała i nikt spać się nie
kładał, gospodyni i gość przesiedzeli do północkska.
Z tą burzą niespodzianie (podobno przez złośliwych
ludzi podbechtany) wpadł Spytek o północy na za-
mek, i zastawszy ich oboje na cichej rozmowie, roz-
gorzał gniewem okrutnym. Napróżno żona, klękaw-
szy przed nim, przysięgała, że była niewinna; próżno
się Jaksa chciał tłómaczyć: nie słuchając nikogo,
wściekły mąż kazał natychmiast ująć mego naddzia-

da, okuć w kajdany, posłał po kata, sprowadził go na rozstawnych koniach przededniem, i w starym lochu więziennym, w obecności żony swój, ściąć go rozkazał. Trupa pochowano w lochu, głowę kat zachował, aby na wieki w rodzinie jako świadectwo zemsty pokazywana była. W chwili gdy miecz katowski dotknął szyi niewinnego człowieka, który Bogiem się świadczył, iż nie przewinił myślą nawet—padła pani Spytkowa omdlała i ledwie ją otrzeźwiono i przywieziono do życia... Przekonał się wkrótce później mściwy mąż o zupełnej niewinności nieszczęśliwej niewiasty, ale milczał, aby pokryć swą zbrodnię. W pół roku potem wydała na świat Spytkowa córkę, która przyniosła z sobą znamię krwawe na szyi. Była ona cudem piękności, ale ojcowi wyrzutem ciągłym jego okrucieństwa, za które próżno odprawiał pokuty, gniewu bowiem bożego przebłagać nie mógł nigdy. Odtąd rodzina, jakby palcem zemsty bożej naznaczona na pokutę, karleć, marnieć i znikać poczęła. Córka owa, śliczna dziewczica, doszedłszy wieku, dnia i godziny, w której matka jej była świadkiem śmierci niewinnego, nagle, jak rażona mieczem katowskim, umarła. Napróżno stawiali kościoły, odprawiali pielgrzymki, sypali jałmużny: Bóg krwi przelaną nie darował.. a pokutę uczynił długą i ciężką... Rozżarła się nienawiść pomiędzy rodzinami na nowo, a choć już czasy nie dopuszczały ani dzikich napadów, ani krwawych bojów, zmieniła się w walkę cichą, nieustanną, zajądła. Tak ona dotrwała do dni naszych i ja jestem—dodał wstając z krzesła Jaksa—ostatnim dziedzicem, na którego zdano pomszczenie krzywdy, narzędziem Opatrzności fatalnóm, mimowolnie posłusznóm. Los chciał, bym i ja był w tém położeniu co mój naddziad:

Spytek wydarł mi tę, którą miałem poślubić. Patrzałem lat wiele z męczarnią w sercu na jej niedolę—ale wybiła godzina...

Repezsko słuchał z przestraczem, szepcząc modlitewki na intencję, aby go Pan Bóg od wszelkiego współnictwa z Jaksą uwolnić raczył; nie pojmował na co się tu mógł przydać. Tymczasem kasztelaniec siadł i mówił dalej:

— Nie wiodło się i nam lepiej, ginęliśmy powoli; ale widoczny był ten palec boży we wszystkiém co się stosunku dwóch rodzin tykało. Ojciec mój, gdy już majątność swą niemal całą był rozproszył, dostał przekazaną sobie przez nieznanego człowieka darem pretensję do Mielsztyniec, która Spytkom ich majątność odebrać dozwalała. Z dokumentów tych okazuje się, że nabycie dóbr było nieważne, a ten, co je sprzedał, nie miał prawa rozporządzać niemi. Poszliśmy przed sądy, rozpoczął się proces. Z możliwymi wszakże ubożemu sprawy dojść trudno. Ojciec stracił na to resztę majątku, a ja zaprzestać musiałem, bo nie było o czém ich ścigać...

— No, to przedawnienie zaszło, przerwał żywo Repeszko, i cała ta pretensya dziś funta klaków nie warta...

— Wstrzymajże się, a nie strzelaj tak popędliwie! rzekł Jaksza rozwijając papiery. Nigdyśmy, ani ja, ani ojciec, przedawnienia nie dopuścili, zanosiliśmy regularnie manifesta przeciwko przemocy, zostawiając sobie moc poszukiwania pretensyj naszych, które teraz tak urosły, iż mogą całe pozrzeć Mielsztynce...

Repezce zaświeciły oczy, ale stał niedowierzający jeszcze.

— Weźmiesz wmość prawnika z Lublina i każesz sobie przejrzeć dokumenta, odparł spokojnie na nie-me oczu pytanie kasztelanic. Ja ci papiery zostawię... przekonasz się. Sam procesu prowadzić nie mogę i nie chcę; ale pragnę, abys ty go przeprowadził i z niego korzystał. Dotąd nie pora była po temu; dziś... mówiłem ci, wybila godzina, jest czas... tyś dla mnie opatrnościowym zesłańcem. Drugiego takiego drapieżnego człowieka niełatwo wyszukaćby mi było.

Z obawą niejaką, z niedowierzaniem i jakby się broniąc pokusie, zbliżył się Repeszko do stolika, na którym rozrzucone były papiery. Miał dosyć znajomości prawa, aby ważność dokumentów osądzić; wszakże na własną umiejętność spuszczać się nie chciał. Rzecz przedstawiała mu się tak ponętą, tak świetną, że mimo wstępu, jaki w nim obudzał kasztelanic, ręce mu z chciwości zadrżały, gdy się wziął do przeglądania aktów.

Jaksa chodził po izdebce, poświstując. Spoglądał nań niekiedy i sam do siebie się uśmiechał, bo wiedział, że Repeszko oprzeć się nie potrafi tak wszechmocnej pokusie. P. Nikodemowi pot oblewał skronie, iskrzyły się oczy; ścisnął konwulsyjnie papiery, które z kolei chwycił, rzucał i przeglądał.

— Ale, jeśli wistocie—rzekł po namyśle—przedawnienia nie ma, jeśli ta sprawa może wam dać Miel-sztyńce, dla czegoż nie użyjecie prawnika, któryby wam to za mniejsze pieniądze mógł poprowadzić i wygrać? Czemu mnie chcecie ustąpić zysku i tak... wspa-niałomyślnie obdarzyć niezasłużonego?

— Bardzo rozumnie badasz i słusznie mnie podejrzewasz; ale ja nie chcę w mojem imieniu procesować

Spytków... ja muszę stać na boku... ja... to moja tajemnica, dodał żywo. Może być, że przyjdzie chwila, w której ci powiem wygrywającemu: „Nie pójdziesz dalej!” w której ci zapłacę trud i odbiorę wszystko... a może za liche wynagrodzenie oddam ci Miel-sztyńce.

— Więc ja mam pracować i leżeć na niepewne? spytał Repeszko. A na cóż mi się to zdało? Będę ważył, płacił, poił się nadzieją, a potem...

— A potem ci łup wydrę może z przed paszczy? przerwał Jaksą; ale ci zapłacę sownie, — słyszysz? zapłacę! O co ci idzie?... Zapewnisz sobie prawnie i znój i kosztą.

Repeszko stał milczący, w niepewności wielkiej... zawracało mu się w głowie.

— Dla czegoż pan cierpiałeś biedę dotąd, mogąc...?

— Nie mogłem!... zawołał popędliwie Jaksą.

— Dla czego? dla czego? Jak ja dziś, podjąłby się był sprawy kto inny. W tém jest coś ciemnego...

— Tak... i to pozostanie ciemném na zawsze, rzekł śmiejąc się szydersko kasztelan. Dopóki żył Spytek, jam o głodzie śmierci jego czekał; wiedziałem, że jestem narzędziem zemsty bożej i że się jej doczekać muszę... Zresztą, słuchaj Repeszko: nie chcesz... nie ma roboty, weźmie ją kto inny... Wolałbym ciebie, boś ty cierpliwa pijawka, która gdy się raz do ciała przyczepi, wysysie z niego ostatnią krew kropelkę.

Gospodarz zadrżał, czując się odgadnionym, a nie pojmując jak tu, w obcej stronie, gdzie go nie znano, gdzie niczém nie zasłużył na taki rozgłos, mógł go ktoś znać tak dobrze... Złożył ręce, podniósł oczy

i westchnął, wzywając niebios na świadectwo, że go szkaradnie oszkalowano...

— A panie mój! Ja, ja, najłagodniejszy z ludzi, który nikomu nie zamąciłem wody!... ja...

— Cicho, cicho... przerwał kasztelanic: durz sobie kogo chcesz, nie mnie. Ja z pierwszego wejścia wyczytałem najtajniejsze myśli twoje; znam cię, odgaduję do szpiku. Mnie nie skłamiesz nic. Każ dawać jajecznicę i zającą...

— Papiery—dodał Jaksa—zostawiam ci na tydzień; a po tygodniu przyjadę po odpowiedź, a dasz mi ją w dwóch słowach: tak lub nie. Za dziesięć dni będzie proces rozpoczęty, a za...

Tu Jaksa umilkł, i świszcząc, przechadzać się zaczął. Zwrócił zupełnie gdzieindziej rozmowę.

— Co z ciebie za sknera! zawołał,—co z ciebie za nędzarz dobrowolny!... Ani łyżki, ani miski, ani pocziwego nakrycia!

— Ale kredens jest jeszcze zapakowany, bo ja go nie używam, mruczał Repeszko; łyżki właśnie kązałem przerabiać złotnikowi, a bielizna cała w praniu.

— Szczęściem, że ja myśliwy jestem i na pniu palcami jadać przywykłem, odparł kasztelanic. Ale pień jest czystszy od twojego stołu...

Repeszko, przytuliwszy się do ściany, płaski, nikiły, po cichu wysunął się za drzwi, nie śmiejąc słowa odpowiedzieć.

Dano nareszcie do stołu, i konferencya się skończyła. Ale po zamyślonych twarzach gospodarza i gości widać było, że ich ciężkie trawily niepokoję. Repeszko obawiał się straty, a żałował wypuścić z rąk zyski; kasztelanic zdawał się niepewien jeszcze co

pocznie i sam z siebie niezadowolony. Zjedli prędko, i Jaksę poczał się żegnać.

— Papiery zostawiam ci, rzekł; za tydzień przyjadę po odpowiedź: tak lub nie. Może też być, że ja powiem jeszcze: „nie,” rozmyśliwszy się. Korzystaj, toć to twoja robota na świecie, mosanie Repeszko; na toś stworzony, abyś z nas soki wysysał.

Oburzony gospodarz chciał protestować.

— Cicho! ofuknął Jaksę: ja cię znam lepiej niż sądzisz. Mnie ty nie skłamiesz, leżąc krzyżem i stękając na podłodze kościelnej. Aleś ty mi taki potrzebny, jakim cię Bóg na utrapienie ludzi stworzył. Bywaj zdrów, i nie sądz, że mnie oszukasz.

To rzekłszy, Jaksę nakrył głowę, wyszedł z izby, i nie mówiąc słowa, odjechał do Rabsztyniec.

Bywają chwile życia stanowiące w niém kryzys, kres jednej epoki, a świt nowój, drugiej, ledwie z pierwszą wspomnieniami związanej. Człowiek wstaje nagle jak po obłożnej chorobie, w której walczył między życiem a śmiercią; wstaje odrodzony, czując, że to co pozostawił za sobą, było jakby inném, odrębném istnieniem. Im czulsza i wrażliwsza jest organizacya człowieka, im doskonalsza jego natura, tém więcéj ulega takim przeobrażeniom, oszczędzającym mu dróg powolniejszych, jakimi wlec się muszą inni. Zarzucają nieraz dziwactwo ludziom, nielogiczność ich biografom; ale można poradzić co przeciwko fenomenowi, który, jakkolwiek może być niepojętym dla wielu, jest powszednim i zwyczajnym? Widzimy go powtarzającym się niemal codziennie.

Dość spojrzeć na świat i istoty wybrańsze, które na nim część wieku przeżyły.

Takiemu przeobrażeniu naglemu uległ młody Eugenek w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Jedno słowo kasztelanica podrażniło jego dumę, obudziło wstręt, wstrząsnęło myślami śpiącemi; jeden wieczór zastanowienia i dumania, kilka wyrazów starego Siewmiona, głos wreszcie omszonych murów mielsztynieckich, zmieniły go do niepoznania. Płochy nieco i roztrzepany chłopak, nagle zmężniał na duchu, spoważniał postawą. Zachmurzyło się jego czoło, poczuł w sobie spadkobiercę wielkiego i nieszczęśliwego rodu, powołanego do jakichś nieznanych obowiązków, niewładnącego sobą, związanego tradycyi nicią z praojcami... Cała ta noc przeszła mu na dziwnych marzeniach. Śnił, że jego sypialnię otaczały mury dożytych wizerunków portretowej sali podobne; u łóża jego siedziała niewiasta z krwawą różą w ręku, i krwawym znakiem na szyi; starcy opowiadali mu dzieje domu,

W tym śnie nie brakło ojca, ale nie było matki. Nie wiedzieć dla czego, uczuł się dla niej ostygłym, prawie nieufnym i zażalonym za to, że się okazała w ostatniej chwili zbyt dla Jaksy pobłażająca. W nim on już teraz nienawidził wroga. Jakiś gwałtowny wstręt, z każdą chwilą rosnący, rozżarzał się w sercu jego do tego człowieka, w którym nieprzyjaciela postrzegł objawem nagłym. Wstał pod wrażeniem tych nocnych widziadeł, i przypomniawszy wieczór wczorajszy, poszedł się najprzód upewnić, że książka, którą wziął w bibliotece, leżała w jego szafie. Zapieczętowane karty kusily go: spojrzął na nie; ale jakież było podziwienie jego, gdy sznur znalazł potargany, pieczęci złamane, tajemnicze arkusze rozlepione!...

Nie mógł uwierzyć swym oczom, tak był pewien, że wczoraj włożył ją na półkę nietkniętą. Miałże ją przez sen nieprzytomny sam otworzyć? czy siła jaka tajemnicza rozwarła mu je umyślnie, aby nie ciekawości jego nie wstrzymało?...

Świat nowy, w który wchodził Eugenek, pełny widm, cudowności, duchów, podań żywych, tak był różny od tego, do którego z dzieciństwa przywykł, oddychając powietrzem jasnym i weselem południa, sceptycyzmem Zachodu—to, czego doświadczał tak się nie godziło z tym, w co wierzyć, a raczej w co nie wierzyć go uczono, że chłopię, pogodzić nie umiejąc sprzeczności, całe się czuło wzburzonym, zachwianym.

Były to pierwsze w życiu jego zapasy. Odprawiawszy Zaranka do książek, krótkie dzień dobry oddawszy matce, którą znalazł smutną, z oczyma do zapłakanych podobnemi, Eugenek pobiegł do biblioteki i tam zamknął się z rękopisem, aby pożerać chciwie jego tajemnicze karty...

Co się działo w sercu pani Spytkowej, tegobyśmy pewnie określić nie potrafili. Szczęściem w papierach, które służyły za materyał téj powieści, znalazł się ułamek listu, pisany do przyjaciółki lat dziecinnych i powiernicy, z którą się każdym wrażeniem dzielić była przywykła. Daleka ta krewna mieszkała w Warszawie, gdzie mąż jej na dworze znakomite zajmował stanowisko. Wychowane razem, jak dwie siostry kochające się czule, Brygida i Łucya, rzadko się widując, zastępowały dla siebie świat cały. Jak Brygida, Łucya była nieszczęśliwą w małżeństwie, opuszczoną przez wietrznika, samotną; obie potrzebowały boleś z serca wylać, bo mało jest ludzi, co ją zamknąć po-

trafia; latały więc co kilka dni kartki do stolicy a w nich każde bicie serca czuć się dawało. Nie wiele z nich ocalał przypadek.

List bez daty, który widocznie do tych dni się odnosi, po opisie ostatniej bytności Iwona w Mielsztynicach, kończy się takim ustępem:

„Łucyo kochana! chciałabym ci się wypowiadać tak szczerze nawet z grzesznych myśli moich, jak przed kapłanem na ostatniej spowiedzi. Ale czyż ja sama siebie rozumiem? czy ja władam sobą? To, co mnie teraz otacza, od dnia śmierci człowieka, którego imię noszę jeszcze, i po którym zostały mi resztki ciężkich kajdan, dźwiganych długo—zdaje się jakby w sen gorączkowy życie moje zmieniło. Syn mój, o przeznaczenie! przywiódł mi tu tego człowieka, którego starałam się, a nie mogłam zapomnieć. Stał przedemną, widmo żywe młodości, zeschy liść tej wiązki kwiatów, której woń mnie poila... Kilkanaście lat surowa, niezbлагana dla siebie, bez łzy, bez jęku, zimna, kamienna, znosiłam straszliwą torturę. Słyszałam, patrzałam niemal jak on się szarzał, upadał i upadał... myślałam, żem zobojętniała, że jeśli co zostało we mnie z dawnych uczuć, to się jak wino w ocet z gniewu zmieniło. Ale któż pojmie co jest za potęgą w młodości i węzłach, które się latami młodemi sprzęgają!? Na korze młodego drzewa ledwie znaczną ktoś nakreślił głoskę; rosła ona, zolbrzymiała, stała się raną otwartą, niezgojoną... i drzewo ściąć trzeba, aby to znamię zniweczyć. Wrosło w jego rdzeń, wypiętnowało się w tkance, nieznaczące z razu, na starość jest niestartą blizną. Tak dzieje się i z miłością dni młodych. O moja najdroższa! obraca się ona w nienawiść, w gniew, w pogardę; a na dnie ich wiekuje

niezwalczoną namiętnością. Z pogardą przyjęłam tego człowieka, mówiłam z gniewem do niego, piorunowałam go oczyma, a łzy z nich ciekły, i chwilami temu zwiędłemu, skalanemu człowiekowi chciałam się rzucić na szyję, lub do nóg upaść i płakać... I płakać, ażeby ze łzami dusza poszła, która nigdy, nigdy zaspokojoną być nie może, a jednak nigdy miłości upokarzającej pozbyć się nie potrafi! Praca lat kilkunastu nad sobą, siła moja, panowanie, w proch się rozpełzły; siebie nie poznaję. Wypędzam go... i lękam się, aby nie poszedł; brzydzę się nim... i głosu jego, tego śpiewu dni wiosennych, słucham z rozkoszą; męczę się mojem spodleniem, niedolą... i czuję, że w paszczę smoczą pójde słaba, złamana, gdy mnie zawoła, że zapomnę obowiązków, dziecięcia, żałoby, którą noszę, imienia!... Wstyd mi siebie, a umrzeć nie umiem, a żyć bezecna pragnę. Ażebyś pojęła całą nędzę moją, powinnabym ci odmalować tę istotę, która we mnie wstręt obudzając, pociąga szatańskim urokiem. Kochałam go niegdyś młodym, pięknym, pełnym szlachetności i zapału. Co za ruinę straszną uczyniły z niego lata! Szyderski, sterany, zimny, bezwstydny, czego nie mówi usty, każe się domyślać postawą, wzrokiem, ruchem, atmosferą, która go otacza... Jest to anioł upadły, czarny, spalony, a ja skazana jestem widzieć w nim i pod nim anioła marzeń moich. Gardzę nim i kocham go namiętnie, brzydzę się i żyć bez niego nie mogę; czuję że będę nieszczęśliwa, że się zmażę słabością, że z tego tronu wdowiego, na którym siedzę królową, zejść będę musiała na niewolnicę wzgardzoną i służebną... a... nie już mnie powstrzymać nie potrafi. Pożegnałam go, odpędziłam jako Spytkowa; alem wyszła po chwili, przyciągając go

słowem łagodném, jak dawna kochanka. Nawet widok ludzi i dziecka mnie nie powstrzymał... Płacę nad sobą gorzkiemi łzami. Chwilami winy wszystkie przypisuję sobie... to znów jemu; pałam zemstą i łzy leję. Na domiar nieszczęścia, przypomnij sobie nieprzyjaźń wiekuistą rodzin, którą ja odziedziczyć powinnam... Nie jestże to fatalność? Powiedz mi, co mam czynić? Modlitwa nie pomaga, Bóg nie słucha..."

Niedziw, że po tym liście wyjazd do Warszawy pierwój postanowiony, wkrótce odłożony i zapomniany został. Pani Spytkowa dni spędzała w kaplicy, kilka razy wyjeżdżała na polowanie, zamykała się w swoich pokojach, z synem była milcząca i o podróży nie mówiła wcale.

Jaksa się nie pokazywał, choć zaproszony, a Eugenek wcale też nie myślał go szukać i przyciągać. W Mielstżyńcach smutniejsze jeszcze może niż za starego pana, jak go zwano, poczęło się życie.

Matka spostrzegła zmianę wielką w synu, ale przyczyn jej nie umiając odgadnąć, przypisywała to wiekowi; poleciła tylko panu Zarankowi, aby się go starał rozerwać i zabawić.

Dni płynęły roztopionym ołowiem, ciężkie, duszne, nieprzeżyte. Często nieszczęśliwa niewiasta pragnęła bodaj piorunu jakiego, coby je przerwał płomieniem i zniszczeniem... Nic nie przychodziło.

Krótki przeciąg czasu wydawał się wiekiem... Ludzie spoglądali, wzdychając, na wdowę, na paniczka, i nic dobrego nie rokowali z ich twarzy i posępnego milczenia.

Obiecywało się to przeciągnąć do nieskończoności, bo nikt odwagi nie miał na krok jakiś stanowczy, gdy jednego rana oznajmiono pani starego jej plenipotentą,

owego Dziegielewskiego, który za Spytką już nieograniczone posiadał zaufanie rodziny i w ręku swoich miał zarząd i wszystkie dotyczące Spytków sprawy. Był to starzec siwy, ale czerstwy, człek niepószlakowanej poczciwości, chłodny na pozór, a w rzeczy pełny przywiązania do domu, i kochający rodzinę pańską jak swoją. Widywała go w kaplicy wdowa, czasem na chwilę w dni świąteczne u stołu, lub gdy jakiś interes wymagał podpisu, rzadko jednak trafiało się coś tak pilnego, by o osobną audyencję prosił pani.

Tym razem zażądał jęj pilno i przyszedł zafrasowany widocznie. Dosyć było pani Spytkowej spojrzeć na niego, aby coś niepomyślnego odgadnąć. Stary Dziegielewski skłonił się, a na zapytanie, co go sprowadza? osądził za słuszne nie obwijać prawdy w bawelnę.

— Przychodzę ze złą wprawdzie wiadomością, a przynajmniej z kłopotem—rzekł,—ale w istocie nie jest to nic nowego, choć wygrzebanego z nowém przygotowaniem groźném. Będziemy mieli proces...

— Z kim? o co? zapytała wdowa. Pan wiesz, że wszelkiego powodu do spierania się po sądach mąż mój unikał. Cóż się stało? co zaszło?

— Jest to rzecz stara, śmieszna, przedawniona; a jednak mogąca wiele kosztować i pieniędzy, i pokoju. Zrobić nam nie nie zrobią, ale męczyć mogą.

— Któż? co? za co?

— Proces to kilkadziesiątletni, zgrzybiały, ale nudny być może w nowych rękach zapobiegliwego i zręcznego człowieka. Spytkowie, nabywając Mielsztyńce dwieście lat temu z okładem, nie dopilnowali się należycie. Majątek był prawie jeszcze niepodzielony;

brat, który go sprzedawał, choć nim władał, nie miał ustępstwa formalnego od rodziny. Sprzedaż była w dobrej wierze zrobiona ze stron obu, ale nieprawna. Rodzina sprzedającego po jego śmierci wytoczyła proces o Mielsztyńce, o posiadanie nielegalne. Walczyliśmy o to; ale sprawa gaszona, tłumiona, przewlekana, nigdy całkiem nie była ukończona. Nie wiem jaką drogą owa pretensya do Mielsztyniec przeszła w ręce ojca Jakсы.

— Więc to pan Jaksa? spytała wdowa żywo.

— Nie, nie on, jak się zdaje—rzekł Dziegielewski,—ale ktoś, co nabył czy dostał prawa jego, zapewne dawniej czy teraz, nie wiem... p. Nikodem Repeszko—dodał pełnomocnik.—Repeszko jest sąsiadem Mielsztyniec, *homo novus*, niedawno tu przybyły i mało nam znany, ale dotąd nie z najlepszej strony. Jest chciwy, przebiegły, twardy... proces z nim, to może być rzecz wiekuista. Wygramy go, ale nas będzie ciągał po trybunałach bez końca.

— Wszakżeby go można pewnie zagodzić czémś? spytała wdowa trochę niespokojnie.

— Tak i ja sądziłem, odparł Dziegielewski, który chłodno brał rzeczy i strwożonym się być nie zdawał: tak sądziłem, i nim przyszedłem niepokoić panią moją, jeździłem do niego, myśląc, że się to da lada czém raz na zawsze załatwić. Ale człek słodki jak miód, okazał się twardym jak kamień. Roześmiałem mu się w oczy, gdy mi na seryo powiedzieć śmiał, że mu się całe Mielsztyńce, ni mniej ni więcej, należą. Po takim wyznaniu, nie było co traktować nawet z szalonym... ale...

— Możeż to być groźném? podchwyciła wdowa.

Ja nie znam prawa, ale prosty rozum wskazuje, iż posiadanie dwuwiekowe samo już daje pewną rękojmię, że było na czémś oparte, że...

— Tak jest! przerwał starzec; ale jeśli w przeciągu tych lat dwóchset nieustannie co rok, co kilka, powtarzano manifesta, protestowano przeciwko gwałtowi, zastrzegano się od przedawnienia, naówczas trybunały uwzględnić to muszą. Nie sądzę, byśmy przegrali, ale proces będzie długi i kosztowny.

— Dla obu stron? odparła wdowa.

— Zapewne, z tą różnicą, że majątniejszych zawsze on więcej kosztuje...

— Jestże na to jaka rada?

— Będę się starał wyszukać ją... ciszej odpowiedział plenipotent. Tymczasem osobnego potrzebuję upoważnienia i osobnych na to funduszków...

Już po tych naradach, które się wprędce skończyły, staruszek wychodził, gdy pani Spytkowa zawołała:

— Mówiliście mi—rzekła—że pretensyę tę do Mielstzyniec nabyli Jaksowie. A więc od kasztelanica ona przeszła do tego pana. Zdaje mi się, iż nowy sąsiad nie tak dawno nabył Studzienicę, więc później jeszcze musiał dostać ten proces. Nie czujecież w tém ręki... ręki naszego dawnego nieprzyjaciela... kasztelanica, który zdawał się przecię przejednany i zbliżył się do nas? Nie jest-li to jego sprawa? nie należałoby...?

Nie dokończyła, stary powrócił od progu.

— Dla różnych przyczyn—rzekł ciszej—unikalem wspomnienia tego pana. Nie chciałem uszu pani trudzić opowiadaniem o nim. Jednakże toż samo właśnie przyszło mi na myśl, i spowodowało, że zaraz w początku, mimo największego wstrętu do osoby,

udałem się do tych nieszczęsnych Rabsztyniec. Domyślałem się w tém wszystkiém roboty machiawelskiej człowieka, dla którego nie świętém nie jest...

Pani Spytkowa zadrżała i spojrzała bystro na Dziegielewskiego. Stary był spokojny, i mówił nie domyślając się, jakie wrażenie słowa jego uczynić mogły.

— Pojechałem, ciągnął dalej, do tego wilczego gniazda. Jakimś cudem go tam zastałem, bo to się włóczy i łucze, jak Marek po piekle, całe życie. No, ale tym razem siedział w domu. Co za dom! cygański szalas często pozorniej się wydaje.

— Jestże w takiej nędzy?

— Niewątpliwie, bo nieład i rozpusta prowadzi ją za sobą—mówił plenipotent. Przyjął mnie, widocznie domyśliwszy się zaraz o co chodzi, choć udawał, że nie wie i nie rozumie. Gdym zagaił sprawę, cóż? oto dowiódł mi czarno na białém, że nie on Repeszce odstąpił tych pretensyj, ale ktoś inny, któremu on, jakoby żadnej do nich nie przywiązując wagi, oddał je w małym długu przed laty... W istocie są dowody, ciągnął dalej Dziegielewski, że pretensya przez trzecią osobę cedowana była temu Repeszce. Ale te dowody weale nie nie przekonywają, bo w sprawie z takimi ludźmi nigdy nie ma téj twarzy, którąby mieć powinno—zawsze się fałszu domyślać potrzeba.

— Cóż jest za cel w tém wszystkiém? spytała kobieta, płonąć i bledniejąc.

— Czas dopiero rozświecić to może—z cicha szepnął Dziegielewski. Procesowaliśmy się długo, mamy za sobą powagę czasu i dekretów, mamy posiadanie rzeczywiste, stosunki, pieniądze; baćby się niczego nie należało, gdyby na świecie było coś pewnego i przewidywanego. Nieszczęściem ludzie są cheiwi i źli, czasy

nie najlepsze, miłość sprawiedliwości wygasa, interes ją zastępuje.. To pewna, że się bronić dzielnie będziemy, że ja sił wszelkich dołożę, i pani możesz być pewna...

— O! ja jestem spokojna, przerwała Spytkowa. Ale... szepnęła ciszej po chwili—nie dobrzeby to było, gdybym ja sama spróbowała pomówić albo z Jakśa...?

— Ale on od tego ręce umywa...

— No, to z Repeszką?

— Z nim nie warto! zawołał Dziegielewski; wzbiło by go to w pychę. Ja się staram śmiać z niego i lekceważyć go, żeby sobie zbyt nie tuszył... Widząc nas spokojnymi, może zwątpi; trwogaby mu sił dodała, a gdy się zawaha, zawsze czas będzie lada czém sprawę uspokoić.

— Rób pan, jak uznasz za właściwe, rzekła wdowa w ostatku. Musimy to znosić, nie mogąc od razu złamać. Mówisz wszakże, iż się to groźném nie wydaje?

— Tak jest, odpowiedział Dziegielewski: nie sądzę, aby to Mielsztyńcom mogło grozić, chyba by już w naszej Rzeczypospolitej krzty sprawiedliwości nie było.

Tegoż dnia, z rozmowy przy obiedzie, dowiedział się o wszystkiém Eugenek. Słuchał powieści z uwagą wielką, dopytywał się o nią, a bystrym umysłem sięgnął od razu do głębi, chociaż jej dna dojrzeć nie mógł. Nie rozumiał on dobrze rachub, czuł wszakże rękę mściwą Jaksy, i przekonany był, że cała robota od niego wyszła. Twarzyczka młoda rozplomieniła mu się od gniewu, oko zaiskrzyło; ale ten podstępny

sposób nękania obudził w nim razem wzdargę niewypowiedzianą.

Tymczasem proces, rozpoczęty jakoś na pozór bez wielkich wyteżeń i zapobiegań ze strony. Repeszki, z cicha i ostrożnie, wprędce nadzwyczaj groźne przybrał rozmiary.

Dzięgielewskiemu zdawało się z powolności ruchów nieprzyjaciela, z nieśmiałości poczynionych kroków, z braku stosunków, że sprawa pójdzie żółtim krokiem i wytartą koleją. Sądy były z nią obeznane: puszczano ją dawno z uśmiechem *per non sunt*; godziło się sądzić, że i teraz tak będzie. Ale tu mistrzem się pokazał dopiero godny pan Repeszko. Nigdzie śladów nogi jego widać nie było, nigdzie głosu nie słychać, przecież skutki potajemnej roboty mocno się uczuć dawały. Pogląd na sprawę całkowicie się zmienił; przybrała ona fazygnomię groźną, bo się wystawiała jako dowód wiekowego ucisku i preponderancyi możnych nad biedniejszymi, zyskiwała sympatyę drobnój szlachty, urzędników, palestry. Nie szło już o Mielsztynice, ale o zasady—a wiek był po temu, by się o nie rozpierano wszędzie, gdziekolwiek cień ich się ukazał. Nadzwyczaj zręcznie memoryalami poparta pretensya, uzyskala rozgłos, stała się przedmiotem rozmów, roznamiętniała ludzi, trzymała sędziów pod naciskiem opinii publicznej, zawsze skłonnój do popierania tego, co krzyczy i hałasuje.

Tego się najmniej spodziewał Dzięgielewski, ufny w szacunek powszechny, który otaczał dom Spytków. Przerażały go rozmiary, jakie proces przybrał w początkach. Prawnicy, których się radził, potrzęsali głowami: wszyscy dotąd utrzymywali, że sprawa przegrana być nie może; ale już przebąkiwano, że się dla

świętego spokoju dobrze trzeba będzie opłacić. Dziegielewski udał się do Repeszki, ułożywszy z nim spotkanie w domu znajomych. P. Nikodem łagodniuteńki, miły, przejęty najszlachetniejszymi uczuciami, składał ręce, kłaniał się, zaklinał, uśmiechał, ścisnął Dziegielewskiego, ale w żadne układy wchodzić nie myślał... Utrzymywał, że poniósł tak znaczne koszta, nabył pretensyę tak drogo, opłacił trybunały tak sownie, iż dziś chybaby mu dano całe Mielsztyńce, a jutro to jeszcze do nich coś dodać przyjdzie. Summa, do jakiej urosły jego rachunki, była olbrzymia do śmieszności. Nie można było mówić z tym człowiekiem.

Dziegielewski stary, przywykły do spokoju, sumien-ny, po tém spotkaniu tak się zgryzł myślą, iż wszystkiemu był winien, z razu lekceważąc nieprzyjaciela, że przyszedłszy do domu, położył się w łóżko...a w kilka dni biedaka poprowadzono na cmentarz... Miał wprawdzie lat siedmdziesiąt siedm, te dwie siekierki straszne, co tylu ścinają ludzi, ale byłby pożył pewnie do dziewięćdziesięciu, gdyby nie sprawa nie-szczęśliwa.

Zacny a pobożny Repeszko, co admiirowano niezmiernie, poszedł ze świecą za jego pogrzebem, i rzu-cił garść piasku na oczy starca, a nawet łez kilka uronił. W istocie niepospolita była to dla niego gratka; starego takiego pełnomocnika, wtajemniczonego we wszystko, niełatwo zastąpić. W pierwszej zaraz chwili, nim się opamiętano, p. Nikodem popędził sprawę i otrzymał dekret niespodziewany, nieprzewidziany, dla siebie nader pomyślny. Wiadomo, jaki w podobnych razach wpływ wywierają wyroki niższych instancyj, jak utrudniają obronę.

Strwożono się niepomalu w Mielsztynicach, i było czego zaiste. Idąc tą drogą, sprawa mogła pozbawić Spytków prawie całego ich majątku. Proces wprawdzie trwać musiał długo; ale zręczny Repeszko, nie doszedłszy końca, mógł sobie nawet posiadanie dóbr wyrobić. Człowiek ten w szarój kapocie, klaniający się nisko, nbogi, okazał się tak dziwnie zręcznym, że po nim się wszystkiego obawiać było można...

Był teraz w swoim żywiole, lepij niż wyglądał. Szczerze powiedziawszy, przyczyna tego była bardzo prosta. W zwykłym trybie jego życia post i chleb suchy a licha strawa nawet w niedzielę się nie zmieniały. Rozpoczynawszy proces, Repeszko uznał, stosując się do miejscowych obyczajów, że ludzi potrzebnych papką najlaćniej ujmować, że często inaczej nawet pozyskać ich sobie niepodobna; potrzeba więc było wydawać obiady, wieczerze, śniadania i podwieczorki. Zmuszony do tój fatalnej ostateczności, Repeszko gospodarując, przynajmniej za swoje pieniądze objadał się za każdym razem jak mógł najobjficiej... Przy własnym stole wyglądał na zgłodniałego pasorzyta, chwytając półmiski, wybierał kawalki, polykał nieprawdopodobne stosy jadła. To go na cerze i na objętości nawet poprawiło. Postrzegł sam, że pas, który dawniej bardzo długie miał końce, stawał się coraz krótszym. W najgorszym razie to już było pewnym zyskiem w procesie. Ale i sam ów proces wiódł mu się nadzwyczaj szczęśliwie; p. Nikodem był kretem, do tego rodzaju robot stworzonym.

Po śmierci Dziegielewskiego interesa jego objął młody pomocnik, człowiek do zbytku bojaźliwy i przejęty wielką odpowiedzialnością, jaka spadła na niego. W niepowodzeniu stracił głowę i rzucił popłoch w do-

mu. Pani Spytkowa dowiedziała się nagle, że sprawa nadzwyczaj groźne przybiera rozmiary. Z zimną na pozór krwią przyjęła tę wiadomość, nie dając znać po sobie ile ją ona obeszła. Eugenek wypadkiem był temu przytomny. Mileząc i siedząc na stronie, nie stracił jednego słowa; twarz mu pobladła, ale się nie odezwał.

Wypadało działać, nie tracąc czasu, zapobiedz dalszym krokom, użyć ludzi obeznanych z tego rodzaju sprawami, a nadewszystko wpływów wszechmogących, stosunków z osobami wyżej położonemi, od których zależało prawie wszystko. W tej epoce demoralizacyi i zepsucia, które przyszło powoli, choć głos sumienia często się odzywał, protekcyę robiły cuda, bez nich nie można było stąpić kroku. Nie miał ich pan Repeszko, ale je zastępowała u niego drobnostkowa zapobiegliwość, zręczność i pieniądz, który dawać umiał. Spytkowie mieli niegdyś rozległe stosunki pokrewieństwa z pierwszymi w kraju domami, znaczenie u dworu; ale długie usunięcie się ich ze sceny, zamknięcie na wsi, zerwanie dobrowolne z ludźmi, pozbawiło ich dawniej wziętości. Potrzeba było teraz dopiero, w chwili niebezpieczeństwa, odszukać pokrewieństwa, znajomości, przypominać się i oznajmić, że się jeszcze żyje.

Po wyjściu prawnika, pani Spytkowa rzuciła się w krzesło, zamyśliła się smutnie i zapłakała gorzko. Zostawała jęj ledwie jedna Łucya, przez którą do osób wpływ mających trafić mogła; ale i ta niewielkie miała znaczenie.

W tém wszystkiém zemsta kasztelanica, jakkolwiek ukryta, dla niej była widoczną, dotykálną. Oburzała się na to prześladowanie, którém usiłował ją złamać, a jednak mimo woli serce jęj pojmowało go,

rozumiało, że reszta niedogaslój namiętności mogła tylko do téj ostateczności go skłonić. Uczucie, jakiego doznawała dla dawnego, pierwszego przyjaciela młodości, składało się z téj wzdargy i miłości zarazem, które ją czyniły niecznośną męczarnią. Z duszą rozdartą sprzecznemi uczuciami, niepewna co począć, płakała jak słaba kobieta. Ale wyrobiona kilkunastu latami cierpienia energia zbudziła się wreszcie, oburzenie przemogło, myśl o przyszłych dziecka losach dodała odwagi.

Był to dzień późnej jesieni, ale pora pogodna i ciepła. Lasy złociły się już przedśmiertnemi barwami; po polach słały się nici pajęczce; w powietrzu była cisza dziwnego tęsknego uroku... Pani Spytkowa miała zwyczaj przejeżdżać się konno, od owdowienia jednak swego polowania prawie zaniechała; rozrywka ta, przypominająca jój ciężkie lata, w których była jedyném roztargnieniem i chwilą swobody, teraz jój stała się obojętną. Czasem jednakże kazała podać wierzchowca, i ludzie do tego przywykli, że sama jedna puszczała się w cwał na lasy, po kilka godzin bujając tak z myślami i bolem, z dala od natrętnych świadków. Z południa tego dnia zadzwoniła i kazała sobie podać karego wierzchowca, który stał prawie zawsze gotowy. Przyprowadził masztalerz, chcąc pani towarzyszyć, ale go odprawiła, zapowiadając, że sama chce krótką uczynić przejażdżkę.

Nie było w tém nic nadzwyczajnego; puściła się więc samotna ku swoim ulubionym lasom i nikt się nie zdziwił, że z pięknego wieczoru chciała korzystać. Są czasem dziwne trafy, których nie wytłómaczyć nie może, a od których wiele w życiu zależy. Pani Spytkowa czuła i wiedziała, że nie szukając go, spotka

dnia tego Jakse; puściła cugle koniowi i przyspieszyła bieg jego w tę stronę, gdzie były Rabsztyńce. Powiedziała sobie w duszy, że jeśli go spotka, stanowczo raz z nim rozprawić się musi...

Jak? o tém nie wiedziała sama. Pragnęła użyć dawniej nad nim przewagi, aby go od prześladowania odciągnąć; nie była jednak pewna na czém się może skończyć rozmowa. Chciała być groźną i straszną, ale się lękała słabości zarazem. Jechała z jasnowidzeniem, że jój nie minie spotkanie z kasztelanicem. Chwilami strach ją ogarniał i pragnęła wrócić... a jednak jechała dalej... ciągnęło ją coś i popychało.

Gdy z dumań tych, którym gwałtowne bicie serca towarzyszyło, rozbudziła się, gałęzie drzew na wąskiej ścieżce leśnej biły ją po twarzy; była wśród gęstwin dobrze sobie znanych... Na krętej drożynie wiodącej do Rabsztyniec, koń niekierowany szedł sam dziwnym jakimś instynktem... Serce uderzało w piersi coraz gwałtowniej: obawiała się podnieść oczy, tak pewna była, że go zobaczy...

Jakoż tętent drugiego konia dał się słyszeć po za nią, coraz bliżej, coraz bliżej... Na ścieżce mignął jeździec... był to Jaksa, w myśliwskiej stariej kurcie, w ubraniu prawie odartém, z twarzą bladą, wyschlą, straszną niemal wyrazem pośępnym i groźnym.

Zobaczywszy i poznawszy wdowę, zatrzymał konia nieco; zdawał się namyślać, czy ma zawrócić się, czy minąć ją; potem go ścisnął ostrogami i w susach kilku, uchylając czapki, przebiegł nie zatrzymując się. W przelocie spotkały się dwa wejrzenia nieokreślonego wyrazu: groźb, żalu i gniewu więcej w nich było niż miłości. Spytkowa zarumieniła się, chciała krzyknąć; lecz głosu jój zabrakło z razu. Potém zawołała:

— Stój!

Kasztelanie się odwrócił, koń jego wrył się w ziemię, tak silnie targnął cuglami.

— Stój! powtórzyła, zacinając karego, pani Spytkowa. Choćby nawet miano nas tu spotkać, podejrzeć, podsłuchać i roznieść po świecie, że w lasach szukam pokryjomu waćpana—mniejsza już o to; raz musimy się rozmówić z sobą... Szukałam go w istocie...

— Mnie? wy? zapytał cicho i prawie zawstydzony Iwo—mnie? pani?

— O! nie kłamże, człowiecze bez wstydu i bez serca, który znasz tylko namiętność, a nie rozumiesz poświęcenia, nie kłam!—gwałtownie zawołała kobieta. Wiedziałeś, że mnie przywiedziesz do tego, pracowałeś na upokorzenie, na łzy moje... szło ci o nędzne to zwycięstwo pychy, otrzymane przewrotnemi, lichemi, niegodnemi was środkami.

— Nie rozumiem, odparł Jaksza—wszak żadnych nie ma już między nami stosunków... Cóż ja...

— Ale nie kłam, przewrotny, i zarumień się! powtórzyła kobieta. Któż, jeśli nie ty, narzucił nam ten proces? Nękaś mnie i prześladujesz. Powiedzże, czego chcesz? czego żądasz odemnie?

Kasztelanica twarz się zmieniła, obawa pierwszej chwili, czy wstyd może, ustąpiły z niej. Ironiczny uśmiech paczył mu usta, oczy błyskały z chmurnego czoła...

— Czego ja chcę? zawołał,—to pani wiesz tak dobrze jak i ja. Chcę napowrót serca, dłoni, ciebie... kobieto... któraś powinna była być moją!

— I zdobywać mnie chcesz zemstą, podstępem?...

— Czém mogę. Zamknięte serce, jeśli go nie otwo-

rzy promień uczucia, jak konchę zamkniętą potrzeba nożem rozedrzeć...

— Skrwawić.

— I zabić choćby... bo na grobach pokój rośnie.

— Ale ja się brzydę tobą...

— Ale ja was nienawidzę także... Tylko—dorzucił kasztelaniec—moja nienawiść jest jeszcze namiętnością, co się w najgwałtowniejszą miłość na skinienie twe zmienić potrafi.

— Tyś podły! zawołała drżąc kobieta.

— Tak, podły jestem, spodliłem się dobrowolnie, tarzam się w błocie, to moją gorączkę osładzał! Cóż mam do stracenia?...

— Tyś mściwy! tyś bez litości!...

— Zemsta rzecz dodatkowa, rzekł chłodno Jaksa; ona się tu doskonale godzi z moją dla was namiętnością. Spytek mi wydarł narzeczoną, nadzieję, młodości szczęście; ja Spytkom wydrę majątność, dziecięciu matkę i opiekunkę... i zginię...

Kobieta krzyknęła... Jaksa, którego gniew unosił, powstrzymał się.

— Alboż moja zemsta—zawołał zmieniając głos—nie jest obowiązkiem mojej rodziny i przeszłości? Alboż myśmy mało cierpień od nich? Nie mamyż prawa oddać im wet za wet? Patrz, do jakiej nędzy przywiedli oni Jaksów! Czyż robak wreszcie nie ma podnieść głowy i bronić się, gdy może 'ukąsić?—A wy... cóż wam do nich? Dość tego! To plemię skarłate skazane jest na zgubę!

— Moje dziecko! zawołała Spytkowa—moje dziecko!...—I więcej wymówić nie mogła.

Jaksa zamilkł.

— Nie wasze to, ale ich dziecko, rzekł chmurnie

znowu; niech pójdzie spróbować nędzy, upokorzenia, osamotnienia, któremi ja się poilem. Czas mu do tego kielicha. Nie, nie będę miał litości! Tak jest! Ten proces ja wam rzuciłem na barki, i zniszczę was nim...

— I sprawiż ci to rozkosz, człowiecze bez duszy?

— Sprawi, bo innéj nie mam. Pożeram głodny co mi los daje.

— A, bezduszny! zawołała zmieszana, prawie ze łzami Spytkowa. Więc nawet dla mnie, w imię przeszłości, rozbroić się nie dasz i zmiękczyć?

— Wy zniżacie się do prośby?

— Nie proszę... przeklinam!...

— A jednak moglibyście odwrócić niebezpieczeństwo, rzekł Jaksa; ale musicie zerwać z przeszłością, poświęcić mi Spytków, być moją, oddać mi rękę...

Spytkowa zmierzyła go wzrokiem groźnym.

— Tak, rzekła z uśmiechem gorzkim: wprowadzić was na ten zamek, uczynić ojczymem dziecka, które nienawidzisz... spodlić się przed światem... Sądysz mnie do tego zdolną...? Nie! raczej umrzeć!...

— Więc wyście pragnęli tylko, w imię dawnéj miłości, rzucić mi jaki ochłap swojego bogactwa, jak nędzarzowi, jak rozbójnikowi, i odpędzić precz? Wytargować za uśmiech swobodę, mienie, przebaczenie, i pozbyć się Jaksy natrętnego?! To się tylko w sereu niewiasty urodzić mogło... Znacież mnie takim, jakim kilkanaście lat chłosty mnie uczyniło? wiecież wy, żem wściekły, żem zły, żem ostygły, i że nawet reszta miłości dla was zapłynęła żółcią, tak, że miłość jest gorzycą i rozdzielić ich już nie można? Baranka łagodnego chcieliście mieć ze mnie; ale jam wilczyisko wściekłe!

— Chcecie mnie zastraszyć—odparła wdowa. Po-

winniście pamiętać, że i ja nie jestem ową słabą, łzawą niewiastą, jaką byłam... i ja...

Ale gdy to mówiła, łzy popłynęły jej z oczu i łkanie przerwało mowę. Jaksa patrzył milczący. Czego wspomnienia nie dokonały, to cudownie łąza jedna spełniła: serce się jego poruszyło—zmiękł, posmutniał, zmienił się. Konia swego zbliżył ku wdowie, zamysłony, pośpyny, ale widocznie wzruszony.

— Jeszczeżby—pomyślał—mieli mnie i przez nią starzy wrogowie nasi zwyciężyć? i przez nią... przez tę, która była moją... którą mi odebrali, aby ją przeciwko bezsilnemu obrócić?!... Powiedz—począł z cicha—powiedz mi, nie maszże ty litości żadnej? Chcesz, bym się wyrzekł zemsty, nadziei, bym dla twego spokoju, dla ocalenia ich, poświęcił się... zaparł, ginął?... Cóż mi dasz w zamian?... trochę litości i wiele pogardy... Ależ każdy ma swą chwilę zwycięztwa w życiu, a ja—bym miał być jej pozbawiony? Powiedz!... O, jakże dziwnie splotły się nasze losy!... Stoimy zajadłymi nieprzyjaciółmi przeciwko sobie!

— I ty... ty mi *nie* nie chcesz poświęcić? łagodniej rzekła kobieta—*nie*!...

— Ja? Wszystko, odparł smutnie Jaksa. Tak jestem spragniony jednego dobrego słowa, że za nie... Ale ty mną pogardzasz...

— Bo zasługujesz na wzgardę...

— Lecz, lecz gdybym ci wszystko poświęcił... cóż mi dasz w zamian?...

Spytkowej zabrakło głosu.

— Nie zdobywaj mnie i szczęścia—zawołała żywo—gwałtem i musem; nie zabijaj wspomnień lepszych. Bądź wielkim i szlachetnym... Nie sprzedawaj mi uczu-

cia swego... Serce kobiety tylko tćm się odzyskuje
Nie poniżaj mnie, podnieś siebie!...

Kasztelanie dumał, oparty na siodle.

— Kusicielko! zawołał: rozbroić mnie chcesz i rzuć potćm jak łachman na drodze, aby mnie ludzie stratowali... Ha! stań się wola twoja!... Dosyć cierpiałem, mogę już docierpieć do końca. Kochałem cię i kocham nawet tą zemstą i nienawiścią; poddam się. Zetrzćj mnie. Ale słuchaj kobiet! jeśli jest Bóg, sprawiedliwość, niebo i piekło... kara i nagroda... to spytają cię na innym świecie o dolę moją. Trzymasz ją w ręku. Zrobić wszystko czego żądasz... spełnię rozkaz! Jam twój, ja nie dopominam się o nic, nawet o uśmiech i spojrzenie. Bądź spokojna. Jaksowie zgina, ale ićć grób... będzie godzien, byś na nim lżę wyłała.

Spiął konia, skłonił głowę i zniknął.

Spytkowa stała długo 7w miejscu, z oczyma łez pełnemi, nie wierząc jeszcze otrzymanemu zwycięztwu. Sam koń jćj rżąc zawrócił się ku domowi i niekierowany ręczo się puścił do Mielsztyniec. Gdy stanął przed gankiem, zsiadając załedwie mogła pani Brygida zdać sobie sprawę z tćj sceny dziwnćj, nieprawdopodobnćj, a zakończonćj dla nićj jeszcze niezrozumiałym tryumfem.

P. Nikodem Repeszko wławnie był powrócił z Lublina, w dosyć dobrćm usposobieniu umysłu, zadowolony z siebie, obrachowując wcześniej przysłć zyski, ja-

kie mu szczęśliwie prowadzona sprawa niechybnie dać musi, gdy drzwi się otworzyły nagle (ledwie czas miał trzos leżący na stole wsunąć pod poduszkę) i wszedł kasztelan. Mimo że mu wiele teraz zawdzięczał, Repeszko zawsze się go obawiał, i każda jego bytność przejmowała go jakimś strachem. Tym razem jednak, spojrzawszy na twarz, znalazł Jakse tak zmienionym, tak posępnie łagodnym, tak jakoś niegroźnym, że mu otucha wprędce do serca wróciła. Nic nie mówiąc, kasztelan usiadł.

— Słuchaj-no, mospanie Repeszko, odezwał się: mam do ciebie interes... Przypominasz sobie zapewne, kiedy ci raz pierwszy ustępstwo moich pretensyj do Mielsztyniec przyniosłem, zapowiedziałem wyraźnie z góry, iż może przyjść chwila, gdy ci powiem: „Nie pójdziesz dalej—dosyć!” Otoż ta chwila przyszła... *Dosyć.*

— Jak to? zapytał przelekły Repeszko,—jaka chwila? co miało przyjść, najszanowniejszy mój dobroczyńco i łaskawco? Ty, którego nieocenioną przyjaźnią się zaszczytam... żarty chyba raczysz sobie czynić z pokornego sługi swego.

— Ja nigdy w życiu nie żartuję, odpowiedział spokojnie kasztelan; szydę czasem, to co innego.

— A czasem straszę—dodał wdzięcząc się, ale zbladły gospodarz.

— Mylisz się, przerwał znowu Jaksa: nie straszę nigdy, chociaż biję czasem.

— Ale to są... ot tak...

— Bynajmniej, mówił Jaksa, bynajmniej. Proces doszedł do tego kresu, który ja mu w myśli naznaczyłem, i mówię: *dosyć.*

— Nie tak to łatwo zrobić, jak powiedzieć, prze-

bąknął zafrasowany Repeszko... Cóżby to było?... Toż to ruina, hańba dla mnie i choć iść z torbami... Wszakże ja na tę przeklętą sprawę zadłużyłem Studzienicę... wyłożyłem...

— Słuchajże mnie. To, coś wyłożył, obrachujemy, dam ci nawet zarobić, bo taki człowiek jak ty spuszcza się ze smyczy, aby choć skoki zajęcze miał w zysku.

— To ostro! to bardzo ostro! rzekł chmurno Repeszko. Jak Jezusa miłuję, kto inny na mojem miejscu się gniewał; ja to biorę z dobrej strony... Kochany kasztelanie dowcipuje! dowcipuje!

— Bierz z jakiej chcesz, to mi wszystkò jedno... a com powiedział, spełnić się musi do joty.

Pan Nikodem, spojrzawszy na gościa, [padł jak osłabły na swoje twarde łóżko; pot mu spływał po skroniach, załamał ręce.

— Za nadto ci się bo znów chciało, rzekł zawsze bardzo łagodnie, z uśmiechem politowania kasztelanie. Gratkaby to była nieszpetna, ale... dla waści dosyć będzie skoków. Dawaj rachunki!

Repeszko jeszcze nie wierzył, jeszcze się wzdragał; nakoniec, acz cierpliwy, bo tchórz, pomyślał spróbować gniewu i oburzenia.

— Ale to tak nie może być! zawołał: to pójdziemy się rozprawić przed sądy. Ja, ja...

— Chyba przed trybunał najwyższy, rzekł Jaksa: bo ci zapowiadam, że jak psu w łeb ci strzelę—potem może sobie—ale że cię kula nie minie, tego możesz być najpewniejszy. Rachunki! natychmiast! krzyczał Jaksa, bijąc pięścią w stół,—i milczeć, bo ubiję!...

Gospodarz spojrzał na drzwi i chciał się wymknąć, ale Jaksa nie żartował: olbrzyma tego z małą głów-

ką pochwycił, za kark i rzucił nim o łóżko. Potém z zimną krwią poszedł do drzwi, zaryglował je, schował klucz, wydobyl pistolet i położył na stole, powtarzając: — „Rachunki! natychmiast!”

Repezsko złagodniał.

— Ale mój najlaskawszy dobroczyńco... słowo daje, takię gorączki jeszcze nie widziałem. Ja jestem człowiek spokojny, Bogu ducha winien, zawsze nie-szczęśliwa ofiara... zawsze ofiara... Ludzie ze mnie co chcą robią...

— Rachunki! powtórzył Jaksa.

— Ale ojcze, dobroczyńco, laskawco!... tylkoż sam pomiarkuj. Niepodobna przecię z palca wyłamać rzeczy tyle skomplikowanęj jak rachunki procesowe... Wszak to, ojcze, morze do wypicia. Dajże czas!

— Kłam, dodawaj, szachruj, ale mi dawaj rachunki tu zaraz na stół, wołał kasztelan. Sknera taki jak ty nie może co do grosza nie wiedzieć ile miał w kieszeni i co wydał... Nie żądam od ciebie denarów, mów coś wydał!...

Repezsko znowu na łóżko upadł, i pochwyciwszy się za głowę, udawał, że mdleje.

— Kochanie, czas upływa, zawołał kasztelan. Komedyi nie lubię i mogę cię otrzeźwić tak, jakbyś sobie może nie życzył. Mnie pilno.

Naówczas gospodarz zaczął płakać i padł na kolana.

— Ojcze mój! zawołał składając ręce: gubisz mnie na fortunie i honorze. Cożem ci winien? Wpraszaleńże się w tę robotę?

— Ochłapy ci się przecię dostaną, odparł pogardliwie Jaksa. Ja z tego nie potrzebuję złamanego szelaga: pieniądz ten dłońby mi spalił. Wstawaj i mów!...

Targi trwały jeszcze chwilę, ale kasztelanie tak groźny, tak coraz się stawał popędliwszy, że załzawiony Repeszko musiał wreszcie przystąpić do ostatecznej likwidacyi.

Jakkolwiek summa zręcznie podstawiona była znaczna, bo przechodziła sto tysięcy złotych, zgodził się na nią Jaksa, dobył z kieszeni przygotowany reces, w który wpisał warunki, i natychmiast kazał na nim Repeszce się podpisać, *nomine, cognomine et titulo*. Zręczny wykrętacz chciał już dodać: *salvis juribus...* aby jakiś był kruczek, ale potracony, położył się na łóżko. Tu gorzko prawdziwemi począł płakać łzami.

— Posłuchaj pan, odezwał się po chwili, wstając: zgniotłeś mnie jak robaka, zrobiłeś ze mną coś-chciał; ale pamiętaj, że i mali na świecie coś znaczą, że mój przegryza makaty i skóry...

— Mój kochany, odpowiedział Jaksa: będziesz mnie sobie gryzł jak chcesz, nie na wiele ja się zdałem i z życia skwitowałem dawno... Idzie mi o jedno tylko, bym przekonał świat i tych, których opinia mi jest drogą, że z tego nieszczęsnego grosza nie wziąłem nic, żem się nie splamił. Musisz mi tedy pod przysięgą dać świadectwo, jako od ciebie niczego nie żądałem i w żadnej z tobą nie byłem spółcą.

Podpisanie ostatniego dokumentu już przyszło bardzo łatwo; przysługiwał on do pewnego stopnia Repeszce, bo mu zabezpieczał całą jego sumę.

— Teraz, rzekł Jaksa, ponieważ chwili nie mam do stracenia, idź gdzie chcesz płakać nad niedolą swoją, a mnie tu zostaw, abym listy popisał, które mój Zacharyasz natychmiast powiezie.

Zdaje się, że pograżony w smutku i tak nagle upadły z wyżyny swych marzeń p. Nikodem, nie słyszał

nawet co do niego mówiono. Ze spuszczoną głową, z załamanymi rękami, siedział nieruchomy na łóżku. Kasztelanie gorączkowo się wziął do pisania. List do Spytkowej zawierał szczere, szlachetne, smutne wyznanie win, wykrycie planów, prośbę o przebaczenie, oraz papiery udowadniające, że Repeszkę tylko oplaciwszy Mielsztyńce być mogą spokojne.

W tém usposobieniu pocziwém ducha, w jakim był kasztelanie, czuł on, że to, co czynił, powinno było być całkowitą, bezwarunkową ofiarą.

List jego kończył się temi słowy:

„Łza twoja... pani mego żywota (nie zapomni czytelnik, że jesteśmy w ośmnastym wieku), obmyła ze mnie wszelki brud, którym nędza i cierpienie długie mnie okryły... Jestem i czuję się innym... Kocham ciebie! chcę dowieść, żem cię ukochał jak nie kochają na ziemi... Bądź spokojna! sterany szczątek człowieka nie przywlecze się do stop twych błagać litości i zebrać jałmużny!... Potrafię pójść zagrzebać się gdzieś i umrzeć, nie uroniwszy jęku, po mężku. To będzie zemsta Jakсы ostatnia. Nie żądam od ciebie niczego, oprócz, byś wspomniawszy mnie kiedyś, szczęśliwa, spokojna, westchnęła myśląc—że nie wszystko złém było w tym szaleńcu, który ci zatrul twą dolę. Ostatnia iskra spali się jasnym płomieniem.

„Rabsztyńce, wyjeżdżając, przekazuję wam. Poszanujcie groby nieprzyjaciół... otoczcie staraniem rozbite gniazdo gryfie...”

List był jakby łzami urwany. Kasztelanie wstał, zawołał Zacharyasza, oddał mu papiery, spojrzał na Repeszkę zimno, z pogardą, i milcząc, poszedł do drzwi. Cekał tu na niego koń—pojechał pożegnać jeszcze Rabsztyńce.

W Mielsztyńcach siedziano u stołu, gdy na srebrnej tacy stary kamerdyner wniósł plik papierów opieczutowany i postawił go przed panią.

Rzuciwszy okiem, wdowa poznała pismo Iwona, rozerwała kopertę i poczęła czytać z gorączkową ciekawością. Płomienie uderzały jęj na twarz, to znowno bladość ją okrywała śmiertelna, ręce drżały; ale kilkunastu lat praca, dała jęj siłę panowania nad sobą. Po chwili wyprostowała się poważna, zimna, obojętna na pozór—czuła bowiem ciekawe oczy dziecięcia zwrócone na siebie—odsunęła papiery, i wznowiła nieco tylko drżącym głosem przerwana powszednią rozmowę.

Chwila ta przecież postanowiła o jęj życiu—była straszną ofiarą, wyrokiem nagłym, krokiem, który na nią miał ściągnąć może wzgardę i przeklęctwo świata. A jednak nie widać było po nięj nic, prócz posepnego zamyślenia.

— Natychmiast po obiedzie podadzą mi karego konia, zawołała. Eugenek, dodała patrząc na syna, pójdziesz ze mną do mojego pokoju—mam ci coś do powiedzenia.

Tylko baczne oko syna mogło dostrzedz, gdy się tak siła okazać zupełnie spokojną, lekkie drżenie jęj ust i błędne oczu spojrzenie, które patrzyły nie widząc. Reszta obiadu przeszła wedle obyczaju; ksiądz wstał, by zmówić modlitwę dziękczynną, wszyscy się gospodyni pokłonili i rozeszli.

Spytkowa, wzięwszy machinalnie przyniesione jęj papiery do rąk, stała chwilę, poglądając to na syna, który czekał, to po tęj komnacie, jak gdyby ją żegnała raz ostatni. Usiłowała wyrobić w sobie spokój zupełny, panowanie nad bijącym sercem i rozżarzoną głową, nimby stanowczy krok uczyniła. Chciała, by

krok ten miał pozór chłodnego, niezłomnego postanowienia, nie zaś namiętności.

Nareszcie ruszyła się z miejsca, zwracając do swych pokojów; ale myśl nowa ją powstrzymała.

— Nie, rzekła do syna: chodź za mną do pokoju ojca.

Pokój Spytka pozostał tak, jak utrzymywano go za jego życia. Wszystko tam zachowano w miejscu, aż do róż, których woń go orzeźwiała; ale mało kto tam chodził, oprócz starego sługi, co uprzątając go, codzień w nim płakiwał.

Eugenek miał już jakby złowrogie przeczucie jakiegoś wypadku. W ostatnich dniach rozmyślanie, czytanie starego rękopisu, wpływ miejsca, znacznie go zmęźniły. Chłopak spoważniał i z obawą patrzył na matkę.

Wdowa minęła oratorium i otworzyła drzwi sypialni pustej. Słońce w całym blasku oświecało ją jaskrawo. Okiem objęła ją całą i zwróciła się do syna.

— Dziecko moje, rzekła: trafia się w życiu, że i z najpogodniejszego nieba biją niespodziane pioruny. Taki dziś uderzył we mnie i w ciebie... Przygotuj się mężnie do wielkiej i stanowczej w życiu zmiany. Nie jesteś już dzieciąciem. Postanowienie moje jest niezłomne; to, co ci oznajmię, stanie się i stać się musi, choć mnie lży kosztować będzie. Stracisz matkę... ja-
de, aby nie wrócić więcej—muszę!...

Eugeniusz stał prawie osłupiały; pani Spytkowa mówiła dalej:

— Nim zaślubiłam ojca twojego, byłam przyrzeczoną innemu. Kazano mi oddać rękę... usłuchałam woń ojca... Przez kilkanaście lat spełniałam obowiązki moje ciężkie, będąc mu posłuszną i wierną... Dziś

jestem wolną. Człowiek, którego życie zatrulałam, jest nieszczęśliwy; trzeba go ratować od zguby. Idę, gdzie mnie serce i obowiązek woła!... Rozbrajam wroga Spytków, oswobadzam was od zemsty. Moim narzeczonym jest... kasztelanik Jaksa.

Eugenek drgnął.

— Matko! zawołał.

— Nie mów nic, odparła Spytkowa, zbliżając się i całując go w czoło. Na to nie ma ratunku—lzy ani zaklęcia nie pomogą. Proces o Mielsztyńce, który był dla ciebie groźny, jest skończony. Oto masz papiery. Nie zabiorę ztąd niczego. Wszystko, co mi twój ojciec przekazał, oddaję ci i wracam; w jednej sukni ztąd wyjdę, jak przyszłam; nawet te klejnoty—dodała, zrywając z palców pierścionie i łańcuch z szyi i kładąc je na stole—nie pójda ze mną. Mały mój posażek mi wystarczy. Nie chcę niczego. Dziecko moje, przebacz mi!

I padła przed synem na kolana. Eugenek był przerażony, struchlały, drżący.

— Jesteś jeszcze tak młody, że mimo rozsądku twego sam sobie rady dać nie możesz... Nie chcę, byś tak pozostał bez opieki. Pojedziesz do Warszawy, gdzie masz dalekich krewnych... Wojewoda S. weźmie cię w opiekę. Oddaj mu się... jest nam życzliwy... A! potępią mnie ludzie; ty sam, dziecko moje, rzucisz może na matkę kamieniem; ale któż z was zajrzał do tego serca... i pojąć mnie potrafi? Niech się stanie wola boża! zniosę nawet wżgardę i potępienie, lecz uratuję od zguby człowieka.

Powstała, mówiąc to, z ziemi—i poczęła łkając ścisnąć swe dziecko.

Jakąbykolwiek życie było męczarnią i nieznośnem

brzemieniem, nikt łoża nawet boleści lat kilkunastu nie opuszcza bez żalu i tęsknoty. W chwili rozstania pani Spytkowa poczuła ten ucisk i płakała. Zresztą... zostawiała tu dziecię!

Eugeniusz czuł także łzy w oczach.

— Al zawołał—instynktem nienawidziłem tego człowieka, choć pierwszy o niczem nie wiedząc, sprowadziłem go tu sam... Ja go zabiję!

— I mnie z nim zabijesz chyba razem, odezwała się matka. To, com postanowiła, stać się musi. On cierpiał dla mnie; ja idę cierpieć dla niego. Rzucona kość, stało się! Z wroga Spytków przerobię go na przyjaciela im człowieka.

— Nigdy on takim nie będzie, rzekł chmurno Eugeniusz, który pod ciężarem tego ciosu czuł się jakby podrośłym i zmężniałym. Nie godzi mi się ani sądzić méj matki, ani jéj wymawiać, że dom ten okrywa drugą żałobą i wiekuistym wstydem... ale mi wolno ją błagać...

— Synu mój, przerwała wdowa: wszystko byłoby próżne. Ja mam wolę żelazną, a com rzekła, to się stanie, mimo łez, które wyleję. Dotrwałam tu, wychowałam cię, byłam wierną moim obowiązkom;—ale dziś odzyskuję siebie i słucham tylko własnego sumienia... Niech boże błogosławieństwo strzeże waszego domu, który od téj chwili być moim przestaje... A! nie przeklinaj i nie pogardzaj matką! dodała ręce łamiąc... i znowu na kolana upadła.

Eugeniusz stał jak martwy.

— Jeśli się to ma stać, rzekł, dla czegoż tak nagle? Niech się spełni wola twoja, ale tu, ale w inny sposób... Nie uciekaj od nas.

— To być nie może, przerwała Spytkowa: nie

wprowadzę tu nieprzyjaciela rodu waszego—nie! nie! Onby nie przyszedł—on jest dumny,—onby nie chciał bogactw waszych. Ja idę ubóstwo jego podzielić.

I namiętym uściskiem, z płaczem i lkaniem objęła raz jeszcze dziecko swoje.

— Pamiętaj o mnie! zawołała; miej serce dla mnie Eugeni... a cobądź się stanie, pozostań godnym swych ojców... Na tobie przyszłość rodziny...

Nagle wyrwała się synowi, podała mu rękę i wyszła z pokoju. Eugeniusz biegł za nią... Za progiem otarła łzy, spuściła zasłonę na twarz, a krok jój pewny i śmiały nie zdradzał już najmniejszego wzruszenia. Można było sądzić, patrząc na nią, że istotnie wyjeżdża na zwykłą przejażdżkę, i że za parę godzin powróci.

Przed gankiem stał już jój koń gotowy i masztalerz chciał towarzyszyć pani; skinęła tylko, aby został, podała rękę synowi, rzuciła się na siodło, zacięła karego i... cwałem pędząc, znikła za bramą zamkową.

Eugeniusz stał długo jak wryty, i nierychło drżącym krokiem pówłókł się do swego mieszkania.

Na ruinach rabsztynieckiego zamku, Jaksa sam chodził po pustych izbach, gotując się do drogi. Stary Zacharyasz spoglądał na niego od progu z posępną twarzą. Iwo rzucał i porywał z kolei broń, ubranie, jakby nie wiedział co ma wziąć, a co zostawić.

Słowa niezrozumiałe z ust mu się wyrывały, a gdy biedny sługa dopytywał o nie, nie dosłyszawszy, Jaksa go zbywał ruszeniem ramion.

Nagle tętent konia obu ich zwrócił uwagę. Rzadko się on tu słyszeć dawał, bo nikt przez gąszcze aż pod samo zamkowe skrzydło nie podjeżdżał. Pan i sługa, zdziwieni, podbiegli ku oknu. Jaksa krzyknął, rzucił się ku drzwiom, i piorunem zbiegł na dół. Kulawy Zacharyasz gonił go wystraszony i zdziwiony... Przed wrotami siedziała na spienionym karym koniu kobieta.

Kasztelaniec zbliżył się z milczącym podziwem.

— Iwonię, rzekła głosem śmiałym: płacę dług zaciągnięty sercem, przybywam tu... jestem twoją... Bierz konia, jedźmy razem do kościoła... ksiądz niech nas połączy, natychmiast, zaraz! Nie przynoszę ci niczego od Spytków, przychodzę uboga, jakąś mnie kochał, gotowa na nędzę, którą podzielę. Oddałam im wszystko...

W tej chwili, złamana wysiłkiem i wzruszeniem, pochyliła się na siodle. Jaksa poskoczył, chwytając karego razem i kobietę, która omdlała zsuwała się ku ziemi.

W oczach kasztelanica błyskała radość zwycięstwa i niewysłowione uczucie. Łza, niewidziany gość na spalonej źrenicy, zwilżyła ją i spadła na białą rękę wdowy.

Omdlałą panią wniesiono do pustej sieni tych ruin, które się jeszcze zwały zamkiem rabsztynieckim.

Upłynął rok od opisanych wyżej wypadków, które spokojną dotąd okolicą wstrząsnęły w istocie jak uderzenie piorunu. Buchnęły płomienie przekłęb,

uragowisk, potwarze, domysły, szyderstwa. Wszyscy w zawody rzucali kamieniami na matkę, co własne dziecko opuściła dla kochanka młodości. Większość ani zrozumieć, ani darować jój nie mogła, że się wyrzekła zapisów, bogactwa, że po ludzku i powszednio nie wprowadziła nowego męża do Mielsztyniec, zamiast jego rabsztynieckie ubóstwo podzielać. Wprawdzie ludzie byliby tak samo hałasowali na nowe małżeństwo jak dzisiaj, aleby ono im się naturalniejszém zdawało.

W kilka dni po wyjeździe matki, Eugeniusz poczuł, że w Mielsztyńcach pozostać nie może. Kazał przygotować do podróży wszystko i ruszył do Warszawy...

Dziecko to wczoraj jeszcze, stało się nagle aż nadto może chłodnym i rozważnym mężczyzną. Słowo nawet nie dobyło się z ust jego nazajutrz, gdy zniknięciem wdowy przerażony dwór, tracił przytomność i rozpaczał.

Czuł on, że jemu należało okazać mężstwo w imieniu rodu i przekonywać obliczem, że się zwyciężonym nie uznaje.

Dla starych sług było to ciosem okropnym, jaki od wieków Spytków nie dotknął; widzieli oni w nim naturalnie straszniejszą niż wszystkie przeszłe zemstę Jaksów, którzy z niewiastą, z matką rodu, porwali cześć domu i jego powagę.

Następnego poranku w kaplicy zamkowej osiwiiała drużyna leżała krzyżem, łkając i zawodząc. Czuła, że to kres ostateczny, że nadchodzi nieubлагana ruina, że ten wypadek zabójczy zwiastuje zgubę Mielsztyńcom.

Wszystkie też przez zabobonnych ludzi pochwyta-

ne znaki jakieś oznajmowały nieszczęście. Hełm z podniesioną od wieków stojący przyłbicą, przez który wyglądała zbieleła głowa trupia, nagle się zatrzasnął, a gdy stary sługa nazajutrz, zdumiony, podniósł wizer, nie znalazł w nim nic, tylko czarną próżnię. Głowa znikła... *)

Biała niewiasta, z krwawém na szyi znamieniem, nocą ukazywała się, powoli przechodząc salę... W pokoju nieboszczyka Spytko widziano przez kilka wieczorów z okien bijącą łunę, jakby od katafalkowych świec; a gdy burgrabia tam wszedł, lękając się pożaru, nie znalazł nic oprócz maleńkiej lampki przed obrazem patrona.

Cisza śmierci zawisła nad Mielsztyńcami. Nie wolno było ani wspomnieć o zaszłych wypadkach. Dla zatarcia ich śladu, Eugeniusz wyjechał natychmiast do Warszawy, przykazując, aby na zamku wszystko w dawnym utrzymało się porządku, a potajemnie wydawszy polecenie, aby matkę, jeśli się zgłosiła, dozwolono rozporządzać się tu jako pani i dziedzicze, bez ograniczenia.

Wszakże Spytkowa, raz rzućwszy Mielsztyńce, już się ich wyrzekła na wieki. Była to niewiasta energicznego, męskiego charakteru i serca. Postanowiwszy poślubić ubóstwo z człowiekiem, którego niegdyś kochała, nie cofnęła się przed tém widmem błędem, które dla niej, nawykłój do dostatków, do przepychu i zbytku, straszniejsze było niż dla każdój inniej.

*) Mówiono po cichu, że ją, uchodząc, pani zabrała z sobą, aby Jaksom powrócić.

Ale Spytkowa wyszła z ubogiego domu szlachcica, a przez lat kilkanaście jak niewolnica, jak oświecony, nie przyrastając ani do miejscy, ani do obywateli dworu, eo ją otaczał, żyła wspomnieniami. W chwili gdy opuściła zamek, ta mężarnia przeniesiona mężnie, pierzeła z jej oczu jak sen, jak mara bolesna... Wechodziła znowu w rzeczywistość, której się nie lękała.

W kilka dni dopiero po jej odjeździe z zamku, gdy stary ks. Ziemię, zmęczony prośbami i zakłopotaniami, pobłogosławił nowożeńcom, a ei już w Rabsztyńcach zaczęli rozgospodarowywać się nieco i myśleć o przyszłości—po sąsiedztwie rozeszła się wieść o wypadku. Nie chciało jej wierzyć z razu, tak się wszystkim zdawała nieprawdopodobną, dziwną. Można było przypuścić, aby dla zestarzałego człowieka, zubożonego, steranego, młoda jeszcze i milionowa pani miała się wyrzec dóbr, przyszłości, dziecięctwa, swobody... wszystkiego, eo jej najszcześliwsze zapewniało położenie?

To też pierwsi, eo z tą wieścią po sąsiedztwie pobiegli, przyjęci byli jak bezwstydni plotkarze. Wielu ciekawych pojechało do Mielsztyniec, i dowiedziało się w miasteczku i na zamku tylko, że państwo wszyscy wyruszyli do stolicy...

Mało kto wiedział eo się działo w Rabsztyńcach, zamkniętych dla takich oczu, i że ks. Ziemię ślub dawał. Do Jaksy niewiele się zbliżyć śmiało, bo się go obawiano; długo więc wątpliwym pozostał los pani Spytkowej... Większa część utrzymywała, że jest z synem w Warszawie.

Tymczasem mężna niewiasta krzątała się w opuszczonych od wieków Rabsztyńcach. Z młodością w ser-

cu, z siłą, jaką ona daje, z miłością wiosenną w piersiach, los podobny nie ustraszylby jęj pewnie ehoć w pustee, niedostatku i ruinie. Ale tu cięższe było zadanie, bo z gruzów nietylko dom, potrzeba było dźwignąć człowieka złamanego rozpaezą, zeschłego na drzazgę, zepsutego niedolą. Wdowa miała trudne nad wyraz zadanie praeworkania nad sobą, nad nim, nad słabością, jaką owiewa wiek ehłodniejszy, który wię-ej wątpi niż się spodzięwa, niedowierza niżeli ufa przyszłości.

Z rozbicia tego, ze skarbów rzueonych dobrowolnie, Spytkowa nie wyniosła nic, prócz tego, eo jęj osobistą było własnością. Posag jęj nader szezupły, szezęściem nietknięty przez Spytkę, który rozkazał do niego dokładać procenta, i mieszać go z innemi funduszami nie dozwolił, przy odebraniu, które natyehmiast uskutecznić się dało, wyniósł kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jaksa nie miał, oprócz tego szmata ziemi, na którym stały ruiny, a z niego w istoeie, przy najzapobiegleszję praey, nic zrobić nie było można. Przytykała do niego wioska niewielka, niegdyś do klueza należąca, Młynica, rozdzielona tylko stawem od dworu. Szezęściem, mogła być nabyta, i pani Iwonowa natyehmiast ją kupiła. W ten sposób, choć dwór niestosunkowo rozległym był obok małęj osady, przynajmniej z częms się wiązał i dozwalał pewne zaprowadzić gospodarstwo...

Gdybyśmy nie ezerpali z podań prawdziwych, te prozaiczne szczegóły żyęia państwa Jaksów właściwieby tu miejsca znaleźć nie powinny. Ale dla nas wiążą się one ściślęj z dziejami serca, niżby się komu zdawało. Żyęie ludzkie bezieiesném być nie może, zawsze w nięm przeważną rolę gra ten szkielet,

który duch ożywia, a gra promieni ducha, jak na białej ścianie, musi się malować na pokładzie powszednich żywota stosunków. Tu w nowém życiu tego dziwnego stadła, każdy szczegół o jego charakterze stanowił. Praca konieczna, przymusowa obojga małżonków, ratowała ich od zwątpienia i rozczarowania.

Jakkolwiek Jaksa miał wielkie przymioty, przecież nie byłby umiał podolać takiemu szczęściu, jakie go spotkało. Łacniej mu było kilkanaście lat rozpaczny przeżyć, niż poić się rok jednostajném szczęściem. Aniołem-stróżem, siłą domu, jego duszą stała się wdowa, która wyrzekłszy się swęj woli na lat kilkanaście, poddając się żelaznej formie Spytkowskich obyczajów, teraz ją odzyskała, spotęgowaną, wielką, niezłomną. Zdawało się jęj nieraz samęj, że dopiero życie rozpoczyna. Jaksa padał przed nią w nieustannych zachwytach... i słuchał też jęj już jak dziecię.

Wielkięj też zaprawdę potęgi potrzebowała ta niewiasta, którą niegdys marmurową zwano w Mielsztynicach, aby nie upaść pod ciężarem. Dość przypomnieć częm był Jaksa, do czego ona była nawykła, jakim smutkiem poilo ją nieustanne wspomnienie opuszczonego dziecka i niepokój o los jęgo...

Eugeniusz, wyjeżdżając z Mielsztyniec, bo do tego przyzwoitość go zmuszała, nierad je wszakże opuszczał. W ostatnich czasach zrósł się on z niemi i z przodkami, rozczytawszy się w podaniach, nasłuchawszy się powieści ludzi, związawszy z temi wspomnieniami jakąś miłością tęp większą, że się czuł sierotą i samotnym.

Mówiliśmy o jęgo wychowaniu, było ono tak poprowadzone, że miało go bronić od marzeń, rozczarowywać, i studzić. Dopóki żył w obcym kraju, był

Eugenek w istocie wychowawcem ks. de Bury i nowój epoki... ale w Mielsztynicach ośwładnęły nim tradycye, i pod wpływem ich, stał się jakby napowrót dzieckiem kraju i rodziny.

Targały nim te dwa prądy na przemiany i czyniły go tak nieszczęśliwym, jak są zwykle ludzie rozpolowieni życiem, którzy do zupełnej z sobą zgody nigdy przyjść nie mogą.

Eugenek często śmiał się sam z siebie i ze swych zabobonów, to znów oburzał się na suche i zimne niedowiarstwo swoje. Pod cieniem tych murów, gdyby tam był dłużej zamieszkał, niechybnie ostygłyby i zwietrzały wonie obcej nauki, wróciłby do dzieciennego myśli wątku; ale przewidzieć też łatwo, że opuszczając starą siedzibę, rzucając się w świat, musiał równie łącznie dać w sobie odżywić światu ziarna pierwszego wychowania, zgodne z duchem epoki.

Tak się też stało. Poczul Eugeniusz, oddalając się od tych biednych, smutnych, osierociałych Mielsztyniec, że widma i strachy, które tam serce jego uciskały, na jasnym dniu pierzchały powoli.

Całą drogę przedumał biedny, usiłując sobie wyrobić pewny plan na przyszłość i przyrzekając nie odstąpić od niego. Czuł, że za słabym byłby, zdając się nieopatrznie na wypadki.

Jednym z pierwszych jego postanowień było, nie wspominając o tém, co zaszło, jakby nie chcąc wiedzieć o tém, co go od matki dzieliło, donosić jój regularnie o sobie. Czyby mu ona odpowiadała, czy nie, przyrzekł sobie, że raz w miesiąc wypowiada się jój ze swego życia: miał to za obowiązek dziecięcia. Nie wymógł tylko na sobie, by ją inaczej nazwał w liście, niż dawném pani Spytkowej imieniem, i przesy-

łał pismo do Mielsztyniec, pewien będąc, że znajdzie drogę do sąsiedniego dworu.

Gdy pierwszy list taki odebrała matka, był on dla niej wyrzutem, groźbą, przestraczem. Długo nie śmiała go otworzyć, ale odwaga nie opuszczała jej nigdy na długo. Rozłamała pieczęć, i zdziwiła się radośnie, nie znajdując ani słowa, któreby drażliwe położenie nowe przypominało. Syn, jakby odjechał od niej na chwilę, przypominał się jej i uniżenie ze swych czynności tłumaczył.

Niepodobna mu było nie odpisać... ale list matki był suchém błogosławieństwem i milejącym uściskiem. Ona nie mogła mu ze swych trosk, pracy i powszednich wypadków się spowiadać; jej życie nowe oddzielone było nieprzebytą od dawnego granicą.

Młody Spytek zjawił się w Warszawie nieznany nikomu, z nazwiska nawet obcy wszystkim... zmuszony szukać rodziny i stosunków. Z początku posądzano go nawet, że to imię mógł nosić i przybrać nieprawnie; dopiero krewni jego babki, Lubomirscy, i kolligaci dalsi znacznych rodzin, dobrze poszpërawszy w pa-mięci i genealogiach, przyznali się do młodego kuzyna...

Położenie to tém się przykrzejszém zdawało, że go wypytywano o rodzinę, o ojca, o matkę, a dziwiąc się puszczonej tak wczesnie na niebezpieczne morze świata młodości, domyślano się jakichś nadzwyczajnych tego osierocenia przyczyn.

Przed najbliższymi wyznał Eugeniusz, że matka jego powtórne zawarła śluby; ale wcale im nie dał poznać, żeby się go wyrzekła i opuściła.

Młody, majątny i pięknego imienia człowiek, przedstawiający się z takim taktem instynktowym

i nabytym przez wychowanie jak nasz Spytek, musiał znaleźć uprzejme w Warszawie przyjęcie. Wyrywano go sobie, a maleńki wzrost tego człowieka, tak poważnie wyglądającego mimo młodości, prawie dzieciństwa, prześliczne rysy twarzy, jakiś smutek rozlany na jego czole, czyniły go zachwycającym.

Gdyby się Eugeniusz poddał urokom tego dworu płochego, temu wirowi zabaw, szałowi używania i płochym zalotom,—byłby łatwo mógł stopniami spaść na ostatnie szczeble...

Szczęściem dla niego może stało się osamotnienie. Najbliższy krewny, starzec bezsilny i chory, mało się nim mógł zajmować, choć go wielce pokochał; czuł więc Eugeniusz, że jest sierotą i że od niego samego jego losy przysze zależą.

Uczyniło go to bojaźliwym i rozważnym, chociaż struło mu młodość, której ta obawa nieustanna obciąła skrzydła. Wkrótce, rozpatrzywszy się w kraju nieco lepiej, trochę za poradą pana Zaranka, więcej z własnej woli, Eugeniusz przedsięwziął podróż dłuższą za granicę. Ale cel jój pojął poważniej niż zwykła była młodzież ówczesna; postanowił uczyć się. Zaranek potrzebował także nauki, która całą dla niego stanowić miała przyszłość; podali więc sobie ręce, zgodniejsi niż kiedykolwiek, weselsi, i gdy w Warszawie gotowano się zewsząd zastawiać sieci na maleńkiego Spyteczka, jak go nazywano, gdy matki rozповідаły o nim córkom, rozwódki rzueać się zabierały roztapiające spojrzenia, wdówki zapraszać już chciały na wieczory, aby go trochę okrzesać—Eugenek niespodzianie oddał wizyty pożegnalne wszystkim i znikł ze stolicy.

Nie znałby ówczesnego świata, ktoby go posądził, że dłużej nad dwadzieścia cztery godziny żałował stra-

ty młodzieńca. Nazajutrz już przybyły z Włoch śpiewak był lwem dnia i najpożądańszą zabawką salonów.

W Rabsztyńcach działy się dziwy... ale mało kto mógł o nich wiedzieć bliżej, bo państwo Jaksowie z nikim stosunków nie mieli w sąsiedztwie. Rzadko na rannych mszach widywano ich w kościele. Postrzegali ciekawi, że Iwo odmłodził, i że choć powierzchowność miał bardzo ubogą, jednak staraniejszą niż przedtém. Pani Spytkowa, która niegdyś poszóstnie przyjeżdżała z rękodajnymi dworzanami do parafii, teraz z mężem małą jeździła bryczką i tak skromnie ubrana, jak prosta szlachcianka. Ale w téj sukni ubogiéj jeszcze była królową, tak niosła głowę wysoko. Ludzie mimowoli rozstępowali się przed nią... a czapki same się przed tym majestatem niewieścim chyliły.

Jeden tylko człowiek, gdy mu się z Jaksami spotykać przyszło, wciskał się w tłum, aby ich wejrzenia uniknąć i nie truć się tym widokiem; był nim bogobojny i spokoj miłujący p. Nikodem Repeszko, który nigdy kasztelaniciowi darować tego nie mógł, że nie dopuścił, aby całe Mielsztyńce połknął, i rzucił mu tylko, jak naówczas mówił, odcięte skoki...

Temu czci najgodniejszemu Repeszce jakoś w Lubelskiem w ogóle się nie powiodło. Między ludźmi nie miał miru, u duchowieństwa, choć pobożny, nie dorobił się wielkiego zachowania, a w sąsiedztwie niewiedzieć z kąd rozeszła się na niego potwarz, iż był chęiwym i niebezpiecznym, tak, że choć ze słodkimi

wyraży na ustach przybywał, wszędzie go okrutnym zbywano chłodem.

Co dziwniejsza, nikt u niego pieniędzy pożyczać nie chciał, nikt pomocy jego w ciężkim razie nie wezwał, choć się z nią serdecznie napraszał, nikt w żaden interes wchodzić z nim nie życzył. To mu życie zatruło.. Sechł biedny, nędzniał, modlitwą się publiczną pocieszał, krzepił, okazując jawnie w jak dobrych z Panem Bogiem jest stosunkach,—ale koniec. końców chudł, mizerniał, i dostawszy jakiegoś defektu na wątrobie, mimo lekarzy, którzy mu różne cudowne zapisywali medykamenta, oddał ducha niewiadomo komu, a majątek dalekim krewnym. Zapewniano, że przybył po dziedzictwo w kurpiach, czytać i pisać nie umiający... ale to być musiały potwarze.

Czas leci. W r. 1790, a zatem nierychło po opisanych wyżej wypadkach, Mielsztyńce, któreśmy widzieli tak troskliwie od wieków zachowane ze wszystkimi pamiątkami dawnymi, znacznie się zmieniły. Eugeniusz Spytek z podróży swojej za granicę dotąd był nie powrócił. Różne o nim chodziły wieści: mówiono, że był chory, że nabył nałogu szukania coraz nowych miejsc i wrażeń. Niekiedy przychodził suchy i krótki list od niego do rządcy Mielsztyniec, czasem od towarzysza podróży tylko; posyłano mu pieniądze przez bankierów, które wystarczały w ogóle i nie obciążały majątku długami. Niekiedy obiecywał swój powrót do domu, potem znów pobyt się jego przeciągał. Z daty listów dowiadywano się tylko, że bawił

we Włoszech, w Rzymie, w Hiszpanii, w Sycylii, na Malcie, na Wschodzie. Nikt dobrze nie wiedział, jakie właściwie powody trzymały go za granicą... a choć Mielsztyńce, rzucone tak na obce ręce, trafiały szczęściem na dosyć uczciwych ludzi, którzy nie zapominając o sobie, pamiętali i o nich trochę, i o panu oddalonym, powoli jednak piękne zamczysko pustoszało. Ludzie, co go strzegli, wymierali z kolei: następowali młodszy, mniej do tych murów przywiązani, obojętniejsi na ich losy. Czasy wreszcie same z trudnością dozwalały zachować zamek w takim, w jakim wprzód był stanie. Wojna ze swą wrzawą i zniszczeniem niełitościwem prześliznęła się też tędy.

Ktoby teraz zamek zobaczył, z trudnościąby poznał choć milczącą, ale świetną rezydencję z dawnych wieków. Przyszła ta ruina nie nagle, nie gwałtownie, ale niedostrzeżenie, a dla tych, co patrzali codzień na ten upadek powolny, był on prawie niewidoczny. Skoro się duch i ręka człowieka usunie od jego dzieła, które jest zdobyczą nad siłą bezduszną materii, innym posłusznym prawom, natychmiast rozpoczyna się jej praca około wywrócenia tego, co człowiek zbudował. Powietrze, ziemia, rośliny, żyjątka, wszystko w przymierzu z tą siłą milczącą zмага się na pożarcie niestrzeżonego gmachu. Wiatr usługny przynosi nasiona, muchy je na skrzydłach dźwigają, deszcz wlewa zarody stworzeń uspięne przez wieki, a mające się rozbudzić jednym słońca promieniem, nawet ożywcze ciepło, które budzi z martwych, tu rozkłada, rozprasza, wysusza, spopiela. A ptacy niebiescy weselą się, gnieźdząc się po gzemsach rozpadłych...

Teraz podwórzec już sam zapowiadał pustkę wewnętrzną. Rosły na nim bujniejsze z każdym rokiem

trawy i zielska pomiędzy kamiennymi płyty, które mchy i porosty okrywały aksamitnym całunem. Gdzie niegdzie na samych murach powiewały już zielone gałązki brzošek i krzewów, których ziarna zaniósł tam ptak na dziobie. Korzonki ich czepiały się szpar niedostrzeżonych, i siłą życia maleńką a nieustanną zmieniały je w szczyrby, w rysy, w rozpadliny, które wiatr ziemią i nasionami traw zasypywał. Niemi wciskały się krople wody i sączyły powoli, przejmując mury do głębi.

Przez ową arkadę wchodową już nie ogród bujny a czysty, ale jakby las zdziczały widać było, a na ścieżkach tę pleśń zieloną, wilgotną, która po pustkach się ściele. Chmiele dzikie popłatały się na gałęziach lip i klonów starych, które schły z wolna w ich uściskach. Na sadzawkach dawniej czystych, tatarki i zielone rzęsy wodnych porostów puszczały. Gdzie niegdzie obłamana wiatrem gałąź gniła napół w wodzie, a po niej czepiały się już drobne ziółka, które trupem tym się karmiły. Przeszłorocznych liści nie zdjętych warstwa słała gniazda robactwu, które sobie podziemne w jej ciepłych puchach budowało domy. Po nad tém wszystkiém cisza grobowa, a z gniazd czapli i bocianów jakby krzyki czasem tylko odzywały się strażnicze...

Ale niczém było to opuszczenie ogrodu przy zamkowej ruinie. Tu i owdzie okna były powybijane i zasłonięte naprędce deskami; gdzie niegdzie zaklejo-no je papierem, zatkano słomą. Przez poniszczone dachy woda dostawała się do wnętrza, i długimi smugi pomalowała ściany, których tynk oblatywał kawałami i leżał gruzem na posadzkach. Wojna pozostawiła także po sobie ślady; wiele z dawnych zasobów pochowano, a wiele w zawierusze zginęło. Starano

się niby utrzymać pokoje w stanie mieszkalnym, ale liczba ich dla zmniejszania kosztów służby, coraz się uszczuplała, sale zmieniały się w składy, okiennice cały rok zostawały zamknięte, myszy i szczury odwiedzały pustkę, a nietoperze wlatywały oknami potłuczone i gnieździły się po ciemnych kątach. Wspaniałe niegdyś sale poznać już było trudno... ledwie rzadko gdzie sprzęt jaki w miejscu pozostał, a ten pewnie najmniej wart był zachowania. Droższe rzeczy ocalone, tuliły się w kilku jeszcze nieco porządniejszych pokojach. Starzy ludzie, pamiętający świetniejsze czasy, z kolei poszli do grobu; młodszy nie widzieli potrzeby wielkiej pilności nad bezpańską pustką, która nikogo nie obchodziła. I tak z wolna Mielsztyńce stały się niemal tém, czém rabsztynieckie były ruiny, gdyśmy je po raz pierwszy widzieli. Widma i duchy rozgościły się w nich teraz na dobre, a powieści o upiorach i strachach, o białej niewieście z pręgą krwawą, codzień przechadzającej się po salach pustych, o rycerzu żelaznym z trupią głową w jednej ręce, a mieczem w drugiej,—powtarzały się co wieczór we dworze. Zaledwie padł mrok, nikt się już do murów zbliżyć nie chciał. Pozostało tylko jedno skrzydło mieszkalne, gdzie się reszta służby coraz ubywającej mieściła, nieźle utrzymywana kaplica i pokoje pana rządcy, który pozostałościami sprzętów wspaniałych bardzo się wygodnie i wytwornie nawet umeblował. W pokoju pana Spytka starano się jak najdłużej utrzymać wszystko jak było; ale czasu wojny odbity był i przetrząśnięty, wiele rzeczy z miejsca ruszono, inne pozniwały. I tu więc nieład panował. Zostawiono go umyślnie, aby świadczył, że nie brakiem dozoru, ale napaścią i wypadkiem obaliły się zabytki mielsztynieckie.

Tak wyglądało stare zameczysko, gdy jednego wieczoru w październiku, dano niespodzianie znać rządcy, że dwa powozy obładowane zbliżają się aleją lipową od miasteczka ku dworowi. Ponieważ Eugeniusz Spytek wcale o swym powrocie znać nie dawał, nikt się domyślić nie mógł, jaki to gość przybywa. Rządca, pan Feder, człek zamożny i skolligacony w sąsiedztwie, który się już tu niemal za dziedzica uważał, a miał familię bogatą, sądził z razu, że ktoś z krewnych jego żony przyjeżdża mu w gościnę. Powozy zaprzężone końmi pocztowymi, zatrzymały się przed gankiem zamkowym; ale tedy teraz wnijsia na górę nie było. Ponieważ różne stworzenia pasały się na dziedzińcu, więc zastrzegając od inwazyi wschody, zrobiono prostą z chróstu bramę zabitą na głucho, a nawet drzwi w górze w poprzek były założone kilku dylami, bo już niemi nikt nie chodził. Wysiadając tedy z powozów zdumieli się, gdy zamiast u wnijsia do zamku, znaleźli się przed pewnym rodzajem barykady.

Dwóch mężczyzn stało na progu niedostępnym, gdy ostrzeżony rządca, człek młody, przystojny i bardzo miły towarzysz, nadbiegł, aby bliżej zbadać, kto tak poufale do *jego* zamku się dobywa? Jeden z nich, w zielonej szubce aksamitnej, podbitej lekkim futerkiem, był bardzo małego wzrostu i zdawał się schorzały. Twarz miał woskowej błości, oczy zagasłe, usta prawie białe, policzki wpadłe, a choć młody jeszcze, podpierał się na rękę towarzysza, mężczyzny silnej, zdrowej budowy i śmiałego, pełnego wyrazu oblicza. Tym chorym, jak się łatwo domyślić, był Eugeniusz Spytek, kawaler Złotój Ostrogi, hrabia pałacu rzymskiego (świeżo przez papieża mianowany), niegdyś wesole chłopię, śmiejące się przyszłości, dziś kaszlący,

dogorywający niemal cień człowieka. Większego w tej chwili osłabienia przyczyną było wzruszenie i gniew, który się na jego czole pofałdowaniem i w oczach ciemnych, zaognionych malował. Spodziewał się on zastać Mielsztyńce jak je porzucił; nie donoszono mu wcale o ich zniszczeniu. Rządca dość znaczne summy liczył na utrzymanie zamku, a biedny wędrowiec, zdumiony, ten skarb swój zdany na ręce płatne znajdował okrutną ruiną. Serce mu się rozdzierało, ale gniew i oburzenie miało nim takie, że z drżących warg wyraz się dobyć nie mógł. Towarzysz go nadaremnie usiłował uspokoić i złagodzić.

Pan Feder, który szedł w najlepszym humorze na spotkanie gości, zmieszał się widocznie, jakby piorunem rażony. Ze wszech miar była to niespodzianka groźna dla niego, niemiła. Eugeniusz byłby może wybuchnął natychmiast, tak go stan jego gniazda oburzył; ale towarzysz, lękając się o zdrowie jego, uprosił, aby zamilkł, sam śpiesząc naprzeciw pana Federa

— Hrabia Spytek—rzekł—jest chory. Widok zamku w takim stanie, w takiem opuszczeniu i ruinie, gdy się go spodziewał znaleźć utrzymanym starannie, może fatalnie wpłynąć na jego zdrowie. Na miłość Boga! gdzie są pokoje mieszkalne, gdziebyśmy wejść mogli i zastać dawny porządek?... Mów pan prędzej!

— Ale tu była wojna... Tu stało wojsko, podchwycił rządca: jam temu nie winien. W całym zamku nie ma nic porządnego i mieszkalnego, oprócz tych pokoi, które my z familią zajmujemy... Dla czegoż hrabia nie kazał nas uprzedzić?...

— Prowadź nas waćpan gdzie chcesz, bo hrabia ciężko zasłabnąć może, podlega atakom, a ten gniew...

Feder stracił głowę.

— Więc proszę do mnie, rzekł.

— Jak to do waćpana? oburzył się Zaranek. Tu panem jest hrabia, a waćpan gościem, który jutro zda rachunek ze swych czynności i pobytu.

Eugeniusz wstrzymywał się widocznie. Feder, już nie witając go, poleciał przodem, aby rodzinę swą wyrugować i mieszkanie oczyścić. Przybyli pozostali przed wschodami. Wieczór nadchodził szybko. Wśród mroku hrabia ciekawemi wodził oczyma po murach, a każda w nich szczerba nowym go napelniała gniewem.

Uczucie to naturalnie zwiększyło się jeszcze, gdy weszli po chwili do bardzo wytwornie urządzonej apartamentów rządcy, w których łatwo poznać było na jego użytek obrócone najpiękniejsze i najdroższe sprzęty; wybrane z sal zamkowych.

Nieme te świadki przeszłej Spytków zamożności, dziś cale nowój nabierały fizyognomii, zastosowane do innego życia, przywłaszczone przez małych ludzi, którzy ich ani użyć, ani ocenić nie umieli. Uderzyło to Eugeniusza jak profanacya. Ściany pana rządcy zdobne w były pomieszane wizerunki jego rodziny i Spytków; sama jejmość używała matki jego krosien i przyrzędów; książki z biblioteki służyły dzieciom za zabawki i walały się po ziemi.

Eugeniusz siadł i zadumał się, prawie do łez smutny. Co tu pomódz mógł gniew próżny i zemsta na niewiernym człowieku, który położoną w nim wiarę zawiodł? Co się stało, było nieodwołalne...

Gdy po chwili pan Feder pokornie ukazał się na progu, Spytek wstał i już z zimniejszą krwią rzekł mu:

— W takim stanie zastałem moje ojcyste gniazdo powierzone wam, że o nic więcej, po świadectwie mych oczu, pytać nie potrzebuję. Jutro zdasz wać-

pan rachunki panu Zarankowi, i wyniesiesz mi się ztąd precz.

— Ale jw. panie, ja mogę się wytłómaczyć.

— Nie wątpię, ale ja nie mogę słuchać tłómaczeń...

— Mój honor...

— Idź waćpan precz! zawołał Eugeniusz, —i nie pokazuj mi się więcej na oczy. Ja żadnych wymówek nie przyjmuję.

Pan Feder, który miał szlacheckie kolligacye i nabrał był dumy szlacheckiej, chciał burzyć i opierać się; ale Zaranek pokazał mu drzwi rozkazująco, i wyprawił go natychmiast.

Próbowano jeszcze tego wieczoru instancyi pani Federowej, a nazajutrz rano teścia pana Federa, podczaszego wolnickiego, ale tych nawet Spytek do siebie nie dopuścił. Rachunki i kassę odebrać kazał, a rządce nazajutrz oddalił.

Zrodziło to proces, jak się domyślić łatwo, ale Spytek mniej dbał o to.

Nazajutrz, po nocy bezsennej, spędzonej w krześle u komina, z brzaskiem dnia wstał Spytek. Doniesiono mu, że stary burgrabia, którego był pan Feder wygnał, bo się z nim nieustannie kłócił, żyje w miasieczku. Polecił go sprowadzić natychmiast. Przywieziono mu nieboraka Siemiona, ale ten już ani o swojej sile mógł chodzić, ani myśli zebrać łatwo. Od wygnania swego podupadł, i gdyby nie łaskawy chleb na probostwie, z głoduby umarł, bo swoich własnych potrzeb opatrzyć nie umiał. Starca ożywiło trochę to szczęście, że dziedzica Mielsztyniec nogi mógł uściskać. Rozplakał się zobaczywszy go... oprzytomniał; aie po chwilce jaśniejszej, znów mu się myśli poplątały, i mówić zaczął zupełnie od rzeczy. Mieszał odległą prze-

szłość z terażniejszością, wspomnienia dawne ze swoim życiem. Eugeniusz rozplakał się sam, słuchając go, tak przez usta starca mówiła miłość miejsca, rodu jego, tradycji i losów.

Chciał się od niego czegoś prawdziwszego dowiedzieć o nieszczęsnej ruinie, myślał, że Siemion potrafi go po niej oprowadzić; ale próżno się spodziewał. Burgrabia nie miał już ani nóg, ani oczu, ani pamięci. Jedno tylko utkwilo w jego umyśle i sercu: to wygnanie go przez Federa, na którego wzywał pomsty Niebios, jako na świętokradcę i rabusia.

Zarannek przewidywał, że obejrzenie szczegółowe zamku i obliczenie strat niepowetowanych, może znacznie jeszcze pogorszyć stan zdrowia Eugeniusza, i tak już zatrważający; ale nie można go było od tego żadną miarą powstrzymać. Z energią i wymuszonym uśmiechem zabrał się na przejście komnat, mówiąc do przyjaciela, który podawał mu rękę:

— Nie lękaj się, gorzej mi nie będzie niż jest, a muszę widzieć oczyma skutki mojego niedbalstwa, méj winy... Niech to będzie moją karą... Zasłużyłem na nią... Chodźmy!...

W żywej pamięci miał jeszcze Eugeniusz stan zamku, gdy go opuszczał. Strasznie wydała mu się pustka ta, jakby całym wiekiem od przeszłości bardzo jeszcze niedawnej odległa. W pokoju ojca ukląkł się pomodlić. Papiery ręką jego powiązane leżały na ziemi; zbierał je i poskładał na stole.

— Daremne jest staranie ludzkie—odezwał się do Zaranka—aby utrzymać to, co Bóg skazał na zniszczenie. I my, i pamiątki nasze w proch pójść musimy...

Walczyliśmy z przeznaczeniem długo, a ręka jego zepchnęła nas nad brzeg téj przepaści.

Co chwila pytał Eugeniusz o znikłe przedmioty. Nie umiano mu odpowiedzieć co się z niemi stało; wojna nietyle ich zniszczyła, co ludzka chciwość lub lekkomyślność. Resztę wizerunków rodziny młody Spytek kazał odwieźć do kościoła i w nim je umieścić.

— Tam będą bezpieczniejsze, rzekł smutnie.

Portret pięknej niewiasty z krwawą pręgą na szyi, sam, jak mówiono, oberwał się ze ściany, i leżał na posadzce, bo nikt go z niej podnieść nie śmiał. Eugeniusz dźwignął go, popatrzał w twarz uśmiechającą mu się, i pożegnał wzrokiem smutnym. Ze zbroid ledwie szczęty pordzewiałe zostały; z mniejszych portretów wiele wisiało u rządcy.

Kosztownego sprzętu nie doliczyć się było: wszystko składano na wojny.

Naostatek wszedł pogrążony w myślach dziedzic Mielsztyniec do kaplicy zamkowej. Ta tylko ocalała jedna i nic nie zmieniło w niej nawet miejsca: ludzie obawiali się naruszać własność bożą... Spytek stanął w progu z tęsknicą swoją. Na domiar nieszczęścia nie umiał się modlić; źródło modlitwy w nim wyschło, wiara zamarła, serce zobojętniało. Młody, nie miał łzy; nieszczęśliwy, nie miał nadziei; chory, nie pragnął życia; jedne wspomnienia go wzruszały.

— Teraz, przyjacielu mój—rzekł Eugeniusz do Zaranka—rozstaniemy się na czas jakiś. Mnie woła święty obowiązek... Ty spełnij tu trudne posłannictwo mściciela krzywd moich... daję ci nieograniczoną wła-

dzę—nawet przebaczenia w imieniu mojem. Uczyń co zechcesz, co ci serce natchnie. Ja muszę jechać.

Zarannek się domyślał celu podróży Spytka, i truchlał znowu nad jej skutkami, nie wiedząc co się działo z matką Eugeniusza. Nie śmiał on jej oznajmować o przybyciu syna...

Powóz stał zaprzężony od godziny. Milcząc, siadł do niego młody człowiek, który ledwie miał tyle siły, że się mógł na stopień wdrapać. Konie ruszyły ku Rabsztyńcom i myśl razem z nimi.

Eugeniusz, kręcąc się po świecie, choć pisywał do matki (nie oznajmując jej wszakże o blizkiem przybyciu swoim)—od niej nie miał żadnej wiadomości. W drodze już, czyniąc z siebie i rodzinnych wstretów ofiarę, postanowił pierwszy udać się do Rabsztyniec, podać rękę Jaksie i upaść do nóg matce. Czuł biedny, że życie jego niedługo się już przeciągnąć miało; skazany na śmierć przez lekarzy, chciał przed zgonem pożegnać matkę, ubłagać ją, aby przyjęła od niego ofiarę majątku, i pojednać się z całym światem.

W sercu Eugeniusza śmierć wszystką żółć i gorzycz przesączyła na miłość i pragnienie pokoju i zgody... Miewał chwile oburzenia i gniewu, jak wczorajsza, ale te prędko w sobie tłumił, wspomniawszy na małość życia, na drobność spraw jego, na lichotę tych namiętności muszych, które trzepią skrzydły nad krużyną trupiego pyłu.

Z blizka poznany, Eugeniusz obudzał litość i przywiązanie. Był to w istocie umysł niepospolity, a serce tak czyste i szlachetne jak mało; nadewszystko zaś łagodność i dobroć a pobłażanie miał niewyczerpane. Fałsz, krzywda, wymierzone słabszemu, oburza-

ły go—cnota rozpromieniała; ale z tém czuciem aż do rozdrażnienia delikatném, był raczej świadkiem niż uczestnikiem czynnego życia, raczej dyletantem w niem niż artystą. Nie go nie obchodziło dla niego, nie wierzył w przyszłość, czuł się dodniowym, skazanym, myślał o drugich, o sobie jak najmniej.

Ten stan duszy nie uczynił go ponurym ani przykrym; owszem, był prawie wesół, bawił się widokiem świata, zachwycał sztuką, noce trawił nad książkami. Zajmowały go spory literackie, teatr, pisma nowe, artyści, wszystko co odrywało od rzeczywistości. Z tą ani się pogodzić, ani przeżyć umiał chwili; tę mu przyjaciele musieli zakrywać, ułatwiać, osłaniać, tak, aby go nie dotykała. Wszystko co było rachubą, interesem, niecierpliwiło go i nudziło. Z chęcią ponosił straty największe, byle się nie dotykać powszedniej kuchni żywota.

We wszystkiém wyglądał Eugeniusz na pielgrzyma, jakim był, przechodzącego tylko po ziemi, aby powrócić do jakiegoś innego, lepszego, nieznanego kraju.

Gdy powóz zbliżył się do wzgórza, na którém stała ruina rabsztynieckiego zamku, Eugeniusz kazał się zatrzymać woźnicy, wysiadł i poszedł piechotą. Z dwóch bytności w tém miejscu pozostawało mu mgliste wspomnienie, którego ze stanem terażniejszym jakoś pogodzić nie umiał.

U podnoża pagórka, właśnie tam gdzie się zatrzymali, postrzegł prosty, czarny krzyż drewniany, żałobną, białą obwiedziony pręgą. Na nim była drewniana figura Zbawiciela, a u spodu wyczytał napis:

„Za duszę Iwona proszę o westchnienie do Boga.”

Tak w progu przeznaczenie spotkało go, niosąc mu

na ofiarę wieść o śmierci tego, który długo był ostatnim zaprzysięgłym nieprzyjacielem jego rodu i domu, przez którego stracił on matkę... i pozostał sierotą...

Krzyż ten oszczędzał mu bolesną chwilę pytania, zdejmował z jego bark ciężar, ale mu wydarł nadzieję przebaczenia i pojednania się na ziemi. Staął u stop jego, i zadumany, nierychło posunął się z wolna ścieżynką wiodącą ku górze...

Wszystko tu teraz inaczej, po wiejsku, skromnie, ale mile i porządnie wyglądało. Z zarośli porobiono klomby, które się bujnie rozrosły...

Pośród nich widać było dom murowany, przerebiony ze skrzydła ocalonego zamku, ale wyglądający bardzo dostatnio i wdzięcznie. Znać było z powierzchowności, że nad nim troskliwe oko, serce i ręka czuwały. Ale w tym podwórzu zasianym kwiatami, które wczesny październikowy mróz powarzył, — nie było żywej duszy; jeden stary, wychudły pies leżał w progu, podniósł głowę, zaszczeakał, i burcząc oddalił się.

Eugeniusz wszedł do sieni, i tu jeszcze nie zastając nikogo... Machinalnie, instynktem wiedziony, z bijącym sercem wstąpił na wschody: milczenie głucho panowało w całym domu. Otworzył drzwi pierwsze: nikt ich skrzypnięcia nie posłyszał, nikt przeciw niemu nie wyszedł. Z tego pokoju otworem stały drzwi drugie do owalnego salonu, w którym niegdyś długo przemieszkiwał Iwo. Widać było okna w nim przyślonione. Eugeniusz stanął. Obawiał się iść dalej i odezwać, lękał się pytać. Jak zmartwiały wrósł w posadzkę...

Z mroków sali powoli podniosła się od łoża stojącego w kącie postać wyniosła, czarna cała... Owal

białej jak marmur twarzy ujrzał z daleka i domyślił się w nim raczej, niż poznał swą matkę. Długie jój, piękne, niegdyś kruczój czarności włosy, spadały na ramiona zbielałe, srebrne. W téj koronie śmiertelnej wyglądała majestatyczniejszą, uroczystszą jeszcze niż niegdyś... królową.

Co jój oznajmiło o przybyciu syna, który stał, nie śmiejąc przestąpić progu?... Serce może... Nie zdziwiona, bez okrzyku, milcząca wyszła wprost do niego, i zarzuciła na jego ramiona ręce wychudłe, całując twarz jęgo ze łzami.

Wpatrywała się weń długo, długo, drżąca, i strumień łez polał się z wypłakanych oczu.

— Dziecko mojej odezwała się nareszcie, postrzegłszy znamię śmierci na jęgo czole:—i ty!...

Nie mogła dokończyć—uścisk gorący zamknął jęją usta.

— Przyszedłem za późno... odezwał się Eugeniusz. Nic nie wiedziałem, nie! Przybyłem podać mu rękę...

— Pomógł się na mogile... smutnie odpowiedziała matka. On wszystkim przebaczył, żałował za wszystko... a Bóg mu życia przedłużyć nie chciał... Wszystkie te mogiły sypią się na sercu mojem i coraz większym ciężarem je gniotą — aż i ono pęknie. Al ty jeszcze nie wiesz, ilem przeżyła boleści... Chodź!

I podała mu rękę, na palcach wracając do pokoju, z którego wyszła. Z obawą niewysłowioną Eugeniusz szedł za nią, nie wiedząc dokąd go prowadzi.

Cicho stąpając, doszli tak do przyciemnionego kąta. Tu stało łóżeczko małe, a na ciemnej jęgo obłonie leżała uśpiona kilkoletnia dziewczeczka. Tylko anioły na starych mistrzów obrazach mają ten niebiański wdzięk, pełen słodyczy i pokoju, świadczący o nieśmiertelności, wyznawający Boga, jaki miało to

dziecię blade, śliczne, z którego wpół przymkniętych ustek dobywał się oddech krótki, ciężki, jakby na świecie powietrza tym czystym piersiom zabrakło.

Leżała na białej poduszce, z włosami jak złote pasmo rozsypanemi po niej, niby jasnym otoczona nimbem, ze złożenemi na piersiach białemi, cudownych kształtów rączkami, w sukience jasnej i lekkiej. Eugeniusz z przestachem ujrzał na odsłonionej jej szyi — jakby koralową przepaskę. Było to znamię takie właśnie, jakie na portrecie kobiety w Mielsztyńcach się znajdowało.

— Bóg — szepnęła wdowa — naznaczył ją piętnem śmierci. On zrządził, by w ten dom wniosła przypomnienie tamtego. Iwo, gdy ją nowonarodzoną wziął na ręce i ujrzał tę pręgę złowrogą, skłonił głowę przed wyrokiem bożym, poddał mu się... ale ten cios był dla niego ostatnim... Życie jego odtąd wlokło się smętnem konaniem... Mnie jedną Bóg przeznaczył, bym przeżyła wszystkich... i jak posąg żywy stała na grobach...

Przebudzona głosem matki, Emilka podniosła głowę, otwarła oczy i uśmiechnęła się... Widok nieznanego, stojącego z matką u jej łóżeczka, nie przstraszył jej... Obie rączki wyciągnęła ku niemu, wiedzioną przecuciem jakimś cudownym, i zawołała:

— Braciszek!

Eugeniusz przykląkł u łóżka, i dzieci, które się nie widziały nigdy w życiu, z których jedno nawet o istnieniu drugiego nie dowiedziało się aż teraz, radośnie padły sobie w objęcia.

— A! mamó! zawoła Emilka: mnie się to wszystko wyśniło. Widziałam, jak braciszek leciał tu do nas, jak się u czarnego krzyża modlił, a ojciec stał

tam i błogosławił go i witał... jak potem wchodził, zbliżał się... jak patrzył na mnie. Pragnęłam go co-prędzej przywitać... i poprosiłam aniołków, aby mi ciężkie podnieśli powieki.

Zamilkli. Dzieci długo patrzyły na siebie, a matka stała z załamanymi rękami nad tym obrazem, który jęj serce ubierało w całuny...

Niestety! na obu tych białych czołach palec boży napisał dla niej wyraźny wyrok rozstania. Jakże chętnie byłaby im swoje uparte oddała życie, aby je ostatnim tchem wskrzesić na długie lata!...

Ten wieczór w rabsztynieckim dworze, u kolan matki, przeszedł jak sen uroczy, ale wyczerpał resztki sił Emilki i Eugeniusza. Blisko północy mieli się rozejść, gdy dziecię położyło się na swe łóżeczko i prosiło ich, podawszy im rączki obie, aby nie opuszczali go dopóki nie uśnie. Przymrużyła oczka, uśmiechając się, dziecina, pożegnała matkę i brata, i powoli zdawała się uspokajać i usypiać. Rączki jęj z wolna opadały, stygły, kostniały, oddech stawał się coraz mniej wyraźnym... pocałunek śmierci skończył jęj życie wiosenne; uwieźła jak kwiatek poranny...

Od tego łóżeczka wstała niezłamana wdowa, bez łzy, bez jęku, podniosła córkę, przycisnęła ją do piersi, i u stop tęg nowęg ofiary uklękla modlić się Bogu.

W kilka dni potem Eugeniusz w krzesle u okna, patrząc na słońce zachodzące, pożegnał matkę uśmiechem... Nieżał mu było życia. Dobyl w ostatniej chwili na piersi noszonę zeschłą cyprysu włoskiego gałązkę, pamiątkę jakiegęs chwili złotęg—popatrzał na nią, pocałował—potem schylił się ku łonu matki i... zasnął, by się nie przebudzić.

Wdowa przeżyła wszystkich... Na pogrzebie dzieci widzano ją jak słup stojącą prosto, niezłamaną bolem, z zaciśniętymi usty, w koronie białych włosów pod czarną zasłoną... Odtąd już oczy jój ludzkie nie postrzegły więcej, aż w lat kilkanaście na śmiertelnym katafalku... Resztę życia spędziła zamknięta w Rabsztyńcach z jedną sługą, która nie wchodziła do jój pokoju, zamurowanego jak cela, i jedzenie jój tylko przez zostawiony otwór podawała. W żałobie, włosiennicy, na nagiej ziemi, bez pościeli, łamiąc się z resztkami życia, spędziła jeszcze długie lata, — aż Bóg wreszcie litościwy, w rocznicę śmierci męża, i ją do siebie powołał.

KONIEC.

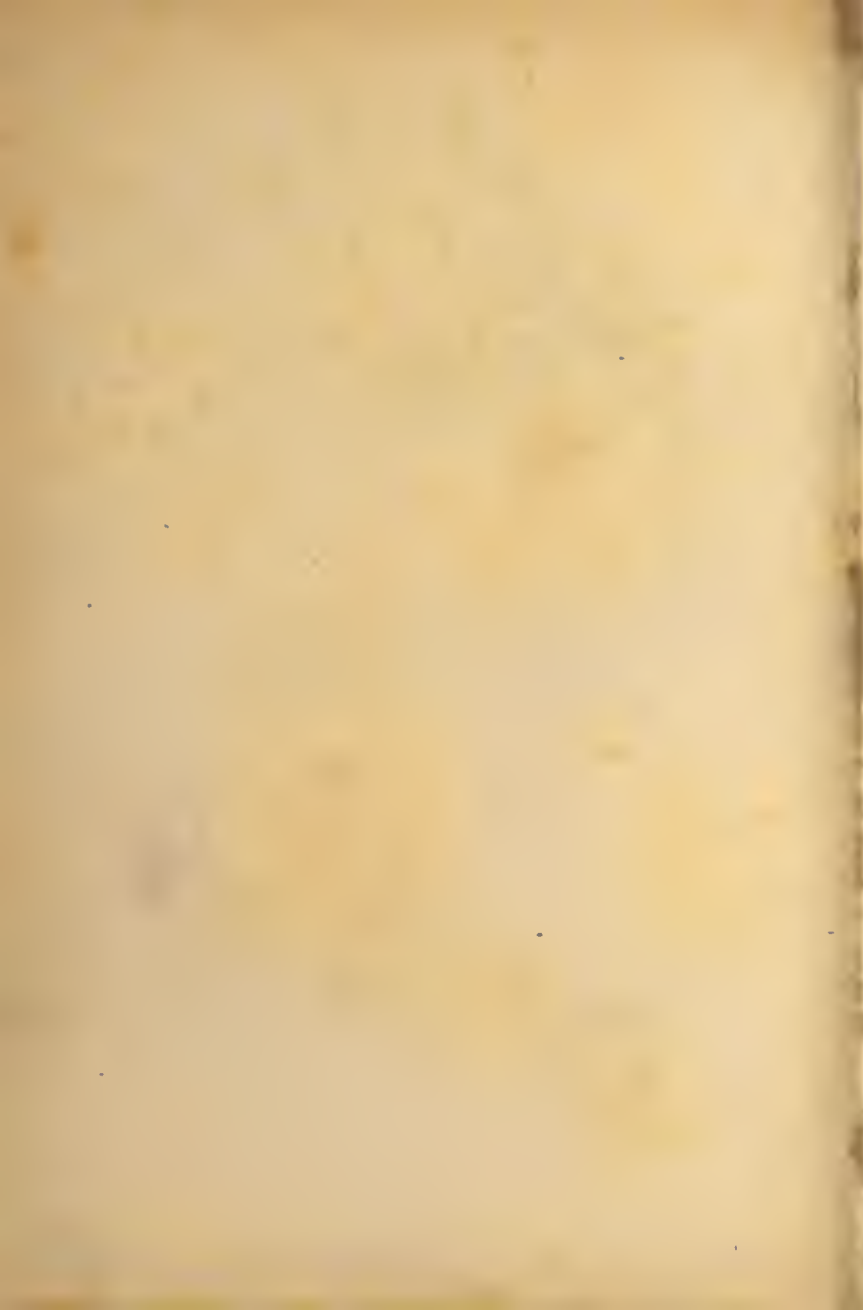


SPIS RZECZY.



	Str.
Sfinks	1
Ongi	193











Biblioteka Raczyńskich

JK 1463



JK1463